

RADOSŁAW  
LEWANDOWSKI



# WIKINGOWIE

## KRAINA PROROKA

RADOSŁAW  
LEWANDOWSKI



WIKINGOWIE

KRAINA  
PROROKA



Bibliotekarzom.

Jeśli książka zawiera marzenia, nieprzebyte przygody,

to Biblioteka jest snem,

w którym stają się one rzeczywistością.

## Spis treści

Husaby  
Sjörklandia  
Bitwa  
W drodze  
Kordoba  
Nocna wyprawa  
Borga  
Gwardziści kalifa  
Sekret brata Piotra  
Pałac kalifa  
Thing  
Trzecia droga  
Samboja  
Rejs na Sikiliję  
Bezkresy  
Bitwa  
Bóg wspiera ludzi o dzielnych sercach  
Okolice Mesyny  
Mesyna  
Poselstwo  
Pierwsi sojusznicy  
Jaskinie Sancte Felicjum  
Mesyna  
Suk  
Oddi Asgotsson  
Castro-Johannis  
Bitwa  
Zeno  
Mesyna  
Tajemnica Zena  
Posłowie  
Źródła  
Suplement  
Podziękowania

HUSABY



Wicher szarpał: to cichł, to znów się wzmagał, gdy Hräswełg na skraju niebios składał i rozpościarał swoje olbrzymie skrzydła. Wiatr porywał wilgoć znad jeziora Vänern i obmywał nią dwóch zakapturzonych mężów. Stali na skraju leżącej w królewskich włościach osady Husaby, ciesząc się z chwilowego załamania wiosennej pogody. Złe oczy i uszy mogły zniweczyć plan i skłonić konunga Eryka Zwycięskiego do zadawania niewygodnych pytań i kto wie do czego jeszcze. To porywczy i gniewny, ale przebiegły władca.

Grube ciepłe futra szczelnie okrywały postacie i dopiero wsłuchując się w rwane podmuchami głosy, można było stwierdzić, że jeden z wojów był dojrzałym mężem, a drugi gołowąsem.

– Złe jest być fałszywym druhem, zdradliwą zmiją w sakwie z jedzeniem. Zróbmy to jeszcze w Uppsali, Olofie. A najlepiej nakarmmy orły, stojąc z wrogami twarzą w twarz.

– Wiesz, że nie możemy. – Wyższy, młodszy głos pełen był stanowczości. – Ojciec powziąłby podejrzenia i może nawet wygnał precz. Nakazał mi gird dla braci i kazał przysiąc na Odyna, że póki starczy tchu, nie będę nastawał na ich życie.

– Złe łamać takie przyrzeczenie, Jednooki wszystko widzi i pamięta.

– Nie twoja rzecz. Marne życie po śmierci to daleka sprawa. A tu i teraz jest życie za życia i o nie muszę zadbać. Chcę władać całą Szwecją, a nie dzielić się z braćmi. A jeśli tak... Słyszałeś, drengu, o Białym Krystosie?

– Czemu pytasz? Wszędzie pełno jego sług. Rozłazą się po kraju niczym robactwo po śpiącym. Ale to nie trup i gdy się zbudzi...

– To się zbudzi. Ale musisz przyznać, że idzie za nim potęga. Wielu królów: Englismadowie w Bretlandzie, Grikkmadzi, Svavalandczycy, Hundlandczycy czy Saxlandczycy, wszyscy oni skłonili głowy przed tym Jednobogiem. Jeśli jest tak silny, to uznam kiedyś jego zwierzchność, a on w zamian uchroni mnie przez zemstą Odyna. – Młody woj zaśmiał się szaleńczo. – Widzisz drottmadzie, ja na wszystko mam plan.

– Przyznam, że dopisuje ci szczęście, panie. Emunde chorzał tej zimy i może wcale nie wydobrzeje. Ciągłe jeszcze kaszle krwią i bogom niech będą dzięki. Ale Erik silny niczym młody byczek dyr! – Mówiący te słowa w zdenerwowaniu uderzył pięścią w pięść. – Złe jednak patrzą Asowie na fałsz i kłamstwo. Wolałbym ruszyć na nich i choćby z samym konungiem bić się o władzę dla ciebie, Olofie. To ci kiedyś przyrzekłem i nie złamię obietnicy.

– Jeśli tak, ruszysz z nimi na tę wyprawę do Sjörklandii i w dogodnym momencie... – Nie musiał kończyć.

– Niech będzie. – Starszy mężczyzna westchnął ciężko. – A gdy zostaniesz konungiem, uznasz dziecko ze swoich lędźwi, które spłodziłeś z moją siostrą, za następcę i kolejnego władcę Szwecji.

– Przysięgałem na Odyna i tak się stanie.

– Przysięgnij jeszcze na honor i pamięć potomnych. Wiele ryzykuję i muszę być pewien.

Młodzieńcem szarpnęło niczym dzikim koniem, który poczuł jeźdźca na grzbiecie. Sława dla woja jest najcenniejszym skarbem, dla niej warto nie tylko godnie żyć, lecz także ginąć. Nie szafuje się takimi przysięgami. A co, jeśli Biały Krystos nie uchroni go i przed tą fałszywą obietnicą? Nie miał jednak wyjścia.

– Klnę się na honor i pamięć, że będzie, jak mówię, jeśli ty wypełnisz swoje zadanie.

– O to możesz być spokojny, Olofie, synu Eryka. W stosownej chwili pomogę twemu bratu znaleźć drogę do Walhalli.

– A ja sprawię, że świat zapomni jego imię – rzucił młodzik i ruszyli w stronę zabudowań. Pełne świeżej, wiosennej wilgoci Husaby budziło się do życia.

- Jeśli jednak Erik powróci do domu, zabiję ją i bachora. Zarżnę ciemnowłosą Svanlaug.
- Głos Olofa, syna Eryka, brzmiał niczym warknięcie wilka.

# SJÖRKLANDIA





Duży oddział zbrojnych schronił się w niewielkim, gęstym zagajniku. Gorące andaluzyjskie słońce chciwie spijało ze skóry każdą kropelkę potu, więc cień rozłożystych dębów był na wagę złota. Długi, wyczerpujący pościg dał się we znaki zarówno ludziom, jak i koniom. Te ostatnie stały teraz niemal nieruchomo ze zwieszonymi łbami i to im oddano resztki wody. Wojowie mogą poczekać.

Usiedli nieco na uboczu, wspierając się plecami o ten sam pień. Zapach rozgrzanej ściółki rozleniwiał. W rodzinnej Szwecji przenikały go dodatkowo mokre wonie grzybów i próchniejących pni.

– Normalnie tobyśmy skrobali relację dla matki, a tak... – Wyższy i jasnowłosy spróbował splunąć, ale zabrakło mu śliny. Zerwał kępkę trawy i zaczął ją żuć. Pomogło.

– Spiszemy panie, kiedyś.

– O ile czeka nas jakaś przyszłość w Midgardzie. Wiesz, Zeno, gdy kalif nadjechał z wojskami, myślałem, że to już czas do Walhalli. Ja mam niecałe czternaście zim na karku i nieśpieszno mi do Komnaty Poległych. Niedawno byłem nawet zakochany w czarnookiej Dajlidis, żonie tego możnego. Przeszło mi już, bo po jednej nocy w zamku jej pana męża ledwie pomnę śniade lico. To już lepiej zakarbowały się w pamięci dorodne kształty, runo gęste jak na owcy, zapach wina i zamorskich korzeni w oddechu... Ciemno było. Nie chcę ginać, bo jeszcze wielu rzeczy muszę spróbować. Czy to czyni mnie tchórzem? Co?

Niewolnik – mnich, który porzucił wiarę przodków – wzruszył kościstymi ramionami. Wciąż jeszcze młody, choć chudy, zdawał się wytrzymały niczym nasączony wieloletnim potem rzemień.

– A uciekłybyś, panie, z pola walki, jakby co?

– No nie. Mojemu ojcu syn się urodził, a nie zając albo wiewiórka.

– To nie jesteś tchórzem, tylko człkiem myślącym i... głodnym życia.

– Głodny to ja rzeczywiście jestem, choć bardziej spragniony.

– No więc, panie, nazwałbym cię poszukiwaczem krynicy uciech cielesnych.

– Że niby ja... Podśmiewasz się ze mnie, Zeno, trupie mojego niewolnika!

– Gdzieżbym śmiał, panie. Ech, ech. – Po ciosie w brzuch niewolnik wypuścił powietrze z płuc.

– A może... – złapał oddech – jednak jesteś, panie, tchórzem, bo okładasz bezbronного człowieka kulakami.

– A pewnie. I zaraz wyrwę ci ten twój paparski jęzor, nim zdążysz rzec, że ze mnie niewdzięczny i krwiożerczy barbarzyńca. Tylko pamiętaj, powiesz tak przy świadkach i poderżnę gardło.

– A jaka to różni... Oczywiście, panie. – Niewolnik na widok wzniesionej do ciosu pięści bezzwłocznie przytaknął. Polubili się podczas tej wyprawy, choć początki były niełatwe.

Ten, którego towarzysz nazwał Zenem, był starszy od Skandynawa. Choć los, bóg czy bogowie doświadczyli go w trójnasób, nie zniknął z jego twarzy chłopięcy zaraźliwy uśmiech. Zawsze był ciekawy świata, więc gdy nadarzyła się okazja, wyrwał się spod opieki mnichów z monasteru Sumela, by z karawaną kupców ruszyć na północ. Taka wersja nie wzbudzała podejrzeń towarzyszy podróży i jej się trzymał. Im więcej czasu mijało, tym ckliwiej wspominał malowniczą dolinę Altindere, ale drogi powrotnej nie było.

Wiele miesięcy po opuszczeniu świątobliwych mnichów spotkali się z prowadzącym ludną karawanę kupcem. A ponieważ okolica nie należała do najbezpieczniejszych, obydwie grupy spędziły wspólnie noc. Przy ognisku dzielili się nie tylko potrawami, lecz także radami, najświeższymi informacjami o cenach towarów, drogach i mostach czy o niepokojach wśród

tubylczej ludności. Ów handlarz rzekł podczas luźnej pogawędki, że jeden z jego koniuszych posługiwał w monasterze Sumela i ledwo uciekł, gdy na święte miejsce napadła banda zbójców.

– Tak naprawdę – powiedział, ścisząc głos – podobno było to dziesięciu cesarskich Waregów. I sam Bułgarobójca nasłał ich na mnichów, albowiem machali listami opatrzonymi cesarskimi pieczęciami.

– Od kiedy basileus walczy z Kościołem?

– Kogoś bezskutecznie szukali i wściekli ukatrupili kilku znaczniejszych braci. Potem na odchodnym wyróżnęli bydło i puścili z dymem część zabudowań.

Zeno domyślał się, o kogo chodziło najmniej gwardii cesarza. Tego wieczoru rozpląnął się w powietrzu i pokazał kompanom dopiero po wymarszu, gdy każda z grup ruszyła w swoją stronę.

Miał więcej szczęścia niż roztropności i świadomości, jak blisko był śmierci, jeszcze przez wiele nocy spędzała sen z powiek młodego pomocnika woźnicy. Jego sekret znały podobno tylko dwie żyjące osoby, więc skąd ten pościg po latach spokoju? Wspominał też braciszków z monasteru i choć utracił wiarę, żarliwie modlił się za ich dusze. Szczególnie za jednego starego pierdołę...

Szczyściem, nim cesarscy zjawili się w dolinie, ciekawość pchnęła go do opuszczenia świętego miejsca. Ale nie tylko ona. Przeważała długa nocna rozmowa z bratem Gregoriusem, uczonym starcem, który słabnącymi oczami niestrudzenie przepatrywał i tłumaczył na grekę stare egipskie teksty. Spisane w języku aramejskim zwoje liczyły setki lat.

Był on dla Zena niczym ojciec i tamtej nocy zburzył spokój duszy młodego podopiecznego. Dogmaty wiary i miejsce człowieka w porządku świata w jednej chwili rozsypały się w proch. Gdy obeschły łzy – a płakali obaj – niedoszły mnich najął się do opieki nad zwierzętami i opuścił monaster, który niemal od narodzin był mu domem. By nie myśleć, by zapomnieć o tej strasznej tajemnicy, by poszukać własnej prawdy.

Jakby tego było mało, starzec tej ostatniej nocy dał mu niewielką złotą pieczęć w kształcie walca. Potem opowiedział o jego rodzicach i kłątwe krwi, która kazała im ukryć dziecko przed spojrzzeniami z Konstantynopola.

– Prawdę, synku, znam tylko ja i twoja matka, a teraz i ty. Wiedział jeszcze mój przyjaciel – parakoimenos Bazylu, ale Wielki Eunuch zabrał tę wiedzę do grobu. O ile ci życie miłe, nie zdradź się przed nikim. – Tak wówczas twierdził, ale sądząc po rajdzie krwiożerczych Waregów, mających złą sławę okrutników i morderców do wynajęcia, wiedział ktoś jeszcze. Bo chyba to nie matka...? Zeno poczuł dreszcz, smakując w ustach to niemal zapomniane słowo. Nie znał jej. Kto wie, jakimi ścieżkami krążą myśli ludzi zrodzonych w purpurze? Swoją tęsknotę, żal i... ciekawość schował więc tak głęboko, że prawie sam siebie przekonał, iż to tylko senne rojenia. Zapomniałby zupełnie, gdyby nie niewielka nanizana na rzemień złota rolka, którą nosił na szyi. Kiedy dostał się do niewoli, połknął ją, by nie wpadła w ręce Skandynawów. Odzyskana po kilku posiłkach stała mu się jeszcze bliższa.

Po dwóch latach tułaczki i licznych zmianach chlebobawców, z których jedni byli spokojni, a inni częściej używali bata niż języka, cały w siniakach i ropiejących ranach dotarł na wyspę Brytów. Miejscowi braciszczkowie przyjęli go jak swego. Pomimo młodego wieku szybko zdobył uznanie przeora. A to dzięki pracowitości i dobrej znajomości w mowie i piśmie greki, aramejskiego i łaciny. Brat Gregorius miał ciężką rękę, więc chcąc nie chcąc Zeno posiadał pewną biegłość w tych sztukach. Klasztor leżący w Northumberlandzie miał zadziwiająco bogatą bibliotekę, w której młodzieniec spędzał każdą wolną chwilę. Uczciwie trzeba przyznać, że nie było ich wiele. Prace w polu, obejściu i modlitwy całkowicie wypełniały dni. Niczym szalony szukał czegoś, co podważyłoby słowa starego mistrza, a raczej treść odkrytych przez niego

starych spisanych na pożółkłym pergaminie dokumentów. Czegokolwiek.

Monotonne życie, mokre chłodne zimy i bezowocność tych starań zaczynały go nużyć i przemyślał nawet nad powrotem do Bizancjum, choć oczywiście pod przybranym imieniem. Jeśli ma odnaleźć prawdę o Bogu, to nie w tym zapomnianym przez słońce miejscu, ale na ziemi, po której stąpał Jezus. Teraz już był tego pewien. A kto wie, może kiedyś znajdzie też odwagę, by przyjąć służbę na dworze matki? Nie powie jej, kim jest, ale choć zobaczy ją z daleka, może zamieni przypadkowe słowo. Nie rozpozna w młodym skrybie syna, ale... Coś ścisnęło pierś Zena, jak zawsze gdy jego myśli biegły w tym kierunku. Czy ona pamięta o pierworodnym? Czy wie, że żyje? Czy chce jego śmierci?

Wiosną, wraz z cieplejszymi wiatrami, nadszedł sądny dzień dla klasztoru. Banda barbarzyńców z dalekiej Północy złupiła świątynię, a co młodszych braciszków wzięła na sznur. Reszcie ze śmiechem poderżnięto gardła, szydząc z ich daremnych modłów do Jednoboga. Tym sposobem Zeno znalazł się wśród wikingów, a później w domu szwedzkiego władcy Eryka Zwycięskiego. Spodobała się jego nowemu panu otwarta mnisia głowa i znajomość mowy wyspiarzy. Zabierał więc swoją własność na wyprawy. Zrządzeniem losu zawitali też z „gościną” do tego samego klasztoru w Northumberlandzie, z którego dwie wiosny wcześniej porwano Zena. Budynki podupały, z biblioteki zostały zgłiszczą. Eryk sarkał na zbyt częste i niekontrolowane strzyżenie owiec. Łupem morskich rabusiów padły chude kozy, trochę kur i kilku podrostków. Ci ostatni byli mieszkańcami pobliskich wiosek, wysłanymi przez starszyznę do pomocy świętym mężom.

Jeden z nich, pryszczaty i z wielkim mięsistym nochalem, chorował niemal na sam widok statku. Pewnie nigdy nie był na morzu. Gdy zabrudził buty Orvarowi Śliskim Palcom, ten, niewiele myśląc, skopał nieszczęśnika. Zenowi zrobiło się żal chłopaka, prawie widział siebie na jego miejscu. Przyniósł lekko zapleśniałą, ale zdatną do przykrycia skórę, kubek wody i zaczął opowiadać o swoich przygodach. Trochę zmyślał, trochę ubarwiał, ale zaciekawił w końcu nieufnego podrostka. Byle tylko ten nie myślał o ciągłym kołysaniu. Tak mijały im długie godziny.

Chłopski syn zaczął mówić o sobie. O ustawicznym głodzie, o siostrze, której pan przypawił brzuch, korzystając z prawa pierwszej nocy, o srogiej ostatniej zimie i matce, która bez jego pomocy umrze. Opowiedział też, jak to rok po pierwszym najeździe zjawili się u klasztornych bram dziwni Grecy. Było ich tyłu, ile palców mają dwie dłonie.

– Gadali, że są wędrownymi handlarzami. – Mówił cicho, co chwila zerkając na ciągnącego nieopodał wiosło Orvara. – Ale przypominali śmierciogroźne diabły wcielone z Północy. Choć chędogodzi i łagodniwi byli, nie powiem. Na grubych karkach mieli łańcuchy z krzyżami i znali modlitwy, ale też długie miecze wisiały im u pasów. Kogo stać na tako broń? Kupców czy jeno zbrojnych jakiego znaczniejszego pana? I dziwne, sino klute węże na rękach, wszyscy je mieli.

– Czego chcieli? – Na słowo „Grecy” Zeno od razu zrobił się czujny.

– Szukali jakiej zguby, bociem przepytawali braci o nowo przybyłych. Więcej nie wiem, bo o tym mędrkowali jeno z przeorem. Byli kilka wschodów słońca i zostawili nam trochę srebra. My se za to kupili kozy i kury, co nam je żešta tera zabrali.

– A ci kupcy? Dokąd poszli?

– Aboć ja wiem? Wszyscy odetchnęli z ulgą, jak te draby znalazły się za furką. I tyle. Może i oni łotrować do nas nie przyszli, ale dobrze to im z oczu nie patrzyło. – Nagle chłopak zacharzał i rozkaszał się. Gdy poszła mu ustami krew, Zeno był pewien, że Śliskie Palce połamał biedakowi żebra, a któreś z nich przebiło płuco. Podrostek umierał i wiedział o tym. Resztę swego czasu przesiedział bez ruchu, chroniąc resztki ciepła. Zmarł przed końcem podróży i jego

ciało oddano falom.

Od tego dnia Zeno częściej oglądał się za siebie.

Minał kolejny rok. Nadszedł czas, gdy najmłodszy syn konunga Erik Eriksson postanowił wyruszyć na swoją pierwszą wyprawę. Król Leónu Ramiro II najął na służbę wielki oddział jego krajan. Prawie tysiąc ludzi wsiadło na skipy i wyruszyło w stronę Iberii, by wspomóc chrześcijańskiego władcę w wojnie z Maurami. Oczywiście za sowitą opłatą i obietnicą zatrzymania zagrabionych Serkirom łupów. W tej grupie znaleźli się: syn konunga Erik i Zeno, któremu Świętosława, matka młodego księcia, nakazała spisywać relację z wyprawy na wiking. Nie żeby ktoś pytał niewolnika o zdanie, ale lepsze to niż zimne fiordy i wilgotne poranki, więc nie narzekał. No i miał nadzieję, że wreszcie raz na zawsze zatrze tropy. Bo to, że ktoś podążał jego śladem, było pewne.

Z czasem zaprzyjaźnił się z konungowym synem, który przypominał jego samego sprzed kilku lat. Tylko silniejszego, bardziej dzikiego i bez bojaźni bożej. Fascynowała byłego mnicha wielka witalność tego ludu i brak strachu przed śmiercią. Ich wiara w bogów była mocniejsza od wiary chrześcijan, jako że ci ostatni często kurczowo trzymali się życia. Ludzie Północy szli na spotkanie śmierci z uśmiechem na ustach. W tej chwili, niczym stwór z piekielnych czeluści, znowu wypłynęło wspomnienie ostatniej rozmowy z nobliwym Gregoriusem i Zeno zatrzasnął drzwi do tych myśli. Jeszcze nie był gotowy. Może nigdy nie będzie? To, co stary zakonnik znalazł w egipskich, tłumaczonych na aramejski tekstach, wywracało wszystko do góry nogami. Burzyło porządek świata. Po co się nad tym zastanawiać? Lepiej udawać. Lepiej nie myśleć.

W służbie króla Ramira szwedzcy wikingowie przemierzali León i połowę kalifatu. Podczas wielkiej bitwy nieopodal zamku Simanacas nad rzeką Duero Skandynawowie potajemnie wzięli do niewoli władcę Al-Andalus – kalifa Abd ar-Rahmana. Ten, by uniknąć śmierci z rąk niewiernych, zaoferował im ogromny okup w złocie, jeśli dostarczą jego i towarzyszących mu wielmożów do Kordoby.

Wódz wikińskich oddziałów Hardeknud musiał wykazać się wielkim sprytem, by wieść o „złoty jeńcach”, jak ich nazywali, nie przedostała się do władcy zwycięskiego Leónu. Krucha bywa królewska przyjaźń, a łaskę oszukanego monarchy wiatr tka z rzadkiej mgły.

Udało się albo prawie się udało. Podczas wędrówki przez terytoria osłabionych kłeską Maurów natknęli się na pustoszący te rejony silny podjazd rycerzy zakonu Świętego Jakuba z Altopascjo. Pomimo protekcji towarzyszącego wyprawie królewskiego spowiednika między zbrojnymi wywiązała się bitwa. Jeńcy skorzystali z okazji i umknęli. Po długim pościgu, gdy wydawało się, że pochwyć zbiegów, ci połączyli się z idącą im w sukurs małą armią. Myśliwy zmienił się w zwierzynę.

To był koniec i szykowano się do ostatniej bitwy. Jakież więc było zaskoczenie, gdy kalif Abd ar-Rahman zażądał spotkania. Czy chciał, żeby złożyli broń? Nie znał tego ludu tak dobrze jak Zeno, więc mógł mieć takie rojenia.

Ku zdziwieniu Skandynawów władca Al-Andalus oznajmił z uśmiechem, że zamierza dotrzymać danego im wcześniej słowa i przekaże im w Kordobie tyle złota, ile waży on i dziesięciu jego dowódców wraz z wierzchowcami. Prawdę mówiąc, to był właśnie ten powód, dla którego podczas całej tej wędrówki jeńcy jedli lepiej od zbrojnych Hardeknuda. Dużo lepiej.

Odpoczywali więc, korzystając z osłony niewielkiego lasu. Wielki kalif odjechał w sprawach państwowych, zostawiając im liczącą tysiąc głów eskortę albo straż – jak kto woli. Wikingów było niespełna trzy setki i nie zamierzali uciekać. Wizja obiecane skarbu popchnęłaby ich nawet do Helheimu – takiego ich piekła. Dla czegoś takiego zaryzykują własne życie, tym bardziej że śmierć w boju jest ledwie początkiem, a nie końcem. Właśnie ten brak strachu przed przejściem na drugą stronę był dla byłego mnicha najlepszym dowodem na siłę ich

wiary.

Tak dumał sobie z przymkniętymi oczami Zeno, gdy padł rozkaz do wymarszu. Smukłe palce raz po raz bezwiednie muskały skrytą pod bluzą cesarską pieczęć.

BITWA



Ruszać dupy, worki z kośćmi! Na konie! – Mocny głos jarla Kolbjørna, pełniącego teraz w zastępstwie nieżyjącego Hardeknuda funkcję morskigo wodza – saekonunga, poderwał wszystkich z miejsc. Może „poderwał” to za wiele powiedziane, ale zaczęli się powoli podnosić.

Poprawiając rynsztunek i uprząże koniom, wyszli na otwartą przestrzeń. Nie ma nic gorszego podczas jazdy niż głównia miecza wpijająca się nie tam gdzie trzeba.

W odległości kilku strzałów z łuku wśród eskorty zapanowało zamieszanie. Gardłowe okrzyki dowódców i rżenie koni niosły się daleko po okolicy. Nagle kilkusobowy oddział oderwał się od sił głównych i popędził w stronę pozycji Skandynawów. Jeźdźcy osadzili wierzchowce niemal w ostatniej chwili, wzniesając obłok kurzu. Ten i ów sklął szmaciane łby, ale broń pozostała w pochwach i pętłach przy pasie. Tych wojów, którzy na niejednym polu bitwy rozlewali krew, trudno było wyprowadzić z równowagi. Choć gdy już się komuś udała ta sztuka...

Z grupy przybyszów wysunął się jeden nieco dostatniej ubrany i zaczął po swojemu pohukiwać.

– Erik, rozumiesz coś z tego bełkotania? – Saekonung przywołał do siebie młodzieńca, który jedyny wśród Skandynawów znał mowę ludzi z Leónu.

– Nic a nic wodzu, ale brat Piotr zna język ludzi ze Sjørklandu. Może on?

Duchowny w czarnym, sięgającym ziemi habicie, słysząc, że o nim mowa, przybiegł w te pędy w pobliże jarla. By nie zaplatać się we własną suknię, uniósł ją nieco. Proste skórzane sandały śmiesznie wyglądały na patykowatych nogach, ale wszyscy zdążyli się przekonać, iż nie masz w tej gorącej krainie lepszego obuwia na długie wędrówki. Byle podeszwy były grube i mocne.

Papar rozmówił się z tubylcem i strapiiony zwrócił się do Kolbjørna. Erik tłumaczył.

– Berberyjski dowódca, nie ten, ale jeden z tamtych – wskazał ręką na kłębiący się tłum – chce koniecznie ściąć głowy niewiernym, o których słyszał, iż nie są ludem Księgi i oddają cześć wielu bogom. Szatan pomieszał mu rozum, ale twierdzi, że tego żąda od niego sam Allah.

– *Allahu akbar!*[1] – zakrzyknęli czterej jeźdźcy.

– Jego wódz?

– Bóg, przybyszu, jedyny.

– Chyba faktycznie od gorąca poplątało mu się w łepetynie. Widział który jakiegoś boga na tym stoku? – Tym razem saekonung zwracał się do swoich towarzyszy, wskazując zamaszystym gestem łagodnie wznoszące się zbocze.

Odpowiedział mu nierówny chór gorliwych potakiwań.

– Żeby was, psie syny... – Splunął zły na żarty swoich ludzi.

– A nie mieliście nas doprowadzić do stolicy? To jest, pokurczu, pułapka zastawiona na moich przez twojego skąpego króla? – Kolbjørn był coraz bardziej wściekły.

– Dowódca tego oddziału – spowiednik wskazał na czwórkę jeźdźców – przeprasza cię w imieniu Sługi Litościwego. Jest wprawdzie z woli kalifa wodzem eskorty, ale niewiele może zrobić. Z ubolewaniem twierdzi, iż jego ludzie to w większości *muladi* – Berberowie, i jedynie trzecią część oddziału stanowią Arabowie, prawdziwi dziedzice krwi proroka Mahometa.

– Na brodę Odyna, a co mnie to obchodzi?! Niewiele rozumiem, ale jedno wiem na pewno – szykują się do ataku!

– Dlatego Ibn Chaldun, wierny honorowi i słowu danemu przez władcę, przybył, żeby cię ostrzec. Jego ludzie opóźnią nieco szarżę berberyjskiej konnicy. Nie ma jednak wątpliwości, że kupią tym na suku życia jedynie trochę czasu.

– Na łaskę Fenrira, z koni! Z koni, mówię! Ustawiać mur tarcz! – Kolbjørn w pośpiechu

formował obronę.

Serkirowie zawrócili niemal w miejscu i popędzili w stronę reszty szmacianych łbów. Ich oddział przypominał teraz ul tuż po wizycie niedźwiedzia.

– A nasze złoto?! Ja chcę obiecanego złota! – krzyknął do oddalających się pleców Krzywe Zęby. Ale nie było żadnej reakcji. Może dlatego, że ci poddani Abd ar-Rahmana ni w ząb nie znali szwedzkiego.

Wszyscy wiedzieli, co mają robić. Wierzchowce wprowadzono głęboko między drzewa, by przypadkowe strzały nie uczyniły im krzywdy. Ludzie poprawiali sobie wzajemnie osłony i ustawili się w spłaszczony półokrąg. Z przodu najsilniejsi, z tarczami, za ich plecami włócznicy, łucznicy i procarze, czyli łucznicy, którym skończyły się strzały.

Saekonung wezwał Leifa Osvaldssona, niedawnego rywala do walki o przywództwo. Ku zdziwieniu wszystkich okazał mu honor, powierzając dowództwo nad setką zbrojnych. Mieli objechać zagajnik i jeśli zdołają, zaatakować od tyłu szmaciane łby zajęte próbą sforsowania muru tarcz. Kapitan *Smoczej Dumy* przyjął podaną mu na zgodę prawicę wodza. Oddział obrońców stopniał o trzecią część, ale zajęci kłótnią przeciwnicy nie powinni tego zauważyć.

Nagle okrzyki przybrały na sile i od eskorty oderwał się całkiem spory oddział Maurów. Zatoczył łuk, by ustawić się pomiędzy wikingami a berberyjską jazdą. Niemal natychmiast ci, których brat Piotr nazwał Arabami, zostali otoczeni przez niedawnych towarzyszy i rozpoczęła się rzeź. Odgryzali się przeciwnikowi i stawali dzielnie, ale widać było, że to długo nie potrwa. Trzech prawie zawsze da radę jednemu.

– Łucznicy, ich plecy są wasze. Im więcej zginie tam, tym mniej namachamy się toporami! – Kolbjørn Krzywe Zęby miał rację. Choć tylko z jednym jajkiem, pozostał sprytnym jarlem.

– A jak rozróżnimy, którzy Chodzący Bez Gaci są z nami, a którzy przeciwko nam? – spytał młody Tagi Instadsson, łucznik, który trafił lecącego ptaka w oko. Jego pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

Setka strzał poszybowała. Zakotłowało się. Walczący najbliżej zbrojni popędzili konie poza zasięg ostrzału, pozostawiając rannych i martwych towarzyszy na polu walki. Korzystając z zamieszania, oddział wierny kalifowi przebił się przez wrogi kordon i popędził ile sił w końskich nogach, z każdą chwilą oddalając się z pola bitwy.

– Jeśli chcesz coś zrobić solidnie, musisz zrobić to sam. – Manne Lodbrok nie wyglądał na zmartwionego rejteradą Arabów. Napluł w potężne dłonie i roztań ślinę, by zwiększyć przyczepność. Jak wszyscy wokoło cieszył się nadchodzącą walką. Bo i czego się obawiać, gdy zwycięskich czekają wielkie łupy w koniach i orężu, a martwych dobre życie w Walhalli albo na Folkwangu? Choć gdyby który żyw dostał się w ich ręce... Wieść niesie, iż szmaciane łby robią z męczyzn wałachy, nim odsprzedadzą ich na dwory swoich panów. Ale tu wystarczyło nie dać się wziąć żywcem.

– Chyba zwróciliśmy ich uwagę, co, mały? – Stojący obok Erika Aslof Czarna Broda szturchnął łokciem przyjaciela. Znali się, od kiedy syn konunga postawił pierwsze kroki.

– Miałeś na mnie nie mówić „mały”, synu owcy. I nie przeszkadzaj, przez ciebie zmarnowałem strzałę.

Wróg właśnie zaprzestał daremnej pogoni za Arabami. Uformował luźny szyk i ruszył, nabierając rozpędu, w stronę Skandynawów. Był coraz bliżej. Tylko ktoś, kto stał naprzeciw setek galopujących wierzchowców, zrozumie, jakie to uczucie.

Nadszedł ten moment, gdy w walce pierś w pierś łuki stają się nieprzydatne. Podali thundy stojącym za plecami towarzyszom i zaparli się, czekając na uderzenie wrogiej jazdy. Niemal czuć było zapach śmierci zmieszany z końskim potem i wonią wyprawionej skóry.



Można myśleć wiele o strategii, można nawet bać się o własne życie, ale gdy masz wroga niemal w zasięgu topora, to wszystko przestaje mieć znaczenie. Liczy się chwila. A potem jeszcze jedna i kolejna.

Przeciwnik zrobił jednak coś dziwnego. Zamiast uderzyć w pędzie, wykorzystując końską masę, i zaszarżować na pozycje zajmowane przez brodatych wojowników, wypuścił mrowie strzał i oddalił się, by nawrócić poza zasięgiem skandynawskich łuków. Ba, prowadził ostrzał, będąc w odwrocie, i to zadziwiająco celny! Krótkie pociski uderzały teraz o tarcze, odbijały się od hełmów. Ten i ów jęknął cicho, gdy strzałom udało się przedrzeć przez osłony. Wikingowie walczyli już w ten sposób. To było wtedy, gdy wojska gubernatora Saragossy próbowały nie dopuścić do połączenia najemników z armią króla Leónu. O włos z brody Tyra uniknęli wówczas śmierci.

– Więcej skjoldów, oszczędzać strzały! – grzmiał Kolbjørn Krzywe Zęby.

Przeciwnik miał ułatwione zadanie, bo mierzył w nieruchomą formację. Ale to, co było jego siłą – czyli wielka zwrotność i szybkość, stanowiło też o słabości. Przed Skandynawami tam i z powrotem pędziła lekka, prawie nieopancerzona jazda. Dotyczyło to zarówno ludzi, jak i koni. Każdy celny pocisk wgryzał się więc w ciała atakujących. Ci jednak nie zważali na rany, napływali falami, za każdym razem zasypując wikingów strzałami. To zadziwiło północnych wojów, którzy kryli się za sylwetkami swoich koni i wychylali tylko po to, żeby śłać jeden za drugim pierzaste pociski. Towarzyszył temu dziwny basowy dźwięk.

– Miło się patrzy na takie mistrzostwo. – Czarna Broda, jak i wszyscy z pierwszego rzędu, dzierżył w rękach dwie tarcze. Jedną osłaniał pierś, drugą trzymał nad głową. Nawet Manne, choć rwał się do bitki, uczynił podobnie. Wielki młot oczekiwał w pętli na swój czas.

– No. W żyłach tych miejscowych koników krew krąży chyba dwa razy szybciej niż u naszych. Słyszysz ten pomruk, Aslof?

Czarna Broda nadstawił ucha.

– Jak odległa burza. To bębny.

Faktycznie szmaciane łby atakowały i wycofywały się kierowane dźwiękami bębnow. Zachowywali się niczym ławica ryb. Nie sposób było nie podziwiać tego wojennego tańca.

Erik poczuł delikatny podmuch, a stojący za nim woj zalał się krwią. Spomiędzy wybitych zębów wystawała brzechwa zakończona czarnymi lotkami. Towarzysze przenieśli pechowca na tyły. Nie była to śmiertelna rana.

– Pierwszy chętny do zmiżdżenia jajek – burknął Aslof, a młodzieńcy zdali sobie sprawę, że w przypadku przegranej i oni mogą dostać się żywi do niewoli.

– Przynajmniej z uszkodzonym gardłem nie będzie się głośno skarżył.

– Jakby co, dobij, przyjacielu.

Ktoś krzyknął bardziej zły niż przestraszony:

– Na kutasa Thursa, jeśli wcześniej nie skończą im się pociski, to nas te kocie syny wytluką! – Po chwili fala niezadowolenia rozlała się po pozycjach Normanów. Ten i ów zaczął zagrzewać rodaków do ataku, a nawet podgryzać krawędzie tarcz.

– Na nich!

– W szmaciane zadki!

– Zabić! Siekać! W imię Tyra!

– Stać! Pierwszemu, który złamie szyk, sam wsadzę włócznię w plecy! – Ta zapowiedź saekonunga nieco ostudziła gniewny zapał. Ale jarl wiedział, że nie zdoła ich w nieskończoność utrzymać w miejscu. A gdy oddał się od zagajnika, straci wielu walecznych ludzi.

– Wycofujemy się między drzewa! Krok za krokiem! Powoli!

Wróg zauważył ten manewr i w miarę płynna melodia bębnow nagle zmieniła swój rytm.

Kolejny pozorowany atak przekształcił się w prawdziwą szarżę. Tym razem Serkirowie nie zamierzali nawracać.

– Włócznie! – padł rozkaz i z tylnych szeregów poleciała dobra setka ciężkich pocisków. Szmaciane łby jakby wpadły na niewidzialną ścianę. W kwiku rannych zwierząt zrodziło się zamieszanie, ale jeźdźcy szybko doszli do siebie. Oddalili się nieco, by nabrać rozpędu, podzielili się na mniejsze grupy i ponowili atak.

– Teerrazz!

Nad skaldborgiem znowu przeleciał grad pocisków, ale znacznie rzadszy. Jeźdźcy w jednej chwili rozluźnili szyk i większość nieszkodliwie zaryła w ziemię.

Potem dwa oddziały zderzyły się w rzeniu nadziewanych na długie drzewca koni, szczękę żelaza, okrzykach ludzi. Tuż przed tym zderzeniem po skaldborgu rozeszło się gromkie: Hoh! Na ten sygnał zbrojni pochylili się nieco, dali pół kroku i naprężyli mięśnie, by zrównoważyć siłę rozpędu. Teraz liczyła się chwila, siła i odruchy wpojone mięśniom latami ćwiczeń. Jeśli przeciwnik przełamie skaldborg i wdrze się za plecy, bitwa zmieni się w drobne potyczki i los wikingów będzie co najmniej niepewny.

Manne Lodbrok odrzucił wcześniej tarcze i te, niby dwa pociski z katapulty, zmiotły z siodła zaskoczonych napastników. Kto w takiej sytuacji pozbawia się osłony? Manne wymachiwał teraz wielkim młotem, równie groźny dla swoich, jak dla wroga. Erik z Aslofem umówili się przed bitwą, że jak olbrzym ruszy, a było pewne, że wpadnie w berserksgangr, zostaną przy nim, by osłaniać własnymi tarczami jego boki i zdobyć wielką sławę. Robili już tak w bitwie z rycerzami zakonu, choć mieli wtedy do pomocy wypróbowanych druhów. Tu, nie chcąc zrobić zbyt wielkiego wyłomu w murze tarcz, mogli liczyć tylko na siebie. Uprzedzili o swoim zamiarze stojących z tyłu towarzyszy i ci czekali w gotowości.

Nagle pędzący wprost na Erika wierzchowiec stęknął i ugięły się pod nim nogi. Opadł ciężko na brzuch. Ze spływającej potem i krwią piersi sterczał ułomek drzewca włóchni. Wbitą w miękką ziemię resztę dźwierzyl jakiś zbrojny z drugiego szeregu. Szmaciany łeb wypadł z siodła i uderzył w grunt z ogromną siłą. To już był niewart uwagi trup. Niemal w tym samym momencie jadący za nim jeździec, by uniknąć zderzenia, poderwał swojego konia i ten, odbiwszy się od grzbietu umierającego towarzysza, wybił się z rzeniem w powietrze. Czas jakby zwolnił. Zdało się, iż rumak przeskoczy ponad szeregami Skandynawów, gdy jego łeb zderzył się z młotem Mannego. To było potężne uderzenie człowieka, w którego żyłach płynęła krew olbrzymów. Ale żeby pokonać masę konia z jeźdźcem, i trzech takich byłoby mało. Martwe zwierzę ze zmiążdżonym pyskiem leciało dalej, ale siedzący na jego grzbiecie Serkir zawył dziko i machnął mieczem, celując w głowy niewiernych. Pech albo bogowie chcieli, że akurat „przelatywał” nad Erikiem i chłopak poczuł uderzenie i zgrzyt metalu trącego o metal. Płytki hełm, z którego był tak dumny, że można go nosić w czas wielkich upałów, wytrzymał, ale w jednej chwili chłopak stracił czucie z lewej strony głowy. Nie miał kiedy zastanawiać się nad przyczynami, gdyż Manne Lodbrok wpadł w szal bitewny. Dzięki za to Thorowi i Odynowi pospołu, gdyż wróg nie mógł poszerzyć wyłomu, który uczynił w skaldborgu jeździec ze swoim martwym wierzchowcem.

Lodbrok ruszył w sam środek wrogich oddziałów, tocząc z ust pianę. Mur tarcz wyrzucił się, gdy część wojów chciała pójść w ślady Żółtych Portek, ale po chwili wyrównał linię. Zastygł w bitewnych zmaganiach. Z wyjątkiem trójki zbrojnych z dalekiej Skandynawii. Ci parli do przodu niby pocisk wystrzelony z trebusza. Manne miarowo rozdawał ciosy, nie patrząc, czy trafia w konia, czy jeźdźca. Zdawał się niewrażliwy na rany. Kilka wrogich ostrzy, pomimo osłony dwójki młodzieńców, dosięgło ciała olbrzyma. Były momenty, gdy Erik z Aslofem musieli bronić własnych tyłków, i te chwile wykorzystywały szmaciane łby.

Wtem ktoś mocno ciął w dłoń dzierżącą broń i część palców Lodbroka spadła na ziemię. Miecze dzięki osłonie miały tu przewagę nad toporami i młotami. Kolejny cios tego samego woja zablokował Aslof, a Manne zadany z góry uderzeniem rozłupał wrogowi głowę. Brak mocnego chwytu i krew na stylisku utrudniały dalszą walkę, ale jej nie uniemożliwiały. Berserk nie czuł bólu.

Syn Eryka Zwycięskiego całe lewe ramię miał ochlapane własną juchą, dziękował jednak bogom, że nie zalewała mu oczu. Właśnie odbił maekirem ostrze oszczepu, tarczą osłaniając głowę przed ciosem miecza, gdy stający przed nimi dęba wierzchowiec uderzył podkutym metalem kopytem w hełm Żółtych Portek. Przeżalone zapachem krwi i krzykami zwierzę włożyło całą siłę w ten cios. Zresztą ostatni w życiu. Gdy opadło, młot Mannego uderzył z taką mocą w koński grzbiet, że zgruchotał kręgosłup.

Erik zerkał z przerażeniem na berserka, u którego fragment solidnego stalowego hełmu zniknął w miejscu, gdzie Lodbrok miał kiedyś oko.

Ten jednak jakby niczego nie zauważył i chciał walczyć dalej. I ruszyłyby na wroga choćby z gołymi rękami – zgubił gdzieś broń – gdyby nie to, że odmówiła mu posłuszeństwa lewa noga. Upadał na ziemię jakby w zwolnionym tempie. Młodzieńcy od razu przesunęli się bliżej, by chronić towarzysza, ale na czyjś gardłowy rozkaz szmaciane łby odstały. Może cenili odwagę trójki samobójców, może szanowali ich szaleństwo. W każdym razie opływali ich teraz niczym morze wyspę, wściekle atakując zbrojnych stojących w skaldborgu.

Manne dostał drgawek, więc osłaniając się cały czas skjoldami, usiedli na nim, by nie przeturlał się pod końskie kopyta. Dziwnie to musiało wyglądać i bogowie, bo tylko oni widzą wszystko w czasie bitwy, mieli z tego niezłą zabawę. Walkirie utkały makatę tej bitwy, nadając jej wielobarwny, niepowtarzalny wzór.

Nagle na plecy Serkirów, których Arab nazwał Berberami, spadł oddział Leifa Osvaldssona. Kapitan *Smoczej Dumy* nie przybywał sam. Wraz z setką szwedzkich zuchów prowadził dziesięć razy tyle pod wodzą nie kogo innego, jak samego kalifa Abd ar-Rahmana.

# W DRODZE



Władca Al-Andalus, do którego przezornie wysłany posłaniec Muammara Ibn Chalduna dotarł kilka godzin przed otwartym buntem, nie miał litości dla Berberów. Osobiście ściął głowy kilku jeńcom, a gdy krew jednego z nich ochlapała jego zdobne szaty, rozkazał wiernym oddziałom dokończenie rzezi. Nikomu nie okazano litości, nikt też o nią nie prosił.

Wielu miało w pamięci sposób, w jaki Abd ar-Rahman III rozprawił się z buntem Al-Fatha Ibn Musy w Calatravie czy z wielkim buntem Umara Ibn Hafsuną. Kronikarze pisali: „Ich głowy na włóczniach wyglądały jak perły, które zerwały się z naszyjnika”[2].

Surowe, ale gładkie oblicze, jego więcej niż pospolita postura, nieco śmieszne krótkie grube nogi – wszystko to przestawało mieć znaczenie, gdy Sługa Litościwego zwracał na kogoś uwagę. Tak było i teraz. Gestem podniesionej ręki wezwał Erika do siebie, a młody syn konunga nawet nie pomyślał, by mu się przeciwstawić. Powstał znad ciała Mannego i ruszył w stronę świąty Abd ar-Rahmana. Olbrzym dobre kilka chwil wcześniej przestał oddychać, co wszyscy przyjęli z ulgą. Do końca jego ciałem wstrząsały drgawki i dopóki nie włożono mu między zęby kija, gryzł własny język, wypluwając krwawe kawałki wraz ze śliną. Żółte Portki zginął w walce, więc niesiony przez jedną z walkirii – może samą Hild lub jej siostrę Radgrid – podąży do Asgardu. Walhalla stoi przed nim z otwartą bramą Walgrind, w której tak znakomitego woja powita sam Bragi. Stając naprzeciw boga poezji i śpiewu, warto mieć w gębie wszystko jak należy. A nuż trzeba będzie dać próbkę skaldowskiego talentu?

I choć ostatnim chwilom Mannego Lodbroka w Midgardzie towarzyszył coraz bardziej niezrozumiały bełkot, tam, w Komnacie Poległych, znowu stanie się wspaniałym wojem, dobrym kompanem i spokojnym, uśmiechniętym człowiekiem. Bo Żółte Portki, choć myślał powoli, zawsze chętnie pomagał przyjaciółom: czy trzeba było wyciągnąć z krowy zakleszczone ciele, czy też stawiać nowy hov. Dlatego teraz tak wielu zdejmowało z ramion srebrne obręcze, z palców pierścienie czy choćby brakteaty z szyi, by ich przyjaciel zjawił się w Asgardzie jako pan, a nie thraell. Człowiek godny zostać huskarlem – członkiem przybocznej drużyny samego Odyna.

Czego chcesz więcej?

– Stój, chłopcze, dokąd to? – Kolbjørn Krzywe Zęby chwycił Erika za rękę.

– Złoty mnie wezwał. – Młodzieniec pokazał brodą kolorową grupę dostojników.

– Lepiej pójdę z tobą, bo na tego cwane go lisa i nas dwóch to mało. – Ruszyli nieśpiesznie, saekonung z dłonią na ramieniu Erykowego syna. – Dobrą śmierć miał Manne – westchnął. – Chciałbym tak zginąć. Byłeś przy nim, gdy to się stało?

– Tak jak teraz przy tobie, wodzu. Osłanialiśmy jego boki, gdy...

– Wiem, wiem. Berserksgangr miał we krwi. Teraz służy bogom, szkoda, bo i nam by się jeszcze przydał. Ale nie mieliście przypadkiem stać w skaldborgu? Ty i twój kompan, ten wielki brat Eldgrima, jak mu tam...

– Aslof Czarna Broda, wodzu. Mieliśmy. Ale Żółte Portki wpadł w szal, odrzucił tarczę i z samym tylko młotem... – Przerwał, czując silny uścisk na szyi.

– Powiedz mi, najmłodszy synu swego ojca, czy dla chwały jednego druha warto poświęcić wszystkich braci z lidu? Warto poświęcić zwycięstwo? Może niewiele ono warte, ale zawsze lepiej wygrać bitwę, niż zostać pokonanym. Mamy też dług w złocie do odebrania, a martwi nie zdołamy tego dokonać.

– Ale on... – Erik czuł coraz większy ból, chrząknął zdziwiony. Niemal się zatrzymał.

– Nie przystawaj, młody przyjacielu, obserwują nas wrogowie.

– To puść, jarlu, moją szyję, bo... mi... nieco... tchu... brakuje. Gdy... dostaniesz... łokciem w żebra, na pewno... wszyscy... zauważą. – Uścisk zelżał, ale nieznacznie.

– Następnym razem skreć kark. – Kolbjørn uśmiechnął się, jakby mówił o ładnych

dziewkach w osadzie, w której spędzili ostatnią noc. W jego cichym głosie nie było rozbawienia. – Opuść bez rozkazu pozycję, a zabiję jak wściekłego psa. – Saekonung wciągnął głęboko powietrze, by uspokoić burzącą się w nim krew. – Bo widzisz, młody przyjacielu, jeśli myślisz tylko o własnej chwale, nigdy nie zostaniesz dobrym dowódcą. Możesz być godnym sag wojem, ale nie powierzyłbym ci obsady marnego sześciowiosłowego skipu. Jedni są w życiu jak oxe – widać ich z daleka i słyszać porykiwania, inni niczym rudowłosy refr – szybcy i sprytni. Musisz wybrać.

– Zawsze chciałem być mikill dreng, wodzu, ale gdybyś przestał ugniatać mi szyję, miałbym jaśniejszy pomysłupek.

– Zapamiętaj tę rozmowę, może kiedyś uratuje życie twoim kompanom. Dziwię się, że tym razem nie zginąłeś. Bogowie czuwali nad synem konunga, ale tak nie będzie zawsze. – Kolbjørn opuścił rękę wzdłuż boku, a młodzieniec bezwiednie roztarł obolałe miejsce. Syknął przy tym, bardziej ze zdziwienia niż bólu, bo całą dłoń miał lepka od krwi. – Tym razem ukarali cię oni, następnym razem zrobię to osobiście. – zakończył saekonung, wycierając dłoń o skórzaną nogawicę. Erik przypomniał sobie cios jeźdźca, który dosiadał końskiego trupa. Tuż przed tym, gdy... Lewą połowę twarzy przeszył mu ból.

Miłą pogawędkę przerwali strażnicy kalifa. Doszli na miejsce. Ci ostatni uparli się, że zabiorą Skandynawom broń, nim dopuszczą ich przed oblicze władcy. Dopiero interwencja samego Abd ar-Rahmana zakończyła szarpaninę. Kilka gniewnych okrzyków i szmaciane łby rozsunęły się na boki.

– Dziękuję, panie. – Erik skłonił się lekko, stając przed władcą tego wspaniałego królestwa. – Mój dowódca mówi, że jakby dalej nas tak poszarpywali, musielibyśmy ich wszystkich zabić.

Kalif roześmiał się, słysząc dobry żart.

– Widzę, że barbarzyńcom po walce humory dopisują – powiedział w języku królestwa Leónu, który był mową Rzymian, dawnych panów tych ziem.

– Wprowadzie zbyt szybko zepsułeś nam, panie, zabawę, ale ta i tak była przednia. A śmierć w boju jest tylko bramą, a nie końcem drogi – tłumaczył słowa Kolbjørna Erik.

– Jak i każda inna. – Władca uśmiechnął się rozbrajająco.

– Ale nie do dobrego życia po życiu.

– Cóż, nie nam małuczkiem o tym decydować, lecz Najwyższemu. *Allahu akbar!*

– *Allahu akbar!* – ryknął tysięczny tłum. Erik musiał przyznać, że robiło to wrażenie. Poczul ciarki biegnące po plecach.

– Spragnieni? – Kalif wyciągnął w stronę Skandynawów trzymany w dłoni puchar z wodą.

– Tak jak srogą zimą wilk świeżej krwi. – Krzywe Zęby nerwowo oblizwał spierzchnięte wargi. – Ale marny byłby ze mnie wódz, gdybym zapomniał o moich ludziach. Im też chce się pić.

Abd ar-Rahman skinął i wydał rozkaz. Kilkunastu jego poddanych ruszyło z bukłakami z koziej skóry w stronę odpoczywających po bitwie wikingów.

– „Nienawiść między krewnymi jest zwyczajem, między obcymi – przypadkiem”[3]. Wiele was kosztowała zdrada moich żołnierzy? – Władca przyjął puste naczynie z rąk saekonunga. Smugi świeżej krwi na oprawionym w złoto szkle nie zrobiły na nim wrażenia. Własnoręcznie napełnił i podał puchar Erikowi.

– Nie licząc lżej rannych, straciłem dwudziestu dobrych ludzi. – Kolbjørn wyglądał, jakby chciał splunąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. – A do ochrony skarbu, który nam obiecałeś, potrzebny jest każdy thund, każdy saks i topór.

– Złamali moje słowo, splamili honor. Wszyscy musieli zginąć. – Kalif wskazał brodą na sterty berberyjskich trupów. – Zdrada władcy to zdrada samego Boga. A za to, że powiększyli mój dług, gdybym mógł, zabiłbym jeszcze raz. Ale niech tam. Allah nas wszystkich wystawia na próbę. Czy stu szkolonych w walce niewolników z mojej straży osobistej będzie wystarczającym zadośćuczynieniem za waszą stratę?

– A z koniem, ryszunkiem i bronią? – W Krzywych Zębach duch kupca otworzył jedno oko.

– Tak będzie.

– Mamy zaufać twoim ludziom, panie? A jak oni poderzną nam we śnie gardła i ukradną złoto?

– Miej zaufanie do swoich przyjaciół i zamknij drzwi. – Władca zaśmiał się swobodnie, ale zaraz spoważniał. – Nie uczynią tego, gdyż tak im rozkażę. „Ci, z którymi ty zawierasz przymierze, a potem oni naruszają swój układ za każdym razem; oni nie są bogobojni”[4] – wyrecytował. – To są słowa Proroka, a ja jestem jego następcą na ziemi. Jakże miałbym działać wbrew Jego zamysłom? Zresztą sam widzisz, dowódco najemników, że mógłbym tu i teraz wyciąć was w pień, nie uciekając się do wyszukanych sztuczek i podstępów. Albo jeszcze lepiej, pozwolić zrobić to Berberom, nim spadłby na ich karki mój miecz.

Kolbjørn bezwiednie podrapał się po przyrodzeniu, a Erik dobrze wiedział, dlaczego go tam swędzi.

– Dobrze, panie. Uznamy zatem zdradę za niebyłą. Nie ma waśni, nie ma odwetu. Ale jeszcze jedno małe zadośćuczynienie.

Abd ar-Rahman sapnął zniecierpliwiony.

– Dasz dwadzieścia trupów, byśmy mogli ich pochować wraz z naszymi wojami. Na tym i na tamym świecie niewolnicy zawsze są w cenie.

Cisza trwała długo, ten i ów poluźnił nawet ostrze miecza w pochwie.

Niespodziewanie dla swoich wojów niebieskooki władca Al-Andalus skinął głową. Nie przyjął jednak wyciągniętej prawicy jarla.

– Tak będzie. Jeśli ktoś nastaje na swojego władcę, namiestnika Boga na tej ziemi – powiedział gromko do zebranych wokół dowódców – musi liczyć się z karą na tym i na tamym świecie.

Wiele wściekłych spojrzeń poczuli na sobie wikingowie. Jedno stało się pewne: gdy łaska tego króla spłynie z najemników, Serkirowie rzucą im się do gardeł niczym wygłodniałe wilki. Kolbjørn pokręcił głową z uznaniem dla sprytu i przebiegłości niewysokiego wielkiego człowieka.

Gdy zbierali się do powrotu do swoich, Abd ar-Rahman poprosił saekonunga, by na czas drogi do Kordoby użył mu jednouchego tłumacza.

– Jestem niezmiernie ciekaw opowieści o waszej krainie i panujących tam zwyczajach. Ziemia, która rodzi tak dzielnych wojów, musi być niezwykła.

– Oj tak, niezwykle kamienista – mruknął Kolbjørn, ale się zgodził.

– No i przyda się młodzieńcowi medyk, a ja mam u siebie najlepszych.

Na prośbę buntującego się Erika saekonung obiecał podesłać niewolnika i królewskiego papara, który włókł się za nim od samej granicy Leónu. Uczciwie też trzeba przyznać, że okazał się wielce przydatny w tej podróży.

Zeno z bratem Piotrem zjawili się niedługo później. Ale bogowie bywają przewrotni. Wraz z ich obecnością nad karkiem młodzieńca zawisł królewski miecz.



Do wieczora nie ruszyli z miejsca. Chowano zabitych, każda strona po swojemu, i dobrze, gdyż nordyccy bogowie i jedyny Allah mieli inne upodobania pod tym względem.

Skandynawowie wykopali w ziemi wielki dół w kształcie łodzi. Lepsze byłyby drewniane trzydziestowiosłowe karli albo zważywszy na konie – duży kupiecki knorr, ale choć dobrych drzew wokół rosło niemało, skipów, co zrozumiałe, brakło. Nieżywych przyjaciół wraz z całym ryszunkiem ułożono na dnie, na piersiach kładąc im tarcze. Obok każdego leżał wierzchowiec, a w nogach dostarczone przez ludzi kalifa ciało Berbera. Sztychy mieczy zginano, by uczynić je niewartymi mitręgi i odstręczyć rabusiów. Przyjaciele wrzucali drobne pamiątki, dzięki którym zmarli nie przybędą do Asgardu z pustymi rękami. Niektórzy zapewne w rodzinnej Szwecji mieli pochowane w ziemi skarby. Właśnie po to, by czerpać z nich po śmierci. Cóż z tego, skoro zginęli w dalekiej Sjökrlandii i nic im nie przyjdzie z godnej pochwały zapobiegliwości. Wśród darów były ozdoby, ale też kościane grzebienie, braktaty w kształcie młota Thora lub konia, pionki do gry w hnefatafla, srebrne, podłej roboty i próby naszyjniki.

Kolbjörn, który jako dowódca był też godim wyprawy, wygłosił krótką modlitwę i rzucił pierwszą skibę miękkiej ziemi. Po kilku godzinach w miejscu pochówku utworzono spory kurhan. Całość obłożono polnymi kamieniami i głazami, tworząc niewielki kamienisty wzgórek. Wykrzyczano też bogom imiona zmarłych, by wiedzieli, w jakiej bitwie zginęli ci einherjarowie. Zabrakło wprawdzie piwa i nabbitu, by jak należy powspominać ich uczynki, ale zrobiono i tak wiele.

Kolejnego dnia o świcie wszyscy byli gotowi do wymarszu. Erik jechał na swym koniu markotny i zły. Spuchła mu lewa strona głowy, ale dzięki tajemniczym maściom szmacianego łba, który z wyglądu bardziej był podobny do kozy niż człowieka, ból nie był nadto dokuczliwy. Inna sprawa, że najmłodszy syn Eryka Zwycięskiego stracił ucho. Pocieszał się, że zakryje bliznę włosami, tak iż żadna dzierlatka nie zauważy braku. Ale czy na pewno?

– To piękna, bogata kraina, panie. – Zeno wraz z bratem Piotrem jechali tuż obok. – Aż dziw bierze, że Bóg chrześcijan taką łaską obdarza Saracenów, a nie swoich wyznawców z sąsiedniego Leónu. Tam bieda aż piszczy. Sam widziałem.

– Ugh – burknął Erik. – Barany po to się karmi i chroni, by je strzyc i rznąć na mięso, gdy przyjdzie czas.

– Nie bluźnij, niezbadane są wyroki boskie! – Brat Piotr poczuł się dotknięty wypowiedzią niewolnika. – Kimże jesteśmy, my, ludzie, żeby próbować ogarniać rozumem *de civitate Dei*? Prochem u stóp, pyłem na wietrze. A ty, młody człowieku, byłeś podobno kiedyś sługą bożym. Tym bardziej waż słowa.

– „Byłeś” jest tu kluczowym słowem, ojcze. – Zeno uśmiechnął się szelmowsko. – Teraz szukam i porównuję, by odnaleźć jedyną prawdziwą drogę.

– Straciłeś oparcie w Panu... – Królewski spowiednik ciężko westchnął. – Musiało cię spotkać coś strasznego, ale nie trać nadziei, synu. Wypowiadam cię, jeśli chcesz.

– A ty, ojcze, opowiesz głośno o snach, w czasie których do mężczyzny przychodzą kobiety?

– Diabeł zsyła te zwidy, by osłabić wiarę człowieka...

– Opowiesz?

– Dobrze, synu, nie będę pytał o twoje sekrety. Ale gdybyś chciał kiedyś odnaleźć światło Jezusa, jestem obok. On jest obok.

Jechali dłuższy czas w ciszy przerywanej odległym pokrzykiwaniem zbrojnych, parskaniem koni, szcękaniem uzbrojenia – normalnymi odgłosami podróży wielkiego oddziału wojska. Znowu zaczął Zeno.

– W zasadzie to możesz wlać nieco tego blasku w moją duszę. I tak nie mamy nic



lepszego do roboty. Z moim panem nie porozmawiam, bo on coś markotny i tęskno mu za domem i... tym uchem.

– Bodaj cię, kundlu – burknął młodzieniec, uśmiechając się półgębkiem.

– Powiedz mi, bracie Piotrze, czy nawracanie ogniem i mieczem to podejście godne prawdziwego chrześcijanina? Wiele śmierci widzieliśmy po drodze, śmierci niewinnych chłopów zadanej rękami rycerzy Kościoła. Czy to nie twojego imiennika, świętego Piotra, Chrystus powstrzymał od zbrojnej napaści na przetrzymujących go Rzymian? Zamysł Syna Bożego był chyba oczywisty?

Czcielele Krysta rozmawiali w języku Romverjów, którego uproszczoną odmianą mówiła ludność Leónu. Więc niejako przywołany, Erik przyłączył się do rozmowy. Zapewne by choć na chwilę zapomnieć o znośnym, ale ćmiącym bólu.

– Nie wiem nic o Piotrach, ale pamiętacie wieś, w której ten jak mu tam...?

– Brat Albert – pośpieszył swemu panu z pomocą Zeno.

– ...no właśnie, ukrzyżował krystusowych, którzy mieszkali pokojowo wspólnie z innymi poddanyymi kalifa? Swoich potraktował srożej niż Serkirów. Zachowali wiarę przodków, żyjąc na terenie wroga, a on właśnie za to... – Młody wiking pokręcił głową. – Paparzy tylko gadają o miłości i wybaczeniu, ale jak co do czego, to tacy sami ludzie jak my, nawet gorsi.

– Gorszi?! Od was?! Najeźdźców, po których zostają zgliszcza i trupy?! Znam ja złą sławę, jaką cieszyicie się wśród ludzi Kościoła.

– A tak, bracie Piotrze. Bo my robimy to dla zysku i nie wmawiamy napadniętym, że taszcząc na swoje skipy skarby miejscowych, ratujemy tylko dobytek z pożogi.

Zeno z Erikiem zachichotali, królewski spowiednik pozostał poważny.

– A krystusowi gładko mówią o dobroci, dzierżąc w rękę tęgi bat. Obiecują po śmierci spokój tylko wtedy, gdy człowiek z pochyloną głową zniesie razy od życia. Nakładacie więzy na ubogich, przymykając oczy na rozwiąłość władców i książąt Kościoła. U nas każdy, jarl czy konung, ma tyle, ile jest w stanie w swoich rękach utrzymać. Bogom nic do tego. Kierują życiem i wyznaczają godzinę śmierci, ale dźwiganie i mocny grzbiet to ludzka sprawa.

– Jesteś zbyt młody, panie, żebyś wywiódł to z własnego doświadczenia. – Spowiednik z wyraźną dezaprobatą pokręcił głową. – Ktoś zmałcił ci myśli, plugawiąc nasze dobre imię.

– Tym kimś był Bermudo, rycerz waszego Kościoła. Zarzucisz mu kłamstwo? – Erik gotowy był w obronie swego nieżyjącego przyjaciela wbić spowiednikowi saks w gardło. Zrobiłby to, choć polubił brata Piotra. Bermudo poległ podczas bitwy nieopodal zamku Simanacas i gdyby wszyscy krystusowi byli tacy jak on, młodzieniec z radością i ufnością porzuciłby starych bogów. Przynajmniej na czas tej podróży.

Spowiednik spostrzegł ruch ręki młodego woja i ugryzł się w język. Ten lud był dziki i nieokiełznany, równie szybko sięgał po broń, jak po kielich z winem. W jednej chwili przepełniała ich niemal dziecięca radość, a za moment wpadali w straszliwy gniew. Choć może właśnie dzięki temu byli bliżej serca Pana Stworzenia? Jak dzieci?

Z kłopotliwej sytuacji wybawił go niewolnik Zeno.

– To jak, ojczu, z tym nawracaniem siłą? Można? Czy brat Albert smaży się teraz w ogniu piekielnym?

Napięcie jak się pojawiło, tak i zniknęło. Wszyscy poczuli ulgę.

– I tak, i nie, synu. Nie mam oczywiście na myśli generała zakonu Świętego Jakuba. Wielu mądrzejszych ode mnie zadawało i zadaje sobie to pytanie. Chyba ciągle wierzysz, młodzieńcze, że Bóg jest dawcą życia? Musisz wierzyć.

– *Fides ex necessitate esse non debet*[5].

– Widzę, że i staranne nauki odebrałeś. Ale nie zbywaj mnie ogólnikami. Wierzysz

w Boga Stworzyciela Wszystkiego i jego syna Jezusa Chrystusa?

Kilka chwil trwała cisza, którą przerwał, zdało się, martwy szept Zena:

– Nie wiem, ojcze.

– Zważyłeś z bólu i cierpienia. Ale zaufaj mi, Pan jest przy tobie. – Głos królewskiego spowiednika zrobił się w jednej chwili słodki niczym miód. – On w swojej mądrości...

– To nie ból, ojcze, lecz wiedza. Nie chcę o tym pamiętać ani tym bardziej mówić. Teraz ty uciekasz od odpowiedzi. – Niewolnik szybko otrząsnął się z zaskoczenia. – Można zabijać dla wiary? Dla łupów, władzy, z pożądania czy zemsty – to ludzkie, ale dla wiary? Z imieniem Boga na ustach? Nie dając swoim ofiarom szansy ujżenia światła niebiańskiego? Skazując dusze heretyków i pogan na piekło?

– Masz tyle pytań, synu, bo nasz Ojciec w niebiesiech dał człowiekowi wolną wolę. Bo uczynił go na swoje podobieństwo. Bóg jest stwórcą. Niektórzy z ksiąg Kościoła twierdzą, że skoro jesteśmy Jego dziełem, a On dał nam przykazania, to ci, którzy grzeszą, sprzeciwiając się Jego woli, zasługują na śmierć. Paganie i heretycy tym samym są niczym chwasty na urodzajnym polu, odbierające życiodajne światło i soki ziemi. Rozumiesz mnie, synu?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo.

– Jak człowiek zabija wilka, gdy ten rzuca mu się do gardła, i w ten sposób ratuje marne ciało, tak chrześcijanin może zabić Maura, by nie zatruł jadem herezji jego duszy. Przecież to o nią, o nieśmiertelną duszę, toczy się bój między Bogiem i Szatanem.

– Proste to, aż nazbyt. Też tak uważasz, ojcze?

Niemal widać było, jak zakonnik bije się z myślami i wynik tej walki jest dla niego bolesny. W końcu rzekł nieco rozdrażniony:

– Dlaczego mnie tak wypytyujesz, co? Myślisz, że byłem ślepy tam w wiosce, gdzie...

– Odetchnął głęboko. Pomogło. – Świat nie jest czarno-biały, synu. Świętego Pawła Bóg zmusił do wiary, oslepiając go na pewien czas światłem. Użył siły, by zawrócić go ze złej drogi. Boleję nad tym, ale kraje chrześcijan i Stolicę Piotrową już dawno ogarnęłaby muzułmańska herezja, gdyby nie twardy, przyznaję – czasem krwawy, opór ludzi Kościoła. Walczymy jednak, co przyznać musisz, z wrogiem bezwzględny i przebiegłym. Poddani Abd ar-Rahmana uważają, że pokój na świecie jest możliwy dopiero wtedy, gdy wszyscy ludzie zostaną nawróceni na islam. Cała ziemia stanie się wtedy Dar as-Salam[6].

– A nie powinniście ich przekonywać, nawracać?

– A wiesz, że według ich prawa za takie namowy człowieka czeka śmierć przez ścięcie? Zresztą, czy tego wilka, o którym wcześniej mówiłem, można perswazją nakłonić do rezygnacji z polowania?

– Człowiek to nie zwierzę. – W głosie Zena słychać było lekkie wzburzenie.

– Nie, nie zwierzę. Choć czasem zachowuje się gorzej niż ono. Przedstawiłem ci, synu, argumenty jednej strony. Inni, ci są w mniejszości, uważają jak ty, że prawda rozpali w sercach heretyków ogień prawdziwej wiary. A ja? Cóż, chciałbym, żeby do wszystkich serc i umysłów trafiła mądrość, by przed wszystkimi ludźmi otworzyło się Niebo. Kiedyś tak się stanie, na razie musimy stosować twarde metody, nawet gdy w pełni ich nie akceptujemy. Jeśli grzeszymy, zawieramy nasze dusze mądrości Najwyższego, który oddzieli ziarno od plew.

– Zabijając niewinnych?

– Chroniąc czysty ogień prawdziwej wiary przed dymem herezji i oparami apostazji.

– A jaką winę ponoszą dzieci, które giną w wojennej pożodze?

– Boleję nad tym i modłę się za ich dusze. To przypadkowe ofiary.

– A prości ludzie, którzy dostają zimne żelazo zamiast Słowa Bożego?

– Za ich dusze też się modłę ja i inni ludzie Kościoła.

– A wierni, którzy wierzą w Allaha i jego proroka Mahometa? Tak jak ich ojcowie i ojcowie ojców? W czym są gorsi od nas, skoro oddają życie za swoją wiarę?

– Trudne pytania zadajesz, synu, ale wiedz jedno, taki porządek ustanowił Bóg i nie nam maluczkim oceniać Jego plany. Nasze ludzkie rozumy są w stanie dostrzec jedynie fragmenty. Skrawek mapy nie wskaże ci drogi do domu. Poza tym dobro i zło to pojęcia ukute na człowieczą, jakże ułomną miarę. Wieczny Bóg sam ustanawia prawa, dlatego jest Bogiem.

– Ale przecież stworzono nas na Boże podobieństwo, czy nie po to, byśmy właśnie potrafili ogarnąć Jego zamysły?

– Niektórzy oświeceni kroczą ścieżką prawdy, synu. Pozostaje nam mieć nadzieję, że kiedyś wszyscy poczujemy ten żar i zapanuje przepelnione dobrem Królestwo Boże na ziemi.

– Brat Piotr wznosił oczy ku niebu i przeżegnał się.

– Dobrem, ojcze? A dlaczego nie złem? Skoro powstaliśmy na boski obraz, to On jest dobry czy zły? Ludzie przecież są tacy i tacy?

– Bóg jest miłością, synu, i nie może być zły, jako że i to uczucie takie nie jest. Każdy z nas jednak sam wybiera ścieżkę, po której kroczy.

– A może wiara jest tylko narzędziem w rękach władców? Jestem młody, ale niech cię nie zwiedzie moja gładka skóra. Wędrowałem przez wiele krain i niejedno widziałem po drodze. Panowie wykorzystują bojaźń bożą, by uniknąć buntów, straszą piekłem, gdy żyjący w znoju i gnoju poddani zaczynają się burzyć. Duchowni zaś twierdzą, że to sam Bóg ustanowił i jednych, i drugich na właściwych miejscach i próba wyjścia poza przypisaną rolę nie spodoba się Panu Stworzenia. Tak ma wyglądać to dobro?

– Mnie o to pytasz? Spowiednika króla Leónu, który jest na jednym z górnych szczebli drabiny? Odpowiem ci jako zwykły chrześcijanin. Święty Marek w swojej Ewangelii pisał, iż należy oddać Cesarowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie. Rządy dusz i ciał winny być rozdzielone. Dlatego mamy właśnie Stolicę Piotrową i papieży, którzy nie są królami. Człowiek jednak to istota ułomna, choć stworzona na obraz i podobieństwo boskie. I właśnie tacy stanowimy wspólnotę chrześcijańską, pełną wspaniałości i niegodziwości zarazem. Ale, synu, nie obarczaj odpowiedzialnością za nasze słabości Boga! On jest ponad ludzką marność!

– To jak coś dobrze, to Bóg, a jak zgnilizna, to ludzie? Powtórzę jeszcze raz – nie nazbyt to proste, bracie Piotrze?

– Nie, jeśli się posiada głęboką wiarę. Wtedy nie.

– A jeśli to wszystko to miraż, mgły na wietrze, ojcze? – Gdy słowa te padły, przerażony Zeno dotknął dłonią ust, jakby chciał je tam z powrotem wtłoczyć. Tak samo się czuł, gdy jakby w innym życiu stary brat Gregorius opowiedział mu o swoim odkryciu. Wtedy przeplakali całą noc i rankiem Zeno porzucił monastyr Sumela, swój dom.

– Błóżniesz, synu. Bez Boga i jego praw ludzkość zniszczyłaby sama siebie. To, że jeszcze tak się nie stało, jest jednym z dowodów na Jego obecność. *Est interdum ita perspicua veritas, ut eam infirmare nulla res possit*[7]. Pomodłę się za ciebie. – Spowiednik zamilkł, wpatrując się badawczym wzrokiem w chudego niewolnika. W tym spojrzeniu nie było złości, jedynie troska o duszę biednego młodzieńca. I strach, bo jeśli zamieszkał w nim Szatan...

– Dajcie spokój z tym paparskim gędzeniem – przerwał Erik przedłużającą się ciszę. – Nasi bogowie czy ten wasz, wszyscy oni chcą jednego – byśmy im służyli po śmierci. No nie jest tak?

– Mylisz się. – Brat Piotr pokręcił głową z dezaprobatą. – Tych, którzy zasłużyli sobie na to pobożnym życiem, czekają w Niebie wieczna miłość i szczęście.

– No przecież powiedziałem. Hodują nas jak my konie i te zdatniejsze zabierają, a mniej udane ślą do królestwa Hel na żarcie dla Nidhogga. Nic się nie marnuje. Tylko że nasi wojowie

wesprą bogów w czasie walki, gdy nadejdzie Ragnarök, a wasi?

– Po prostu tam będą, piękni i czysti. Przyłączą się do Dzieła Bożego.

– To już wiem! – zakrzyknął młodzieniec. W jego głosie słychać było dumę z własnego pomysłu.

– Co?

– Bóg, o którym tyle mówisz, musi być kobietą.

– Ko... On nie ma wyraźnej płci, ale na pewno bliżej mu do mężczyzny niż niewiasty. Bo z naszego zebra stworzono kobietę, a część czegoś nie może być lepsza od całości. Dlaczego ci to przyszło do głowy, synu władcy?

– Z dwóch powodów, bracie Piotrze. Kocha mężczyzn ponad niewiasty, czemu daje dowód, przemawiając głównie do nich. Nie widziałem wśród paparów kobiet.

– To nie tak. Trzeba męskiego serca i rozumu, by właściwie postrzegać złożoność Boga i Jego nauk.

– Przecież przed chwilą tłumaczyłeś, jak to człowiek nie może ogarnąć boskich intencji.

– Hm – chrząknął nieco zakłopotany duchowny. – A ten drugi powód?

– No bo i u nas są takie, które wychodząc po grzyby, nabierają nikomu niepotrzebnego zielska i kwiatów. Ozdabiają tym hovy i twierdzą, że to jest piękne. Tylko zimą gąb tym pięknem i zapachem nie nakarmisz. Tak jak z tymi ludzkimi pięknymi duchami, o których mówiłeś. Może jestem młody, ale powiem wam tyle, że ten Bóg ma mi was tylko opowieściami o pachnącym nieróbstwie po śmierci. Ma zapewne inny plan, którego nie znacie, i tyle. Czy myślisz, bracie Piotrze, że świnię w naszych chlewach myślą o swoim marnym końcu? Ojciec mi mówił, że gdyby myślały, uciekłyby z zagrody przy pierwszej okazji.

Królewski spowiednik uśmiechnął się do Erika. Rozmawiał z wierzącym w fałszywe bożki poganinem, który otrzymał w darze od Pana żywy i ciekawy świata rozum. Kiedyś nadejdzie czas, gdy i na niego spłynie dar prawdziwej wiary. I brat Piotr, skromny sługa boży, będzie miał w tym swój udział. Choć musiał przyznać, że niektóre argumenty za kobiecą naturą Wszchemocnego...

– *Apaga Satanas* – szepnął.

– Wiele prawdy dowiedzieliśmy się dzisiaj o zawartości chlewików i planowaniu u świń. A taki niewolnik to ma lepiej? No bo przecież... – Zeno łypnął na swego pana.

– Żyjesz, chudzielcu, tak długo nie ze względu na swój jęzor, ale uszy i jedną rękę. Ale myślę, że wytnę ci z ust ten kawał mięcha i... będzie spokój. – Syn konunga wyciągnął z pochwy wiszącej na szyi niewielki saks i pogroził dziwnie rozradowanemu towarzyszowi podróży. Czas poważnych dysput minął.

– Jak sądzicie, kalif spłaci swój dług czy zastawił na nas jakąś zmyślną pułapkę? – zmienił nagle temat Erik.

– A dlaczego sądzisz, synu, że nie może zrobić jednego i drugiego? To światły i przebiegły mąż, godny wróg dla mojego pana – króla Ramira.

– A może nie chowa w zanadrzu podstęp... – Młodzieniec wsunął ostrze do pochwy i z najwyższym trudem powstrzymał dłoń od przeczesania włosów w miejscu, w którym ich obecnie nie było. W połowie tego ruchu ręka opadła na koński grzbiet.

– Kto chce skrzywdzić moich gości, będzie musiał wpierw pokonać jundami[8], których ze sobą prowadzę. – Głos mówiący te słowa był głęboki, pobrzmiwała w nim odrobina wesołości. Niespodziewanie nadjechał sam Abd ar-Rahman. Zaraz jednak zrobiło się ciasno, gdyż w ślad za władcą Al-Andalus pojawiła się jego zbrojna świta. Dwóch roślejszych wojów ustawiło się po bokach Zena i chwyciło nieszczęśnika pod ręce. Spłoszony rumak popędził, zostawiając jeźdźca między mężczyznami.

– Słucham was od dłuższego czasu – władca uśmiechnął się, widząc niepewne miny – i myślę, że swojemu skromnemu słudze Allah nie mógł podarować trójki zabawniejszych towarzyszy podróży. Jeden nazarejczyk, młody poganin i... bezbożnik? „Zaprawdę, gorsi od zwierząt u Boga są ci, którzy odrzucili wiarę i nie wierzą”[9]. Pierwszych dwóch ścierpię, Frank należy do ludów Księgi, a wojom z Północy dałem słowo. Jednak najgorszy niewierny – *mulhid kāfir*[10] – zginie tu i teraz. – Kalif zmrużył oczy. – Powiedział Bóg: „Kiedy więc spotkacie tych, którzy nie wierzą, to uderzcie ich mieczem po szyi; a kiedy ich całkiem rozbijecie, to mocno zaciśnijcie na nich pęta”[11]. To cytat z Koranu, świętej księgi mojego ludu. Tylko stosując się do jej zapisów, trafimy do pełnego szumiących gajów, czystych rzek i chętnych hurys Nieba. „Będzie w nich to, czego dusze zapragną i czym rozkoszują się oczy. I będziecie przebywać tam na wieki”[12].

– Nie jestem bezbożnikiem, panie. – Zeno miał twarz białą niczym chmury na słonecznym niebie. Teraz bardziej piszczał, niż mówił. – Szukam jedynie prawdy. Czy to grzech błędzić? Czy musisz zabijać, gdy możesz nawracać? „Wzywaj ku drodze twego Pana z mądrością i pięknym napomnieniem! Rozmawiaj z nimi w najlepszy sposób!”[13].

Kalif dał znać i trzeci jeździec schował wyciągnięty do połowy miecz. Władca przyglądał się młodemu niewolnikowi z lekko przekrzywioną głową, niczym jastrząb ofierze. Od wielu dni był w podróży i dawno niefarbowana broda i włosy na głowie miały przy skórze rudawy odcień. Dziedzictwo po babce i matce.

– Znasz Koran, bezbożniku, więc wiesz, że Prorok napisał: „A kiedy miną święte miesiące, wtedy zabijajcie bałwochwalców, tam gdzie ich znajdziecie; chwytajcie ich, oblegajcie i przygotowujcie dla nich wszelkie zasadzki”[14].

– Wiem to, panie, ale i te Jego słowa winny być dla was wskazaniem: „A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości, oprócz wrogości przeciw niesprawiedliwym!”[15].

– Zmyślny niewolnik przebierał nogami w powietrzu niczym żuraw brodzący w wodzie.

– Ha, więc chciałyś, żebyśmy cię puścił?

Zeno wychrypiął:

– „O słudzy moi, którzy wykroczyliście przeciwko sobie samym, nie traćcie nadziei w miłosierdzie Boga! Zaprawdę, Bóg przebacza grzechy w całości. Przecież On jest Przebaczący, Litościwy!”[16].

Kalif odchylił głowę i roześmiał się pełną piersią. Ten i ów zawtórował władcy, nawet nie wiedząc, skąd ta nagła wesołość. Tak było bezpiecznie.

– Gdybyś, wielki thegenie, poniechał tego uczynku w pełnym pędzie, to znaczy uwolnienia mojego człowieka, i ja byłbym wdzięczny za zwrócenie całej i zdrowej własności. – Erik dopiero teraz odważył się odezwać. Nie znał tych ich świętych ksiąg, a nawet gdyby otrzymał je w darze, nie umiał czytać. Szanował wielkiego konunga, przy którym ci skandynawscy byli malutcy, ale tym bardziej nie zamierzał okazywać przepelniającego go strachu. Ojciec często napominał, żeby nie pokazywał przeciwnikowi podgardla, bo ten wcześniej czy później zatopi w nim swój saks.

– Zna słowa Koranu, zapewne Biblii Franków i z tego, co wiem, twoją wiarę, synu władcy. Masz zatem przy sobie większy skarb, niż sądzisz. W jednym z hadisów Mahomet nakazał: „Wiedzy szukaj nawet w Chinach”. W innym zapisano pełne mądrości słowa Proroka: „Atrament uczonych mężów jest cenniejszy od krwi męczenników”. Sam widzisz, że nie mógłbym go skrzywdzić. Powiem więcej, ja go chcę. – Obliznął usta, jakby w oczekiwaniu na wspaniałą deser. – W Kordobie mam wielu uczonych mężów i siedemnaście uniwersytetów, ale nikogo, kto tak dobrze poznał północne krainy.

Po tych słowach zapadła cisza przerywana jedynie odgłosami podróży.

– Wraz z uchem straciłeś i język, chłopcze?  
– Nie sprawa to sluchu, ale pomyślunku, wielki królu – powiedział, cedząc słowa Erik.  
– To niewolnik, ale jest dla mnie jak brat. Oddałbyś, panie, brata? – Od dobrych kilku chwil młodzieniec głowił się, jak tu odmówić człowiekowi, który może jednym rozkazem nakazać oddzielną wędrówkę głowie i reszcie ciała konungowego wyskrobka.

– Dla chwały Allaha oddałbym i własnego syna, przybyszu zza morza.

– A z obawy o własną skórę? U nas mówią, że:

*Niemądry myśli, że żyć będzie wiecznie,*

*Gdy się przed bojem ustrzeże,*

*Lecz starość nie da mu pokoju,*

*Choć mu oszczepy go dadzą[17].*

– Mądre to słowa, choć życie jest w boskich, nie ludzkich rękach. Jeśli Pan Stworzenia nie zechce czyjejs śmierci od miecza, uczyni skórę człowieka kamienną. Twoja niechęć, chłopcze, będzie dla mnie obrazą. Nikt, nawet najpotężniejsi władcy świata, nie odmawiają bez głębokiego namysłu prośbie światła Allaha, namiestnikowi samego Proroka. Gdybyś mi go podarował, odwdzięczę się, bądź tego pewien. Albo odkupię go od ciebie, bez targów. Zapłacę, ile zażadasz.

Erik spojrział na ciągle wiszącego między dwójką zbrojnych Zena. Jego okrągłe oczy były teraz niemal czarne. Niewolnik nieznacznie pokręcił głową. Syn konunga poczuł ukłucie zawodu. To mogła być najlepsza transakcja w życiu.

– Wielki władco. To moje niedawne milczenie to właśnie głęboki namysł, o którym wspomniałeś. Ten Zeno umie tylko gładko gadać, niezdatny jest do żadnej cięższej roboty. Ja to wiem, gdyż podczas podróży ludzie poznają się lepiej niż w rodzinnych hovah. U nas mówią, że w domu każdy wie wszystko, ale dopiero gdy wyjedzie, poznasz, z jakiego żelaza wykuty. Kupując go, przeplaciłbyś srodze. Koniec końców miałbyś żal do Erika, syna potężnego i budzącego strach u wrogów Eryka Zwycięskiego, że sprzedał ci wybrakowany towar. Dodam, syna ukochanego ponad inne dzieci, po którym żal zatruje jadem pomsty ojcowskie serce. Zostanie przy mnie. Podszkolę go w pracach i na umyśle, a kiedy znowu się spotkamy, wrócimy do naszej rozmowy. Gdybyś jednak postanowił, mimo ostrzeżeń, zabrać tego chudzielca, wiedz, że my, Skandynawowie, najbardziej cenimy sobie dwie rzeczy: honor i własność. Najmniej życie. A ty odebrałbyś i jedno, i drugie człowiekowi, który uratował cię z rąk rycerzy Leónu, a potem trzecie, gdy sponiewierany spróbowałby cię powstrzymać. Miej też w pamięci, że poświęciłem dla ciebie, panie, kawałek własnego ciała. – Wiking machnął ręką w okolicy miejsca po uchu. Grożenie tak potężnemu thegenowi oznacza często szybką lub poprzedzoną męczarniami śmierć. Ale będzie, co utkały norny.

– Nie za darmo – burknął kalif. – Lubię cię, Eriku Ibn Eryk, tak bardzo, że odłożę podjęcie decyzji w tej sprawie. Wiedz jednak, że nim nasze drogi rozejdą się na zawsze, wrócimy do tej rozmowy. Mądrzy kadi mawiają: „Twój język jest lwem; jeśli go przywiążesz – będzie cię strzegł, jeśli puścisz wolno – pożre cię”. Zaskoczyłeś mnie tak wyważoną odpowiedzią pomimo swego młodego wieku. Znać po tym, że wyszedłeś z królewskich łędźwi. – Poprawił się w siodle, podniósł dłoń i jeźdźcy osadzili konie w miejscu. Milczący Zeno, zataczając się, podreptał na chudych nogach w stronę jednego z podstawionych mu luzaków. Abd ar-Rahman odjechał w milczeniu wraz ze swoją świtą.

– Uff. Szedłem wiosną po cienkim lodzie. Aż dziw. Aż dziw. – Dreszcz wstrząsnął synem Eryka i słowiańskiej księżnej Świętosławy.

Brat Piotr rozejrzał się, czy tym razem w pobliżu nie ma obcych uszu, i cicho rzekł:

– Docierają do nas w Leónie różne przerażające wieści o kalifie i jego upodobaniach,

synu. Mówię ci to w trosce o nieśmiertelną duszę, którą i ty posiadasz, choć jesteś poganinem. Gładki z ciebie młodzieniec, a władca Al-Andalus gustuje na równi w niewiastach, jak i w chłopcach. Strzeż się więc przed sodomią.

– Że niby on mnie... Że ja... miękki kot?

– Ciii. Dzisiaj Bóg miał nas w opiece, ale nie nadużywajmy łaski Pana.

– Ale to może i Zeno wpadł mu... Nie, taki chudzielec... Zeno, przyjacielu, twój dług wobec mnie wzrósł dwukrotnie.

– Jest, jak mówisz, panie, choć miałeś i masz w garści moje życie. Czego możesz chcieć więcej?

– To się zastanowię. Ale powiedz mi teraz, skąd w twojej głowie te sagi ze świętej księgi Serkirów? Nic nie mówiłeś, że żyłeś między nimi.

– Bo nie żyłem. Wychowałem się w miejscu kultu Matki Bożej w monasterze Sumela.

– Domu ikony Matki Bożej świętego Łukasza? To przecież Bizancjum!

– Tej samej, ojcze. Na miejsce, w którym Sofroniusz i Barnaba rozpoczęli budowę monasteru, ikonę z Aten przyniosły anioły. Ale to było dawno i ja nie o tym chciałem mówić. Rodziców zastąpili mi mnisi i byłem jedynym dzieckiem w całym zgromadzeniu.

– Reguła tych zakonów jest surowa i na pewno nie przewiduje...

– Przygarnęli sierotę, ratując od śmierci głodowej – przerwał bezceremonialnie Zeno.

– Wilk by zostawił albo pożarł, co, bracie Piotrze?

– Zamilcz, synu. Nie powinieneś naśmiewać się z doktryny Kościoła. Ten grzech będzie zbędnym ciężarem dla twojej duszy, gdy staniesz przed świętym Piotrem.

Niedoszły mnich wzruszył kościstymi ramionami.

– Gdy nieco dorosłem, dzień pomiędzy nabożeństwem jutrzni a kompletą wypełniała mi praca. Okazało się, że mam głowę do języków i pewną rękę, więc przydzielono mnie do grupy brata Gregoriusa, który zajmował się tłumaczeniem i kopiowaniem świętych tekstów. Jednym z nich był właśnie Koran. Bracia pracowali nad nim wiele lat.

– Mało mieliście waszych czy co? A w ogóle to po co ślęczyć nad tekstami, gdy ma się cały zamek do odkrycia. Bo ten monaster to taki zamek? – Erik widział już kilka kamiennych twierdz w Leónie i wzbudzały one w nim ciekawość i ogromny respekt dla budowniczych. Obiecywał sobie, że gdy wróci, przekona ojca do takiej budowy. Miał już dość tej wędrówki. Cniło mu się za domem.

– Prędeż przyklepione do skał jaskółcze gniazdo, panie, z którego okien można skoczyć wprost w przepaść. A co do Koranu, to bracia chcieli udostępnić tę księgę całemu chrześcijaństwu, by nauczyło się skutecznie zwalczać herezję. Przepisywałem więc surę za surą, a że mam dobrą pamięć... – Zeno rozłożył ręce, omal przy tym nie spadając z wierzchowca. – To wszystko.

– Jak dla mnie, sprawiłeś się całkiem dzielnie, i to bez miecza w garści. – Erik skrzywił się nagle, gdy koń nastąpił na kamień. W miejscu gdzie miał niegdyś ucho, utworzyła się wrażliwa na wstrząsy skorupa. – Nie rozumiem jednak, po co władcy tak wielkiego królestwa przemądrzały sługa.

– Bo wszyscy, z wyjątkiem twoich braci, cenią sobie nade wszystko mądrość.

– Zbyt wielką powoduje bezsenność, zmartwienia i chudość członków. Gdy tak na ciebie patrzę, niewolniku, to by się nawet zgadzało. – Cała trójka śmiała się z tego grubego żartu. Odreagowali niedawne przerażenie.

Kilka kolejnych dni jechali w stronę Kordoby w upale i kurzu. Kalif spędzał z nimi na rozmowach długie godziny, nigdy jednak nie wracał do drażliwego tematu. Jego żywy umysł chłonał opowieści Erika, teologiczne dysputy z bratem Piotrem czy wspomnienia Zena z podróży

do kraju Brytów. Sam opowiadał wiele o historii swojego rodu i nieustannych buntach, z którymi musi się zmagać. O proroku Mahomecie i jego naukach, ale też o dworskim, pełnym intryg życiu. Niemal żalowali, gdy podróż dobiegła końca. Tylko spowiednik króla Leónu stawał się coraz bardziej ponury. Nie wypuszcza się z rąk ludzi, którzy poznali tak wiele sekretów władcy. Nie wypuszcza się ich żywych.



KORDOBA



Wielkość i wspaniałość stolicy kalifatu Kordoby wywołała wśród Skandynawów atak paniki i nabożną cześć. Zdaniem Leifa Osvaldssona nawet w Asgardzie nie mieli tak wielu domów. Eldgrim Róg machnął ręką i jak to on kwieciście wytłumaczył wszystkiemu kapitanowi *Smoczej Dumy*.

– Po co im tyle?

W każdym razie tak ludnego miasta z kamienia nie mógł stworzyć człowiek. To nie był gród, lecz całe ogromne królestwo.

Nie chcieli wierzyć, gdy brat Piotr napomknął, że był już tu kiedyś i to, co widzą, to jedynie leżąca na lewym brzegu rzeki Gwadalkiwir, czy też jak zwa ją obecni władcy Al-Andalus Wadi al-Kabir, dzielnica zwana Secundą. Prawdziwe miasto, mówił, jest po drugiej stronie.

Dwie i pół setki zbrojnych rządcy kalifa umieścili w pustych teraz koszarach, leżących w tej właśnie części wielkiego grodu. Po przegranej bitwie pod Simanacas było tu zapewne więcej takich miejsc.

To rozsądne z ich strony i przyznawał to nawet sam saekonung, bo marnym pasterzem jest ten, który wilka wpuszcza do owczarni. Inna sprawa, że tego ceniącego ponad wszystko wolność i przestrzeń drapieźnika zamknięto w klatce!

Otoczony wysokim kamiennym murem budynek koszar miał tylko jedną bramę, przy której stacjonował spory oddział szmacianych łbów.

Kolbjørn Krzywe Zęby też nakazał swoim ludziom pozostawać zawsze pod bronią.

– Na oko Odyna! – grzmiał. – Trudno rozstrzygnąć, czy jesteśmy tu gośćmi, czy więźniami. Ale korzystajmy i wypocznijmy trochę przed drogą lub bitwą! – Należało się z nim zgodzić. Po wielodniowej podróży poprzedzonej walką, męczącym pościgiem i potyczką z rycerzami Kościoła padali z nóg i zwyczajnie śmierdzieli.

Szukanie własnego kąta w tej wielkiej budowlu zakłócił nagły hałas. Przy bramie zapanowało zamieszanie i do środka weszła duża grupa tragarzy. Wszyscy obładowani koszarą z jedzeniem. Przewodził jej szmaciany łeb, który o dziwo znał język ludzi Północy. Kazał na siebie wołać Al-Gabali, co miało oznaczać, że jest górą.

– Gdzie wasz dowódca, dzielny człowieku? – zapytał pierwszego napotkanego wikinga.

– A ja tam wiem? A gdzie twoja żona, a najlepiej córka? – Kilku słyszających tę wymianę zdań zarechotało wesoło.

– To ważne, jestem tu z rozkazu samego wielkiego kalifa.

– A ja dla złota i co z tego? Chyba gdzieś w kamiennym hovie – rzekł w końcu dreng i ruszył w stronę tragarzy, którzy właśnie teraz rozdawali świeże białe placki.

Umyślny Abd ar-Rahmana odnalazł w końcu jarla Kolbjørna. Ten wraz z dowódcami okrętów podziwiał znajdujący się wewnątrz zabudowań ogromny zbiornik na wodę. Nie mogli się go nachwalić, leżąc na brzuchach i chłepcąc cudownie słodki, choć ciepły płyn. To wprawdzie nie piwo, ale upał wszystkim dał się we znaki.

– Niech Allah ma was w swojej opiece, czcigodni. Zwiąż mnie Al-Gabali i na czas pobytu w stolicy będę waszym sługą i łącznikiem z pałacem – powiedział, a Krzywe Zęby wszystko zrozumiał.

– Bracie. – Stuknął w ramię leżącego obok drenga. – Wszystko zrozumiałem.

– Może to przez te muchy, co ich w tej krainie zatrząsienie i nie sposób gęby otworzyć, by która nie wpadła – usłyszał. – Ja też.

– To od miejscowego słońca – wtrącił się do cichej rozmowy trzeci. – W taki gorący wszystkie mowy świata topią się we łbie w jedno.

Góral wyprowadził ich z błędu.

– Pływałem z kupcem Isą ar-Razim z towarami do twego północnego kraju, panie, i tam nauczyłem się waszego języka.

– Aaa. Tak – odparł nieco zawiedziony dowódca. – Dobrze świadczy o rozumie kalifa, że pomyślał i o tym.

– Nasz władca jest zarówno bogobojny, jak i hojny dla przyjaciół.

– A dla wrogów? – rzucił któryś z wojów. Wszyscy napili się do syta i dochodzili do siebie.

– Wrogów Abd ar-Rahman An-Nasir Ibn Muhammad Ibn Abd Allah ma coraz mniej, panie. A ci, którzy jeszcze żyją, drżą przed jego uniesionym mieczem.

– Tak, to mówi mąż zabierający się do swawolenia pod giezełkiem. – Mruknął cicho Hall Germundson, kapitan *Długiego Węża*. A głośniejsze dodał: – Wiemy coś o tym, bo byliśmy...

– Zamilkł szturchnięty łokciem przez saekonunga.

– No, to mów, bracie, co to za miejsce i kiedy otrzymamy obiecane złoto. – Krzywe Zęby od razu przeszedł do rzeczy. – Dwa, trzy dni odpoczynku i możemy wracać na nasze skipy.

– Weźcie kąpiel po długiej podróży, panie, zmieńcie odzienie, omówimy wszystko przy wieczerzy. Właśnie w tej chwili moi ludzie wnoszą na podwórzec pieczone barany, owoce, chleb i wino. To ostatnie z jednej z chrześcijańskich dzielnic, bo dla dzieci Proroka jest ono nieczyste.

– Nieczyste, powiadasz, to dla takich brudasów jak my w sam raz! – Finnbogi Hrapson, kapitan *Pogromcy Fal*, klepnął tak mocno biednego Górala, że ten się zatoczył. – Lepsze byłoby piwo, ale pewnie nie macie takiego napitku w swoich magazynach?

– Tu jest wszystko, panie. Kupcy z całego świata chcą handlować w miastach Al-Andalus. Poszukam. A na razie...

– Ha, niech i tak będzie. Gdzie jest jakaś studnia lub łaźnia, w której moglibyśmy zakosztować osiadłego życia? – Krzywe Zęby klasnął w dłoń.

Nieco zakłopotany Góral obejrzał się w kierunku pustego wejścia, jakby szukając pomocy, i rzekł.

– Tu, panie. Właśnie ugasiłeś pragnienie... w basenie.

– W ba... A co to jest, na cycki Audumli?

– Miejsce, panie, w którym po zrzuceniu odzienia mężowie mogą po szyje zanurzyć się w wodzie.

– Nie stroisz sobie żartów? – spytał groźnie Kolbjørn. – Jezioro w hovie uczynione ręką człowieka?

– Gdzieżbym śmiał, panie. Bieżącą wodę dla całego miasta dostarczają rzymskie akwedukty, które pod nadzorem naszych uczonych mężów są naprawiane i rozbudowywane.

– Że co? Przydałby mi się Erik, może ten by coś zrozumiał. Romverjowie tu są?

– Byli, panie, kiedyś. Chciałem tylko oddać pokłon wodzowi, który uratował życie mego władcy. Zostawię was teraz, jeśli pozwolisz. Przypilnuję, by podano odpowiednio gorące potrawy. – Góral odwrócił się na pięcie i tyle go było widać. Niewiele myśląc, dowódcy skipów i saekonung zrzucili brudne łachy i pohukując i pokrzykując wesoło, wskoczyli do wody. No, to jest prawdziwe życie. W kraju ojców raz na siedem dni korzystali z przydomowych łaźni. Na wikingu więc tęsknili do tych prostych wygód, i to bardzo.

Wieczera godna była królów, choć zabrakło dobrych, mocnych serów i morskich ryb. Uczynny Al-Gabali zobowiązał się poprawić przy sporządzaniu kolejnego zamówienia. Jak podkreślał, wszystko jest możliwe, bo są gośćmi samego kalifa.

Gdy napełnili żołądki i rozweselili serca winem, przyszedł czas na poważne rozmowy.

– Mów, Góralu, co zamierza twój pan. Skoll! – Krzywe Zęby przepił w jego stronę kubkiem wina.

– Muszę? – Umyslny kalifa powiedział to trochę bełkotliwie, bo miał już za sobą kilka podobnych toastów. Pił, by nie urazić gości, i grzeszył. Widząc groźną minę jarla, i tym razem wychylił do dna.

– Szebacz mi, Bosze – szepnął niewyraźnie. – Tu jest inny świat, panie, świat uszędników, mosznych rodów i plemiennych rad, stanowiących prawa kadich, dworzan iiii ech, sałej reszty. – Odbiło mu się głośno, więc na chwilę przerwał wywód. – Jestem tu po to, by poprowadzić was właściwymi ścieżkami. Ale wiedz – nieopatrznie w zapamiętaniu podniósł kubek, co wykorzystał niewolnik, nalewając mu nową porcję wina – sze bez rozkazu ulubieńca Proroka nie przebijemy śśś szez, szed jego oblicze. Nie szebijemy.

– Co tam bełkoczesz? Przepłucz jeszcze gardło, bo zaległy ci się w nim węże.

Chcąc nie chcąc, kolejna porcja trunku trafiła do żołądka Górala.

– No, so ja chciałem, so ja. Szekać. Musimy szekać.

– Szczekać! Co ty mi tu...

– A szy ja mófiłem szekać? Mófiłem? Szekać powiedziałem, ot so. – Nagle zmożony trudami dyskusji Góral osunął się, lądując twarzą we własnym talerzu.

– Słabe mają głowy – westchnął Kolbjørn. – Nic dziwnego, że przegrywają bitwy. Patrz i ucz się, Eriku, jak się rozmawia z posłami. Erik! Erik!

Nienawykły do ciężkich napitków młodzieniec dawno już znalazł swoje miejsce pod długim stołem. Zresztą nie on jeden.



Kolejne dni miały podobnie. Saekonung zezwolił na tęgie picie, pod warunkiem że co piąty zbrojny będzie na tyle trzeźwy, by utrzymać broń w ręku. Zaraz podniosło się wiele głosów, że pijaństwo nie przeszkadza, a wręcz pomaga w boju, że się należy po tak długiej i niebezpiecznej podróży, żeby pocałował we włochatą dupę krasnoludzką kobietę.

Wikingowie tak właśnie spędzali długie zimowe miesiące, gdy schowani w domach przed mrozem złopali piwo, aż dni zlewały się w tygodnie. Brakowało tylko kobiet i śniegu.

Właśnie kobiety były największym problemem. Zdarzało się coraz więcej bójek, a gdy znaleziono martwego Bluma z uśmiechem na szyi, Kolbjørn powiedział „dość”. Pozwalał pić tylko wieczorami i nakazał zadbać o broń. Zarządził też wielogodzinne ćwiczenia, które sam prowadził na wielkim placu. Było trochę utyskiwań, ale gdy wściekły rozbił pierwsze dwie beczułki z winem, zrozumieli, że nie żartował. Co było robić? Ścierały się więc mury tarcz, toczono walki w parach, grupach, wszyscy przeciw wszystkim, jeden na jednego. Wygrani dostawali dodatkowe porcje trunku, więc każdy chciał zwyciężyć. Czuli się niczym wojowie w Walhalli, tylko w przeciwieństwie do nich bogowie pozostawili im ludzkie żądze. Albowiem w sagach i opowieściach dotyczących pośmiertnego życia mówi się o walce i uctowaniu, a nigdzie o dupczeniu. Wielu jednak twierdziło, że i ono być musi, gdyż w Komnacie Poległych w Asgardzie miały usługiwać mężom walkirie. Taka nosząca imię Dzidy Posoka, Tarcz Wściekłość czy Topór Stary to może nie, ale już Wrzask czy Poklaski – kto wie?

Erik ćwiczył w zapamiętaniu, dwukrotnie ciężiej od innych. Każdą wolną chwilę poświęcał walce. Oczywiście, jeśli znalazł się w pobliżu jakichś chętnych gotowych stanąć z nim do pojedynku na stępione miecze. Czynił tak, od kiedy zeszli w Leónie na ląd, i coraz częściej to on był górą w tych zmaganiach. Jeszcze nie mógł mierzyć się z najlepszymi, ale i na to kiedyś przyjdzie czas. Pozostawiony w kraju ojciec, choć wciąż jurny, dobiegał już sędziwych lat. Po jego śmierci władzę obejmie Olof i jego młodszy brat wolał być odpowiednio przygotowany na „braterski uścisk”. Zdrowiej byłoby dla niego, gdyby do końca dni został tu, na obczyźnie, ale cniło mu się za domem, i to coraz bardziej.

Góral przychodził codziennie. I owszem, dostarczył nawet piwo, ale za każdym razem na pytanie: Czy to już czas? – kręcił głową.

– Słońce Allaha po powrocie do stolicy ma wiele palących problemów. Kalifat jest ogromny, a wrogowie tylko czyhają na błąd – mówił. Snuł za to piękne sagi, czym zjednał sobie sympatię Skandynawów. O wojennych przygodach kalifa i jego przodków, o burzliwym życiu proroka Mahometa czy wreszcie o dalekich podróżach z kupcem Isą ar-Razim. Słuchali chętnie, bo jak mawia sam Odyn: „Mądry mąż, gdy w gościnę przychodzi, powinien zaostrzyć słuch”. Inni, równie mądrzy, twierdzą, że goście i ryby śmierdzą po trzech dniach, ale nie do nich należała decyzja.

Ten dzień upłynął zwyczajnie jak wiele przed nim. Wprawdzie podczas ćwiczeń dwóch wojów odniosło lekkie rany, ale pozostali byli zdolni do walki i marszu. Wieczorem jak zwykle obóz odwiedził Góral.

Chociaż nie, to była wyjątkowa wizyta. Al-Gabali przyprował ze sobą prezent od kalifa – dziesięć kształtnych niewolnic. Jeżeli nie były najpiękniejszymi kobietami w całym Midgardzie, to po długim okresie posuchy takimi się zdawały. Skandynawskich wojowniczek, których mieli kilka w lidzie, nie można było brać tu pod rozwagę. Twarde były niczym rzemień i śmierdziały jak wojowie. Albo miały stałych, silnych partnerów, albo mężczyźni byli dla nich kompanami i nikim więcej.

Góral nazwał nowo przybyłe Saqaliba i zachwalał, że to najlepszy, pochodzący z Rusi towar. Jak twierdził, są już wielce przeszkolone w sztuce miłości.

– Wiemy, gdzie to jest, przyjacielu. – Krzywe Zęby dorzucił suchą szczapę do płonącego wesoło ogniska. – Na ziemiach Gardariki żyje wielu naszych. Tym chętniej przyjmujemy dar kalifa. Nie masz to lepszej niewiasty niż zdrowa, silna, o rozłożystych biodrach, ciężkich piersiach i mocnych nogach jasnowłosa dziewczka. Na długo one?

– Są wasze, panie, na ile tylko zechcecie. Światło Proroka poprzez swojego unizonego sługę przekazuje, że jutro dotrze reszta obiecanych niewolników.

– Ale te tam nie wliczają się do przyręczonej setki? To nie tak się umawialiśmy.

– Nie, panie. To jest dar, a nie splata długów.

Krzywe Zęby odetchnął z ulgą.

– No jak tak...

Jedna z nowo przybyłych o wdzięcznym imieniu Samboja znała język ludzi Północy. Prawem wodza, pomimo jęków zawodu, Kolbjørn zgarnął dzierlatkę dla siebie. Złapał ją w pół i obmacując skryte pod jedwabiami ciało, chrząknął zadowolony. Samboja próbowała się wyrwać, ale równie dobrze mogła pragnąć, by wyrosły jej skrzydła. W końcu zrezygnowana pozwoliła jarlowskiemu dłoniom robić swoje. Resztę niewolnic oddał wojom.

– Tylko bez gwałtu! – ostrzegł. – Będziemy mieli z nich dłużej pożytek i wyrękę, jeśli pozostaną w dobrym zdrowiu. – Na słowo „wyręka” kilku wesoło zabuczało.

Ktoś tam się skarżył, że to wydłuży czas oczekiwania, ale kompani szybko go uciszeli. Czego jak czego, ale timi i wina mieli pod dostatkiem.

Przy ogniu z wojami pozostała więc tylko jedna. Dorodna, ale nie nazbyt gruba, wysoka i płowowłosa, jawiła się młodemu Erikowi niczym piękna zjawa ze snu. Inna sprawa, że ostatnimi czasy zaczął zauważać pewien powab nawet u Czarnej Brody. A i nocami coraz częściej widywał białogłowy. Rankiem po takich wizytach... Cni się mężowi bez kobiet, gdy już dane mu było zasmakować ich miodu.

Okiełznana niewolnica usiadła u stóp jarla, skromnie zwieszając głowę. Gdy jednak młodzieniec złowił jej rzucany zza zasłony włosów wzrok, nie było w nim uległości.

– Pokaż lico, bo może zamienię cię na inną. W końcu znajomość naszej mowy ma tu

jakieś znaczenie, ale nie po to jesteś, by gadać. – Kolbjørn chwycił dziewczę za włosy i pociągnął. Wszyscy zobaczyli ładną twarz z podłużną blizną na policzku.

– A to od czego? – Krzywe Zęby wodził palcem po szramie. – Ledwo zagojona.

– Miała trafić do haremu samego kalifa, oby panował nam wiecznie. – Góral wzniosł oczy w stronę niebios. – Ale że krnąbrna, trzeba było ją powściągnąć i niestety trochę się uszkodziła. Ale jak mnie zapewniano, resztę ma całą i gładką.

– Dziewica?

– No skądże, panie. Kalif nie daje niesprawdzonych podarków.

– Lubię narowiste i nie przeszkadza mi to „uszkodzenie”. Wiedz jednak, kobieto – przysunął swoją twarz do twarzy niewolnicy, tak że się niemal stykały – że wybije ci zęby, jeśli nie będziesz posłuszna. Zranisz mnie, wyjmę oko albo skręcę kark. Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Nie wyglądała na przerażoną.

– No. – Jarl poklepał ją po policzku. – To skąd znasz mowę potomków Aska i Embli?

– Pochodzę z plemienia Rusów, bojarze – zaszemrała cicho, a Erik poczuł, że znowu się zakochał. Ten lekko nosowy głos drżał i to drżenie przenikało człowieka niczym odległy pomruk burzy: od palców stóp po końce włosów. – Matka była z twego ludu, bojarze, i mieliśmy wielu wierzących w Odyna sąsiadów. Potem ojciec stanął do walki z kniazem Włodzimierzem, poszło o starych bogów. Przegrał i... – Wzruszyła ramionami. Wszystko było jasne.

– A za co ta blizna? Któryś z handlarzy?

– Nie, to już na miejscu. Szkolili mnie do sprawiania uciech mężczyznom. – Po raz pierwszy głos jej nieco drżał. – Eunuchowie, by uczynić moje łono bardziej przyjaznym... Trzymali za ręce i nogi i... – Zamilkła, a jarl nie dopytywał. – Najgorszy był Lulu – kontynuowała po chwili. – Sprawiał mi więcej bólu niż inni. Kiedyś, gdy przebywał w krainie snów, zakradłam się i ogłuszyłam ścierwo pałąk z kości zwierzęcia zwanego słoniem, którą oni... Gdy leżał bez czucia, związałam i zakneblowałam mu usta, a potem tak długo wpychałam to coś w jego tłuste dupsko, aż przestał jęczeć. Zostawiłam go bez czucia i wróciłam do niewieścich komnat. Ktoś mnie jednak widział i znaleźli zakrwawione szaty. Nie zabili tylko dlatego, że sam kalif mnie wybrał na swoją nałożnicę. Ale zostawili to, ku przestrodze. – Kobieta musnęła palcami szramę.

– No a ten Lulu, nie chciał się mścić?

– Jeszcze tej nocy zmarł z upływu krwi, bojarze. Perunowi i Welesowi niech będą dzięki.

Spodobała się ta opowieść zebranych i nagrodzili dziewczę okrzykami. W życiu trzeba twardo stawać i nie odstępować, gdy wróg napiera. Kolbjørn pozwolił jej nawet zostać przy ogniu i obiecał dobrze traktować. Ale nie był jeszcze mocno pijany, więc mógł sobie obiecywać. Wino i piwo jednych usypiają, a z innych wydobywają najmroczniejsze stwory. Krzywe Zęby należał do tych drugich.

– Gdy ją zdenerwuje nasz jarl, będzie pierdział częściej od innych – rzucił szeptem Aslof.

– Chyba że się wcześniej wykrwawi. – Erik zachichotał. – Po takiej śmierci to dokąd się idzie, Czarny?

– Stajesz się krasnoludzką kobietą z brodą i włochatą dupą. A czemuś ciekaw, mały?

– Żebym wiedział, gdzie cię szukać – fuknął Erik. Nie cierpiał, gdy przyjaciel tak go przezywał.

– Dawaj, Góralu, czas na twoją historię! – zakrzyknął ktoś z tłumu.

Gdy Al-Gabali rozpoczął kolejną sagę, dziewięciu zbrojnych nadrabiało zaległości, nie kryjąc się z tym wcale. Pozostali, oczekując na swoją kolej, chętnie nadstawili ucha. Niewiele jest w życiu przedniejszych uciech ponad dobrą historię.

– Opowiem wam o strasznym wrogu rodu mojego władcy, człowieku z ludu, który omal

nie przejął dżajzuranu[18] i nie zasiadł na sarirze, które to atrybuty przynależą jedynie następcom Proroka. Za rzucenie wyzwania Słudze Litościwego jego i jego rodzinę spotkał straszny zasłużony koniec.

Umar Ibn Hafsun, bo o nim mowa, był wielkim utrapieniem rządzącego Al-Andalus dziadka obecnego kalifa – emira Abd Allaha. Już jako młodzieniec wykazywał się gwałtownym charakterem i brał udział w wielu burdach. Gdy przystał do zbójczej bandy, w krótkim czasie stał się jej dowódcą. Choć młody, wykazał się większym okrucieństwem niż starzy członkowie zbójczej hałastry.

– Tak jak ja? – Krzywe Zęby pokazał w uśmiechu nierówne żółte zębiska.

– Niech Allah ześle na mnie krwawe wrzody, jeśli mi to przeszło przez myśl, panie. Nie widziałem u was okrucieństwa, ale i zbytniego pobłażania. Jesteście wodzem nad wodzami i ustępujecie w mądrości tylko samemu kalifowi.

– A ty skąd niby możesz to wiedzieć?

– Och, panie, słucham na suku opowieści o dzielnych ludziach Północy, którzy niczym wspaniałe orły patrzą z góry na świat pełen domowego drobiu. Są jak ten lew nemejski, niezwycześni i potężni ponad ludzkie wyobrażenie. A dowodzi nimi...

Nagle przerwał pochwalną tyradę.

– Nie, nie, niech święci aniołowie mają mnie w opiece. Nie mogę tyle pić, w ogóle nie wolno mi brać do ust wina. – Nauczony doświadczeniem z najwyższym trudem odmówił poczęstunku. Urażony Czarna Broda podał drewniany kubek Erikowi, ale ten też pokręcił głową.

– Choroba jakaś czy co? – mruknął sam do siebie Aslof, a potem jednym haustem opróżnił naczynie. Nie pierwszy raz tego wieczoru.

– Mów dalej. – Saekonung wysmarkał się głośno w palce, skręcając nieco tułów, by nie opryskać umyślnego kalifa. Nie był chamem i znał zwyczaje biesiadne panujące na jarlowskich dworach. Zaraz potem tą samą dłonią podał sagnamadowi kawał pieczonego barana, tak z czystej życzliwości. Ten z bladym wymuszonym uśmiechem wymówił się jakimś tam miejscowym postem.

– Tylko nie schylaj się, wodzu, w obecności tego szmacianego łba. On ci gotów wejść...

– Zamilcz, czarnobrody młokosie. – Jarl pogroził z uśmiechem palcem Aslofowi.

– Będziemy tak przerywać gościowi, to nigdy nie skończy, a ja chcę poznać zakończenie tej sagi. No?

– Wracając do opowieści, to Hafsun, łupiąc podróżnych, zrobił się tak bogaty, że na wzniesieniu Marmuyasa, nieopodal miasta Malaga, wybudował potężny zamek. Nazwał go Bobastro. Była to wykuta w skałach twierdza, niemożliwa do zdobycia.

– Skoro tak, dlaczego mówisz „była”? – dociekał urażony wcześniejszą odmową Aslof Czarna Broda.

– O wszystkim, panie, opowiem w swoim czasie. Nie poprzestał na tym i rozszerzał swoje wpływy coraz dalej i dalej. Po kilku latach stanął na czele wielkiego buntu muwalladów i chrześcijan przeciwko rodowi Umajjadów, jedynych prawowitych władców Al-Andalus. Rzekomo zmusiły ich do tego zbyt wysokie podatki i daniny. Ale przecież już w Księdze napisano, że ludy Księgi muszą dokładać więcej do skarbcza. To jakby się buntować, że człowiek nie może oddychać wodą. No nie może i już. Za to w swojej łaskawości kalif pozwala im obchodzić święta, byle niezbyt nachalnie. Nie muszą też służyć w armii i płacić własną krwią, a to musi kosztować.

Na twarzy brata Piotra grymas niechęci, który pojawił się, odkąd wojowie poczęli folgować sobie z niewolnicami, zmienił się w zainteresowanie.

– Ci muwalladowie to jakiś konkurencyjny ród? – rzucił ktoś z tłumu.

– Gdzieżby ród. To miejscowy chrześcijański motłoch, który kiedyś przyjął do serc i pod strzechy słowa Allaha. A mimo to, mimo oświecenia, które stało się ich udziałem, odważyli się zbuntować przeciwko namiestnikowi Boga na ziemi. Za to jest tylko jedna kara – śmierć! Pan Stworzenia wyznaczył jednak ciężką próbę dla prawdziwie wierzących, albowiem wróg był liczny i zawzięty. Pod dowództwem Umara Ibn Hafsuna zdobył panowanie na południu i zachodzie kraju. Przez kolejne lata w ich władaniu znalazły się sto sześćdziesiąt dwie kamienne fortece i wielka flota okrętów!

– Skoll! – rozległ się na podwórku gromki okrzyk. To podobało się wikingom. Waleczny biedak został wielkim konungiem, a oni przecież też nie należeli do bogaczy. Jeszcze nie. Wznosili więc liczne toasty i w panującym hałasie nie dało się słuchać reszty sagi. Poza tym kilku z nich zamieniło się przy niewolnicach, a ci szczęśliwcy, którzy mieli to już za sobą, głośno przekazywali towarzyszom pikantne szczegóły. Dopiero interwencja saekonunga wprowadziła trochę spokoju.

– Dziadek panującego nam Abd ar-Rahmana – kontynuował Góral – toczył srogie boje z Umarem, ale nie mógł go pokonać i zmiażdżyć. Faktem jest, że w owym okresie kraj jak długi i szeroki targany był licznymi wojnami. Wtedy Ibn Hafsun popełnił grzech śmiertelny i wyrzekł się Proroka, przybierając na chrzcie imię Samuel. – Brat Piotr przeżegnał się zamasyście i wznosił oczy ku niebu. – Zyskał tym czynem większą przychylność niewiernych, ale Bóg pokarał odstępce utratą części muzułmańskich oddziałów. Gdy rządy objął mój pan i zacisnął palce, tworząc jedną pięść, zorganizowano wiele ekspedycji, które miały zniszczyć i tych buntowników. Ale na darmo. Choć spalono w Algeciras flotę odszczepieńca i zdobyto część jego zamków, trzymał się mocno. Dopiero po śmierci znenawidzonego buntownika i zaprzańca kalif w licznych bojach pokonał jego synów: młodszego – Sulajmana, zabił, a starszego – Hawasa, przeprowadził z rodziną do Kordoby i wcielił do wojska. Za sprzeniewierzenie się boskim nakazom i bunt wykopano z grobu ciało Umara Ibn Hafsuna i ukrzyżowano je przed Wielkim Meczetem. Ku przestrodze i ostatecznemu pohańbieniu.

– Nie strasz. A mówiłeś, że to Babasto, czy jak je tam zwali, było nie do zdobycia! No mówił, nie? – powtórzył z uporem kozła kompan Erika. Ale nim padła odpowiedź, zerwał się z miejsca i nieco chwiejnie, z błogim uśmiechem, popędził w stronę niewolnic. Nadeszła jego kolej. Erik próbował zatrzymać przyjaciela, wiedział, że Borga nie będzie zachwycona. Ale musiałby się z nim bić.

– Starszy syn Umara poddał twierdzę ludziom kalifa, wówczas jeszcze emira, i dlatego zachował życie – rzucił do jego pleców Al-Gabali, ale równie dobrze mógłby namawiać do śpiewu umierającego z głodu człowieka, przed którym postawiono miskę gęstego skyru. Erik dałby głowę, że Aslof z ostatniego zdania nie usłyszał ani słowa.

– Piękna saga, bracie. I wiele mówi o naszym gospodarzu. – Krzywe Zęby uderzył dłońmi w kolana. – Ale skoro już tak się nam dzisiaj rozgadałeś, to powiedz, czy ta Kordoba jest większa i wspanialsza od Miklagardu. Nie byłem w Wielkim Mieście, ale nasi kupcy powiadają, że na prośbę Grikkmadów stworzył je sam bóg Kryst.

– Masz, panie, na myśli Konstantynopol, stolicę bizantyjskiego imperium?

– Jest na świecie tylko jedno Wielkie Miasto.

– Skoro tak twierdzisz, panie. Bywałem tam z kupcem, wieźliśmy ładunek przypraw i zbóż. Tak na moje oko obydwie stolice są równie wspaniałe, ale nasza ludniejsza. Choć ta grecka ma potężniejsze mury.

– A co jest nie tak z tymi tu? – rzucił lekko Kolbjørn. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy krajanie zechcą złożyć w Kordobie „przyjacielską” wizytę.

– Są niezdobyte, choć te starsze fragmenty... – Zamilkł. – Są niezdobyte.



– A moglibyśmy, nie wszyscy, ale po kilku, wyruszyć z przewodnikiem i obejrzeć cuda tego miejsca? – Erik podrapał się po kroczu. – Bogowie świadkami, że nuda męczy równie mocno, jak ciężka praca.

– Teraz, gdy mamy już kobiety, to jest następna sprawa, którą chciałem z tobą omówić – poparł młodzieńca saekonung.

– Zły czas, panowie. Tu jest spokojnie, ale na prawym brzegu rzeki wrze... – Krzywe Zęby milczał i uśmiechał się dobrotliwie do Górala, niczym ojciec nakłaniający syna do uczynienia kolejnego kroku. – A co tam, powiem. Po odwróceniu spod Simanacas...

– A nie klęsce? – Hall Germundson wypluł część wina na płonące żagwie ogniska.

– Po planowanym przesunięciu części oddziałów na drugi brzeg rzeki Duero – pewność w głosie Al-Gabalego była niezachwiana – przeciwnicy Słońca Niebios zwietrzyli swoją szansę na przejęcie władzy nad krajem. Kalif przybył w ostatniej chwili, ale i tak nie jest pewne, czy utrzyma tron. Niech Allah ma jego i nas w opiece.

– A złoto? – padło z kilku ust.

– Dostaniecie, za kilka dni, może tygodni.

– O ile dłużnik będzie żyw. – Czarna Broda usiadł obok Erika. Na jego gębie błąkał się błogi uśmieszek.

– Już? Tak szybko? – szepnął syn konunga.

– Eech, tak wyszło. – Aslof machnął ręką. – Była tak miękka, że ani się obejrzałem, było po wszystkim. I na szczęście, bo gdy przyszła Borga, to chciała zabić niewolnicę moim saksem. Gdyby nie inni oczekujący... Nie miałem jeszcze dość, ale dzierlatka pode mną tak się spięła ze strachu, że czułem, jakbym to robił z dziewicą. Idź, mówię ci, nie pożałujesz. Szukaj Dobrohny.

– Eee. Musiałbym być zakochany, bo ja tylko wtedy...

– Cicho – rozległo się kilka gniewnych szepków.

– Jeśli to sprawa mieczy, to my możemy pomóc. – Kolbjørn Krzywe Zęby przestraszył się nie na żarty. Chodziło przecież o złoto. – Dwie i pół setki to może niedużo, ale zawsze coś.

– Zbrojnych kalif ma wielu, choć godnych zaufania mniej. Pan mój obawia się raczej jakiegoś skrytobójczego ataku lub próby otrucia. Ludzie gadają, że w najbliższym otoczeniu władcy... Ale dość, i tak już powiedziałem za dużo. Rozumiecie teraz, że w tej sytuacji lepiej wam będzie tu, za murem. W Kordobie dochodzi do samosądów, ludzie giną bez śladu, sąsiedzi wykorzystują okazję, by załatwiać między sobą porachunki. To się uspokoi, gdy miasto znowu poczuje pewną dłoń namiestnika Proroka. Trzeba modlić się i czekać.

– Z tych modlących się to mamy u nas jedynie królewskiego spowiednika. Choć nie zawadzi i z tej pomocy skorzystać. Martwi mnie to, że martwi nie płacą. – Jarl zaśmiał się ze swojego słownego żartu. – Choć i zwycięzcy w takich sytuacjach pozostają z pustymi skrzyniami. Dary wielkie trzeba składać sojusznikom w podziękę za ich wierność i wrogom, by zaniechali buntu – mówił jakby do siebie saekonung.

– Nic tu dzisiaj po mnie, panie, wróć do pałacu, to się czegoś dowiem.

– Idź, idź. I nam teraz nie zabawa w głowach.

Kiedy umyślny kalifa znalazł się za murami, zasepiony Kolbjørn nakazał zakończyć dupczenie i wezwał wszystkich na thing. W tej niepewnej sytuacji musieli postanowić, co dalej: czekać niczym bydło na nadejście rzeźnika czy samemu wziąć, ile się da, i umknąć sprzed nosa rozwścieczonych szmacianych łbów? Wprawdzie stracą obiecane złoto, ale zachowają życie. Co jednak ono warte bez bogactwa?

Głosy były podzielone, więc postanowiono poczekać jeszcze kilka dni, sposobiąc się w tym czasie do ucieczki. Jarl wstał, objął wpół Samboję i ruszyli w stronę kamiennego hovu. Kobiecie nie umknęły tęskne spojrzenia konungowego wyskrobka. Uśmiechnęła się nawet do

niego, gdy nikt nie patrzył. W Erika jakby nagle uderzył piorun. Był coraz bardziej zakochany, który to już raz? Winą za to obarczał rodzinę matki, choć ona sama należała do najtwardszych istot, jakie chodzą po ziemi.

# NOCNA WYPRAWA



Młodych członków drużyny rozpierała energia. No bo ile można siedzieć w jednym miejscu? To łucznik Tagi wpadł na pomysł, by wymknąć się strażnikom i nocą rozejrzeć po okolicy. Mówił też o szukaniu chętnych miejscowych dzierlatek, ale nikt nie zamierzał powtarzać tych słów przy krewkiej Jorunndottir. Była wystarczająco wściekła na Aslofa, który wbrew jej woli pofolgował sobie z niewolnicą. Na przygodę nie trzeba było nikogo namawiać i tak Tagi Instadsson, Erik, Czarna Broda, Borga i niewolnik Zeno, gdy minął piąty dzień pobytu w Kordobie, niecierpliwie czekali, aż Mani schowa się za chmurami. Ostatnia noc była bezchmurna, więc modlili się do bogów o te cholerne scy[19].

Wdrapać się na mur nie było problemem, ponieważ w tym celu przygotowali za dnia solidną belkę. Wsparta o kamienie posłużyła za drabinę. Zejście po drugiej stronie również nie stanowiło kłopotu, ogrodzenie miało wysokość ledwie dwóch mężów. Nie lada wyzwaniem było jednak zrobienie tego cicho. Wszyscy, łącznie z byłym mnichem, któremu dano do obrony niewielki saks, poowijali skrawkami materiału metalowe elementy uzbrojenia.

Strażnicy pilnowali ich wprawdzie i nocą, wysyłając regularnie na patrole zbrojnych z pochodniami, ale za bardzo się do tego nie przykładali. Po co? Przecież wszędzie wokół mnóstwo oczu i uszu kordobańczyków. Niewielki oddział minął właśnie miejsce, w którym czekali amatorzy nocnej wyprawy. Zza muru dobiegały urywane zdania, jakieś przekleństwa, czyjś zduszony śmiech. Gdy zniknęli za załosem, pięcioro młodych ludzi wspięło się niemal bezszelestnie i spadło po drugiej stronie niczym wosk z rozgrzanej świecy – jedna kropla po drugiej. Zamarli na kilka chwil w oczekiwaniu na alarm, a gdy nic się nie wydarzyło, ostrożnie ruszyli przed siebie. Chmury zniknęły przepędzone gorącym wiatrem, co tym razem przyjęli z zadowoleniem.

– Gdzieś tu niedaleko jest rzeka – wyszeptał idący przodem Erik. – Czuję jej zapach. – Od jakiegoś czasu szli środkiem ciemnej, wąskiej uliczki. Czerń pogłębiały wystające dachy i płócienne osłony przeciwsłoneczne. Nocą wszystko wygląda podobnie. Promienie księżycy oświetlały sinym blaskiem jedynie fragment terenu i gdy Tagi narobił hałasu, wpadając na rozwalającą się beczkę na wodę, postanowili zapalić małe łuczywo.

– Zobaczą nas wrogowie – marudziła Borga.

– A widzisz tu kogoś poza nami? – ni to warknął, ni powiedział Czarna Broda.

– Z tobą nie rozmawiam, świński cygu, synu kota.

– To się zdecyduj. I dobrze, nie po to się z tobą spotykałem, by gadać. A i tak nasze łóżko to było siedlisko węży.

– Nie wyglądałeś na nieszczęśliwego, łuczniku o jednej strzale.

Aslof zachnął się i nasrożył.

– Jeśli stare panny to osty wśród zbóż, to ty, Jorunndottir, jesteś dołem z zaostrzonymi palami wśród pola tych ostów. Albo...

– Cisza, jak chcecie się kłócić, to wracajcie do obozu. – Erik miał już dość tych docinków. Poza tym ktoś mógł usłyszeć obcy język i wszcząć alarm.

– Nie twoja rzecz – padło z dwojga ust, a Aslof jeszcze dodał: „mały”. Ale zamilkli.

Żółty migotliwy blask wydobyl wiele cieni, ale przynajmniej widzieli, co mają pod nogami. Podczas wieczornych opowieści Góral wspominał, że na terenie Kordoby drogi muszą być na tyle szerokie, by mógł nimi iść człowiek prowadzący wielbłąda lub konia. Jeśli tak, to w tym wypadku zwierzę i poganiacz musieli iść bark w bark.

Nagle rozległ się hałas pękającego drewna i wtórujące mu przekleństwa Czarnej Brody.

– Na jądra Thursa, ażeby to. Niech Nastrand czeka tego, kto to zbudował. – Skupiony na tym, co pod nogami, rosły wiking zahaczył łepetyną o drewnianą konstrukcję. Ta, widocznie

osłabiona czasem i słońcem, runęła, nakrywając go materiałem i wznecając chmurę pyłu. Teraz wszyscy pokastywali i klęli w żywy kamień.

Najpierw jedna, potem druga i trzecia okiennica na piętrze odskoczyła z łoskotem. Wściekli mieszkańcy zaczęli krzyczeć, próbując dostrzec, kto zakłócił ich spokój. Na szczęście Erik wcześniej zgasił pochodnię i teraz byli jedynie ruchliwymi cieniami.

– Uciekamy – szepnęła Borga.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. W dodatku z okien zaczęły w ich stronę lecieć różne przedmioty. Ktoś dostał w głowę drewnianym klinem, na innego wylano urynę. Najgorzej miał Zeno, bo dostał nieco tylko twardszą zawartością nocnika.

W pobliżu nabrzeża, pod jedną z olejowych latarni, postanowili zrobić postój. Nie wyglądali dobrze: z rozciętej głowy Aslofa płynęła krew; Borga miała kilka niegroźnych siniaków i solidnego guza; Tagi, który podczas biegu w ciemności zderzył się ze ścianą, z niepokojem obmacywał zęby; Erik, zdało się, wyszedł najlepiej, jako że nie miał żadnych obrażeń. U zazdrosnych, poklepujących go po ramionach kompanów wzbudził niepokój przejmujący smród moczu, który wokół siebie roztaczał. Gdy doszli przyczyny tej przykrewy woni, nawet Czarna Broda trzymał się za brzuch, z trudem hamując głośny śmiech. Również Zeno rżał niczym koń. Choć tylko do czasu, gdy odkryto na jego szatach nieco inną zawartość nocnika.

– Każdy dostał, na co zasłużył – chichotała Borga. – Wy już nie musicie obawiać się nocnych straży, nikt was nie tknie gołą ręką.

– Ciebie nawet Aslof już nie tyka – odciął się nieopatrznie Erik i po chwili leżał z zakrwawionym nosem na kamieniach chodnika.

– To, że jesteś synem konunga, nie znaczy, że nie przyłożę ci jeszcze raz, jak tylko wstaniesz.

– Całkiem zwariowaliście? – Tagi przez opuchnięte wargi mówił trochę niewyraźnie. Cofnął się mimowolnie o krok, gdy Borga Jorunndottir gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Z jej oczu zaczęło wyglądać szaleństwo brudir berserkja[20].

– Aslof, to twoja kobieta. Zrób coś, zanim nas wszystkich pozabija. – Erik wysmarkał się, by oczyścić nos z krwi.

– Co ja mogę, mały? Jest wściekła o tę niewolnicę, jakby było o co. – Czarnej Brodzie przeszła już chętką do zwady.

– Bo jest, synu Garma. Zamiast jeść tamtego wieczora soczystą baraninę, rzuciłeś się na wspólną miskę ze skyrem.

– Ależ, słonko, to było nic, to... – Towarzysze patrzyli z uśmiecham, jak wiję się ten, który wśród nich uważał się za najtwardszego woja. Kobiety miały swoje sposoby, by zgiąć kark mężczyzny i mimo to uczynić go szczęśliwym.

– Ja idę – rzucił w końcu Czarna Broda. – Wy róbcie, co chcecie.

Lewobrzeżna część miasta była nocą pusta i spokojna. Wieści Górala o zamieszkach wydawały się coraz mniej prawdopodobne.

– Oszukuje nas, suczysyn, i tyle. – Tagi splunął ze złością. – Chcą nas strachem utrzymać w tym kamiennym hovie i za murem.

– Ale nie o suchym pysku. – Erik wzruszył ramionami. – Masz rację, coś tu jest nie tak. Saekonung wziął mnie na rozmowę i rozkazał, żebyśmy sprawdzili okolicę i ewentualną drogę ucieczki.

– To on wie, że my...

– A co myślałaś, że jak z jednym jajkiem, to już ślepy? A gdyby nawet z jednym okiem, to Odyn całkiem dobrze sobie radzi.

– Sądziłam, że ta wyprawa to pomysł Tagiego.

Wyszli właśnie na skraj ogromnego placu, który w księżycowym blasku zdawał się nie mieć końca.

– Co jest? – Aslof zatrzymał się gwałtownie i idący z tyłu Erik wpadł na przyjaciela. Poczuł, jakby zderzył się z drzewem.

– Ty, mały, trzymaj się ode mnie po zawietrznej, dobrze ci radzę.

– A ty swój ogon w klatce, bo rozwścieczyłeś Borgę i teraz wszystkim się dostaje – odciął się syn Eryka Zwycięskiego.

– Pewnie to miejsce, gdzie miejscowi ćwiczą się w jeździe konnej. Góral nazwał je Musara czy jakoś tak – pośpieszył z wyjaśnieniami Zeno.

– Cicho, słuchajcie.

Odgłosów walki nie dało się pomylić z niczym innym. W odległości kilku strzałów z łuku w świetle pochodni trwał zażarty bój.

Nagle jakiś cień zaczął uciekać, kierując się wprost w ich stronę. Ludzie z pochodniami szybko skończyli rozprawę z jego towarzyszem lub towarzyszami i ruszyli w pościg.

– Schowajmy się, to nie nasza walka – syknął Czarna Broda. Cała piątka skryła się w cieniu dużego budynku stojącego na skraju trawiastego placu. Uciekinier kluczył, by uniknąć trafienia. Jego kroki i zdyszany oddech były coraz wyraźniejsze. W świetle księżycy ta sylwetka, ten bieg miały w sobie coś znajomego. Gdy był już wystarczająco blisko, z ust Erika wyrwał się zduszony, wcale nie cichy okrzyk:

– Brat Piotr!

Spowiednik króla Leónu, co mu trzeba przyznać, pomyślunek miał równie szybki jak nogi. Mijając ich, wyrzucił z siebie krótkie zdanie:

– Czterech, miecze, zabiją wszystkich. – I tyle go było widać. Tupot i sapanie zagłuszyły odgłosy pogoni.

– Ruszcie dupy, chętnie się przekonam, kto napędził strachu temu paparowi. Nawet nie wiedziałem, że można tak szybko przebierać nogami. – Aslof ruszył pierwszy.

Na widok wychodzących z cienia wikingów ścigający zwolnili, by w końcu się zatrzymać. Nie byli to nocni, czyhający na podpitych maruderów łotrzykowie, lecz dobrze uzbrojeni strażnicy. Wbili w ziemię pochodnie, by mieć swobodne obydwie ręce. Naprzeciw majaczyły cztery sylwetki – Zeno przezornie pozostał w ukryciu.

Pierwszy ze strażników natarł na stojącego najbliżej Aslofa. Klinga uderzyła o klingę z taką mocą, że wysłużona broń Skandynawa, którą odziedziczył jeszcze po ojcu, a on po swoim ojcu, pękła w połowie. Czarna Broda, niewiele myśląc, przywarł do wroga, wbijając mu w pierś solidny skramasaks, który trzymał w drugiej dłoni. Ciche zdziwione sapnięcie było jedynym dźwiękiem, jaki wydał ten zbrojny. Drugi cios w gardło, zadany nierównym ułamkiem miecza, zakończył jego żywot. To znaczy strażnik chrząkał jeszcze i bulgotał, padając na trawę, ale tylko krótką chwilę.

W tym czasie Borga zasypywała razami innego przeciwnika. Nie była tak silna jak mężczyźni, ale tę słabość nadrabiała szybkością i zwinnością. Szmaciany łeb musiał mieć wrażenie, że walczy nie z jednym, lecz z dwójką wrogów. I o ile nie był mistrzem fechtunku, już nie żył. Stawał jednak dzielnie przez długie kilkadziesiąt oddechów, aż kolejny kąśliwy cios dotarł do jego oka.

Erik trafił na jakiegoś miejscowego siłacza, który zadawał ciosy, jakby rąbał drewno. Bez solidnej tarczy trudno było go powstrzymać czy wyprowadzić prosty cios omijający taką zastawę. Gullinhjalti sprawował się znacznie lepiej od miecza Aslofa, ale tu nie o wytrzymałość klingi chodziło, tylko młodzieńczego jeszcze ramienia. Ranił wprawdzie lekko strażnika, trafiając go czubkiem miecza w udo, rozciął mu też ramię, ale po kolejnym mocnym uderzeniu „drwała”

syn konunga padł na plecy, a broń wypadła ze zdrtwiałej dłoni. Potężna sylwetka z uniesionym oburącz mieczem przesłoniła księżycowy blask. Erik skręcił się, w ostatniej chwili unikając rozplątania na dwoje. Podciągnął nogi i kopnął przeciwnika w podbrzusze. Wykorzystał chwilę, gdy ten dochodził do siebie, i zerwał się na równe nogi. W prawej ręce pojawiło się czucie, ale palce zginały się jedynie w połowie. Miecz leżał gdzieś w ciemności, więc saks wyciągnął lewą ręką. Siłacz nie dał mu wiele czasu. Był szybki. Erik z najwyższym trudem odskoczył, potem jeszcze raz, a za trzecim, gdy żelazo śmignęło tuż przy jedynym zdrowym uchu, dał za wygraną. Puścił się biegiem w ciemność. Miał tylko nadzieję, że teren jest w miarę równy. Wróg nie zamierzał go gonić, co dobrze świadczyło o jego pomysłu. Zatrzymał się i Erik.

„Drwał” odwrócił się w stronę pola walki. Z trójki towarzyszy przy życiu pozostał jedynie ten, który mierzył się z Tagim Instadssonem. Wycofywał się teraz, opędzając półkolistymi ruchami przed dwójką przeciwników. Aslof stał spokojnie z boku i tylko patrzył. Strażnicy połączyli siły i przyłgnęli do siebie plecami.

– Chodź, mały, jest po wszystkim! – zawołał kpiącym tonem Czarna Broda, podnosząc z trawy Gullinhjalti, miecz Erika.

– Nigdzie nie uciekłem – rozległo się z ciemności. – Oddaj, co nie twoje.

– Dobrze leży w dłoni, mój jest przy nim niczym thraell przy thegenie. Oddam, ale po walce.

Tymczasem dwóch zbrojnych doszło widocznie do wniosku, że nic tu po nich, i chcąc wykorzystać chwilową nieuwagę, rzucili się do ucieczki. Ich Jednobóg chyba poplątał im myśli, bo równie dobrze mogli poderżnąć sobie gardła. Śmignęły dwa saksy i uciekinierzy padli na trawę. Jeden z wbitym w kark nożem, drugi lekko ogłuszony.

– Ten, kto cię uczył rzucać, nie mówił, że trzeba trafiać w cel ostrzem, a nie rękojeścią?

– A rzucałeś kiedyś lewą ręką?

– Pewnie. Nieraz.

– I trafiałeś?

– Nieraz. – Czarna Broda zaśmiał się swobodnie. – Daj spokój, żartuję. Powaliłeś go i to się liczy.

Siłacz, z którym walczył Erik, chwiejnie wstawał. Aslof szybko podbiegł. Górował nad „drwalem” niczym dorosły mąż nad młodzikiem. Potężnym ciosem oddzielił głowę od byczego karku.

– Naprawdę dobre ostrze. – Popatrzył z uznaniem na klingę. – Świetny rzut, kochanie – dodał.

– Zostaw gładkie słówka dla tej swojej cielicy – odcięła się Borga.

Erik podszedł do wojowniczkę, nerwowo zagryzając knykcie.

– A ty tu czego? Chcesz jeszcze raz dostać po łbie?

– Eee, nie. Świetnie walczyłaś i pomyślałem...

– O! To coś nowego. – Nie zamierzała mu ułatwiać zadania.

– No bo... – Podrapał się po spuchniętym nosie i syknął z bólu. – Jesteśmy na wikingu i wiele walk przede mną.

W milczeniu patrzyła na niego jak na nadgniłą rybę.

– A może tylko jedna, jeśli trafię na silniejszego przeciwnika. Tak jak dziś, niewiele brakowało. Miną jeszcze dwie, trzy zimy, nim nabiorę prawdziwej krzepy, a bogowie mogą nie dać mi tyle czasu.

Borga wciąż milczała.

– Ty też nie masz siły Aslofa, a walczysz niegorzej od niego. Ucz mnie. – Ostatnie zdanie wypluł z siebie, jakby bał się, że zabraknie mu odwagi, by je wypowiedzieć. Od kiedy

pamiętał, podkochał się w tej wojowniczości. Miał jednak na tyle rozsądku, by nie mówić tego głośno. Tylko raz, kiedyś, ale to się nie liczyło.

– Chcesz uczyć się od kobiety? – odezwała się cicho. – Narazisz się na śmiech druhów, a ja nieraz na ich oczach obiję ci głowę.

– Ważne, żebyś miała w co walić. Trupa nikt nie leje, ale dla niego to marna pociecha. Jesteś szybka, Borgo, szybka niczym żmija.

– Szybsza niż myśl? – W tym momencie dotykała czubkiem noża jego brody. Pusta skórzana pochwa na szyi kołysała się miarowo. Pomiędzy jeszcze rzadkim zarostem pojawiła się kropla krwi.

– Właśnie o tym mówiłem. – Przełknął głośno ślinę. – Nawet nie zauważyłem ruchu twojej ręki. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, tylko mnie tego naucz.

Chwilę zdawała się zastanawiać.

– Dobrze, to na początek trzymaj z dala ode mnie język czarnego psa.

– Jakby go już nie miał, Borgo. – Uśmiech na twarzy młodzieńca był zaraźliwy.

Teraz, gdy zrobiło się bezpiecznie, podszedł i Zeno.

– Dobra walka.

– Szkoda, że nie twoja, niewolniku – prychnęła.

– Nie chcę odbierać wam przyjemności sycenia się zwycięstwem, pani, ale powinniśmy już iść. Zaraz ktoś podniesie alarm.

To była dobra rada. Czarna Broda odszukał ułomek własnego miecza i zabrał ze sobą.

– Złe jest ostrze szmacianego łba, z którym walczyłeś? – nie mógł nadziwić się Tagi.

– Co by było, gdyby znaleźli przy mnie taki miecz? – odpowiedział pytaniem na pytanie Czarna Broda. – Albo moje ostrze przy zabitych?

– Na ogon Arvaka, masz rację, bracie.

– To ku rzece?

– Ku rzece.

Na oddział straży natknęli się niedługo potem. Istniało podejrzenie graniczące z pewnością, że szmaciane łby po prostu zwiedziały się o ich wypadzie.

Zbrojnych było kilkunastu i nadeszli od strony koszar. Tych samych, w których urządzono wikingom tymczasową siedzibę. Zrządzeniem bogów uciekinierzy znajdowali się właśnie w pobliżu olejowej latarni. Aslof chciał walczyć, ale pozostała czwórka wybiła mu to z głowy. I to nie dlatego, że nie mieli szans, ale czym innym jest wałęsanie się po mieście, a zupełnie czym innym zbrojny opór. No, chyba że zabije się wszystkich ścigających, na co raczej tu nie mieli szans. Rzucili się więc do ucieczki, a Serkirowie ruszyli w pościg. Miejscowi znali teren, więc podzielili się na kilka grup i niby psy zwierzynę zaganiali Skandynawów w stronę szerokiej wstęgi rzeki.

– Wszyscy potrafią pływać? – Potężna pierś Aslofa unosiła się i opadała po szybkim biegu. Zdawało się, że zgubili w krętych uliczkach pościg, ale w rzeczywistości zarobili jedynie kilka chwil.

– Ja słabo – wychrypiał Zeno.

– Trudno, poszukasz sobie jakiegoś drewna. Te szczopije dobrze wiedzą, że nie mamy dokąd uciekać. Czego chcą? Chyba jeszcze nie znaleźli tamtych trupów? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: – Nie spiesz się. Wskoczmy do rzeki i popłyniemy na drugi brzeg. Potem się pomyśli.

– Przecież tam są mury głównego miasta. Nie jesteśmy wiewiórkami. Rano nas wszystkich wyłapią. – Borga splunęła, o palec omijając stopę kochanka. – Zabijmy ich albo się poddamy.



– Słyszałaś, głupia, że w mieście wrze. Nawet nie zdążysz się porządnie wytłumaczyć, gdy poczujesz w bebechach żelazo. Ucieczka jest naszą jedyną szansą.

– Nie nazywaj jej tak, Aslof. – Głos Erika był śmiertelnie poważny. Zamierzał dotrzymać swojej części umowy.

– A ty co, ma...

– Zgadza się z Czarną Brodą – szybko przerwał Tagi. – Nie marnujmy czasu. Nawet gdyby uczynili z nas niewolników, to obetną jajka i sprzedadzą. Ja wolę śmierć. – Łucznik przestępował z nogi na nogę, jakby już czuł zimne żelazo. – Poza tym chętnie się... wykąpię...

– Mnie nie obetną – warknęła Borga, ale i ona przystała na plan Aslofa.

Gdy zanurzali się w rzeczną toń, szmaciane łby z pochodniami w rękach wychodziły pomiędzy zabudowań. Wszyscy uciekinierzy, by nie zgubić się w ciemnościach, zaciskali zęby na cienkiej linie. Tagi, dzięki bogom, zabrał ją przezornie ze sobą.

Silny prąd porwał ich niemal od razu. Próbowali płynąć w poprzek, ale udawało im się jedynie utrzymać na wodzie. Serkirowie dostrzegli zgubę i teraz pędzili wzdłuż brzegu. Sytuacja ze złą stawała się beznadziejna.

– Doże ee nie ają oni uków – powiedział ktoś przez zaciśnięte zęby.

– I oo s ego. Podoimy ee – padła zwięzła odpowiedź.

Uratował ich port, który mijali, a właściwie jeden z zacumowanych tam skipów. Płynący najbliżej brzegu Zeno nie zdołał uchwycić się pierwszego statku, ale przy drugim zagrał z losem w kości, puścił deskę, rzucił się do przodu i chwycił kurczowo solidnego wiosła sterowego. Zęby miał młode i mocne, a ze strachu tak je zacisnął na linie, że pozostała czwórka bez trudu do niego dołączyła. Widzieli w oddali podrygujące w rytm kroków pochodnie, ale tym będą martwić się później.

Wspinaczka nie należała do łatwych, śliskie od wody i glonów drewno dawało rękom słabe oparcie. Musieli przy tym cicho się zachowywać, ponieważ gdzieś tam spała załoga tego skipu. Przy każdym głośniejszym skrzypnięciu zamierali.

Pierwsza, wchodząc po ramionach towarzyszy, znalazła się na pokładzie Borga. Wydawało się, że jest tu tylko dwóch pochrapujących strażników. Statek wyposażono w dużą przybudówkę, a pod pokładem spała zapewne liczna załoga. Nie należy jednak martwić się pływającym hovem ojców, gdy wróg z bronią w obejściu. Przejmujący korzenny zapach był dowodem, że to kupiecki knorr.

Szmacianego łba na rufie wojownicza ogłuszyła rękojęścią saksa. Osunął się bezszelestnie, wprost w kobiece ramiona. Już chciała podkraść się w stronę dziobu i zawiniętego w płachtę materiału kolejnego marynarza, gdy cichym syknięciem przywołał ją Zeno.

– Zostaw, pani – wyszeptał. – Ci z brzegu na pewno obwołają strażę na statkach i brak odzewu wzbudzi ich niepokój.

Musiała przyznać rację przemysłnemu niewolnikowi.

Po linie wspięła się pozostała trójka.

– Znajdźmy jakąś kryjówkę. – Czarna Broda przejął dowodzenie. – Ty, Erik, zastąpisz tego tam. – Wskazał na omdlałego strażnika. – Jakby co, odburknij, i już. Znasz ich mowę.

– Aslof, ja znam język ludzi z Leónu, a i to niezbyt dobrze.

– To i tak lepiej niż wszyscy pozostali – wyszeptał jego towarzysz. – Chyba że ten twój niewolnik?

– Zeno. Jak u ciebie z gadaniem?

– Znam, panie, łacinę, aramejski, grekę, nordycki i język Brytów. Niby sporo, ale posługując się każdym z nich, wywołam więcej zamieszania, niżbym był niemową.

– To tak jak ja. – nie dawał za wygraną konungowy syn.

– Ktoś musi, Erik, zostajesz.

Rozpłynęli się w mroku, szukając schronienia w podcieniach burt, zwojach lin, wśród przymocowanych sznurami skrzyń i pakunków. Kupiec najwyraźniej niedługo miał opuścić port.

Chcąc nie chcąc, młody Erik został sam. Upchnął nieprzytomnego w kącie, owinął się kawałkiem żaglowego wadmalu, pod którym wcześniej spał strażnik, i czekał.

Niezbyt długo, co trzeba przyznać. Wkrótce na nabrzeżu rozległy się pierwsze okrzyki. Duża grupa zbrojnych pobiegła dalej wzdłuż rzeki, część jednak została w porcie. Ich pochodnie kreśliły teraz w ciemności zawiłe runy.

Statek, na którym skryli się wikingowie, był drugi z kolei, więc norny podarowały uciekinierom trochę czasu.

Na pierwszej jednostce zaspani marynarze wylegli wielką grupą. Erik nie rozumiał słów, ale dałby sobie obciąć włosy, że ci na nabrzeżu pytali o nieproszonych gości, a szmaciane łby na skipie zaprzeczały, że tacy postawili stopę na pokładzie.

Żołnierze jednak postanowili sprawdzić i kilku z nich szykowało się do wejścia na statek. Rzucono im sznurową drabinę.

Na knorzce też się nieco zagęściło. Strażnik z dziobu już od pewnego czasu krzychał do Erika, ale ten odburkiwał coś i machał niedbale ręką, cały czas zawinięty w płachtę materiału. To na razie wystarczało, ale na jak długo? Teraz jednak z przybudówki na śródokręciu wyszła grupka szmacianych łbów, z kupcem albo kapitanem na czele, sądząc po bogatszym stroju.

Stanęli w milczeniu wzdłuż burty i spokojnie obserwowali poszukiwania. Pech chciał, że krzepki starzec zatrzymał się tuż obok odwróconego twarzą do rzeki Erika. Młodzieniec zamarł, prawie przestał oddychać. Jestem cieniem, jestem cieniem cienia i cień moje imię – powtarzał sobie w duchu. Stojący obok mężczyzna zdawał się całkowicie skupiony na widoku, który miał przed oczami. W pewnym momencie machnął ręką do jakiegoś dostatniej ubranego męża na przeszukiwanym statku i ten podszedł bliżej z relacją. Kilkanaście chwil rozmawiali jak gdyby nigdy nic. Kupiec skłonił się w podzięcie i krzyknął do swoich. Syn konunga był pewien, że kazał im przeszukać skip.

Marynarze zaczęli od dziobu. Ich dowódca, a może właściciel, spojrział na Erika, jakby dopiero teraz go spostrzegł. Powiedział kilka niezrozumiałych słów, które zabrzmiały w uszach młodzieńca niczym świst miecza. Starzec powtórzył, a nie doczekawszy się reakcji, położył mu łagodnie dłoń na ramieniu i pchnął go w stronę, jak mniemał, towarzyszy. Erik podjął decyzję.

– Panie, to mnie szukają ci zbrojni, ale jestem niewinny – rzekł w języku ludzi z Leónu. Starzec znieruchomiał, a jego ręka zrobiła się dziwnie ciężka.

– Jest nas na pokładzie pięcioro i zdajemy się na twoją łaskę.

Kupiec krzyknął i krzątająca się na pokładzie zamarła.

– Gdzie ten, którego zastąpiłeś? – spytał w zrozumiałej mowie. Erik domyślił się, że chodzi o ogłuszonego strażnika, i wskazał pobliski zwój lin. Starzec skinął na jednego z ludzi niosących lampy oliwne i przykucnął. Odgarnął płataninę i z kamienną twarzą wrócił na miejsce.

– Żyje, więc poświęcę ci, młodzieńcze, kilka chwil, nim oddam w ręce zbrojnych umiłowanego kalifa. Nie licz na więcej. Za co was ścigają?

– Za ciekawość, panie. Jesteśmy przybyszami z dalekiej Północy, gośćmi następcy Proroka. Chcieliśmy obejrzeć cuda tego miejsca i...

– Słyszałem o waszej obecności w Kordobie. Ale dlaczego sądzisz, że wdarłszy się na mój statek, możesz liczyć na pomoc kupca Hamziego?

– Wynagrodzę ci, panie, tę przysługę.

– Rankiem wypływam do Bizancjum. Na Allaha, nie zdążę odebrać wielkiego skarbu, który dla mnie przygotowałeś, młodzieńcze. Ani nawet tego mniejszego, ani żadnego – skończył

nieco kpiąco.

– Zdązysz panie, albowiem mam go przy sobie.

Cisza się przeciągała.

– Cóż takiego może mieć ledwie półmężczyzna, czego mógłby pragnąć ponad własne życie stary kupiec Hamzi. Dodam – dzięki woli Allaha – człek majątny i właściciel wielu dau?

– Wiedzę, panie, która jest cenniejsza od złota. O ile ktoś posiada rozum i odwagę, by ją wykorzystać.

Kupiec milczał, wpatrując się wielce wymownie w sąsiedni statek, który właśnie opuszczała grupa zbrojnych.

– Mam największy skarb każdego handlarza – mapę świata z zaznaczonymi skandynawskimi emporiami.

– Z tymi na wschodzie też?

– Tak, panie. Zaznaczono na niej całą austrvégr, poczynając od jeziora o nazwie Newo, przez Kaenugard, Smaleskię po Miklagard. Wszystko wypalone na skórze łani. Niech Odyn porazi mnie piorunem, jeśli łzę.

Starzec trwał chwilę w bezruchu, by nagle klasnąć w dłonie. Wydał kilka gardłowych rozkazów i tłum przy burtach zgęstniał.

– Każ swoim zejść pod pokład, tam mój człowiek wskaże wam kryjówkę.

– To nie pułapka, panie?

– A gdyby nawet, to co? Nie masz wyjścia, chłopcze, idź. Tylko nisko, w pokłonie.

Faktycznie zachował się niczym dziecko. Przecież starzec nie zdradzi swego planu tylko dlatego, że on go o to zapyta.

Nie ociągając się już, zebrał swoich i na czworakach dotarli do przybudówki. Nie ufali przebiegłemu kupcowi, ale zaufali jego chciwości.

– Co mu obiecałeś, mały? – Aslof był podejrzliwy, wołał od niewoli skok w rzeczne odmęty.

– Później powiem. Wierz mi, będzie dobrze.

Pod pokładem dziwny, całkiem czarny człowiek nakazał im gestem podążać za sobą. Omal nie wyskoczyli na zewnątrz, gotowi oddać się w ręce zbrojnych, a nie czarnego elfa. Uratowała ich Borgia, która niewiele myśląc, uderzyła svarte głową w brzuch. Zgiął się wpół i chareczał, próbując nabrać powietrza, jakoś tak bardzo po ludzku.

– To pomalowany człowiek, mówię wam, tchórze. – Spojrzała na nich z pogardą. Było ciemno, paliła się jedynie lampka oliwna, ale wszyscy byli dziwnie pewni, że patrzyła na Aslofa.

Svarte, lekko utykając, poprowadził ich pomiędzy stertami pakunków, skrzynek i dzbanów do znajdującej się pośrodku pokładu niewielkiej pustej przestrzeni. Stał tam stolik z wąską ławą. Przewodnik przesunął meble i otworzył klapę w podłodze. Ich oczom ukazało się ozebrowanie kadłuba i pełne jakiegoś mułu dno statku. Śmierdziało.

– Oni tu szcżą czy co? – Zeno pierwszy wyrzucił wszystko z żołądka.

– To już wiemy, skąd ten szlam – spróbował zażartować Tagi, ale nikomu nie było do śmiechu. Gdy kłapa opadła, a svarte odszedł, zabierając jedyne źródło światła, zrobiło się ciemno niczym w Helheimie.

Wkrótce potem zjawili się zbrojni i lampy na powrót wydobyły z mroków ładownię knorra. W pomieszczeniu pełnym natłuszczonych płacht zabezpieczających towar przed wilgocią nie ryzykowano trzymania otwartego ognia. Szmaciane łby przeszukały dosyć sumiennie zakamarki i wróciły na pokład. Znowu zapanowały ciemności.

– Idziemy?

– A źle ci tu, mały? – W odpowiedzi Erik podciągnął z chlupotem nogi pod brodę,

uderzając niby przypadkiem w plecy Czarnej Brody.

– Nie mały.

– I nie duży. Na Thora, aleś ty kościsty. Zrób tak jeszcze raz...

– Cisza, ktoś idzie.

Teraz wszyscy słyszeli kroki. Najpierw po skrzypiących szczeblach drabinki, potem po deskach pokładu.

– Dwóch – niemal bezgłośnie wyszeptał Zeno.

Znowu zrobiło się jaśniej. Ktoś przesunął stół, ktoś inny podniósł klapę.

– Wychodźcie. – Kupiec mówił normalnie, ale im wydawało się, że krzyczy.

Wygramolili się na zewnątrz, a ten sam pomalowany człowiek podał im pęk szmat.

Nie trzeba było znać języka Leónu, żeby zrozumieć, o co chodzi. Gdy próbowali zetrzeć z ubrań śmierdzący szlam, starzec wskazał Erikowi ławę.

– Usiądź, porozmawiajmy.

– Może najpierw wytrę się, panie?

– To może poczekać. Pokaż mapę.

Młodzieniec zaczął rozsznurowywać skórzaną bluzę.

– Poczekaj. Dlaczego zbrojni kalifa was szukają? Zabiliście kogoś? Jesteście szpiegami? A może spiskujecie z wrogami namiestnika Proroka?

– My? Gdzieżby tam. Przysięgam na czarne włosy mojej matki, że jesteśmy niewinni. Zresztą to dzięki nam kalif Abd ar-Rahman jeszcze żyje.

– Mówisz prawdę albo połowiczną prawdę, bo włosy masz słomiane. Słyszałem o was. A niech tam, mapa.

Erik znowu zaczął gmerać przy odzieży.

– Co robisz? Coś ty mu obiecał za nasze ocalenie? – W głosie Borgi pobrzmiwał niepokój.

– Coś, co przybyło do niego z Północy i czego on bardzo pragnie – rzucił cicho syn Eryka Zwycięskiego.

– Eriku, chyba nie mówisz o...

– Mówię. A teraz pozwólcie mi dokończyć transakcję, co być może uratuje wasze głowy.

– Sięgnął głębiej i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął złożony na cztery kawałek skóry. Rozpostarł go na stole i wspólnie z kupcem pochylili się nad mapą.

– To jest obiecany plan austrwégr, pokazujący drogę ze Szwecji do Krikiaru. Ta kropka, panie, to Birka, kupiecka osada w królestwie mojego ojca. Płynąc długą zatoką, a potem rzeką Newą dotrzesz do Starej Ładogi, niewielkiej osady handlowej leżącej na początku lub końcu wschodniej drogi. Dalej, w odległości trzech dni...

Erik tłumaczył etap po etapie, wskazywał na zagrożenia ze strony miejscowych, porohy, na których trzeba przeciągać łodzie łądem i takie, gdzie wystarczy tylko je odciążyć. Kupiec chłonał wszystko niemal z otwartymi ustami. To była przepustka do krainy, z której sprowadzano futra, jasnowłosych niewolników, miód i bursztyn. Towary poszukiwane na wszelkich dworach i drogach. To była żyła złota dla rzutkiego i niebojącego się wyzwania człowieka – niemal mityczna wschodnia droga. Starzec mlasnął, jakby poczuł na podniebieniu smak ambrozji. Można było korzystać z pośredników, ale wtedy handel stawał się znacznie mniej zyskowny, choć bezpieczniejszy.

Gdy młodzieniec skończył, kupiec Hamzi sięgnął po gęsie pióro, pergamin i kazał mu powtórzyć instrukcje jeszcze raz. Po wszystkim dorysował na stole niewidzialne linie brzegowe i trasę z Konstantynopola do Al-Andalus. Tym razem Erik chłonał każde słowo, każdy gest pomarszczonej dłoni.

– Przyjmuję twój dar. Wart był ryzyka. – Starzec i nieledwie mężczyzna doszli do porozumienia. – Przypominasz mi, chłopcze, mnie samego z lat młodzieńczych, gdy z woli Allaha stanąłem po raz pierwszy na pokładzie kupieckiego dau. Nie miałem nic poza pustą głową i dobrymi chęciami. Najwyższy postawił na mojej drodze mądrych nauczycieli, którzy zapełnili tę pustkę.

– Chcesz mnie, panie, obrazić? W mojej głowie już teraz mieści się wiele i jest pełna, zapewniam cię.

– Też tak wówczas sądziłem, chłopcze. – Starzec roześmiał się, budząc dziwne echa w ładowni. – Ale zostawmy minione dzieje. Dam przewodnika, który doprowadzi was bezpiecznie w pobliże obozu. Chyba że chciałbyś płynąć ze mną, młodzieńcze? Przydałaby mi się twoja otwarta głowa. Tych mężów też zabiorę, jeśli się zgodzą i wykąpią, bo śmierdzącie nieziemsko.

– Kuszysz, starcze, niczym olbrzymka Gullweig, ale mamy inne plany. Poza tym jest wśród nas kobieta.

– Kobieta? – Wzrok kupca uniósł się znad mapy i z uwagą zlustrował nieproszonych gości. – Mówisz o tym gładkolicym młokosie?

– Ciesz się, panie, że Borga nie zna twojej mowy. Zabijała za mniejszą obrazę.

– Nie przestraszysz Hamziego, kupca wielu mórz. Ale obecność kobiety na pokładzie wiele zmienia. One przynoszą marynarzom pecha i ściągają głodne ich wdzięków morskie potwory. Wolna droga. Oby Allah prostował wasze ścieżki, a wrogów czynił ślepcami.

– I tobie życzę, panie, by twe skipy niczym Drungnir – włócznia naszego boga – zawsze odnajdywały cel podróży.

– Musicie już iść. Mój człowiek powinien wrócić przed świtem.

– A zbrojni? Na pewno są jeszcze w pobliżu.

– Przeszukują inne moje statki. Ale tym się nie martw. Zarb sobie poradzi.

Zarbem okazał się malowany człowiek, czyli ten svarte. Był sprytny, jak mówił starzec, i znał dyskretne ścieżki. Nie mieli wątpliwości, że nie pierwszy raz omijał ze swoim panem miejskich mytników.

Po drodze wszyscy naraz i każdy oddzielnie wypytywali Erika, jak sobie poradził z kupcem. Opowiedział im wszystko, całą prawdę, łącznie z tym, że Hamzi chciał go ożenić ze swoimi pięcioma czarnookimi córkami, że zaproponował mu dziesięć mocnych trzydziestowiosłowych skipów na dobry początek i kamienny zamek.

Trochę mu nie dowierzali, szczególnie gdy chodziło o ten zamek, ale Aslof Czarna Broda obiecał, że od tego dnia nigdy na niego nie powie „mały”. Nawet Borga dała mu soczystego całusa i szepnęła na prawe ucho, że poza nauką spełni jedno z jego marzeń i jeśli chce, spędzi z nim kolejną noc. To pewnie bardziej na złość swojemu mężczyźnie, ale syn Eryka Zwycięskiego nie był pewien, czy nie skorzysta. Od kiedy tylko ją spotkał, ciągnęło go do jej miodu jak głodnego niedźwiedzia. Miała w sobie coś takiego... Raz widział, jak kąpała się w strumieniu. Wszystko było na swoim miejscu poza jednym. Runo sięgało jej prawie do pępka. Wtedy zakochał się w niej po raz pierwszy, ale wówczas jego propozycję Borga zbyła śmiechem.

Na długo przed świtem zobaczyli mur koszar. Svarte, nauczony doświadczeniem z ładowni, rozpląnął się w powietrzu i nie zdążyli mu nawet podziękować. Może to i dobrze, bo Tagi umyślił sobie, że obetnie mu jeden z palców, by pokazać braciom z drużyny jego pomalowaną skórę. Zjawił się za to, a jakże, brat Piotr.

– Długo czekałem, ale Pan Bóg i my, jego słudzy, jesteśmy cierpliwi. Modliłem się za wasz szczęśliwy powrót, moje dzieci, i niech dzięki będą...

Aslof przerwał tę gładką mowę, chwytając spowiednika za suknię. Potem nie zważając na

opór, zaciągnął go w bezpieczniejsze, zacienione miejsce.

– Mów. A ty, Erik, tłumacz słowo w słowo.

– Na miłość boską, synu, nie trzeba używać siły. Rozmową można więcej zdziałać niżli pięścią i trucizną. Choć niekiedy nie ma wyjścia. Jestem tu, by wynagrodzić wasz trud i złożyć pewną propozycję.

– A cóż on może nam ofiarować tu, w samym środku królestwa największego wroga? – parsknęła Borga z pogardą. – Gdzie nawet jego Jednobóg nie ma władzy? To biedak bez złotych i srebrnych obręczy, a i pierścień u niego...

– Zamilcz, kobieto! – warknął Czarna Broda. – Daj mu mówić, bo spędzimy tu resztę nocy.

– Nie jesteś jarlem, żeby mi rozkazywać, miękka pało.

– Ma rację – wtrącił Erik.

Na szczęście Tagiemu właśnie w tym momencie głośno i przeciągle zaburczało w brzuchu, co nieco rozładowało napiętą atmosferę.

– Mów.

– Chciałem prosić was o dyskrecję w wiadomej sprawie – zaczął ojciec Piotr. – Załatwiam interesy korony i w żadnym razie nie będzie to miało wpływu na wasz los. Po co więc rozgadywać o tym innym? Tu wszędzie pełno chętnych uszu i długich języków. Nie widzieliśmy się i z Panem Bogiem. W zamian dam wam królewski list żelazny, na mocy którego będziecie mogli liczyć na wolną drogę i pomoc w każdym zakątku Leónu.

– Masz przy sobie pieczęć swego władcy, paparze? – zapytał spokojnie Aslof, zbyt spokojnie.

– Mam – odparł cicho brat Piotr.

– Kim ty jesteś, człowieku, bo na pewno nie zwykłym godim swojego ludu?

– Działam w imieniu i z ramienia Jego Najjaśniejszej Mości Króla Ramira II. Tyle winniście wiedzieć i tyle mogę powiedzieć, synu.

– Nie jestem twoim synem ani babką, paparze. Albo powiesz, co robiłeś w nocy na tym polu, a my ocenimy, czy stanowi to zagrożenie dla naszych braci, albo jeśli chcesz, oddamy cię w ręce saekonunga i on rozsądzi, co dalej.

– Nie ma potrzeby, synu. Tajemnica, którą pozna wielu ludzi, przestaje być tajemnicą.

– Gadaj więc.

Brat Piotr chwilę milczał.

– Mów – powtórzyła za swoim mężczyzną Borga. Erik nie musiał jej nic tłumaczyć. Bardziej usłyszeli, niżli zobaczyli wyciągany z pochwy nóż.

– Przysięgniecie na wszystko, co dla was najświętsze, że to, co powiem, zostanie między nami?

Tym razem wikingowie milczeli niczym zakłęci. Nie zwykli składać takich przysięg obcym lub z byle powodu.

– Dobrze. – Królewski spowiednik wzruszył kościstymi ramionami. A raczej Erik wyobraził sobie, że właśnie to robi. – Z rozkazu mego władcy właśnie tej nocy udałem się na spotkanie z miejscowym biskupem. Wracałem z jednym z niewolników jego ekscelencji, gdy zaatakowali nas zbrojni kalifa. Mojego przewodnika zabili, a ja... Sami wiecie, co było dalej. Na Boga! Zadówólcie się tym wyjaśnieniem, bo innego nie będzie.

– A mnie się wydaje, że ściągniesz nam na głowy kłopoty. – Erik przetłumaczył słowa Borgi. Sam patrzył na brata Piotra, jakby go po raz pierwszy zobaczył. Skromny i cichy, okazał się szpiegiem swego władcy.

– Mówiłem wam już, że to sprawa między koroną a kalifatem. Nic wam nie grozi.

– Tak jak koniowi, na którego grzbiecie siedzi zbrojny? W boju bierze rany równie często jak jeździec – mruknął syn konunga. W odpowiedzi papar zamknął usta, które już ponownie otwierał.

– Rzykowaliśmy życie dla ciebie, oby nie na darmo. Czy okazując w porcie ten żelazny list, otrzymamy statki, o które poprosimy? Wypełnią ich ładownie prowiantem?

– Córko, na jego mocy wasza prośba będzie królewskim rozkazem. – W głosie brata Piotra usłyszeli ulgę. W istocie niemal otarł się o przedwczesne spotkanie ze swoim Jednobogiem.

– To dajmy mu już spokój – zwróciła się do kompanów Borga. – Nikomu nic się nie stało, a mieliśmy naprawdę dobrą zabawę ze szmacianymi łbami.

– Ja straciłem miecz ojca – dobiegło z ciemności.

– Ty wcześniej straciłeś znacznie więcej. – Może Erikowi się wydawało, ale z głosu wojowniczkii nie biła złośliwość, lecz smutek. To było coś nowego, o wiele, wiele gorszego dla przyjaciela.

– No to wszystko jasne, teraz musimy tylko niepostrzeżenie dostać się do obozu. – Syn konunga nie miał ochoty słuchać kolejnej kłótni. Znowu przypominali grupkę podrostków w trakcie pierwszej wyprawy na wiking.

Gdy znaleźli się za murem, co nie było trudne, gdyż szmacianych łbów przy bramie było jakby mniej, z uśmiechami pożegnali brata Piotra. Ten podreptał w stronę przydzielonego mu przez Kolbjørna pomieszczenia w trzewiach kamiennego hovu. Gdy spowiednik zniknął, Czarna Broda spoważniał i popatrzył na towarzyszy.

– Wierzycie mu?

– Chyba mówi prawdę.

– Po kryjomu spotykał się z tym kimś...

– Z biskupem – wtrącił Zeno. – To taki książę Kościoła.

– Z biskupem.

– To Serkirowie pozwalają wrogowi mieszkać we własnej stolicy? – Erik nie mógł nadziwić cię takiej głupocie.

– Nie mają wyjścia. Kiedyś był to kraj chrześcijan i nadal wielu ich tu mieszka – odpowiedział Zeno, który długie godziny spędził na rozmowach z królewskim spowiednikiem. – Może nawet większość.

– I oddali rządy obcym? – Borga była bardziej wojownicza od wielu mężczyzn.

– Nie nasza rzecz. Dla owczarza nie ma znaczenia, czy owca jest czarna, czy biała. Byle wełnista. – Zaśmiali się.

– Tak mi się teraz zdaje – Erik podrapał się w głowę – że nasz braciszek Piotr i sam król Ramiro od początku wozili nas na postronkach. Wiedzieli o złotych jeńcach.

– Daj spokój, chyba nawdychałeś się tych oparów spod pokładu.

– A ty się nie nawdychałeś, łuczniku?

– A i owszem, ale wszystko, co weszło górą, zaraz wyszło dołem i...

– Poczekajcie. – Aslof nie miał ochoty na zarty. – Mów dalej, Eriku.

– A skoro tak, to znaczy, że szliśmy przecinką wyrąbaną przez kogoś innego. Co może być cenniejsze dla władcy niż rozwleczenie po placu flaków jego najzaciętszego wroga, króla innej krainy?

– Hov w płomieniach z jego braćmi i synami? Skrzynie ze skarbami, które ukrył na czas po śmierci? Nie mów zagadkami, jest późno.

– Według mnie od konunga wrogię królestwa cenniejsze jest samo królestwo.

BORGA





Jeszcze tej samej nocy, pomimo zmęczenia, Erik odwiedził śpiącą pod jednym z drzew Borgę. Po kłótni z Aslofem wyprowadziła się ze wspólnej hali. Był wprawdzie świeżo zakochany w Samboi, ale po pierwsze, niewolnicę jarl trzymał cały czas przy sobie, po drugie, to o wojownicze marzył tak długo, że mu się po prostu należało. A skoro Freja dała szansę...

Kobieta w pierwszej chwili mało nie wbiła młodzieńcowi saksę w gardło, poznawszy jednak, z kim ma do czynienia, uchyliła koc. Noce były gorące, spała nago.

– Długo mam czekać, byś otulił się wspólnie ze mną gieźłem? – ponagliła, gdy zamarł zaskoczony brakiem odzienia. Szybko się jednak otrząsnął. Blask księżyca słabo rozświetlał okolicę, ale to, czego nie widziały oczy, wyczuły dłonie. Pożądanie w nim narastało, wypełniając jego krew ogniem. Przestało się liczyć zmęczenie, a nawet to, czy któryś z wychodzących za potrzebą kompanów nie zobaczy stwora o dwóch głowach. Borga miała ciało twarde, całkiem inne niż ponętna Dajlidis, z którą ostatnio miał okazję legnąć w łóżu jej pana męża. Ale potrafiła z nim wyczyniać takie sztuczki, które żonie margrabiego nie mieściłyby się w głowie. Gdy wszedł w nią po raz pierwszy, pieściła go samym drzeniem mocnych mięśni, sama pozostając niemal w bezruchu. Erik starał się bardzo wytrzymać jak najdłużej, ale równie dobrze mógłby chcieć krzykiem przegnać burzę.

Podczas kolejnych zmagania to wojownicza była na górze. Dosiadła młodzieńca niczym wytrawny jeździec rumaka, a gruby warkocz uderzał rytmicznie w miejsce między dwiema niewielkimi, ale kształtnymi piersiami. Gdy zaczęła cicho jęczeć, ale tak z głębi gardła niczym wilczyca w rui, znowu nie wytrzymał. Na szczęście młodość wyposażyła go w duży zapas męskiej mocy. Za trzecim podejściem drżał cały, a przecież noc była ciepła. Wojownicza oddychała coraz szybciej i szybciej. W jej oddechu, który muskał mu policzek, wyczuł nową, korzenną woń. Tym razem zrobili to wspólnie. Erik jeszcze nigdy nie czuł tak wielkiej przyjemności.

Gdy było po wszystkim i oboje leżeli, wpatrując się w migocące gwiazdy, szepnął:

– Chyba się w tobie znowu zakochałem, Borgo.

Cichy dziewczęcy śmiech nie bardzo pasował do srogiej wojowniczkii.

– Bzdury opowiadasz, Erik. Ty kochasz tę swoją Dajlidis, wszystkim nam o tym mówiłeś.

– To stara sprawa. Teraz kocham Samboję i ciebie.

– Niewolnicę z Gardariki? Mój mały – w jej ustach ta obelga brzmiała całkiem miło – jarl złamie ci kark, gdy ją choćby tkniesz bez jego zgody. Zapomnij.

– Coś wymyślę. Ale teraz to właściwie mi się nie śpieszy, bo mam ciebie.

– Wiesz, że to tylko zemsta na Czarnej Brodzie. Dzięki tobie poczułam się trochę lepiej, i to wszystko. Nie powiem, dzielnie stawałeś, ale... Lubię cię i nic więcej. – Mówiąc to, odgarnęła zlepione potem kosmyki z czoła młodzieńca.

– Dobrze i to na początek. Będę z tobą toczył boje co noc, aż mnie pokochasz.

– Na bogów, daj spokój. To był pierwszy i ostatni raz. Tak naprawdę to chcę Aslofa i tylko jego. Choć muszę przyznać, że uszczęśliwisz niejedną kobietę, wilczku.

– Podejrzywałem, że to jedynie zemsta – powiedział markotnie Erik. – Dlatego nie odkładałem tego na jutrzejszą noc, mogłabyś się rozmyślić.

Zmierzwiała mu włosy.

– To dwie sprawy i już mnie nie ma.

– No?

– Co to za gąszcz? Sam nie wiem, jakim cudem przedarłem się przez te chaszcze i trafiłem do portu. W tej ciemności wiele razy zastanawiałem się, gdzie twoja głowa, a gdzie...

Uderzyła go w ramię tak, że zabolalo.

– Wszystkie kobiety w mojej rodzinie takie mają. Gdybyś zobaczył mężczyznę, powiedziałbyś, że ja jestem niemal łyśa. – Znowu zaśmiała się bez troski. – A ta druga?

– Nie zdradź mnie przed Aslofem, to mój przyjaciel.

– Przysięgam na miecz i pierścień. I masz rację, jutro rozmawialibyśmy inaczej. Ale wiesz co? Nie żałuję.

Młodzieniec wstał. Nogi trzęsły mu się niczym po długiej bitwie.

– Śpij szybko. Gdy wzejdzie słońce, zaczynamy ćwiczenia – usłyszał, gdy szedł do kamiennego hovu. To nic, że ona go nie kocha. Poczeka i kto wie co zaplanowały dla nich normy. Na razie pozostała mu walka. Niewiele przecież różni się od cielesnych uciech: jest pot, bliskość, podniecenie, a nawet krew.



Rankiem ledwo zwał się z barłogu, ale dał przecież słowo. Borga czekała przy wyjściu z hovu. Dla rozgrzewki obiła swego ucznia kijem, tak że z trudem utrzymywał drewnianą pałkę w dłoniach. Ale to był dopiero początek. Następną godzinę ćwiczyli wyjmowanie z pochwy na szyi niewielkiego saksu. Kobieta markowała atak, a on starał się uprzędzić ten ruch. Równie dobrze mógłby próbować chwycić w locie rozdrażnioną muchę – niewykonalne.

– Martwy! Martwy! Martwy! – Słowo to padało za każdym razem, gdy jej nóż kasał jego pierś.

– Obserwuj oczy, w nich pojawia się zamiar – tłumaczyła cierpliwie. – Zwracaj uwagę na ruch ciała, przed uderzeniem człowiek lekko spina ten bark, z którego wyprowadzi cios. Patrz na usta, przed wysiłkiem bezwiednie nabieramy powietrza. I sam unikaj tych sygnałów! – Te i inne rady na niewiele się zdawały. Ciągłe to jej saks był szybszy.

Ale to nic, wiedział, że się nie podda. Nie okaże słabości przed kobietą, z którą było mu tak dobrze. A kiedyś kto wie... Czasami nóż zastępowały palce. Wepchnięte w oczy były równie skuteczne jak zimne ostrze.

Ćwiczenia przerwało nadejście wojska kalifa. Strażnicy zadęli w rogi.

GWARDZIŚCI  
KALIFA



Kolbjørn Krzywe Zęby stał na środku placu, z kciukami zatknętymi za pas. Każdy, kto go znał lepiej, ominąłby dzisiaj saekonunga szerokim łukiem. Całą noc tęgo pił z kompanami. Podpuchnięta twarz i czerwone oczy nie zwiastowały niczego dobrego.

– Panie. – Góral podszedł bliżej i zgiął się w ukłon. – Słońce Słońce, namiestnik Proroka, Abd ar-Rahman III an-Nasir Ibn Muhammad Ibn Abd Allah, przysyła obiecanych zbrojnych.

Kolbjørn, który obserwował nowo przybyłych, przeniósł swój ciężki wzrok na Al-Gabalego.

– Kalif wzywa nas przed swoje oblicze?

– Przyjmie zamorskich przyjaciół tak szybko, jak tylko będzie mógł. A na razie...

– Milcz! Dosyć mam już zwodzenia i siedzenia na dupie w tej złotej klatce. Przekaż swojemu panu, że czekam tylko dziesięć dni, potem odwiedzę go bez względu na to, czy mnie zaprasza, czy nie. I niech bogowie rzucą mojego żywego ducha smokowi na pożarcie, jeśli poczekam choćby dzień dłużej!

– Powtórzę twe słowa, panie. – Góral wyprostował się, a z jego twarzy zniknął usługny uśmiešek. – Wiedz jednak, że to kalif nawet królów wzywa przed swój majestat, nigdy odwrotnie.

– Dziesięć! Zapamiętaj!

Nowo przybyli jeźdźcy stali w zwartym szyku. Wszyscy młodzi, niemal jednakowo ubrani, sprawiali wrażenie świeżych rekrutów. Poza bronią, która nosiła wyraźne ślady walki. Wielu spod spiczastych hełmów wyglądały jasne włosy. Ubrani byli w niebieskie tuniki, spod których połyskiwały dobrej roboty kolczugi. Każdy przy siodle miał łuk z kołczanem, za pasem długi nóż, a na plecach małą okrągłą tarczę. W prawym ręku dzierżyli długą włócznię o cienkim ostrzu, śmiertelnie niebezpieczną broń konnicy.

Kolbjørn przeczesał palcami niezbyt czyste włosy na skroniach.

– A teraz pokaż, co są warci ci niewolnicy. Ładniutcy, ale moja najmłodsza też jest gładka, a woja z niej nie zrobisz.

– Naja! – krzyknął Góral. Szczupły jasnowłosy mężczyzna zeskoczył z wierzchowca i trzymając zwierzę za uzdę, podszedł do saekonunga. Padł przed nim na kolana, potem na twarz, kładąc stopę jarla na swoim karku. W absolutnej niemal ciszy przymocowana do hełmu kolczuga wydała cichy metaliczny szmer.

– Panie – powiedział łamanym szwedzkim – nasze życie należy do ciebie.

– Jest więcej takich jak ty?

– Nie rozumiem, panie.

– Czy więcej z was mówi ludzkim językiem, kupo gówna?

– Ja słabo, lepiej rozumiem. Tylko jeden – padła odpowiedź.

– Cóż, to i tak więcej, niż mogliśmy się spodziewać. To powiadasz, że twoje życie jest w moich rękach?

– Moje i oddziału, całych nas, panie.

– Wstań, bo kark mnie boli od tego pochylania. – Gdy ten, którego Góral nazwał Nają, wykonał rozkaz, jarl wskazał palcem najbliższej stojącego jeźdźca.

– Zabij więc tego tam.

Na twarzy mężczyzny nie drgnął żaden mięsień. Krzyknął jakąś komendę i wskazany jeździec zsiadł z konia. Podszedł do jarla tak, jak wcześniej jego dowódca, i zdjął hełm. Twarz miał smagłą, w czarnych oczach nie było strachu. Coś cicho powiedział w języku szmacianych łbów.

– Mogę zabić tu, panie, choć lepiej, żeby krew na rękach tego, który to rozkazuje. Ale jeśli powiesz tak, Zaid sam poderżnie gardło. – Gdy kończył mówić, ten, którego nazwał Zaidem,

przyłożył sobie zakrzywiony nóż do szyi. – On dobry i szkoda jego, ale wykonamy rozkaz. Jeśli i to mało... – Młody dowódca odwrócił głowę i krzyknął coś do pozostałych. Jak jeden zeskoczyli z koni i na ich szyjach załśnił metal.

Na styku ostrza ze skórą u czarnookiego woja pojawiły się krople krwi.

– Już wystarczy, jarlu, niech w walce umierają, nie na placu! – Erik sam zdziwił się swojej śmiałości. Może to był skutek ciosów w łepetynę, które otrzymał od Borgi. Nie wystąpił jednak przed gęstniejący z chwili na chwilę tłum Skandynawów. Był głupcem, ale nie skończonym.

Krzywe Zęby warknął niby dzikie zwierzę. Może to złudzenie, ale w kącikach jego ust pojawiła się piana.

– Jak śmiesz się odzywać, psie! Ledwie od cycka oderwany młokosie! Jeśli mnie wyzywasz, przyjmuję...

– Kolbjørn! – przerwał tę tyradę Hall Germundson, kapitan *Długiego Węża*. – Okazali posłuszeństwo, nie musisz ich zabijać.

– Nie ty o tym zdecydujesz, szczopiju – syknął saekonung. – Lepiej się nie wtrącaj, Hall.

– Niewolnik jest własnością nas wszystkich. A my nie chcemy bez potrzeby tracić cennego towaru. – Hall zatrzymał się przed swoim wodzem. – Odpuść, przyjacielu, to... – Nie dokończył. Wyciągnięty błyskawicznie z pochwy długi saks utonął w jego piersi na wysokości serca. Zaskoczeni byli wszyscy, nawet sam Krzywe Zęby, którego dłoń zaciskała się na rękojeści noża.

– Nie trzeba... bogowie... niech i tak... – zdołał wyszeptać ranny i padł bez życia na udeptany setkami stóp plac.

– Niech cię Thursy rozszarpią, Hallu Germundsonie, po coś tu przylazł? – W głosie saekonunga słycać było ból. W jednej chwili z głowy wywietrzało mu całe wino. – Zła chwila, przyjacielu, zły moment. Musiałeś się wtrącić? Musiałeś?

Odwrócił się i wyłowił z tłumy bladą twarz Erika. Jego wzrok zdawał się mówić: To twoja wina, zapłacisz mi za to.

Nikt się nie odzywał, wszyscy zamarli. Jedynie wierzchowce zaniepokojone zapachem krwi zaczęły lekko tańczyć w miejscu.

Saekonung przykląkł, wyjął z piersi trupa nóż i odrzucił go ze wstrętem. Potem dźwignął martwego towarzysza wielu wypraw, z trudem, bo był to szeroki w barach mąż, i ruszył w stronę budynku.

Tłum rozstąpił się przed nim, a do uszu Al-Gabalego dobiegł, zdało się, martwy głos:

– Dziesięć dni, Góralu.

Tego ranka Kolbjørn Krzywe Zęby stracił dużo w oczach braci z drużyny. Wielu lubiło i ceniło kapitana *Długiego Węża*. Śmierć jest tylko bramą, więc powspominali przyjaciela i życzyli mu dobrych walk w Komnacie Poległych. Powstało wiele sag o dzielnym Hallu i jego czynach. Życie toczy się dalej. Jedno zmieniło się na pewno, od tego dnia saekonung rzadziej się uśmiechał i nie wziął do ust kropli alkoholu.

Hall nie miał rodziny wśród swojej załogi, więc ewentualna zemsta będzie musiała czekać, aż zabójca Germundsona przybije do ojczyzny Szwecji. Chyba że wróci jako człowiek majątny i złotem uśmierzy wściekłość, płacąc vergeld.

Poza tym pechowym zdarzeniem niewolnicy będący darem kalifa zostali przyjęci z otwartymi ramionami, choć bez zaufania. Nie stali się częścią drużyny, do tego trzeba wielu wspólnych walk i krwi, zasadzek i wieczornych ognisk. Jeśli jednak się sprawdzą, wzmocnią siły Skandynawów i to się liczyło. Zajęli odrębne skrzydło koszar i zawsze ktoś miał na nich oko. Wszyscy byli bardzo młodzi, ale jak zapewniał Góral, od wielu lat ćwiczeni w jednym celu – do

walki. Część z nich kiedyś kupiono, inni zostali sami na świecie i odnaleźli dom w koszarach. Z takich, oddanych ponad życie swemu władcy, składała się przyboczna gwardia kalifa Abd ar-Rahmana. Pytanie, które stawiał sobie nie tylko jarl, ale też inni wojowie z Północy, brzmiało: Czy w prawdziwym boju nie wbiją im noża w plecy?

Erik, który był w podobnym wieku – nieco młodszy, ale w zimnym kraju ludzie dorastają szybciej – spędzał z niewolnikami każdą wolną chwilę. Oczywiście, jeśli nie potykał się w tym czasie ze swoją mistrzynią. Zabierał ze sobą jednego, dwóch przyjaciół, ale dopiero wizyta Borgi zrobiła na nich piorunujące wrażenie – pękali ze śmiechu. Jak twierdzili, żadna kobieta nie może w boju dorównać mężczyźnie.

– To jak włączanie kruchego mosiężnego ogniwa w żelazny łańcuch pętający kotwiczny kamień – twierdzili. – Pierwsze pęknie i statek rozbije się o skały. Zmienili zdanie, gdy bliżej zapoznali się z jej kijem. A było to tak.

Drugiego dnia po ćwiczeniach wspólnie z córką Jorunnda zajrzeli do części budynku zajmowanego przez niewolników. Ci potraktowali ich z szacunkiem, szczególnie Erika, który jak twierdzili, uratował im życie. Nie była to cała prawda, ale syn konunga nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Gdy dowiedzieli się, że Borga jest kobietą, niedowierzanie zmieniło się w pogardę. Potem setka mężczyzn rżała niczym stado ogierów.

– Wybacz, pani, ale... ale jak z kociołka nie hełm, tak... tak z kobiety nie żołnierz – wydusił z siebie Naja między kolejnymi atakami wesołości.

Borga przyjęła to spokojnie, ba, nawet sama się roześmiała.

– Widzisz, niewolniku – rzekła, gdy się nieco uspokoiło. – Gdyby jaja czyniły mężczyznę, kury byłyby najznamienitszymi wojami.

Naja zamyślił się, a potem znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nie, pani, żarty wesołe, ale... zmiierzmy się w walce?

Bordze nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nim te słowa wybrzmiały, stała przed niewolnikiem z mieczem w garści.

– Nie, pani – powtórzył. – Nie zabijać, tylko pokazać. – Krzyknął coś do swoich kompanów i jeden z nich pobiegł w głąb pomieszczenia.

– Co mu masz pokazać, słodka. – Erik wyszczerzył zęby. – Że jesteś białogłową? No jeśli tak, to musisz więcej... – Cios płazem miecza w pośladek nie należy do przyjemnych. Lekko utykający młodzieniec uskokzył poza zasięg tej broni.

Niewolnik przyniósł dwa ćwiczebne kije.

Potem stało się to, co miało się stać. Okrutnie poobijany Naja padł w końcu na kolana i skłonił się do ziemi. Nie to, żeby miał jakiś wybór po kilku celnych ciosach w okolice kolan i łydek i mocnym uderzeniu w brzuch. Jego własny kij już dawno poleciał w dziwnie milczący tłum. Borga uznała pokaz za zakończony.

Od tego dnia niewolnicy na widok wojowniczkę zawsze wiwatowali, a ich dowódca wodził za nią maślanym wzrokiem niby pies za swoim panem. Następny głupiec złapany w mocną sieć tej walkirii.



Kolejne dni saekonung wyciskał na ćwiczeniach ze wszystkich, również z siebie, siódme poty. Jakby chciał zapomnieć, nie myśleć. Pewnie tak było. Gdy plac przed koszarami okazał się zbyt mały do manewrów z nową jazdą, zmusił Górala, żeby udostępnił do ćwiczeń miejski hipodrom, o którym wspomniał mu Czarna Broda. Do Erika się nie odzywał, a i konungowy wyskrobek nie szukał jego towarzystwa. A już na pewno bez obstawy dwóch, trzech wypróbowanych przyjaciół.

Podczas ćwiczeń jeźdźcy wykazywali się dużym kunsztem. Czasami miało się wrażenie, że stanowią jedność ze swoimi gorącokrwistymi końmi. Strzelali w pełnym galopie z takich pozycji, w których normalny człowiek miałby problem z utrzymaniem się w siodle. I trafiali. Byli tym, czego Szwedom tak bardzo brakowało – ruchliwą lekką jazdą, zdolną do zwiadu, niespodziewanych ataków i osłony skrzydeł. I ciągle niepewną.

W całym tym rozgardiaszu Erik zapomniał o dziwnym zachowaniu brata Piotra. Nie można tego samego powiedzieć o wścibskiej Bordze.

Zmierzchało, gdy oddziały wróciły do koszar, jak zwykle żołnierze byli brudni od pyłu i potu, ale szczęśliwi. Tak po prostu, zwyczajnie, ze zmęczenia. Podczas dzisiejszych treningów ćwiczyli przez całe popołudnie pozorowane ucieczki i ataki konnicy na najeżony włóczyniami skaldborg. Dobrze to robiło koniom, które przyzwyczały się do tego rodzaju pojedynków. Borga została w obozie, gdyż poprzedniego dnia zatrula się jakąś potrawą, Aslof twierdził, że miała te trudne dla kobiety dni w miesiącu i tyle. Więc gdy się przebrali, jeszcze przed nattverdhr[21], odciągnęła na bok swoich młodych przyjaciół. Czarna Broda przyszedł nieproszony.

– Byłam w komnacie tego papara – zakomunikowała z tajemniczym wyrazem twarzy. Patrzyła podekscytowana na kompanów, oczekując jakiejś reakcji, ale oni spoglądali na nią nie nierozumiejącym wzrokiem.

– No, to sobie wymieniłaś prawdziwego mężczyznę na zająca – mruknął Aslof. Wojownicza udała, że nie słyszy tej zaczepki.

– Wiecie, że mu nie ufam.

– Nie jemu jednemu – dodał Czarna Broda z rezygnacją.

– Nie dogaduj, chędogi, a najlepiej to w ogóle się nie odzywaj. – Borga aż zająknęła się z wściekłości. – Ty...

– Chciał powiedzieć, że nie ty jedna nie ufasz paparowi, ale na Odyna, co z tego? – łagodził sytuację Erik.

– Bo coś odkryłam. Gdy zobaczyłam, że w swoich sprawach poszedł do drugiej części hovu, zakradłam się. Sala, w której sypia, jest pusta, nie licząc starego siennika. I właśnie pod nim, u wezłowia, znalazłam dziwną, bardzo ciężką małą metalową skrzynkę.

– Masz ją tu? – Tagiemu zabłyśły oczy.

– Chyba zamieniłeś się z trollem na rozumy. Od razu by zauważył, że zniknęła. Próbowałam ją otworzyć, ale ma aż dwa zamki i dodatkowo owinięta jest łańcuchem z metalowym zamknięciem. Sama nie wiem, jak on śpi z czymś takim pod głową.

– I nic więcej? Znalazłaś tam coś jeszcze? – Erik był lekko rozczarowany.

– A ty co myślisz, że ten papar samego króla trzyma w ukryciu? Setkę zbrojnych na podporządku?

– No nie, ale skrzynia? Każdy z nas ma kufer na rzeczy.

– Ale nie tak małej, z kutego metalu i dobrze zabezpieczony. Tam jest coś ważnego, mówię wam.

– Może złoto? Tylko po co paparowi pieniądze? On sam wygląda trochę jak żebrak. No i gdyby chciał przekupić kogoś na dworze kalifa, to nie taką skrzynię ze złotem musiałby mieć, ale wielgachną jak nasze kufery na skipach.

– Nie ma wyjścia, musimy wykraść ten skarbczyk i zobaczyć, co jest w środku – zawyrokował Aslof.

– Ty, Czarna Broda, byłeś i jesteś głupi. Jak otworzysz coś takiego?

– Nie pozwalaj sobie za dużo, kobieto. A otworzę młotem, a co.

– Najwyżej powyginasz, mówiłam, że to kuta stal z grubymi na dwa palce zawiasami.

Kowal by dał radę, ale gdzie tu takiego szukać? No i jak papar zobaczy porozbijaną skrzynkę, to będzie wiedział, że to my.

– I co z tego? Mamy prawo, a nawet obowiązek wobec braci, by to sprawdzić. Tak czy nie?

– Ma rację – poparł przyjaciela Tagi. – Bo co będzie, jak ten godi ściągnie nam na głowy zemstę kalifa? Co będzie z obiecany złotem? – uściślił.

– Nie bądź głupi, łuczniku. Jeśli Abd ar-Rahman się rozeźli, złoto będzie naszym najmniejszym problemem. – Erik też to czarno widział.

– To co, postanowione? Borga, kochanie, wykradniesz mu tę szkatułę czy na czym tam sobie sypia?

– Nie jesteśmy już razem, Aslof, nie mów tak do mnie. Ale zanim się przed nim zdradzimy, śledźmy brata Piotra. Skarbczyk zawsze możemy zabrać. Poczekajmy jeszcze dwa dni, potem zrobimy po twojemu.

Wszyscy się zgodzili, że pomysł wojowniczy jest dobry, i ruszyli w stronę pomieszczenia, które służyło zbrojnym za jadalnię.

– Ty nie, Tagi – osadził w miejscu łucznika Czarna Broda. – Zaczynasz. Poszukaj papara i nie spuszcza go z oczu, ale tak by cię nie spostrzegł.

– Ale nattverdhr?

– Zjesz później. Tu chodzi o życie nas wszystkich.

– Co mi tam życie, z pustym żołądkiem nie idę, i już.

– Przyniesiemy ci coś. Ja bym została. – Borga położyła młodzieńcowi rękę na ramieniu.

– Zresztą mój uczeń też będzie ruszał szczęką dwa razy szybciej. Czeka nas kolejna lekcja, Eriku.

– Nie o takiej szybkości myślałem – burknął młodzieniec.

– Uczeń? A czego ty go uczysz, kobieto, sikania w przysiadzie?

– Szybkości żmii, Czarny. Chcesz się pośmiać, to nie zjesz posiłku. Możemy się bić tu i teraz. – Syn konunga nie żartował i Aslof machnął ręką. Dodał tylko jak to on: – Jakbyś chciał też cycki, to musisz wpierw jajka... – Nie dokończył, ze śmiechem uskakując przed kopniakiem.

– Ale pół dnia nic nie jadłem – marudził dalej łucznik. Potem jednak ruszył w stronę pomieszczenia zajmowanego przez brata Piotra. Burczał po drodze o głodzie i czarnej niesprawiedliwości, ale zamierzał wykonać zadanie. Może Tagi Instadsson nie był typem wodza ani skalda myśliciela, ale wszyscy wiedzieli, że można było na nim polegać. Zawsze.



SEKRET  
BRATA PIOTRA



Dwa dni minęły szybko. Brat Piotr robił to co zwykle, głównie modlił się do swojego Jednoboga Krysta. Całe noce przesypiał, czego nie można powiedzieć o pilnujących go młodych wojownikach. Za dnia wyruszał w roli obserwatora na hipodrom zwany Musarą. Może się wtedy z kimś spotykał, ponieważ te pozorowane walki przyciągały sporo gapiów. Po wszystkim zaszywał się w swojej części wielkiego hovu.

To Erik wpadł na pomysł obejrzenia zawartości skarbczyka bez jego czasochłonnego rozbijania, o ile w ogóle udałoby im się dostać do środka.

Po powrocie z placu ćwiczeń, przed posiłkiem, grupa wojów szła krok w krok za paparem. Brat Piotr zrobił się czujny, ale nic nie mógł poradzić na to niechciane towarzystwo.

– Wejdziemy z tobą, dla bezpieczeństwa. – Aslof pierwszy znalazł się w pomieszczeniu sypialnym.

– Ale co się stało? – Duchowny wyłowił wzrokiem Erika. – W czym problem, synu?

– Nic nowego, chcemy ten metalowy list, który nam obiecałeś, i sobie pójdziemy.

Gdy Erik przetłumaczył żądanie przyjaciela, spowiednik uśmiechnął się niepewnie.

– Aaa, list żelazny. Po posiłku, bo choć nie brałem udziału w ćwiczeniach, jestem wielce strudzony i głodny. Bóg nie zwolnił swoich sług z jedzenia. Wy zapewne również?

– Ale my chcemy go teraz, bracie Piotrze. – Erik też postanowił być stanowczy.

– Jak teraz? Muszę go napisać, wysuszyć, przyłożyć pieczęć królewską. Jak mówiłem, po biesiadzie...

– Tu masz pergamin i wszystko inne. – Borga przykucnęła i wyciągnęła spod siennika tajemniczą skrzynkę.

Trochę trwało, nim duchowny zrozumiał, o co chodzi. Drugie tyle i kobieta otrzymała przetłumaczoną przez Erika odpowiedź.

– Nie, nie, to, co trzymasz w ręku, córko, to relikwiarz dla tutejszego biskupa – Rabiego Ibn Zajada al-Usufa.

– Czyli co?

– Jak to co, kości palca wskazującego świętego Eufrazjusza z Cuevas, jednego z *Viri Apostolici* naszego Kościoła, męczennika, który oddał życie za wiarę. Mój pan obiecał biskupowi Kordoby ten dar.

– Kość? A po co komu kość? – Borga z wyraźnym wysiłkiem potrząsnęła szkatułą i nasłuchiwała odgłosów.

– To bluźnierstwo, córko! Bóg cię nie pokarał tylko dlatego, że nie wiesz, co czynisz.

– Chciał odebrać skarbczyk, ale w miejscu zatrzymał spowiednika mocny uścisk ręki Czarnej Brody.

– Albo dasz nam teraz ten list, albo zabieramy wszystko.

– To *negotium crucis* i niech Bóg się zlituje nad wami biednymi za zbezczeszczenie świętych członków. Napiszę, tylko nie potrząśnij więcej relikwiarzem, dziecko, albowiem zniszczysz jego bezcenną zawartość. Panie Eriku, powtórz, proszę, niezwłocznie moje słowa.

Sięgnął ręką za rozcięcie pod szyją i wyciągnął dziwne płaskie metalowe puzdro. Nawet Czarna Broda był pod wrażeniem.

– Ładne. Myślałem, że wy tam zawsze nosicie krzyże.

Królewski spowiednik zbył milczeniem tę uwagę, może dlatego, że to samo zrobił tłumacz. Wyciągnął z kaptorgi starannie owinięte w zwitki materiału trzy małe kluczyki.

– Pozwól, córko. – Z ulgą na twarzy odebrał od Borgi metalową skrzynkę. Postawił ostrożnie na kamiennej posadzce, odpiął i wysunął przewleczony przez cztery ogniwa łańcuch. Potem z wielką pieczołowitością umieścił w specjalnych otworach dwa niemal identyczne

klucze. Jednocześnie nacisnął. Może im się wydawało, ale usłyszeli ciche kliknięcie. Brat Piotr delikatnie uchylił wieko. Z kilku piersi wyrwało się westchnienie zachwytu, gdy wyciągnął pięknie przyozdobioną złotem i szlachetnymi kamieniami szkatułkę. Uniósł ją do ust, ucałował z namaszczeniem i odstawił. Sięgnął po żółtawy pergamin, atrament, pióro i ułożywszy to wszystko na jednym z większych płaskich kamieni posadzki, zaczął pisać. Podczas tej czynności spowiednik śmiesznie wysuwał koniuszek języka.

W tym czasie Erik wybiegł poszukać lampy oliwnej do roztopienia wosku. Gdy wszystko było gotowe, papar z chmurnym wyrazem twarzy odcisnął pieczęć i wręczył list Aslofowi.

– Tylko ostrożnie, póki wosk całkiem nie obeschnie. Jak widzicie, spełniłem swoją obietnicę. Właściciel tego pisma działa z mocy i na rozkaz króla Leónu. Teraz, jeśli łaska, chciałbym pomodlić się na osobności.

– Oczywiście, ale jeśli ty pozwolisz, czcicielu Krysta, my chcielibyśmy sprawdzić, czy zawartość twojej skrzynki nie przyniesie szkody naszym braciom. – Gdy Erik skończył tłumaczyć, zwykle spokojna twarz brata Piotra nabrała orlego wyrazu.

– Jak to? Nie tak się...

Aslof bezceremonialnie odebrał metalowe pudło.

– Niczego nie ukradniemy, mamy swój honor. Choć ta piękna szkatułka musi być warta kilka wsi.

Czarna Broda wyjmował teraz tajemniczą zawartość i kładł obok kufierka. Z zewnątrz całkiem spory, w środku miał niewiele miejsca. Gdy skończył, światło dzienne ujrzały poza przyborami do pisania prosty metalowy krzyż, pięknie oprawiona w skórę i srebro księga oraz kilka listów i pieczęci.

– Musi tam być coś jeszcze – nie dawał za wygraną Czarna Broda. Odwrócił do góry dnem skarbcezyk i zaczął nim potrząsać. – Ciężki, na jaja Odyna, ciężki. – Stękał.

Brat Piotr doskoczył do niego tak szybko, że żaden z wikingów nie zdążył zareagować.

– Odstaw to, synu, zaklinam cię w imię Boże!

Tłumaczenia tu były zbędne i Aslof kopnął papara tak, że ten, trzymając się za brzuch, wyładował na sienniku.

– Ja tylko patrzę, czy czegoś nie przegapiliśmy.

– Powiedz mu, Eriku, by postawił moją własność, i to w miarę delikatnie, na posadzce tej komnaty. To nie jest zwykła skrzynia. – W głosie duchownego pobrzmiwała rezygnacja. – Nie można nią bezkarnie rzucać i potrząsać, a już pod żadnym pozorem jej odwracać.

Gdy młodzieniec uczynił, o co go proszono, usłyszał:

– Mocna jest, nic się jej nie stanie. – Aslof nie był w ciemną bity. Czcicielowi Krysta o coś chodziło, tylko o co? Zdwoił wysiłki, aż mu żyły wystąpiły na szyi.

– Ma podwójne ściany! – zapiszczał brat Piotr tak, jak krzyczy przyłapany na cudzołóstwie kochanek żony z mężowskim saksem na gardle. – Gdyby ktoś niepowołany próbował dostać się do środka, pojemniki z palącą wodą pękną i wszystko ulegnie zniszczeniu.

– Naśmiewasz się z nas? Postaw to, Czarny, tylko powoli. – Teraz to Erik przykucnął i zaczął obmacywać metalową skrzynkę. Pod warstwą materiału, w okolicy zawiasów i zamków, odkrył szklane zbiorniczki z żółtawą cieczą. A może to szkło było przydymione?

– Mówił prawdę! Ale to wszystko zmyślne, tylko po co tyle zachodu?

Już miał zakończyć poszukiwania, gdy w jednym z rogów trafił na dziwne wgłębienie wielkości kciuka. Przycisnął i ku swemu zdziwieniu poczuł, jak metal lekko ustępuje, a w dnie coś metalicznie szczęknięło.

– Podaj saks, Borga, ten malutki, do rzeźbienia.

Wojownicza w milczeniu spełniła prośbę i już po chwili obok wcześniej wyjętych

przedmiotów leżało obite czerwonym materiałem żelazne dno.

Pod nim znajdowało się wgłębienie, do którego miała spłynąć żółta woda ze zbiorniczków. A w nim kolejny list.

Erik wyjął delikatnie znalezisko i pokazał wszystkim.

– Ten ma dwie nienaruszone pieczęcie. Dlaczego nie był z innymi, bracie Piotrze?

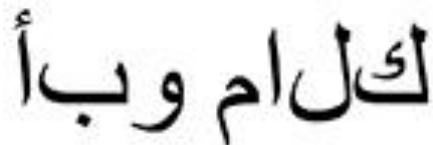
Zagadnięty milczał. Dopiero po powtórzeniu pytania i ruchu ręki Aslofa w stronę rękojeści miecza zaczął mówić:

– To pismo miejscowego biskupa do mojego pana, synu. Nic ważnego. Sam widzisz, że niczego przed wami nie skrywam.

– I przez przypadek pozostało pod podwójnym dnem?

Królewski spowiednik zamilkł.

W środku jednego z odcisniętych w wosku znaków widać było krzyż, a na obrzeżu napis *Episcopus Cordubae*. Młodzieniec odwzorował pieczęć, rysując linie palcem w pyłe podłogi. W drugim zaś ten brakteat łacinników zastępował półksiężyc, a całkiem obce symbole układały



się w tajemniczy rysunek przypominający ślady korników:

– Widziałem, jak Zeno kreślił podobne litery w piśmie Romverjów. Ale, bracie Piotrze, czyja jest ta druga pieczęć?

– Synu, chrześcijanie nie są w Kordobie u siebie, co musiałeś zauważyć. Każde pismo kościelnych hierarchów do papieża czy władców ościennych królestw musi mieć aprobatę miejscowego urzędnika. To jego pieczęć widnieje obok biskupiej.

– Dobrze to świadczy o pomyślunku kalifa – mruknął młodzieniec – że nie ufa wilkom w owczarni.

– A szkatułka? Mówisz, paparze, że są tam kości człowieka?

– Zajrzyj, synu, ale zrób to delikatnie i miejmy za sobą te przeszukiwania. Niegodne one są tego, cośmy razem przeżyli w tej podróży.

Erik zakłopotał się nieco, bo faktycznie spowiednik oddał wikingom niemałe usługi. Kto wie, czy nie uratował im karków.

Borga pierwsza otworzyła misterne zamknięcie i rozczarowana pokręciła głową.

– Palec?

– No przecież mówił, że kawałek jakiegoś świętego. – Tagi skrobął starą kość paznokciem i polizał. Brat Piotr mało nie wyskoczył ze skóry.

– Myślałam, że to żart albo co.

– Żart? Ja jeszcze nie słyszałem śmiechu tego papara. On nawet nie pije. – Aslof splunął z odrazą. – Nie ufam ludziom, którzy się nie upijają. Mają wiele do ukrycia.

– Ty się za to śmiałeś, ale ze mnie, gdy z tą niewolnicą...

– Borga, odpuść już, proszę. – Rozłożył szeroko ręce. – Na bogów, zrozumiałem. Co mam ci jeszcze powiedzieć?! Chcesz, to klęknę tu przy tych świńskich ogonach i powiem, jaki ze mnie głupiec. I tobie jest źle, i mnie, jaskółko, odpuść.

– Prędeż Hel zabliźnią się rany. Gdybyś zapytał, zgodziłabym się, bo mężowie muszą sobie folgować. Taka już wasza natura. Ale nie! Kilka rogów wina, duże białe cycki i zapomniałeś o swoich przysięgach. Bo chyba to nie o mnie myślałeś, gdy...

– Nie zapomniałem, tylko... no, tak wyszło. Nie możesz mnie karać przez resztę naszych dni! Nie wiadomo, jaką przyszłość nam splotły norny, korzystajmy z każdej chwili. No? – Wziął

ją delikatnie pod brodę, ale kobieta szarpnęła głową.

– Nie mogę? To chyba mnie nie znasz. Zresztą już cię ukarałam. Nie chcesz tego wiedzieć, ale ci powiem. Będziesz tak jak ja czuł, jakby ktoś napluł ci w oczy. Żebyś miał o czym myśleć, gdy...

– Dajcie spokój tym kłótniom, przyszedliśmy tu w innym celu. – Erik pobladł gwałtownie. Na szczęście w półmroku komnaty nikt nie zwrócił na to uwagi. Prawdę mówiąc, przez ostatnie kilka chwil nie oddychał.

Borga spojrzała na niego, potem na wielkoluda i zamknęła usta.

– Złożę ci, Frejo, w podzięce kurczaka albo od razu kożę – szepnął syn Eryka Zwycięskiego. Po raz nie wiadomo który zadawał sobie pytanie, czy ta jedna noc warta była tych nerwów. I po raz kolejny odpowiedź była twierdząca.

Korzystając z chwilowego zamieszania, duchowny zagarnął swoje „skarby” i zaczął je pieczołowicie układać w skrzyni. Wtem zamarł w pół ruchu. Podniósł wzrok i natknął się na kpiący uśmiech Aslofa Czarnej Brody. Po chwili jego twarz przybrała obojętny wyraz i wrócił do porządkowania skarbczyka.

– Tego szukasz, paparze? – Wiking powachlował twarz złożoną w przemyślny sposób kartą. Erik sam był zaskoczony, minęło więc kilka chwil, nim przetłumaczył słowa przyjaciela.

– To własność króla Ramira II – powiedział poważnie spowiednik, nie przerywając pracy. – Radzę o tym pamiętać.

– A mnie się zdaje, że ta zapisana karta jest dla ciebie warta więcej niż ten uschnięty kikut, który nosisz w szkatule.

– To gospodarskie pismo od biskupa, cenne jedynie dla Jego Królewskiej Mości.

– Co on tam burczy?

– Mówi, że to nic niewarte dla nas, a wiele dla konunga – pospieszył z wyjaśnieniem Erik. Ale zaraz z dumą dodał: – A gdybyśmy chcieli się dowiedzieć, o czym to pisze biskup Kordoby do władcy Leónu? Wiedz, bracie Piotrze, że ja też na prośbę matki spisywałem relację z tej wyprawy i wiele tam było ciekawostek.

– Znasz łacinę, synu?

– Nie żebym znał, ale umiem mówić...

– To chwalebne. Ale wracając do rzeczy, po co denerwować potężnego i zwycięskiego wielmożę brakiem należnego szacunku? Potrzebujecie pomocy mojego króla, temu nie zaprzeczysz. A wierz mi i przekaz to swoim druhom, że Jego Wysokość król Leónu i Galicji, protektor Nawarry, obrońca jedynej prawdziwej wiary Ramiro II jest bardzo drażliwy na punkcie tajemnicy korespondencji, bardzo.

Gdy Erik tłumaczył Aslofowi, o co chodzi, ten w tym samym czasie złamał obydwie pieczęcie.

– Cóżeś uczynił?!

Spowiednikiem targnęło, ale w miejscu utrzymało go ostrze na szyi. Borga bardzo dbała o ostrość swego nożyka do rzeźbienia.

Czarna Broda stanął przy wielkim kwadratowym otworze, przez który do pomieszczenia wpadało światło słońca. Podniósł pismo na wysokość oczu, wyciągnął rękę przed siebie i zaczął czytać.

– Ja, biskup, czyli konung wśród czcicieli Krysta, ślę ci wieści, wielki truhtinie Leónu. U nas słońce raz wschodzi i raz na dzień zachodzi. Kury niosą jaja, a koguty nie. Owce, jak idą spać, to nie biegają, ale takie pchły na przykład kąsają w dzień i w nocy. Ptaki latają, ryby pływają, a po długiej wędrówce śmierdzą nogi. I to ci jeszcze, truhtinie, chcę powiedzieć, że szmaciane łby twardo trzymają za pyski i przyginają karki ku ziemi. Choć nas wielu, Jednobóg

zakazał swoim buntować się przeciw panom, to i teraz nauczeni tego posłuszeństwa ani myślą o walce. Biskup. Jego imienia nie przeczytam, bo zamazane.

– To sama prawda, znasz kaligrafię? – Tagi podrapał się po głowie.

– Pewnie. Umie ją każdy, kto wypił naraz flakonik tego ich atramentu, a mnie się to kiedyś przydarzyło. Gdybyś i ty chciał przyjacielu, to papar ma gdzieś tutaj...

– Loki mówi przez ciebie, Aslofie, naśmiewasz się ze mnie.

– Ma rację i to jest nasz wierny druh, a nie wioskowy głupek. Jak jesteś taki odważny, żartuj sobie z jarla – fuknęła Borga.

– Dobrze, już dobrze. Ale naprawdę chcę wiedzieć, jaką sprawę ma ten duchowy konung do władcy Leónu. Nie ufam abbasowi tak, jak nie mam zaufania do tego kalifa. Oni wszyscy myślą tylko o sobie. Zeno!

– Tak, panie!

– Nie musisz się dłużej ukrywać, rusz chudą dupę.

Brat Piotr przyglądał się tej scenie w milczeniu. Po prawdzie, to niewiele rozumiał do czasu, gdy w otworze wejściowym pojawiła się głowa niewolnika. Zbladł. Tymczasem wezwany wszedł do środka.

– Powiedz im, synu, cokolwiek, a Bóg Wszechmogący i mój król wynagrodzą ci to stokrotnie. Dostaniesz wszystko, o co tylko poprosisz – rzekł czystą greką, ojczystym językiem niewolnika.

– Co gada? – Czarna Broda zrobił się podejrzliwy.

– Obiecał mi Niebo, panie, a ja wiem, że aby tam trafić, trzeba najpierw umrzeć tu na ziemi. I tę śmierć mi obiecał, choć nie musiał tego mówić. Więc póki ostatecznie nie rozstrzygnę swoich dylematów, wybieram życie doczesne.

– Co on plecie, Erik? Znasz go dłużej ode mnie, może chory?

– Myślę, Czarny, że nasz brat Piotr próbował przekupić mojego własnego, chudego, podarowanego przez matkę niewolnika. Życiem w tym krystusowym Asgardzie i królewskim złotem.

– Prze... Zresztą nieważne. Jak mnie oszukasz, draugu, utnę ci łeb i w niego nasikam.

– To mój niewolnik, Aslofie. Zabijać możesz swoich, jeśli kiedykolwiek będziesz ich miał – rozeźlił się nie na żarty Erik. Kto lubi, jak bez pytania zabiera mu się jego własność. Poza tym musiał odreagować – nerwy miał napięte niczym postronki.

Czarna Broda zachmurzył się, ale milczał.

Tymczasem Zeno czytał i im dalej biegł jego wzrok, tym twarz robiła się bledsza.

– Głośno!

Niewolnik rozejrzał się po komnacie i znajdujących się w niej ludziach. Brat Piotr unikał tego wzroku. Zaczął czytać.

– *Panie mój, królu Leónu i Galicji, protektorze Nawarry i Aragonii, obrońco jedynej prawdziwej wiary...*

– Do rzeczy, człowieku. Wszyscy jesteście głodni.

– Tu jest długa lista tytułów. – Niewolnik pomruczał chwilę i znowu zaczął czytać wyraźnie. – *Na wstępie zaznaczę, iż dzięki opatrności Bożej i Twemu wspaniałemu zwycięstwu wszystko zmierza w dobrym kierunku. Nasz sprzymierzeniec w obozie Wielkiego Wroga – oby dobry Bóg zadziałał i uschły członki tego heretyka i sodomity – nieodmiennie popiera naszą sprawę. Czeka z podjęciem zaplanowanych kroków na stosowny moment. Osiedając na tronie kalifa, nasz sprzymierzeniec – do czego się zobowiązał i przysiągł na wszystkie świętości – przyjmie do serca nauki Jezusa Chrystusa i w całej Iberii zapanuje pokój. Byłem, Najjaśniejszy Panie, świadkiem tego ślubu i ręczę własnym słowem za jego moc.*

*Ręczy za to również Hawas Ibn Umar, jeden z dowódców wojsk kalifa. Jego ojciec Umar Ibn Hafsun wyrzekł się herezji, za co Wielki Wróg zbezczescił jego zwłoki. Syn pała żądzą zemsty, co jest wielce sprzyjającą okolicznością. Ma wielu przyjaciół zarówno w armii, jak i wśród zarządców prowincji. Część z nich, tych na południu, dobrze wspomina rządy starego Umara.*

*Najjaśniejszy Panie, umyśliliśmy z bratem Piotrem, i tu zasługi muszą oddać waszemu świętobliwemu spowiednikowi, że Wielki Wróg zginie podczas spotkania z barbarzyńcami z Północy. – Zeno zrobił przerwę, a wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę dziwnie przygaszonego duchownego. – To na nich spadnie gniew ludu i przywódców plemiennych, co pozwoli naszemu sprzymierzeńcowi przejąć tron bez zbędnego rozlewu krwi. Gdyby jednak było to konieczne, bądź w pogotowiu, Panie, by go wesprzeć zbrojnym ramieniem w walce o sukcesję. Taką też deklarację w twoim, Królu, imieniu złożył poseł Twój i spowiednik. Z uwagi na będące w jego posiadaniu pieczęcie i pełnomocnictwa daliśmy temu zapewnieniu wiarę.*

*Dzięki moim namowom sam Biskup Rzymu udzielił naszym planom Apostolskiego Błogosławieństwa i wspiera sprawę rekonkwisty modlitwą i skarbem Stolicy Piotrowej.*

*Pismo dotrze do ciebie, Panie, gdy słowo stanie się ciałem. Pamiętaj o mej roli, bo że wypełnisz daną mi obietnicę, w to nie wątpię.*

*Benedicat Vos Omnipotens Deus. To znaczy – poprawił się zaraz niewolnik – Niech Was Błogosławi Bóg Wszchemogący.*

*Biskup Kordoby: Rabi Ibn Zajad al-Usuf.*

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

– Chyba złapaliśmy w sieć większą rybę, niż zdołamy wyciągnąć na brzeg. – Aslof zagwizdał cichutko. Podszedł powoli do klęczącego spowiednika i niespodziewanie kopnął go w twarz. Niemal było słycać, jak pękają zęby. Brat Piotr skulił się i w tej pozycji pozostał.

– Idziemy poszukać naszego saekonunga. On będzie wiedział, co z tym dalej robić.

– Ja zostanę, przypilnuję więźnia. – Erik poklepał się po głowni miecza.

– Niech będzie, ktoś musi. Zatrzymaj też Borgę i niewolnika. Gdyby uciekał, zrańcie go, ale nie zabijajcie.

– Nie jestem sakwą na mięso, krowi cycu! – obruszyła się wojowniczką, ale została w pomieszczeniu.

Po kilku chwilach zrobiło się luźniej.

Syn Eryka Zwycięskiego patrzył ponuro, ze zmarszczonymi w namyśle brwiami na spowiednika. Bardzo teraz przypominał ojca.

– Chciałeś nas wszystkich zabić?! Wszystkich?!

Duchowny pozostał nieruchomy i milczący. Niby kupa łachmanów.

– Odpowiedz! Bo bogowie świadkami, sam cię porznię, i to tak, żeby bolało!

Brat Piotr drgnął, powoli usiadł na piętach. Twarz miał zakrwawioną i wargi puchły mu błyskawicznie. Wytarł się swoją szatą i syknął z bólu. Na kamienną posadzkę upadły jakieś drobiny, pewnie fragmenty zębów. Odchylił do góry głowę, by spowolnić wypływanie krwi.

– Każdy robi, co musi, synu – powiedział przez nos. – Nie zawsze się z tym zgadzamy, a jednak wykonujemy rozkazy.

– Tak samo zapewne twierdził ten zakonnik, który zarznął we wsi niewinnych chłopów. Pamiętasz ich ciała: mężów, kobiet, dzieci? A ten smród, odłóżką skórę i człowieka na krzyżu? Jego pamiętasz! Bo we snach często widuję...

– Czyniłem to dla większego dobra, synu, dla Królestwa Bożego na tej ziemi. Choć jesteście poganami, Bóg by was pocieszył. O to modliłem się żarliwie.

– Tak jak dzisiaj ciebie nagrodi, spowiedniku? Wiesz, że nie dożyjesz rana.

– Bóg jest moją tarczą i mieczem. Mój los jest w Jego rękach. Uczyniłem to, co należało

– dodał cicho.

– Myślę, że twój los jest w rękach Kolbjørna, o czym zaraz się przekonasz. Ale powiedz mi, bo dręczy mnie to od pewnego czasu. Twój król wiedział od początku o naszych jeńcach? Wysłał cię z nami, byś wykonał swoje zadanie?

– To nie tak. Dowiedział się od swego młodszego brata, Fortuno. Ten to...

– Pamiętam o księciu Fortunie – szorstko uciął Erik. – On nie miał pojęcia o złotych.

– Ale ja miałem – odparł smutno duchowny. – Król przysłał do mnie umyślnego z rozkazami i pieczęcią już tu, w Kordobie. Gdyby w Simanacas znał całą prawdę, heretyk z Al-Andalus byłby martwy, a... – Zamilkł. – Uwierz mi, synu, nie było w nas fałszu. Wtedy nie.

– Tego nie wiem. Ale jestem ledwie mężczyzną i łatwo mnie oszukać. Tobie na przykład zaufałem, bracie Piotrze, i o mało co nie wciągnęłeś mnie w pułapkę.

– Gdybym tylko mógł – w głosie spowiednika był smutek – pozwoliłbym ci żyć, Eriku. Jesteś poganinem, ale masz czyste serce. Ale... – Wzruszył kościstymi ramionami.

– Wielka łaska, spowiedniku. Na szczęście norny miały co do mnie inne plany. A ten zdrajca? On musiał działać na długo przed pochwyceniem kalifa przez moich braci.

– Tak było. Wszystko splotło się w jedno tu, na miejscu.

– Z kim spiskuje biskup? – Erik zadał to jedno pytanie, do którego przygotowywał się od początku rozmowy. Spowiednik króla Leónu się wyprostował. I nagle zmienił temat.

– Co mi robi twój dowódca, synu? Jak to robi?

– Tego nie wiem na pewno, ale za zdradę przyjaciół są u nas dwie kary: krwawy orzeł albo pal.

– Pa-pal? Czyli nabije mnie na pal?

– Nie sądzę. Raczej rozetnie ci brzuch i przybije flaki do tego pala. A potem pogoni wokół niego, aż wyjdzie z ciebie wszystko. Będziesz oglądał swoje wnętrzności, które niczym sinoczerwona koronka pokryją drewno. Dopóki się nie wykrwawisz. Zwykle tak to robimy.

– Boże, zmiłuj się nad swoim niegodnym sługą – wyszeptał spowiednik.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał.

– Kto jest zdrajcą na dworze kalifa? Powiedz, życia nie uratujesz, kary nie unikniesz, ale obiecuję skrócić twoje męki, gdy staną się już nie do zniesienia. Przysięgam na miecz i Odyna.

Nagle Piotr się ożywił.

– Zabij mnie teraz, Eriku. O to jedno proszę.

– Saekonung się wścieknie, nie zrobię tego nawet dla kogoś, kogo miałem za przyjaciela.

– A jeśli powiem ci, kto stoi za spiskiem?

– I tak wyznasz wszystko, człowieku, widziałem, co oni robią ze swoimi największymi wrogami – włączył się do rozmowy Zeno.

Z zewnątrz zaczęły dochodzić gniewne głosy. Zbliżały się.

– Skróć jego męki, panie – powiedział ku zdziwieniu Erika niewolnik.

– A tobie co do tego?

– Nie jestem bestią.

– Ja też i co z tego? Chciał nas wydać na śmierć.

– Wypełniał rozkazy swego króla.

– A żeby cię, chudzielcu, żeby cię. Jego imię, szybko! – Tym razem Erik patrzył na królewskiego spowiednika.

– Abu al-Malik – wyszeptał pomiędzy jedną a drugą modlitwą duchowny.

– Kim on jest?

– Abu al-Malik – powtórzył brat Piotr. W jego oczach widać było bezgraniczny strach.

Jednym płynnym ruchem młodzieniec wyciągnął z pochwy miecz i wbił go w pierś



duchownego.

– Co robisz!? – Borga, która nie rozumiała nic z rozmowy, przyskoczyła i uderzyła go pięścią w twarz. Potem siadła na nim okrakiem, tak że prawie nie mógł wykonać ruchu.

– Jeśli nie chcesz mojej śmierci, puśćisz i powiesz Kolbjørnowi, że rzucił się na mnie i sam nadział na ostrze – wystękał. – Ale zrób to szybko, nadchodzą.

Głosy były tuż. Kobieta odsunęła się, a Erik niezgrabnie wstał z posadzki. W tym momencie wszedł Aslof, a zaraz za nim Krzywe Zęby.

Zdziwienie, a potem zawód pojawiły się na twarzy jarla. Nim wypłynęła wściekłość, Erik wytłumaczył, że to nieszczęśliwy wypadek i że zna imię zdrajcy, który ma zabić kalifa. Nie było wybuchu, ale coś gorszego – saekonung patrzył z pogardą na syna Eryka Zwycięskiego. Najpierw śmierć Halla Germundsona, teraz to. Czy można jeszcze niżej upaść w oczach swego wodza?

Rano przyszedł Góral. Nie jak zwykle w towarzystwie tragarzy, ale silnego oddziału zbrojnych.

# PALAC KALIFA



Przed oblicze namiestnika Proroka mieli stawić się kapitanowie skipów. Jarl z chmurną miną skinął na Erika, by dołączył do tej grupy.

– Wdziecie pod kolczugi coś mniej śmierzącego. Przed wymarszem zajdźcie do mnie, musimy pogadać. A ty, Al-Gabali, poczekaj ze swoimi ludźmi na podwórku.

– Panie, powinniśmy się śpieszyć...

– Długo trwało, nim twój władca raczył nas zaprosić. Kilka chwil niczego tu nie zmienia.

Wkrótce stawili się w pomieszczeniu, w którym sypiał Kolbjørn.

– Precz! – rzucił wódz do niewolnicy. Ta, patrząc wilkiem na nowo przybyłych, z suknią w garści bez słowa opuściła łoże. Była naga, ale odziana w dumę. Erik przełknął głośno ślinę, gdy mijała go w ciasnym wejściu. Otarła się o niego piersiami, a on czuł, jakby ogniste pazury przeorały mu skórę. Samboja bez stroju była jeszcze cudniejsza.

Z synem Eryka Zwycięskiego przyszli oczywiście jego przyjaciele, ale, jak zresztą wielu innych ciekawskich, zostali przepędzeni. Czarna Broda strasznie się zżymał, krzyząc, że nie jest już takim zwykłym członkiem drużyny, za co dostał po głowie drzewcem włóczni. Jarl rozpoczął naradę.

– Dergowie, wszyscy wiecie o zdradzie papara?

– Maekir saurgan![22] – splunął z odrazą Finnbogi Hrapson, kapitan *Pogromcy Fal*.

– Huczy o tym cały obóz. Na szczęście Czarny znalazł ten pergamin.

Nie był sam, chciał wtrącić Erik, ale utrzymał język za zębami.

– I co z tego? Nadal bliżej nam do Asgardu niż Midgardu. Nie mówiąc już o złocie.

– No nie, powiemy o wszystkim konungowi szmacianych łbów i...

– I on zginie, a wraz z nim wszyscy ludzie jesionu – burknął Leif Osvaldsson, kapitan *Smoczej Dumy*.

Wybuchł harmider, który Krzywe Zęby przeczekał.

– Leif ma rację. Nie znamy wojów i doradców z otoczenia kalifa. Mogą być w zмовie z jego wrogami.

– To nie idźmy tam, i już. – Starkad Thorson z *Łowcy Niewolników* uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Po co wchodzić do pyska Fenrira, gdy wiemy, że bestia jest głodna?

– Ano po to, bracie, że tak czy inaczej kalif umrze. Zostając tutaj, zyskamy trochę czasu i nic więcej. Odrzucając zaproszenie, potwierdzimy, że braliśmy udział w planowanym zamachu albo przynajmniej o nim wiedzieliśmy.

– Znam cię, Kolbjørnie Krzywe Zęby, gdybyś nie miał jakiegoś planu, tej rozmowy by nie było. – Leif pogładził się po sporym brzuszysku. – Mów.

– Musimy we czterech, pięciu z tym gołowasem – wskazał brodą na Erika – zabić gwardzistów Abd ar-Rahmana, nim oni zabiją nas. A przynajmniej ochronić kalifa do czasu, gdy przybędą wierne mu oddziały.

– Tylko tyle? Bez broni, gołymi rękami? Na Thora, nic prostszego, daj tylko znać, a my...

– Nie kpjij, Starkad. To jedyne wyjście. Przynajmniej zginie w walce.

– Ale jak chcesz tego dokonać?!

– Oddamy strażom wszystko, z wyjątkiem ukrytych pod kolczugami skramasaksów. Skjoldów nie zabiorą.

– A oni dopuszczą nas przed oblicze władcy z długimi nożami, tak?

– To jedyna możliwość, bracie. Widzisz inną?

Przedłużając się ciszę przerwał Starkad Thorson.

– Nikt nie będzie żył wiecznie! Zróbmy to! – Odpowiedzią były trzy gromkie, pewne siebie okrzyki i czwarty nieco bardziej piskliwy.

– Erik, nidingu. – Wódz wyprawy zwrócił się do młodzieńca po raz pierwszy od zdarzenia na placu. Nic to, że nazwał go wyrzutkiem.

– Tak?

– Jest między nami czarna krew, ale odłóżmy niechęć i urazy na bok. Nie nakładaj kolczugi.

– Ale...

– Zamilcz, kleszczojadzie, masz słuchać i nic więcej! – Kolbjørn wyglądał, jakby chciał skoczyć synowi konunga do gardła. Uspokoił się, choć z trudem i nieco spokojniej dodał: – Zostań, gdy inni wyjdą, musimy porozmawiać na osobności.

Młodzieniec poczuł ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Ostatnio unikał spotkania oko w oko wiedziony przecuciem, że nie wyjdzie mu ono na zdrowie. Krążył jednak w pewnym oddaleniu od jarla z nadzieją, że zobaczy Samboję. Raz czy dwa się udało i uśmiech niewolnicy wynagradzał mu wszelkie trudy.

Nim zbrojni opuścili kamienną komnatę, Kolbjørn nakazał, by w trakcie drogi do pałacu zachować milczenie.

– Nie wiemy, czy ten Al-Gabali i wojowie z eskorty należą do spisku na życie Ar-Rahmana. Nie kłapać dziobami, to się nie rozejdzie.

Gdy zostali sami, jarl wtajemniczył Erika w szczegóły.

– Musisz to zrobić ty i nikt inny – tłumaczył.

– To niemożliwe, wodzu. Już lepiej poderżnij mi gardło tu i teraz.

– Nawet nie wiesz, z jaką przyjemnością bym to zrobił, wyskrobku. Zapracowałeś na śmierć. – Jego ciężkie spojrzenie ważyło tyle, ile solidny głaz. – Ale tylko twoja obecność w pałacu nie obudzi czujności straży – jesteś naszym tłumaczem.

– No właśnie, a nie ptakiem czy latającą myszą! – Głos młodzieńca drżał. Nie chciał jeszcze umierać.

– Możesz zostać w obozie, ale wtedy wszyscy twoi bracia zginą. Jak wytłumaczysz swoje tchórzostwo bogom? Co powiesz, stając przed Odynem? I... jak sądzisz, gdzie po czymś takim spędzisz resztę życia po życiu?

– Moja żywa dusza, moja sprawa. Ale ty chcesz mnie zabić, jarlu. I to rękami gwardzistów kalifa. – Oskarżenie z trudem przeszło przez gardło młodzieńca. Ale niewiele miał do stracenia.

– Będę tam z tobą. I swoje życie stawiam na szali.

– Ale tobie nikt nie każe latać – mruknął pod nosem młodzieniec. Wziął głęboki oddech i wraz z wypuszczanym powietrzem ulatywał z niego niepokój. Przecież życie każdego człowieka zostało splecione jeszcze przed narodzinami. Co ma być, to będzie.

– Co tam jęczysz?

– Nic. Mówię tylko, że marnujemy czas. Muszę się przygotować.

– Dobrze. Wynoś się.

Przeżył, ale to nie miało trwać długo. Plan saekonunga był szalony.

Nim słońce stanęło w połowie drogi, przez gwarne i ludne o każdej porze dnia miasto jechał oddział straży kalifa. Jeden z wielu podobnych, wypełniających, zdało się, niestrudzenie rozkazy namiestnika Proroka. Dwie dziesiątki eskortowały kilku wielkich zbrojnych w znoszonych, ale mocnych kolczugach. Pomimo upału każdy z nich miał zarzucone na plecy futro i wyglądali niczym wilki pomiędzy wioskowymi psami. Albo niedźwiedzie wśród ludzi.

Obcy sprawiali wrażenie przestraszonych ogromem Kordoby, jak każdy, kto po raz pierwszy widział ją na oczy. Instynktownie szli środkiem drogi, bojąc się, że ściany domów zaraz runą. Gdy budowle stały już tak gęsto, że byli pewni, iż zbliżają się do celu, dotarli ledwie nad

lewy brzeg wielkiej rzeki. Po drugiej stronie rozciągał się prawdziwy gród z wysokimi murami, basztami i potężną bramą od strony portu. Minęli właśnie, jak im tłumaczył Góral, ledwie jedno z dwudziestu jeden przedmieść, i to wcale nie to najważniejsze.

Dalsza droga biegła przez kamienny most. Był to istny olbrzym, na którym mogło zmieścić się pięciu jadących obok siebie konnych. Jak wiele innych budowli miał być dziełem dawnych panów tych ziem – Romverjów.

– Aż dziw, że coś takiego zbudowali ludzie – szepnął pod nosem Finnbogi Hrapson.

– Może ichniejsi bogowie przybrali tylko ludzką postać – odpowiedział idący obok Erik.

– A skąd wiesz, młokosie, że tak jak kristmaðrzy czy Serkirowie, Romverjowie nie mieli tylko jednego boga?

– A jest, dowódcu skipu, jedno morze, jedna wyspa czy drzewo albo jeden lud w Midgardzie? Więc i u nich musi być wielu pomniejszych bogów, a częściej tylko najsilniejszego.

– Niby racja. – Finnbogi się zadumał. – Nawet ziemia nie jest jedynym światem na Yggdrasilu.

Jak chętnie objaśnił Góral, wjechali za mury bramą noszącą nazwę Bab al-Quantara, którą do stolicy zwożono towary z przepastnych ładowni kupieckich statków. Stojący przy niej oddział zbrojnych bez słowa przepuścił gwardzistów kalifa. Dalej, ku jeszcze większemu zaskoczeniu Skandynawów, rozciągały się ogrodzone niewysokimi murami strumyki, zielone gaje pełne egzotycznych drzew i kwiatów.

– To ogrody wielmożów i znak, że jesteśmy blisko pałacu – tłumaczył przewodnik.

– W środku osady? A po co ochraniać miejskimi murami coś takiego? – Erika od tego kręcenia głową bolał już kark.

– Dla wygody naszego władcy, młody panie. By nie musiał w poszukiwaniu zieleni, ciszy i ptaków opuszczać Kordoby. Dzięki temu może cały swój czas poświęcić sprawom państwa.

– Dlaczego się ze mnie naśmiewasz, szmaciany łbie? – Młody Eriksson był wyraźnie zły.

– Pewnie stworzono te, jak je zwiesz, ogrody dla bydła, by je wypasać w czasie oblężenia. Ale po co aż tyle? – Przerwał te dociekania, albowiem właśnie spoza drzew wyłonił się wielki kamienny budynek, który sam w sobie stanowił oddzielną twierdzę.

– Al-Kasr, pałac wielkiego kalifa Abd ar-Rahmana – dobiegł szept.

Erik niewiele pamiętał z ostatniego fragmentu drogi. Jakieś baseny, kamienne schody, ptaki w złotych klatkach, kolorowo ubrani ludzie. Tego wszystkiego było po prostu zbyt dużo.

Skrzydłowe, pięknie rzeźbione drzwi wejściowe miały wysokość dwóch mężów. Oceniający je przedsiónek wsparto na zdobnych kolumnach, przechodzących u góry w masywne łuki.

Przed wejściem do siedziby wielkiego konunga miejscowi strażnicy odebrali przybyszom broń. To znaczy ci ostatni dobrowolnie oddali swoje wysłużone, pozbawione zbędnych ozdób miecze. Pogarda zmieniła się w uznanie, gdy zbrojni kalifa poczuli, jak dobrze są wyważone i jak doskonale leżą w dłoni. Pierwszy, który chciał dokładniej przeszukać Starkada Thorsona, całował kamienie dziedzica, nim jego kompani zdążyli zareagować.

Kilka szmacianych łbów doskoczyło do kapitana *Łowcy Niewolników* i byłiby go zakuli, gdyby nie Góral. Ten coś im długo tłumaczył, machając rękami, aż broń niechętnie wróciła na swoje miejsce.

– Powiedz im, Al-Gabali – saekonung wystąpił do przodu – że sami oddamy ostrza. A kto nas dotknie, temu skręcimy kark. Jesteśmy gośćmi waszego konunga, a nie jeńcami. Wytłumacz, że tak nakazuje religia ludzi z Północy i każdy obcy, który dotknie wikinga, musi stanąć z nim do walki.

Biedny Góral dwoił się i troił, ale natrafił na mur. To nie była miejska zbieranina, lecz

doświadczeni gwardziści kalifa. Przesądził sprawę dziesiętnik z eskorty. Pod jego czujnym okiem wyjęli z ukrytych pochw długie saksy, zostając jedynie z tarczami w dłoniach. To nie była broń zaczepna i na nie, acz niechętnie, przystał dowódca straży.

W środku było przyjemnie chłodno. Nienawykłym do kamiennych zamków Skandynawom ciarki przechodziły po plecach. Znaleźli się jakby wewnątrz ogromnego grobowca. Grube, pełne łuków i zdobień mury i stropy nad głowami wyglądały, jakby zaraz miały się zawalić. Ten i ów zaczął modlić się do bogów, co dało się poznać po ruchu warg. Erik nie musiał. Wiedział, że władający tą krainą Jednobóg ma wobec niego dług wdzięczności za skrócenie mąk brata Piotra.

Przed kolejnym wejściem znowu stało czterech strażników i tu powtórzył się cały rytuał próby przeszukania i długich wyjaśnień Górala. Tym razem jednak zostali dokładnie sprawdzeni. W końcu dostali się do środka.

Do głównej sali wpuszczono wikingów wraz z tłumaczem. Zbrojna eskorta ustawiła się przy ścianach, by oczekiwać na ich powrót.

– Na stopy Lokiego. – Jarl westchnął. – Skąd tu tyle ludzi?

Po obu stronach wyłożonej dywanem ścieżki do tronu kłębił się w ciszy tłum mężczyzn.

– Ale pięknie. – Erik rozglądał się po ogromnej hali. Podziwiał kolorowe mozaiki, wspaniałe wysokie kolumny, na których zdawał się wspierać sufit, zdobienia przypominające twory z morskiej piany, a nie kamienia. Przedstawiały sylwetki zwierząt i ludzi. Sala, którą mieli przed oczami, była ogromna.

– Zejdź na Midgard, gołowaśie – rzucił Finnbogi Hrapson. – Policz, zmierz i zważ zbrojnych, sprawdź drogę ucieczki, a nie... – Gdyby nie wlepione w przybyszów setki oczu, kapitan *Pogromcy Fal* splunąłby na piękną posadzkę. – Już czas, żebyś został z tyłu.

Szli wolno, tuż za zgiętym niemal w pół Góralem. Wielki tron znajdował się po przeciwnej stronie na obitym materiałem podwyższeniu. Drogę wyznaczały dwa rzędy kolumn.

– Niby jak ich mamy pozabijać? – powiedział półgębkiem Leif. – To nie straż przyboczna, ale cała armia.

Przejście do władcy blokowały dobre trzy dziesiątki zbrojnych, tworząc wokół niego żywy półokrąg. Poprzedzająca Skandynawów delegacja, gnąc się w ukłonach, kończyła właśnie audiencję. Cały czas pozostawali poza ludzką barierą.

– Tak jak przewidywaliśmy. – Kolbjørn wzruszył szerokimi ramionami. – Tylko wojów jakby więcej.

Zbliżali się powoli do tronu i dało się już rozróżnić jego bogate zdobienia i uśmiechniętą na ich widok twarz władcy Al-Andalus.

– Z czego on tak się cieszy? – mruknął Starkad.

– A co, przyjacielu, na widok śmierci człowiek powinien płakać? – nerwowo zarechotał Leif. – Niewiedza czyni szczęśliwym, tak jak wiedza przysparza trosk.

„Psst” dochodzące z przodu uciszyło gadatliwą dwójkę.

Po kilkudziesięciu kolejnych krokach na ich drodze stanęło dwóch postawnych gwardzistów.

– Złóżcie hołd wezyrowi Proroka, to koniec drogi – przetłumaczył Al-Gabali i padł na kolana, a potem dotknął czołem kamieni.

– Odsuń się, człowieku. – Jarl kopnął lekko Górala i ten zaskoczony przewrócił się na bok. – Schody! – Sam rozstawił szeroko nogi i trzymając oburącz oparty na głowie skjold, zamarł.

Na ten sygnał trzech idących za nim gęsiego wikingów uczyniło podobnie, każdy schodząc coraz niżej, tak że ten na końcu klęczał przygięty na kamiennej posadzce. Szmaciane

łby, myśląc zapewne, że jest to jakiś barbarzyński rytuał powitalny, czekały z pobłażaniem na ciąg dalszy, gdy stało się coś, czego nikt z nich nie przewidywał.

Podążający na końcu w pewnym oddaleniu młody wojownik puścił się biegiem. Z własną tarczą przytwierdzoną do pleców odbił się w pędzie jedną nogą od posadzki, potem drugą od skjolda Hrapsona, Leifa, Starkada, by wybić się obunóż z tej, którą dzierzył w krzepkich dłoniach Kolbjørn Krzywe Zęby. Jarl stęknął z wysiłku, lecz wytrwał. To była chwila, gdy węzły mięśni na jego byczym karku nabrzmiały i wyprostował ręce, dodając młodzieńcowi rozpędu. Erik, który jako jedyny nie miał na sobie ciężkiej kolczugi, poszybował z głową między rękami jak wtedy, gdy skakał z wysokich fiordów do głębokiej wody. Jeden ze zbrojnych był szybszy od towarzyszy i ostrze włóczni musnęło stopy młodzieńca. Ten upadł za ich plecami i przetoczył się z chrzęstem tarczy uderzającej o kamienną posadzkę, by zatrzymać się z impetem na pierwszym stopniu podwyższenia.

Świat zaczął lekko falować od tych obrotów, ale Erik poderwał się i doskoczył do powstającego z tronu władcy Al-Andalus. Ten nie uśmiechał się już dobrotliwie, a z jego niebieskich oczu wyczierała śmierć i... strach. Mały, ukryty w fałdach odzienia saks do rzeźbienia w drewnie wsparł się o szyję kalifa.

– Każ... zbrojnym... pozostać... tam gdzie są, albo cię zabiję... panie! – wykrzyczał piskliwie napastnik, łapiąc łapczywie oddech. Gospodarz nie miał jednak wątpliwości, że wysoki jasnowłosy młodzieniec spełni swoją groźbę.

Abd ar-Rahman myślał szybko, więc uniósł dłoń, powstrzymując swoich ludzi. Gdyby woj z Północy chciał jego życia, już by leżał z rozplatanym gardłem.

– Czego chcesz, poganinie? – niemal wyszczał przepelniony wściekłością. – Nikt nie podnosi bezkarnie ręki na namiestnika Proroka na ziemi. Nikt.

– Każ im, panie, przepuścić moich braci, a wszystkiego się dowiesz.

Kalif rzucił gniewny rozkaz i ludzka ściana niechętnie rozstała się na boki. W tę wyrwę weszło czterech wikingów. Otoczyli władcę ze wszystkich stron. Zdumieni gwardziści zauważyli, że po ich przejściu brakuje im pewnych części uzbrojenia.

– Myślicie, że po pohańbieniu namiestnika Proroka i pogwałceniu zasad gościnności ujdziecie stąd z życiem? Z samymi tarczami w rękach? Głupie dzikusy! – krzyczał coraz głośniej więzień. Twarz zrobiła mu się czerwona, a na szyi wystąpiły grube żyły.

– Te skjoldy są dla ciebie, panie, nie dla nas – usłyszał w odpowiedzi.

Kalif zamilkł, z wielkim trudem utrzymując język za zębami. Czerwień zmieniła się w purpurę. W końcu nabrał głębiej powietrza i już dużo spokojniej zapytał:

– Nie o złoto wam chodzi, chłopcze?

– Tylko o nie, panie. Ale spłaci swój dług żywy władca, a nie trup.

Pierwsza strzała zraniła Leifa w nogę. Wiking zachwiał się i byłby padł na kolana, gdyby nie ramiona braci z lidu. Kolejny pierzasty pocisk trafił w tarczę w miejscu, w którym nie powinno być już kapitana *Smoczej Dumy*. Łucznicy mieli swoje pozycje gdzieś wysoko i teraz grad strzał zasypał okolice tronu. Kalif krzyknął, ale część gwardzistów rozglądała się bezradnie po sali tronowej, reszta trwała nieruchomo. Żaden z nich nie miał łuku w dłoniach.

– Wszyscy wokół Złotego! – krzyknął Krzywe Zęby. – Erik, zegnij mu kark, bo go nam ustrzelą. Na kutasa olbrzyma, do ziemi go! Do ziemi!

Młodzieniec nie musiał nic robić, gdyż kalif błyskawicznie skrył się za skjoldami wikingów. Cały czas wydawał rozkazy i teraz część gwardzistów pobiegła w stronę, z której dochodził ostrzał. Reszta utworzyła wokół swego władcy i wojów z Północy żywy mur.

Nagle stojący tuż przed Erikiem dowódca straży odwrócił się i pchnął ostrzem swego miecza pod osłonę tarczy młodzieńca. Bez kolczugi syn Eryka był najsłabszym ogniwem obrony.

Zaskoczony instynktownie odbił cios, ale nie mógł zrobić wiele więcej w ścisku i z nożykiem do rzeźbienia w dłoni. Za setnikiem poszło kilku stojących najbliżej gwardzistów i po chwili wewnątrz pancernego bąbla rozgorzała walka. Erik wypchnięty przez jarla znalazł się nieco z tyłu, tuż przy kalifie. W niebieskich oczach władcy pojawiło się zrozumienie. Czterej Askmadowie robili, co w ich mocy, by powstrzymać napastników, a toczyli teraz bój o własne życie. Grube koszule kolcze ratowały im skórę. Odnosili rany, ale raczej płytkie, gdyż panująca ciasnota nie pozwalała zrobić zamachu i nadać ciosom odpowiedniej siły. Przeciwno sobie mieli zbrojnych w paradnych cienkich płytkowych kolczugach i pięknych, ale niezbyt mocnych hełmach, co trochę ułatwiało zadanie. Obite grubym metalem krawędzie ciężkich tarcz łamały z chrzęstem kości, wytrącały broń z ręki. Ukradzione gwardzistom ostrza nurzały się we krwi niedawnych właścicieli. Ogromny ścisk był dla jednych sprzymierzeńcem, a dla drugich wielką przeszkodą.

Leif, próbując osłonić szyję przed kolejnym ciosem zakrzywionego noża – na miecze było teraz zbyt mało miejsca – nieopatrznie stanął na osłabionej nodze. Zdołał utrzymać równowagę, ale odruchowo opuścił nieco skjold. Ostrze przecięło mu gardło z taką szybkością, że wielu nie zwróciło uwagi na ruch ręki szmacianego łba. Ranny szarpnął tarczą, trafiając w podbródek przeciwnika, czemu towarzyszył okrzyk bólu. Przypomniał mu o ranie dziwny świst przy każdym oddechu. W rozwierającym się rozcięciu na szyi pojawiła się krwawa piana. Osvaldsson walczył jednak dalej. Gdy z jego pociętego gardła nie mógł wyjść okrzyk, pluł z wściekłości krwią na wrogów. Wielu z nich na ten widok zamarło. Wielki woj z dzikiego kraju powinien już nie żyć, tymczasem...

Wszystko jednak ma swój koniec, bogowie upominali się o walecznego einherjara. W ostatnim ataku bitewnego szału Leif Osvaldsson – kapitan *Smoczej Dumy* i dobry druh w wielu bitwach – rzucił się w tłum. Odprowadziły go szybkie, pożegnalne spojrzenia przyjaciół, gdy niczym wysłużony skip utonął w ludzkich falach. Jego miejsce zajął Erik.

Szmaciane łby szybko zorientowały się, że to najslabszy punkt obrony i nie trzeba było długo czekać, gdy młodzieniec poczuł ich napór. Gdyby Odyn podarował mu cztery, a nie dwie ręce, i tak byłoby ich mało. Dziękował jednak swemu szczęściu, gdyż żadna z płytkich jak na razie ran nie była śmiertelna. Pomagał mu Abd ar-Rahman, który zza osłony skjolda wikinga dźgał swoich zdradzieckich ludzi ozdobnym sztyletem. Najczęściej po oczach.

Kalif cały czas gromkim głosem wydawał rozkazy, których zdawał się nikt nie słyszeć. W pewnym momencie jednak napór zelżał, a potem ustąpił zupełnie. Nadeszły świeże oddziały i zaatakowały zdrajców od tyłu. Nie wszyscy gwardziści zaprzędali swój honor. Gdyby nie walka wewnątrz tej formacji, pięciu przybyszów z Północy, z samymi tylko tarczami i kradzionymi saksami w rękach, nie miałoby szans.

Bitwa w sali tronowej dobiegła końca. Na pięknej posadzce, w kałużach krwi leżało nieco ponad dwie dziesiątki ciał. Wśród nich wyróżniał się ubiorem i rozmiarami Leif Osvaldsson – kapitan *Smoczej Dumy*, landmand konunga Eryka Zwycięskiego.

Żołnierze prowadzili też szamoczącego się łuczника, a ciała jego trzech martwych kompanów rzucili na stertę trupów. Niestety i ten ostatni, nim dotarł do stopni podwyższenia, targnięty nagle drgawkami zmarł z pianą na ustach.

Kalif wsparł się ciężko o tron. Patrzył wściekłym wzrokiem na nielicznych stojących przy ścianach urzędników, na unikających jego wzroku zbrojnych, na czterech ludzi z Północy. Ci ostatni, cali skąpani we krwi, usiedli w milczeniu u szczytu szerokich podestów. Wyczerpani i dziwnie cisi. Władca wydał krótki rozkaz i jego ludzie ostrożnie ułożyli martwego Skandynawa na płachcie materiału.

Skinieniem upierścienionej dłoni wezwał Erika.



– Zniosą go do waszego obozu i udzielą wszelkiej pomocy przy godnym pochówku w myśl waszej wiary, chłopcze. Ale wy jeszcze zostańcie, rany obejrzyj mój medyk i porozmawiamy.

Gdy młodzieniec przetłumaczył słowa Abd ar-Rahmana, Kolbjørn tylko machnął ręką. Jeśli komuś się wydaje, że można walczyć w ścisłym dźwięku minuty i tryskać witalnością, to jest głupcem albo dzieckiem. W bitwie siły dają strach i podniecenie, ale potem za wszystko trzeba drogo zapłacić. Jarl wyciągnął z sakwy u pasa list odebrany bratu Piotrowi i rzucił go w milczeniu synowi szwedzkiego konunga. Potem zamarł, jakby na tę czynność zużył resztkę sił.

W wielkiej hali przywracano porządek. Służba uprzątała ciała, opatrywała rannych. Jednych zanoszono wprost do pałacowych lochów, innych do domu medyków. Zdrójcy, którzy mieli siłę, poderżnęli sobie gardła, więc nie było kogo wziąć na spytki. Zbrojni wyprowadzili też ostatnich dostojników. Nowi gwardziści trzymali jednak pod strażą bliższą i dalszą rodzinę kalifa. Zwykle właśnie spośród krewnych wywodzili się podżegacze do zamachów na życie władców. W całym Al-Kasr zamykano teraz bramy, żeby nikt niepowołany nie mógł wejść do środka. Jak również opuścić bez pozwolenia pałacu.

Erik zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie zadziwiająco silne ramię namiestnika Proroka. Sługa Litościwego ułożył jasnowłosego młodzieńca na szkarłatnym materiale podestu i wezwał medyka. Ten obejrzał liczne płytkie rany, posmarował jakąś maścią, pocmokał i oddalił się w stronę siedzących ze zwieszonymi głowami trzech Skandynawów.

– Straciłeś sporo krwi, Eriku, ale Micheasz mówi, że to nic groźnego. Musisz teraz dużo jeść i pić i będzie dobrze. Opowiedz wszystko, albowiem, na Allaha, chcę wiedzieć, gdzie wrogowie, a gdzie przyjaciele. – Wskazał brodą na przestępującą z nogi na nogę grupkę krewniaków. – Ktoś zabił tego łucznika zatrutym sztyletem.

– Może już uciekł? – zauważył niezbyt przytomnie Erik. – Widział, że pokrzyżowaliśmy mu plany i...

– Nie, nie, chłopcze, to by oznaczało przyznanie się do winy. Myśli, że zatarł ślady, i skrywa się w tłumie pochlebców i krewnych z nadzieją, że uniknie sprawiedliwości i los da mu kiedyś drugą szansę. Nasze przysłowie mówi: „Jeśli chcesz coś ukryć, schowaj to w oku słońca”. Tak jest i teraz. Musiał być w trakcie zamachu w pałacu, by po mojej śmierci szybko przejąć władzę. Ale choćbym miał zabić ich wszystkich, jednego po drugim łącznie z moimi synami – władca Al-Andalus po każdym słowie uderzał pięścią w drewniane oparcie tronu – znajdę i uśmiercę to ścierwo. – Młodzieniec z Północy ani przez chwilę nie wątpił w słowa wielkiego kalifa.

– Ojciec też zginął z ręki mego dziada, gdy ten powziął wobec niego podejrzenie. Mów więc.

Erik w krótkich zdaniach opowiedział o skarbczyku i o liście spowiednika króla Leónu. Na poparcie swych słów podał dokument władcy. Ten z uwagą obejrzał obydwie pieczęcie, przeczytał i jeszcze raz starannie przyjrzał się znakom. Twarz miał nieruchomą, jak wyciosaną w kamieniu. W końcu przymknął oczy, a ze zmartwiałej nagle dłoni wypadło pismo biskupa Kordoby. Przez kilka chwil wyglądał, jakby drzemał. Erik dałby sobie odciąć jedyne zdrowe ucho, że władca toczy w głowie jakąś wielką bitwę i układa plany.

I miał rację. Nie mgła bólu, a żywy umysł odbił się w źrenicach, gdy kalif uniósł powieki. Przywołał do siebie jednego z gwardzistów, wydał mu gniewnie jakieś polecenie, a ten pobiegł do wyjścia. Nieznajacemu mowy Serkirów Erikowi, udało wyłowić się tylko imiona Hawwasa Ibn Umara i biskupa Rabiego Ibn Zajada al-Usufa. Potem zwrócił się w stronę krewnych. Erik nie rozumiał, o czym była mowa, ale po chwili od grupki wystraszonych wielmożów oderwało się pięć sylwetek, każda trzymana pod rękę przez zbrojnych. Dwóch małych jeszcze chłopców,

młodzieńcy w wieku wikinga i dorosły młody mężczyzna. Ten ostatni wyrywał się strażom, tak że trzeba było trzech mężów, by utrzymać go w ryzach.

– To moi synowie, przybyszu z Północy, krew z krwi i kość z kości. – Mówił, jakby przedstawiał ich podczas wieczerzy. – „Dzieci są skrzydłami człowieka”, jak twierdzą mędrcy, i to prawda. Najmłodszy to Abu al-As al-Hakam, nieco starszy Sulajman, ten młodzieniec o złotej grzywie nosi imię Abu al-Malik, jego o rok starszy brat to Ubajd Allah. Mężczyzna, z którym trzech ledwo sobie radzi, to mój pierworodny, Abd al-Dzabbar. Wszyscy rozumieją język Leónu i z szacunku dla moich gości w tej mowie potoczy się dalsza rozmowa. – Zamilkł na chwilę. – Wśród nich jest zdrajca.

– No, chyba nie myślisz, panie, że te pacholeta...? A i ci starsi to ledwie mężowie, gdzie im tam do królowania.

– A jednak. Allah zsyła na swoje sługi i ciężkie próby. Jeden z nich zgrzeszył śmiertelnie przeciw prawom boskim i ludzkim, albowiem: „Ten, kto zabił człowieka, który nie popełnił zabójstwa i nie szerzył zgorzienia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi (...)”[23]. A ten, kto nastaje na władcę, jakby źle życzył samemu Bogu.

Kalif jeszcze raz ciężko westchnął. Wyglądał zadziwiająco świeżo na tle ledwie żywych Skandynawów.

– Uspokój się, synu, to już i tak niczego nie zmieni. – Zwrócił się do tego, którego nazwał Al-Dzabbarem.

Krępy czarnowłosy mężczyzna znieruchomiał. Rzucił coś gniewnie w swojej mowie, ale kalif nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Jeden z was nastawał na moje życie i zawarł przymierze z niewiernymi – rzekł w języku Leónu. – Gdyby nie najemnicy, już teraz zwiedzałbym z hurysami rajskie ogrody. Niech przyzna się do winy ten, który miał śmiałość podnieść rękę na namiestnika Proroka. Obiecuję mu w zamian nieco szybszą śmierć.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, rozległo się pochlipywanie kilkuletniego Al-Hakama. Dziecko nic nie rozumiało z tego, co się wydarzyło tego dnia w sali tronowej. Najpierw było pięknie i kolorowo, a potem...

– Jesteś synem władcy, nie okazuj publicznie słabości – pouczył go kalif. Przez jego ściągniętą gniewem twarz przebiegł cień cienia uśmiechu. Malec skinął głową i niezdarnie otarł połą szaty łyzy, rozmazał przy okazji zawartość nosa na całej śniadej buzi. Udawał dzielnego, ale jego ciałem nadal wstrząsały dreszcze.

– Podejdźcie, Abu al-Maliku, Ubajdzie Allahu i ty, Abd al-Dzabbarze. Młodszy synowie niech patrzają, albowiem będzie to nauka, którą zapamiętają do końca życia. – Strażnicy skinęli głowami. Jeden z nich siłą odciągnął rączki od oczu wciąż łkającego Al-Hakama.

– Kto zawarł pakt z niewiernymi? – Głos władcy aż drżał od tłumionych emocji. – Al-Maliku, ty jesteś najmłodszy z tej trójki. Od ciebie zacznę.

Gwardziści podeszli bliżej. Stojący między nimi młodzieniec trzymał się prosto. Zdawał się spokojny i pewny swego.

– Czy nie kochałem cię najmocniej z moich synów? Czy nie spełniałem wszystkich twoich zachcianek?

Książę skłonił się lekko, na tyle, na ile pozwalali mu gwardziści, i odpowiedział w języku Maurów.

– Mów tak, by słyszał cię León! – zagrział ojciec. A potem już spokojniej dodał: – Zrobiłeś to, synu?

– Ktoś rzucił na mnie oszczerstwo, Sługo Litościwego. – Abu al-Malik spojrzał z nienawiścią na Erika. – Nie dawaj wiary pogańskim kłamcom, albowiem: „Zaprawdę, gdyby ci,

którzy nie wierzą, posiadali to wszystko, co jest na ziemi, i jeszcze tyleż do tego, aby się tym wykupić od kary w Dniu Zmartwychwstania, to nie zostałyby to od nich przyjęte. Ich czeka kara bolesna”[24].

– Więc nie sprzymierzyłeś się z moimi wrogami? Nie chciałeś mnie zabić, by przejąć tron i zaprowadzić wiarę chrześcijańską w całym Al-Andalus?

– Nie, ojczu. Przysięgam.

– Na własną nieśmiertelną duszę i Koran?

– Tak, ojczu i panie. Przysięgam na Świętą Księgę.

Kalif skinął głową.

– Wy też złożycie przysięgę? – zwrócił się do stojących nieco z tyłu synów.

– Przysięgam na Allaha i Koran – rozległo się niemal jednocześnie.

Przez chwilę wydawało się, że kalif uwierzy tym zapewnieniom, że w gniewie zabije oszczerczych pogan i wszystko będzie jak dawniej.

– A ten list i pieczęcie poznajesz? – Władca schylił się i uniósł nabity na czubek zdobnego sztyletu pergamin. Potem podetknął go niemal pod nos złotowłosego syna.

Al-Malik zbladł. W końcu wyszeptał: „O Proroku! Walcz przeciwko niewiernym i przeciwko obłudnikom i bądź dla nich surowy! Ich miejscem schronienia będzie Gehenna. Jakże nieszczęsne to miejsce przybycia”[25] – A głośniejsze dodał: – To dzieło moich wrogów. Myślę, że mój brat Al-Dżabbar maczał palce w tym spisku. Uwierz mi, a jego ukarzę. – Teraz tak bardzo przypominał niedojrzałego chłopca. Duże, niebieskie jak u ojca oczy zaszkliły się łzami. Najbardziej z całej piątki przywodził na pamięć swoją babkę – Muznę z Nawarry.

– To Al-Dżabbar namawiał mnie do złego i śmiał się, gdy mu odmówiłem, powołując się na Świętą Księgę i moją miłość do ciebie, ojczu. Nie opowiedziałem ci o tym, bo... no... myślałem, że tylko mnie wypróbujecie. Wierzysz mi? Nie mógłbym...

– Przeszukajcie go! – przerwał mu Abd ar-Rahman, wbijając trzymany w dłoni sztylet w pięknie rzeźbione oparcie fotela. Pchane gniewem ostrze weszło głęboko. Trzeci zbrojny podszedł do młodzieńca i po chwili ostrożnie wyciągnął spod szaty syna władcy zdobny handżar, ostrze będące symbolem męskości.

– Micheasz!

Uzdrowiacz podreptał w ich stronę, powąchał metal, ostrożnie musnął językiem, by zaraz splunąć z odrazą. Skinął głową swemu władcy.

– Tojad, ale nie tylko.

– Dalej twierdzisz, synu, że jesteś niewinny? – Abd ar-Rahman schylił się i ujął pozostawiony przez jednego ze zdrajców prosty miecz. Kciukiem sprawdził ostrość i podszedł do młodzieńca. Na twarzy niedoszłego kalifa pojawiło się przerażenie, ale też determinacja.

– I tak zaraz po objęciu tronu przez Dżabbara lub Ubajda Allaha czekała mnie śmierć, ojczu. Taki los jednego z wielu – rzucił nieco piskliwie.

– Niezbadane są wyroki Allaha. Póki ja żyję, nie spotkałaby cię krzywda uczyniona dłonią brata. A kiedyś, kto wie...

– Łatwo to mówić tobie, który masz pełnię władzy na ziemi. My, synowie wielkiego Abd ar-Rahmana III, musimy wywalczyć należne nam miejsce. Czasem Bóg nas wspiera, a czasem... – Chciał rozłożyć ramiona, ale przeszkodziły mu w tym mocne ręce strażników. Dodał bardzo cicho: – „Oni knuli podstęp i Bóg knuł podstęp; a Bóg jest najlepszy spośród knujących podstępów”[26]. Taka jest wola Boga.

Erik patrzył to na twarz ojca, to syna i na obydwu tak podobnych obliczach widział smutek i rezygnację.

– Wiesz, że muszę to zrobić właśnie dlatego, że jestem władcą Al-Andalus? Właśnie

dlatego, że patrzą na to twoi bracia? Właśnie dlatego, że sprzeniewierzyłeś się boskim nakazom?

– Gdybyś wygnał mnie z kraju, ojczu, to byłoby sprawiedliwe i miłosierne.

Kalif milczał dłuższą chwilę, gładząc w zamyśleniu lśniące ostrze miecza. Toczył ze sobą jakąś walkę i gdy ją wygrał, spokój powrócił na jego oblicze. Skinął głową.

– Za próbę zabicia namiestnika Proroka odbieram ci wszelkie prawa wynikające z urodzenia. Za krzywoprzysięstwo skazuję na podwójną karę śmierci. Nie jesteś już moim synem, więc twoje zwłoki zostaną ukrzyżowane i powieszono nad jedną z bram Kordoby. Gdy zgniją, ciało spalimy, byś nie zaznał spokoju po śmierci.

– Ojczu! Panie! Nie możesz...

– Ale masz w sobie królewską krew. – Władca zdawał się nie słyszeć słów byłego syna. Uniósł miecz i spuścił go, gwałtownie przecinając powietrze. – Więc niepisane ci żelazo, lecz sznur. Umrzesz szybko i to jedyna łaska, którą mogę ci okazać. Wykorzystano twoją młodość i naiwność i ci, którzy to uczynili, umrą straszną śmiercią. Przysięgam na Allaha, że tak się stanie.

– Panie! Ja nie chcę...

– Zróbcie, co powiedziałem. – Kalif spojrzał na setnika, nowego dowódcę gwardzistów. Wzrok władcy prześlizgnął się po synu, jakby ten był powietrzem. – Od dziś – nie mówił bardzo głośno, ale w absolutnej ciszy wszyscy doskonale słyszeli jego słowa – pod karą śmierci nie wolno w mojej obecności wymieniać imienia Abu al-Malika. A teraz wszyscy precz!

Sala tronowa opustoszała. Nic dziwnego, ponieważ los księcia mógł spotkać każdego z obecnych, i to bez wyjątku.

– A nasze sprawy, panie?

Abd ar-Rahman wyglądał, jakby zaraz miał się rzucić na Erika. Opamiętanie przyszło w ostatniej chwili.

– Poślę po was, gdy podejmę decyzję. Zastanówcie się do tego czasu, jaka jest cena.

– Cena za...

– Precz, póki jeszcze możecie! Później.

Młodzieniec szybko wszystko wytłumaczył braciom i już bez ociągania opuścili salę tronową. Za drzwiami nie było oczekującego na nich wcześniej oddziału zbrojnych, a jedynie pulchny sługa, który odprowadził Skandynawów aż do bramy obozu. Kolbjørn, który doszedł już do siebie, był gotów założyć się o własne jedyne jajko, że ten tu nie miał ich wcale. Dlatego mógł być godny zaufania swego władcy. Nie miał dla kogo zdradzić i nie musiał kraść więcej niż tylko na własne potrzeby.

Z koszarów dochodził szcęk broni. Trwała tam bitwa.

THING



Gdy Krzywe Zęby z towarzyszami biegli w stronę bramy, od razu zwrócił ich uwagę brak strażników. Nie było też ciał, co z kolei stanowiło dobry znak.

Na podwórku toczyła się regularna bitwa. Przyparta do muru setka niewolników odpierała wściekle ataki Skandynawów.

– Staaaać! Na oko Odyna! Przerwać walkę! – wrzasnął Kolbjørn, waląc na oślep. Pozostali dowódcy zrobili podobnie i w końcu z trudem udało się przywrócić jaki taki porządek.

– Co się dzieje?! – Złapał za skórzaną bluzę stojącego najbliżej woja i potrząsnął niczym workiem rzepy. – Hord, o co walczyacie i kto zaczął?!

– Wo-wo-wodzu. Pu-pu-puść, to po-po-wiem.

– No?!

Hord Ingstadsson, niemłody już żyłasty sternik *Czarnej Śmierci*, splunął krwią z przygryzionej wargi.

– Aslof Czarna Broda miał jakiś zatarg z tym młodym dowódcą niewolników i zaczęła się szamotanina. Kilku pomogło naszemu, kilku szmacianym łbom i po chwili pół placu toczyło walkę na pięści i kije. Gdy przyniesiono do obozu ciało Leifa, pomyśleliśmy, że wszyscy zginęliście i że to zdrada. To i poszło na ostro.

– Są zabici?

– Eee, dopiero co zaczęliśmy.

Jarl patrzył gniewnie na dziwnie skruszonych wojów. Wyglądali teraz niczym dzieci karczone przez surowego rodzica, a nie banda twardych zabijaków. Niewolnicy trwali w gotowości, nie wiedząc, co ich czeka.

– Czarny!

Aslof podszedł wolno, cały czas rzucając wściekle spojrzenia na Naję, dowódcę szmacianych łbów. Był od stóp do głów w pyle i bardziej by pasował mu teraz przydomek Szary Wilk. Tuż za bratem podążał wiecznie zatroskany Eldgrim Róg.

– Czy nie można was zostawić na ćwierć dnia, żebyście nie wszczęli jakiejś awantury? Ten szczeniak rozumiem, ale ty, Eldgrimie?

– Wodzu, ani się obejrzałem...

– To moja wina i ja powiem. – Aslof odepchnął starszego brata.

– Poszło, saekonungu, o moją Borgę. Ten kundel – wskazał na rzucającego gniewne spojrzenia dowódcę gwardzistów – wymyślił sobie, że ona może być jego. – Zamilkł.

– I?

– Musiałem z Tagim pokazać mu należne miejsce, a gapie po obu stronach zaczęli przyłączać się do rozróby i jakoś tak wyszło. Jak przynieśli Leifa...

– To już wiem. Powiedz mi, chłopcze, czy ta twoja Borga, córka Jorunnda, to opuszczony hov albo ziemia niczyja, żeby brał ją każdy, kto ma na to ochotę?

– No nie. Jest wspaniała, twarda i ostra jak stal. Biada temu, kto by pochwycił ją gołą ręką.

– To dlaczego martwi cię jakiś niewolnik? Loki pomieszał ci w łepetynie? Myślisz, że mało mamy kłopotów i bez tego? Potrzebujemy tych jeźdźców.

– No bo nam ostatnio... To znaczy, przez te niewolnice... – jękał się Czarna Broda.

– Dość! Na szczęście przybyliśmy w porę. – Jarl ruszył w stronę łążni. – Zwołuję thing. Nim Arvak i Alsvidh przesuną słońce na nieboskłonie o dziesiątą część, chcę widzieć wszystkich na placu przed wielkim kamiennym hovem. Mamy wiele do omówienia.

– Ale co się działo w pałacu? – rzucił ktoś z tłumu. Jarl jakby tego nie słyszał.

– Nie licząc śmierci Leifa Oswaldssona, bogowie sprzyjali dziś Askmadom, ale tak nie

musi być i nie będzie zawsze. Niech się stawi też setnik niewolników ze swoimi dziesiętnikami! – I już bez słowa zniknął w trzewiach budynku. Był ze stali, ale i on potrzebował chwili wytchnienia. Część zbrojnych patrzyła jeszcze spode łba, inni z żalem, że to już koniec. Nie może spotkać mężczyzny nic lepszego niżli dobra bitwa, niestara chętna kochanka, mocny pokład pod stopami, pełen piwa żołądek i sprawdzona wesola kompania podczas wikingu.

Niedługo, już w pokojowych nastrojach, stanęli w wielkim kręgu na placu, który jeszcze nie tak dawno był miejscem śmiertelnych zmagañ. Przy bramie na rozkaz jarla straż pełniło dziesięciu Skandynawów. Nie chcieli dać się zaskoczyć z opuszczonymi gaciami. A mścić się mógł każdy: od rozgoryczonego i wściekłego kalifa po jego wrogów, którym Skandynawowie pokrzyżowali dziś szyki.

Kolbjørn Krzywe Zęby opowiedział o próbie zabicia władcy Sjørklandii, o dobrej śmierci Leifa Osvaldssona i ku ogólnemu zdziwieniu zdjął z ramienia i wręczył synowi Eryka Zwycięskiego srebrną bransoletę. Krzywił się wprawdzie, jakby miał w ustach nieświeżą rybę, ale to i tak było coś. Młodzieniec zaniemówił. Prędzej spodziewałby się solidnego kopniaka czy w najlepszym razie pogardliwego milczenia. Jarl był jednak mądrym wodzem albo chciał uspić czujność konungowego wyskrobka.

– To dzięki niemu powiódł się nasz plan.

Młodzi przyjaciele Erika wzniesli zaraz pochwalne okrzyki.

– Bo ma tak pusty łeb, że leciał niczym pelikan po zdobycz!

– Nie ma jaj, więc jest kilka kamieni lżejszy!

– Z jednym uchem pewnie wirował w powietrzu niczym strzała ze zwichrzonymi lotkami!

Wciąż wznoszono okrzyki. Krzywe Zęby zyskał uznanie jak każdy wódz, który nie szczędzi skarbów swoim drottmadom. Hojność zawsze świadczy o wielkości.

– Ale teraz – saekonung podniósł ręce, by uciszyć zbrojnych – musimy na tym thingu postanowić, co dalej.

– Jak to co, zabieramy złoto i ruszamy do tego portu w Santander czy jak się zwie ta wieś, w której poblizu zostawiliśmy nasze skipy – zabrał głos Ottar Krzywa Gęba. Wielu poparło pomysł członka załogi *Dumy Aegira*. Wśród nich i Erik.

– A jak chcesz się tam dostać? Powietrzem? Masz może, Ottarze, skryty w zanadru Skidbladnir? Gdy dotrzemy do granic Leónu, będą już tam na nas czekały królewskie oddziały. Więć, że to z naszej winy nie powiódł się plan konunga Ramira, dotrze do nich na długo przed ludem jesionu. Złe nowiny lecą sokołem. No i zabiliśmy tego chudego spowiednika...

– Mamy metalowy list od brata Piotra. Na jego mocy wszyscy Leónczycy udzielą nam pomocy. – Aslof wstał i podał pismo z królewską pieczęcią.

Kolbjørn obejrzał pergamin z jednej i drugiej strony. Z jego twarzy nie zniknęło zważenie.

– Słowo władcy, zwłaszcza wypowiedziane przy świadkach, ma moc. Ale takie...? Jest ktoś, kto poskłada w mowę te znaki?

Zeno odczekał chwilę, a nie widząc lasu rąk, wyszedł przed szereg i skłonił się jarlowi.

– Mogę, panie, jeśli nie wątpisz w mą ucziwość.

– Ktoś jeszcze? – Odpowiedziała mu cisza.

– To nie wątpię, niewolniku. – Podał dokument pisany zamaszystym stylem brata Piotra. Zeno rozłożył go ostrożnie, by nie skruszyć widniejących w połowie dokumentu znaków.

– Hmm. „Każdy, kto przeczyta moje słowa, niech wie, a jestem królewskim spowiednikiem i powiernikiem sekretów najjaśniej nam panującego władcy Ramira II” – rozpoczął. – „Okazicielom tego listu należy się życzliwość i pomoc, tak jakby to był sam król

Leónu i Galicji, protektor Nawarry, obrońca jedynej prawdziwej wiary”. Pod tymi słowami przybito pieczęć z lwem w koronie. Lew to takie...

– Słyszeliśmy o tych przerośniętych psach – uciął jarl. – Tylko czy znaki na pergaminie są coś warte? Każdy może naskrobać, co mu przyjdzie do łba, i pokazywać ludziom jako słowa konunga, thegena czy nawet jakiegoś boga.

– No a ta pieczęć, wodzu? – Aslof tyle się natrudził, by uzyskać list, że nie zamierzał łatwo rezygnować.

– A dasz głowę, Czarny, że zadziała? Postawisz na to gardła nas wszystkich?

– Nie zaszkodzi mieć go przy sobie, gdy spotkamy się z rycerzami z Leónu. A gdyby nawet...

– Wybacz, panie, że przerywam. – Zeno skłonił się usłużnie. – Ale poniżej pieczęci u dołu pisma jest dopisek, który jak miemam, może was zainteresować.

– Mów.

– „Uśmiechajcie się do nich i potakujcie, nie zapominając jednak, by o ich nadejściu powiadomić najbliższy garnizon”. – Niewolnik przerwał, a kilku słuchaczy wzniosło gniewne okrzyki. – „Gdy uśpicie ich czujność dużą ilością wina, pochwyćcie wszystkich i przekazcie pod strażą do Leónu. Gdyby jednak okazało się to niemożliwe, zatrujcie im napitek, niech pomrą w mękach. Bóg wybaczy wam ten uczynek, albowiem uczynicie to dla pokoju, a nie dla wojny. Lud ten niesie za sobą pożogę. Sługa Jedynego i umyślny Biskupa Rzymu – Peter de Rosa”.

– To faktycznie pomoc byśmy mieli z tego listu jak z ostrej klingi saksa na szyi. – Jarl wykrzywił się paskudnie. – Masz jeszcze inne pomysły, Aslofie? – Podał pismo młodzieńcowi, trzymając ją ostrożnie dwoma palcami niczym na wpół żywe miejscowe stworzenie zwane skorpionem.

Czarna Broda kopnął wściekle piach i cofnął się w tłum. List zabrał Erik i ku zdziwieniu wszystkich starannie złożył i schował w sakwie przy pasie.

– Może się jeszcze przydać – mruknął.

– Tak, do podarcia tyłka w bezlistnym lesie. – Aslof, jakby mógł, zabiłby brata Piotra jeszcze raz. – Co to za ludzie ci paparzy, powiedzieć, że mają dwie twarze, to tak jakby nic nie powiedzieć.

– Gdy dotrą do króla wiadomości o czynach jego niedawnych najemników, to z naszych skipów zostanie tylko popiół. – Starkard westchnął ciężko i z żalnością. Wszyscy wiedzieli, że *Lowcę Niewolników* kocha bardziej od swojej połowicy.

– Nasi bracia zginą, a niewolnicy od wiosł rozpierchną się po Leónie – dorzucił ktoś.

– Tego nie wiemy. Zostało tam pięć dziesiątek wojów z Arim Wilczym Pyskiem. A że to tchórz, może uda im się uciec. – Jarl pogładził się po upierścienionej brodzie. – W każdym razie nie o nich się martwmy, lecz o siebie. Musimy zdobyć nowe okręty, jeśli chcemy wrócić ze skarbem do Szwecji.

– To może niech kalif da nam skipy? Jako spłatę części długu – zabrał głos Eldgrim Róg.

– Byłby głupcem, przystając na taką propozycję, karmiąc zdychające wilki, by mogły atakować jego stada. Ale warto spróbować. Nas jest z niewolnikami trzy i pół setki, więc musiałoby to być pięć dużych skeidów albo drugie tyle mniejszych snek. Z prowiantem i dobrymi żaglami. Ale ich langskipy to beczki z wiosłami. Płynąc czymś takim podczas sztormu, to samemu pchać się w ramiona Ran. – Jarl się zadumał. – No i znowu będziemy wędrować wzdłuż wybrzeża tego Leónu, a bez listu żelaznego Czarnej Brody potopią nas jak nic – dodał z przekąsem, ale i uśmiechem morski wódz. – Z nim to chociaż daliby wina przed śmiercią. Co proponujecie?

– Może ruszyć w nieznaną? Słyszałem, że po drugiej stronie cieśniny Norvasund jest



ogromny i bogaty ład. – Finnbogi Hrapson wyciągnął splecione dłonie, aż chrupnęło. – Ziemi tam żyzne, ja już mam swoje lata i zacumowałbym gdzieś na stałe. – Podrapał się z zakłopotaniem po głowie. – Wiecie, mocny hov, płodna niestara kobieta, synowie, gospodarka...

– A skąd ty byś wziął wadery dla tyłu wilków? – Tharkild bez Nosa, kuzyn Grima Złotego, który to wyłożył na wyprawę sporo srebra ze swego skarbcza, nie był chętny, żeby osiąść z daleka od domu. W rodzinnym hovie zostawił żonę z gromadką dzieci. Miał wśród ludzi posłuch i wielu zaraz go poparło.

– Stamtąd przywożą ludzi o czarnej skórze – wtrącił swoje Erik. – Wiem, bo rozmawiałem o tym z kupcem...

– No, tobyśmy znaleźli sobie czarne płodne żony o dużych piersiach i szerokich miękkich biodrach. – Finnbogi aż się oblizwał.

– To dzieci z nimi miałbyś chyba łaciate, bracie. – Tharkild pierwszy wybuchnął śmiechem, a w jego ślady poszli wszyscy zgromadzeni na placu.

– Pewnie, pewnie łaciate, ale co, co to szkodzi – nie dawał za wygraną porykujący ze śmiechu kapitan *Pogromcy Fal*. – Co szkodzi? – powtórzył, ale już z mniejszym entuzjazmem.

– Jeśli mój młody wiek nie będzie przeszkodą, też miałbym propozycję. – Erik wyszedł przed szereg. To był thing wszystkich załóg, więc każdy miał prawo głosu.

– Mów.

– Kupiec Hamzi, ten, który schował nas na swoim skipie przed zbrojnymi kalifa, opowiedział o szlaku prowadzącym stąd do Miklagardu. Większość z tego zapamiętałem i z pomocą bogów dalibyśmy radę dopłynąć do bizantyjskiej stolicy.

– A potem austrvégr do domu? – powiedział ktoś z rozmarzeniem.

– Tak właśnie, bracie. Rzekami Rusi do Szwecji.

– Albo nając się do gwardii cesarskiej, darmowe wino i dziewczki... – rozmarzył się ten sam mąż.

– Ty się lepiej, Eilif, zdecyduj – rozległy się głosy kompanów.

– Jak dużo pamiętasz, synu konunga? – przeszedł do konkretów jarl.

– Co trzecie słowo. Tak gdzieś – odburknął niepewnie Erik. – Mówił mi tylko raz i z nerwów nie miałem głowy do pamiętania wszystkiego.

– Co trzecie powiadasz? To jak było: „Nie płyn na południe, czyhają podwodne skały i wiry”, to tobie wyjdzie: „płyn na południe”?

– Poprosimy kalifa o miejscowego przewodnika. Oni dobrze znają te wody – odpowiedział niezrażony młodzieniec.

– I tak będzie. – Jarl zatarł wielkie dłonie. – Otwierasz często gębę nie wtedy, gdy potrzeba. Ale jak staremu młódka, tak i tobie zdarza się powiedzieć coś rozumnego. To wszystko?

Kilku zaczęło przebąkiwać o podjęciu ryzyka i przemknięciu się do portu w Santander.

– Gdy skipów nie będzie, znajdziemy tam sobie inne, miejscowe – mówili. Zaraz jednak pojawiły się głosy, że jedyne, co można tam ukraść, to łodzie rybackie, a król nie rozpuścił jeszcze oddziałów i siądzie im na kark, nim się obejrzą.

– Mamy więc dwie propozycje, które pozwolą nam pożyć na Midgardzie. Nie to, żeby Walhalla nie kusila. Ale tam zawsze zdążymy trafić. – Saekonung uciszył ludzi. – Kierunek Wielkie Miasto i pomysł Finnbogiego też wart jest rozwagi. Żyzne ziemie to jest to, czego szukają nasi bracia na całym świecie. Ja sam nie mam po co wracać i choćby ceną były łaciate dzieci, chętnie gdzieś osiądę na stałe. Ci, którzy są gotowi porzucić stary kraj i wywalczyć sobie nowy, niech ustawią się po mojej prawicy. Reszta po lewej.

Wojowie się zawahali. Zaczęły się narady, dyskusje, ale koniec końców grupa po prawej była dwukrotnie liczniejsza. Przeciwnicy takiego rozwiązania pod wodzą Tharkilda postanowili, że jeśli plan jarla się powiedzie, popłyną z braćmi, by po pomnożeniu łupów wrócić do domu. Erik stał z mniejszością. Cniło mu się za polowaniami, w których to nie on jest zwierzyną. I za domem. W sagach drużyny ze śmiechem na ustach pokonywały olbrzymy, smoki, wielkie armie. W życiu częściej dostawało się w te usta pięścią od rozsierzonego kamrata. Były bród, pragnienie, pot i krew. Choć sama walka... Mlasnął z lubością.

– Wiem teraz, z czym iść do władcy Al-Andalus. – Jarl wstał. – A że popracowaliśmy dzisiaj niemało głowami, a i od biedy ćwiczenia na placu też były, otworzymy na tę okoliczność trzy beczułki z zapasu, który schowałem na taką właśnie chwilę.

Fala radości przetoczyła się wśród zebranych, bo żyć trzeba pełną piersią i z przelewającym się w żołądku trunkiem. A o jutro nie ma się co kłopotać. Nie śpi dobrze ten, kto oddaje się zamartwianiu.

Czekali, coraz bardziej rozsierzeni, dwanaście długich dni. Trzynastego o poranku na podwórku przed koszarami zaroilo się od zbrojnych. W strażników przy bramie mierzyła dobra setka strzał, więc ci nie podnieśli alarmu... Na mury wspięli się inni łucznicy gotowi na jedno skinienie wysłać pozostałych najemników do Walhalli. W obozie wikingów zjawił się namiestnik Proroka na ziemi, sam Abd ar-Rahman III.

# TRZECIA DROGA



Władca Al-Andalus stał z założonymi rękami, gdy wikingowie zaczęli wysypywać się z budynku. Postury pośledniej, ale w pięknych szatach wyglądał dostojnie i groźnie.

Niektórzy nakładali na siebie po drodze kolczugi, inni przypasywali broń. Nie wiedzieli, czego się spodziewać. Kolbjørn sprawiał wrażenie, jakby wcale nie kładł się spać – co pewnie było prawdą – i jako jeden z nielicznych był trzeźwy. Bo co było do przewidzenia, nie skończyło się na trzech beczkach wina. Żeby utrzymać w ryzach ludzi, poprosili Górala o nową dostawę trunków. Krzywe Zęby doszedł do słusznego wniosku, że lepiej, jak się leje napitek niż bratnia krew.

Jarl ruszył w stronę kalifa, zgarniając po drodze Erika. Młodzieniec też był w miarę przytomny, ponieważ ostatniej nocy pochorował się po wypiciu dwóch rogów słodkiego wina.

– Niezbyt dobrze wyglądasz, drengu. – Jarl klepnął syna konunga w plecy, a ten poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Na szczęście od dawna był pusty, więc Erik tylko beknął żałościwie.

Zatrzymali się cztery kroki przed Abd ar-Rahmanem, a raczej zatrzymali ich gwardziści.

– Niech...

– Witaj w naszym obozie, konungu. – Krzywe Zęby przekrzywił lekko głowę. – Myślałem, że wezwiesz nas do swojej twierdzy. Niepotrzebnie fatygowałeś się o tak wczesnej porze.

– Nie twoja sprawa, najemniku! – Wielki kalif chciał powiedzieć coś więcej, ale zacisnął zęby, powstrzymując słowa. To był władca, któremu niewielu śmiało przerywać. A jeżeli już, to zapewne zdarzało się to raz i nigdy więcej. Bo trudno gardłować z głową zatknietą na pal. Teraz jednak powściągnął gniew, westchnął, wznosząc wzrok ku górze i zamruczał: – „Być może czujecie wstręt do jakiejś rzeczy, choć jest dla was dobra. Być może kochacie jakąś rzecz, choć jest dla was zła. Bóg wie, ale wy nie wiecie!”[27]. – A potem jak gdyby nigdy nic z uśmiechem kontynuował: – Niech Allah wam błogosławi, przybysze zza morza, choć jesteście tylko poganami. Sprawy nabrały szybkości sokoła, więc jeśli nie chcemy pozostać w tyle, musimy temu zaradzić.

– I sam falki wam to mówi – burknął jarl, gdy Erik przetłumaczył słowa kalifa.

– Moi doradcy i poddani, niech wielki Bóg im wybaczy porywczość, chcą waszej śmierci. Stąd też obecność ich pana i władcy w tym obozie.

– Śmierci? Za co?

Abd ar-Rahman zaczął zginać palce lewej dłoni.

– Za zbezczeszczenie pałacu krwią wiernych, za grożenie namiestnikowi Proroka ostrzem, które nosisz teraz na szyi, za knucie z wrogami królestwa i sprowadzenie ich pod bramy mego pałacu. Mało, młody przyjacielu? Jeśli tak, to mam jeszcze...

– A za uratowanie życia, panie?

– Za to ostatnie to ja przybyłem do was osobiście, miałem wysłać silny oddział wojska, który przyniosłby mi zakrwawione głowy przybyszów zza morza.

Słyszając to wszystko, jarl odpowiedział po pewnym namyśle. Nakazał Erikowi tłumaczyć słowo w słowo.

– Ale nie jesteś, panie, sam, jak widzę. Czyżbyś nam nie ufał? A może mimo długu krwi, mimo śmierci w twej obronie naszego przyjaciela, chciałbyś jednak przyozdobić blanki murów naszymi czerepami? Za śmierć twego syna?

– Gdyby tak było, dowódco najemników, to uważasz, że podzielę się z tobą tymi planami? – syknął Abd ar-Rahman. Na wzmiankę o Abu al-Maliku przez jego czoło przemknął cień.

– Nie musisz, panie. Człowiek rozumny zawsze jest gotowy, by umrzeć. Sam Odyn rzekł:  
*Przyjaciółom ma być mąż przyjacielem*  
*I darem płacić za dar;*  
*Śmiech pośród druhów śmiechem odwzajemniać,*  
*Falsz natomiast – zdradą*[28].

Taką radę dał ludziom władca naszych bogów. Jeśli podejmiesz, konungu, próbę, stracisz wielu wiernych ci zbrojnych. – Słowo „wiernych” jarl powiedział nieco głośniejszym, wolniej i tak je przetłumaczył Erik. – Nie zyskasz przy tym nic poza uśmiechem wrogów. Ci tam – Kolbjørn wskazał ręką na łuczników – nie będą w stanie zatrzymać moich ludzi. A wtedy...

– Grozisz mi, psie?! „Nie budzi się kura w brzuchu śpiącego lisa”.

– A czy groźbą jest powiedzieć, że zbiera się na burzę? Albo że podmywana wodą skarpa wnet runie do rzeki? Mówię, jak jest. A ty mi powiedz, panie, czy godzi się pukać rankiem do drzwi przyjaciela z nagim ostrzem w dłoni. I to przyjaciela, który własną pierś nadstawił na przeznaczone dla ciebie strzały.

– Oni są tutaj tylko po to, by mnie chronić, dowódco najemników.

– Tak, a pies szczeka, bo nie lubi ciszy – burknął jarl.

Wydawało się, że kalif da rozkaz do ataku i zacznie się jatka. Tymczasem wybuchnął gromkim niepohamowanym śmiechem.

– Pies, powiadasz... A niech tam, skończmy te przekomarzenia. Winien wam jestem gościny, a nie obelgi i żelazo. Zapraszam do tutejszej łaźni. Mój wezyr twierdzi, że wodę w niej grzeją gorące źródła, więc w sam raz się nada. Porozmawiamy w spokoju, odprężymy się. To dobre miejsce, by przekonać cię, dowódco najemników, o pokojowych zamiarach władcy Al-Andalus. – Abd ar-Rahman klepnął Erika w tyłek, tak jak się klepie zdrową i chętną dzierlatkę.

Młody wiking rozejrzył się spłoszony, czy nikt nie patrzy, ale pech albo złośliwi bogowie chcieli, że widzieli wszyscy. Ręka sama ułożyła się na rękojeści miecza, ale mocna jarłowska dłoń przytrzymała ostrze w pochwie.

– Miarkuj, młodzieńcze, że o życie nas wszystkich idzie. – Syn konunga chwilę trwał w napięciu, ale dał za wygraną. Krzywe Zęby miał rację. Gdy powiedział mu, o co chodzi, podążyli za oddalającym się kołyszącym krokiem władcą Sjórklandii, któremu towarzyszyli gwardziści. Dobre dwie setki szmacianych łbów pozostały na zewnątrz ze strzałami na cięciwach łuków.

Koszary musiały być kiedyś domostwem zamożnego rzymskiego patrycjusza. Przebudowano je, zostawiając jednak znajdujące się pośrodku, otoczone kolumnadą atrium z niewielkim basenem. Jeszcze teraz widać było ślady dawnej świetności, choć w naściennej mozaice ubytki niemal całkowicie zatarły dawny wzór. Pierwotnie stały tu marmurowe rzeźby rzymskich bogów, po których pozostały jedynie ślady w płytkach posadzki.

Kalif zrzucił szaty i wolno, dostojnie wszedł do wody. Strażnicy obstawili wejścia i wyjścia, powstrzymując cisnących się Skandynawów. Kolbjørn Krzywe Zęby niemal w ostatniej chwili uspokoił szykujących się do szturm kompanów.

– Zapraszam. – Zanurzony po pierś wskazał jarłowi miejsce obok siebie. – Porozmawiamy jak przyjaźnie nastawieni ludzie. Oby światło mądrości Proroka dodało naszym myślom skrzydeł i roztropności, która powinna cechować każdego władcę i wodza. Bo musi on myśleć nie tylko o sobie, ale też swoich ludziach, a nawet jeszcze nienarodzonych pokoleniach. – Erik tłumaczył, ale nie rwał się do kąpieli. Stał na brzegu basenu ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i chmurnie patrzył na władcę Al-Andalus.

Kolbjørn, nie zwlekając, dołączył do gospodarza. Na jego nagim ciele widać było wiele

starych i nowszych sińców i blizn. Niektóre rany nie zdążyły się do końca zasklepić.

– Wielki wojownik z ciebie, dowódco najemników – zaszemrał pełen uznania głos kalifa.

– Gdybyśmy byli inni, panie, leżałbyś już martwy w sali tronowej.

– Allah was zesłał, za co dzięki niech będą Panu Stworzenia.

– Jeśli już, to dzieło norm, które tak splotły nici naszego losu. – Jarl ziewnął szeroko.

– Powiedz mu... – Jego głos brzmiał coraz ciszej i ciszej. Przyjemna ciepła woda i nieprzespana noc pokonały dzielnego saekonunga. Siedząc na kamiennym stopniu, zwiesił głowę i zaczął pochrapywać.

Abd ar-Rahman z uśmiechem trącił go łokciem. Jedno trzeba przyznać jarlowi, niczym dzikie zwierzę od razu oprzytomniał.

– A ty co, Erik? Wskakuj do nas albo cię tu przyciągnę za włosy.

Młodzieniec chcąc nie chcąc, bardziej nie chcąc, zdjął łachy i rozpryskując w pędzie wodę, dobrnął na miejsce obok jarla. Unikał wzroku kalifa, ale nie sposób było nie słyszeć mlaskania aprobaty.

– Siądź przy mnie, młody przyjacielu, będzie nam wygodniej rozmawiać.

– Dziękuję, panie, ale pozostanę tu, gdzie usiadła moja niegodna dupa.

– Jak sobie życzysz. – W głosie Sługi Litościwego pobrzmiwał lekki zawód. – Więc przejdźmy do rzeczy. Co mi odpowiesz, wodzu najemników, na pytanie, które zadałem ci w sali tronowej?

Saekonung znowu ziewnął, przemył twarz wodą i rzekł:

– Tam gdzie byliśmy bardziej godni zaufania niż twoi gwardziści, panie?

– Nie gdzie indziej – odwarknął kalif.

– Gdzie zasłonił cię przed strzałą...

– Skończ już, znam ciężar długów.

– Ale my go nie czujemy. Masz, panie, wiele naszego złota.

– Mam.

– Co byś powiedział, wielki konungu, szmacia... hm, wielki konungu, gdybyśmy wymienili połowę na okręty?

– Powiedziałbym, że nie mam żadnego na zbyciu. Potrzebuję wszystkich do obrony morskich granic kalifatu.

– Mogą być kupieckie, nie wojenne, byle zdatne i mocne...

– Żaden kupiec – przerwał Erikowi tłumaczenie – nie sprzeda wam nic bez mojego pozwolenia. A ja mówię: nie!

– To co proponujesz, kalifie, bo przyszedłeś do nas nie tylko po to, by oglądać długie silne nogi mojego drenga i to, co pomiędzy nimi? – Wściekły Erik pominął drugą część zdania.

– Wypożyczę wam statki, które przewiozą twoich ludzi, najemniku, i wysadzą na obrzeżach królestwa Franków, w okolicy hrabstwa Barcelony. Ale za całe złoto, które jestem wam winien.

Kolbjørn Krzywe Zęby zamknął usta ze szczękiem, jakby bał się wypuścić na zewnątrz zmię. Odczekał chwilę, by uspokoić myśli.

– To chyba weźmiemy to złoto, panie, i spróbujemy drogi lądowej.

– „Zanim zdecydujesz się na jakiś krok, sprawdź, czy posiadasz nogi” – zacytował władca. – Wolna wola. Z uwagi na słabość, jaką do was żywię, radziłbym przemyśleć to rozwiązanie. Pamiętaj przy tym, że to właśnie gorzka rada bywa tą najlepszą, o ile otrzymasz ją od życzliwego druha, a ja życzę wam dobrze. Rzadko kiedy skuteczny lek smakuje niczym suszone figi.

– Nie bardzo rozumiem, czego chcesz poza młodym Erikiem w łożu, panie – burknął jarl.

Syn konunga nie tłumaczył.

– Moi dowódcy obarczają pogan z Północy winą za odwrót spod Simanacas. Czy mają rację, czy nie, aby zapewnić wam bezpieczeństwo, musiałbym przydzielić do eskorty najwierniejszych ludzi. Nie uczynię tego. To, co widzieliście podczas audiencji, to tylko jedna z wielu prób, na jakie w tych dniach Allah wystawia swego wiernego sługę. Nawet jeśli dotrzecie zrzędzeniem losu do granicy mojego państwa, Al-Farandż też rzuci wam się do gardeł. Gdybyś jednak, wodzu najemników, nie zaniechał tego pomysłu, módl się do waszych bożków, może uczynią twój lud niewidzialnym. – W oczach namiestnika Proroka pojawiły się iskierki wesołości.

– Poradzimy sobie, kalifie, jak zawsze.

Abd ar-Rahman lekko wzruszył pulchnymi ramionami.

– To tylko tyle jeszcze powiem najemniku, iż dzisiejszej nocy z mojego rozkazu wszystkie kupieckie statki przepłynęły na prawy brzeg Wadi al-Kabir, która to nazwa oznacza Wielką Rzekę. Człowiek nie zdoła pokonać jej nurtu wpływ. To na wypadek gdybyście chcieli uszczuplić nieco moją flotę handlową.

Erik z jarlem wymienili zmartwione spojrzenia, co nie uszło uwagi gospodarza.

– To, co proponujesz, panie, różni się od kradzieży jedynie tym, że w momencie popełniania obydwie strony o niej wiedzą. – Żyły na szyi Kolbjørna niebezpiecznie napęczniały. Niedawna senność zniknęła bez śladu.

– Zdaje mi się, że z wyroku Allaha znalazłeś się w pułapce, wodzu najemników. A ja chętnie zatrzasnę jej żelazne zęby.

– Uratowaliśmy ci życie, konungu? – nie wytrzymał Erik.

– Jesteś młodym pięknym mężczyzną, chłopcze, choć ledwie z jednym uchem. Więc skąd miałbyś wiedzieć, że dla władzy niszczy się całe narody, rozgniatą plemiona, by uformować je po nowemu. Co dopiero grupkę przybłędów. Dotrzymam jednak danego słowa, bo tak nakazuje honor i Koran, ale nic wam po tym.

– Brak wyjścia, panie, jeszcze nigdy nie powstrzymał moich rodaków od działania. Wielki i zmyślny z ciebie wódz i nie chciałbym grać przeciwko w hnefatafla. Ale dajmy spokój tym podchodom, bo przecież nie z taką propozycją do nas przybyłeś niemalże o świtaniu, kalifie. Mam rację? To dlatego nie obawiasz się, że nie mając nic do stracenia, skręcę ci zaraz kark.

Władca Al-Andalus nieznacznie w uznaniu uniósł brwi, a Erik odniósł wrażenie, że rozmowa dopiero się rozpoczyna.

– Masz nie tylko męzne i silne ciało, ale też wartki rozum, a to rzadkie połączenie, wodzu najemników. Chcę od ciebie tego pięknego młodzieńca i niewolnika, który tak zgrabnie cytował sury Koranu. W zamian zagwarantuję twoim ludziom bezpieczną drogę łądem do granicy mego królestwa i oddam całe należne złoto. Dalej moja władza nie sięga i musicie radzić sobie sami.

Erikiem targnęło i nim zdążył pomyśleć, rzucił się kalifowi do gardła. Na szczęście między nimi siedział jarl i powstrzymał swego drottmada.

– Uspokój się, synu, co on powiedział?

Gdy młody woj wytłumaczył, Kolbjørn Krzywe Zęby milczał chwilę, ważąc coś w myślach.

– A gdybym dał ci tego Zena? Piękny to może on nie jest, ale i nie stary. Będziesz mógł, kalifie, wykorzystać jego rozum i co tam sobie chcesz.

– Chcę jego! – Władca wskazał upierścienionym palcem na syna Eryka Zwycięskiego.

– Mam cały oddzielny pałac pełen cudownych kobiet o czarnych oczach gazeli i ustach niczym pokryty rosą kwiat rumianku. I drugi – męski, w którym młodzieńcy kosztują raję na ziemi. Porzuciłbym Az-Zahara, ciebie czyniąc moim faworytem. Ty byś zajmował moje łóżko i serce.

Tobie bym oddał każdą wolną chwilę.

Dopiero po uderzeniu wielkim Kolbjörnowym łapskiem w głowę Erik, cedząc słowa, przetłumaczył ofertę kalifa.

Saekonung myślał długo, skubiąc brodę, wzdychał, cmokał, odrzucał kolejne pomysły, by na koniec z wyraźnym żalem pokręcić głową i powiedzieć:

– Nie.

– „Daj głupiemu tysiąc rozumów, a on będzie wolał swój własny”. – Kalif się zdenerwował. Nikt mu nie odmawiał, a tu uczyniono to po raz drugi. Opamiętanie przyszło w ostatniej chwili. – Jesteś pewien, najemniku? Nie powtórzę oferty.

– A dołożysz, panie, skipy za połowę należnego złota, bym mógł z moimi braćmi zawieźć skarb ojcu Erika? Co mi po tej wolnej drodze, gdy siądą mi na kark Frankowie. Jeśli tak, to zgoda.

Młodzieniec z kamienną twarzą przetłumaczył.

– Ściągnąłbym sobie na głowę gniew bogów i ojca tego młodego woja. A to straszny mąż, ścigający wrogów na drugim końcu świata, nawet w Winlandii. Jeśli nie masz, kalifie, innej propozycji, kończmy tę rozmowę.

Władca Al-Andalus nabrał w złączone dłonie wody i patrzył, jak ta przecieka między palcami.

– Wiesz, chłopcze – rzekł beztroskim tonem pogawędki przy winie – myślałem, by na tę rozmowę zabrać własnego tłumacza...

Erik pomimo ciepła zadrżał.

– Wiedz, że władza uczy przebiegłości, bezwzględności, znajomości ludzkich charakterów i przewidywania. Ten, kto nie posiada tych umiejętności, żyje krótko lub daje wodzić się za nos lepszym od siebie. „Potrzeba uczyć więcej niż dziesięć uniwersytetów”. Bawiła mnie ta rozmowa, chętnie bym ugościł tak pięknego kochanka w swoim haremie, ale nie w tej sprawie przyszedłem.

Erik znowu zaczął oddychać. Powoli wciągnął przez zęby powietrze.

– Co on mówi? – Krzywe Zęby coraz bardziej się niecierpliwił.

– Że to wszystko była tylko słowna zabawa, jarlu, a prawdziwą ofertę usłyszemy teraz. A ja ci powiem, że za próbę prehandlowania mnie za skipy mój ojciec zdejmie twój wielki łeb i rzuci psom.

– Mylisz się, drengu. Zrozumie, też by tak postąpił, będąc na moim miejscu. Znam go dobrze. – Młodzieniec w duchu przyznał rację saekonungowi. Eryk Zwycięski nie zawahałby się poświęcić syna, by osiągnąć cel. – A co do szmacianego łba, niech się spieszy, zjadłbym coś.

– Przybyła wczoraj kupiecka flota z Italii – rozpoczął monotonnym głosem władca Al-Andalus. – Na pokładzie jednego ze statków dotarł do Kordoby mój mniej znaczący wróg, emir Ibn at-Timna z wyspy zwanej Sikiliją. Postawił stopy na ziemi Umajjadów, by zdając się na litość, błagać o pomoc i patronat. Tylko namiestnik Proroka na ziemi może liczyć na taką łaskę Allaha, by jego przeciwnicy na kolanach pukali do bram królestwa. Kilka słów, żebyście zrozumieli, o co chodzi. Oddalona przy pomyślnych wiatrach o pięć dni żyzna Sikilijja, choć znajduje się niedaleko państw niewiernych, jest we władaniu ludu Proroka. Niestety – westchnął głęboko – z dynastii Kalbidów, która to z kolei jest związana z rodem Zirydów, wasali Fatymidów, moich zaciętych wrogów. To z nimi toczą nieustanne boje w starej ojczyźnie.

– Gdybyś mógł, panie, powtórzyć...

– Nieważne. W każdym razie emir Ibn at-Timna władał jednym z trzech małych księstw na tej wyspie. Bóg uczynił zbyt silnymi jego przeciwników, a jego samego otoczył zdradzieckimi przyjaciółmi. Koniec końców, ledwie uratował skórę, salwując się ucieczką. Teraz jest moim



gościem i błaga o pomoc w walce z emirem Ibn Hawwasem, swoim nieprzejednanym wrogiem. Gdybym wysłał z nim silny oddział zbrojnych, wskaże dogodnie do lądowania miejsce i zapewni pomoc wiernych mu popleczników.

– A co z tego będzie miał? – Kolbjørn połapał się już, o co chodzi. Stare jak ten świat szukanie pomocy u wspólnych wrogów.

– Sądzi, że pod moim protektoratem zachowa władzę na wyspie, ale jest w błędzie. „Osioł, udając się do Mekki, nie wróci stamtąd pielgrzymem”. Nie chcę wszczynać kolejnej wojny z Zirydami, teraz gdy Al-Andalus liże rany po odwołaniu spod Simanacas. Chciałbym jednak zaabsorbować na tyle uwagę władcy Kairun, by nie wykorzystał mojej chwilowej słabości. Problem godny wielkich greckich filozofów.

– Kogo, panie?

– Gdybyś przyjął moją ofertę, chłopcze, otoczyłbym cię najlepszymi nauczycielami i wiedziałbyś, o czym mowa. Dzięki nim szerokie bramy starożytnej wiedzy stanęłyby przed tobą otworem, a nie masz nic cenniejszego dla człowieka niż wiedza. Mamy w Kordobie wiele bibliotek, uniwersytety...

– Podziękuję, kalifie. Co mi tam bramy, zostanę przy swojej furcie.

– Niech tam, piękny młodzieńcze. „Gdyby głupi znał swoją niewiedzę, nie byłby głupim”. – Władca Al-Andalus westchnął smutno, ale jego oczy się śmiały.

– I tu pojawia się my – przerwał tę słowną grę Kolbjørn Krzywe Zęby.

– Zrządzeniem Allaha, tak. Ni mniej, ni więcej proponuję ci, wodzu najemników, pomoc w zdobyciu całej wyspy. I oddaję ją po wsze czasy w ręce twoje i twoich potomków. Zostaniesz królem!

Zapadła cisza. Podniosły nastrój zepsuł saekonung.

– Nie można oddać czegoś, czego się nie ma, panie.

– Ale można wykorzystać nadarzącą się okazję, przybyszu z Północy. I z bożą pomocą zamienić wiejską chałupę na pałac. Do końca swoich dni chcesz wynajmować miecz innym? Wielu z nich nie przewyższa męstwem i sprytem takich jak ty, ale to oni wydają rozkazy. – Abd ar-Rahman przyjaźnie uśmiechał się przy tych słowach. Erik pamiętał jednak, z jaką bezwzględnością obszedł się z lekceważącymi jego rozkazy Berberami.

– Potrafisz, panie, walczyć słowem lepiej niż twoi woje orężem. – Saekonung uderzył płaską dłonią w lustro wody. A widząc cień nachodzący na twarz kalifa, dorzucił szybko: – Ale opowiedz mi więcej o tej wyspie.

– Dobrze, najemniku, ale „uważaj, aby twój język nie obciął ci głowy!”. Jest wielka, trzeba wielu dni, by przejść z jednego jej końca na drugi. Ludność liczy dwieście lub trzysta tysięcy. Wiesz, ile to, dowódcu najemników?

– Wiem, że moje dwie i pół setki są przy tym niczym krowi bąk przy huraganie.

– Podaruję ci więcej niewolników, tak że będziesz miał drugie tyle zbrojnych.

– Nie powiedziałem, że się zgadzam. Odyn jest szalony, a ja musiałbym być jeszcze bardziej... Cztery razy tyle – zażądał Krzywe Zęby, bo chciał zakończyć tę dziwną rozmowę. Ku jego zdziwieniu kalif się zgodził.

– Osiem razy tyle?

– Nie nadużywaj mej przychylności, najemniku. Mając tysiąc zbrojnych i pomoc emira Ibn at-Timny, pokonasz wszelki opór i zdobędziesz całą wyspę. Choć pewnie nie od razu.

– Setki wojów na mojego jednego, panie? – Jarl pomógł sobie palcami przy rachunkach.

– Przecież zepchną mnie do morza samymi tarczami!

– Co trzeci, może co drugi z nich to chrześcijanin. Łatwo ci będzie wzniecić rebelię. Poza tym ledwie połowa to mężowie, reszta kobiety i dzieci. Boisz się kobiet, wielki woju?

– Myślę rozważnie, panie, bo co innego ryzykować własne życie, a zupełnie co innego życie swoich drengów.

– Popatrz. – Władca Al-Andalus wziął w garść wodę, zacisnął dłoń i podniósł wysoko. Płyn większymi i mniejszymi strumykami wrócił do kamiennego basenu. – Tak jest z łupami, przeciekają przez palce i po paru latach nic nie zostaje. Ty możesz zdobyć całe królestwo. Jak wielu twoim braciom jest to dane?

– Niewielu. – Kolbjørn przytknął oczy i uśmiechnął się do swoich myśli. – Bardzo niewielu.

– Jarlu, to pchanie się w paszczę Fenrira, gdy nie wie się, czy wilk jest głodny, czy tylko ziewa – nie wytrzymał Erik.

– Masz rację, chłopcze. Ale powiedz, czy bogowie się przejmą, że zginiemy z dala od domu? Czy będzie im wszystko jedno i bramy Walhalli staną otworem.

– Śmierć w walce to śmierć w walce. Po co jednak umierać, skoro każdemu przypadnie wielki skarb?

– Co nam po złocie, którego nie zdołamy dowieźć do Szwecji? Ziemia jest prawdziwym bogactwem, o nią toczą się najcięższe boje. Chciałbym zostać konungiem. – Westchnął. – Zawsze marzyłem... Hm, chyba każdy mąż o tym śni, by nad sobą mieć tylko bogów...

– To niełatwe brzemie, widziałem u ojca – przerwał Erik. – Władca musi robić czasem takie rzeczy, że człowiek honoru własnoręcznie wbiłby sobie saks w serce. A w wielkich sprawach jest niczym niewolnik zdany na los, łaskę i układy z sąsiadami, jarłami, kapłanami.

– Ale to on jest sternikiem.

– Jak każdy z nas, saekonungu. Różnią nas tylko rozmiary skipów. – Erik dobrze pamiętał długie rozmowy z matką, które prowadzili przy wieczornym zimowym ogniu. To były jej argumenty.

Wikingowie prowadzili rozmowę w ojczystym języku, co kalifowi nie było w smak.

– Jaka jest twoja decyzja, dowódco najemników? „Człowiek jest sługą czasu, a czas jest wrogiem człowieka”.

– Jutro, panie, jutro dostaniesz odpowiedź. – Jarl przemył twarz, by oczyścić myśli. – Zwołam thing i załogi zdecydują, bo u nas takie panują zwyczaje. Ale powiedz mi, bo bracia będą mnie o to pytać: co ze skipami, które nas przewiozą? Będą nasze?

– To nie wchodzi do naszego targu, przybyszu z Północy. Oddam ci sześć i pół setki bitnych i wyszkolonych piechurów i nic więcej. Poza tym, gdybyś dysponował moimi statkami, Zirydzi od razu by się domyślili, że to podstęp, więc sam rozumiesz.

– Ale półtorej setki to będzie konnica?

– Masz już stu jeźdźców, najemniku.

– A ty, panie, niebieskie oczy, a jesteś Serkirem.

– Wola Allaha, niech i tak będzie. Dostaniecie wszystko, czego wam potrzeba, poza okrętami. Wiedz, dowódco najemników, że kalif Kordoby Abd ar-Rahman zawsze dotrzymuje danego słowa. I o tym też pamiętaj, że tu i teraz przyrzekłem na wszystko, co mi drogie i święte, miecz czeka twoich krajan, jeśli kiedykolwiek pojawią się bez zaproszenia u moich wybrzeży.

– To wyprawa w jedną stronę, kalifie?

– Niczym sama śmierć, dowódco najemników. Dla zwykłych ludzi nie ma powrotu.

Władca Al-Andalus, uznając, że rozmowa dobiegła końca, podniósł się ciężko. I jemu ostatnie tygodnie dały się we znaki.

– „Niech Bóg błogosławi tego, co skraca swoje wizyty” – mruknął i ruszył w stronę leżących na brzegu basenu szat.

– My mówimy, że po trzech dniach goście i ryby śmierdzą jednako. Konungu, jeszcze

tylko jedno pytanie! – Erik szybko przetłumaczył.

Kalif zamarł, nie odwracając głowy.

– Czy, czy tamtejsze kobiety mają czarną skórę? Na tej wyspie. I czy mogą mieć dzieci z... no wiesz, panie...

Abd ar-Rahman milczał chwilę, a potem wybuchnął takim śmiechem, że stojący przy wejściach gwardziści wpadli do środka. Cofnęli się zaraz, widząc, że ich panu nie grozi niebezpieczeństwo.

– Większość jest taka jak ty i ja, dowódco najemników. Będą wasze i dostarczą wielu uciech tak dzielnym mężom. Ale wiedziony własnym doświadczeniem sugeruję je niewolić i brać siłą. „Małżeństwo jest jak oblężona forteca: ci, co są na zewnątrz, chcą się dostać do środka, a ci, co są wewnątrz, chcą się wydostać”. – Zaśmiał się ponownie. – Jeszcze dzisiaj czekam na odpowiedź. Jutro rano tak czy inaczej musicie opuścić Kordobę. – I już bez słowa, znowu poważny niczym śmierć w łożu, namiestnik Proroka na Ziemi, wielki kalif Abd ar-Rahman III opuścił łaźnię.

Wczesne słońce oświetlało jedynie fragment zachodniej części atrium, resztę skrywał cień.

– Wierzysz mi, jarlu? – Erik bił się z myślami, ale to mądrzejsi od niego podejmą decyzję.

– Gdyby chciał nas zabić, mógł to zrobić wiele razy. Nie wiem, czy powiedział całą prawdę, ale dam sobie obciąć brodę, że dopłyniemy na tę wyspę.

– I znajdziemy się w pułapce, bez drogi odwrotu?

– A gdy już będziemy na miejscu, zabijemy załogi i przejmujemy skipy.

SAMBOJA



Kolbjørn Krzywe Zęby ruszył śladami gospodarza, by też zniknąć w jednym z łukowych wejść. Musiał zwołać wszystkich na naradę, a to zawsze wymagało nieco zachodu i obijania pięściami co bardziej opornych lub pijanych. Erik został, rozleniwiony ciepłem wody.

Ze zdziwieniem zauważył, że gdy trwał w bezruchu, siedząc zanurzony po pierś w basenie, przestały mu doskwierać niedawne rany i stłuczenia. To było dobre. Przymknął oczy i znowu był w domu. Matka szła szybkim krokiem przez długi hov, podzwaniając pękiem kluczy. Krzyknęła na dziewczynę, która jej zdaniem zbyt opieszale pracowała przy krosnach, kopnęła namolnego psa, wydała polecenia starszym niewolnikom. Dzień jak co dzień. Młodzieniec poczuł, jak bardzo brakuje mu właśnie takich chwil. Gdy można przewidzieć, co nas spotka jutro, za miesiąc i martwić się trzeba jedynie o pogodę i związane z nią plony. Przez kilka chwil rozumiał, co ciągnie starych towarzyszy z lidu do gospodarki.

Grube mury z kamienia jakby odgradzały go od całego świata. Było cicho, jeśli nie liczyć kąpiącej gdzieś wody. Postanowił nie iść na thing. I bez niego uradzą, co dalej.

Bardziej poczuł, niż usłyszał, jak coś wślizguje się do basenu. Delikatna fala naparła lekko na skórę. Otworzył oczy. Szła wolno w stronę stopnia, na którym siedział. Naga, piękna i uśmiechnięta.

– Myślałam, że śpisz, młody panie – zaszemrała. Woda skrywała ją od pasa w dół, ale wyobraźnia Erika domalowała brakujące fragmenty. Do długiej szyi, mocnych, ale nie nazbyt szerokich ramion, dużych, zwieńczonych jasnymi sutkami piersi, których ciężkie grona podrygiwały przy każdym ruchu, dorysował smukłe, mocne nogi.

Zatrzymała się w odległości kroku i powoli zanurzyła, tak że wystawała jej tylko głowa ozdobiona ni to srebrzystym, ni słomianym czepcem z włosów. Gruby warkocz pozostawał niewidoczny gdzieś z tyłu.

Pomimo niedawnego rozleniwienia młodzieniec czuł, jak jego ciało ożywa. Pełen nagłego wstydu próbował nad tym zapanować, ale był to trud daremny. Szczęściem, lekko śmierzdząca zgniłymi jajkami woda była mętnowa i skryła jego porażkę. Uciekłby, ale jak to zrobić i nie pokazać...?

Samboja nabrała w usta wody i wypuściła ją cienkim strumieniem wprost w tors młodzieńca. Błysnęła w uśmiechu białymi zębami i zrobiła to jeszcze raz i kolejny. Łaskotało. Tam gdzie w przyszłości jak u ojca miał wyrosnąć gąszcz włosów, pojawiła się gęsia skórka. Gdy wyciągnął rękę, dotykając delikatnie jej policzka, skręciła głowę, wpijając się zębami w kciuk. Niezbyt mocno, ale tak żeby poczuł. Miał wrażenie, że dłużej nie wytrzyma, że twarda i rosnąca męskość wychynie na powierzchnię, przysparzając wstydu właścicielowi. Drgnął zakłopotany, a potem jęknął cicho, gdy poczuł dłoń.

– Jesteś... własnością... jarla – powiedział drżącym z emocji głosem. – Bogowie... wiedzą... jak bardzo pragnę twego ciała... ale... eech.

Kobieta patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Już się nie uśmiechała, a spomiędzy lekko rozchylonych warg wystawał koniuszek języka. Za to poruszała rytmicznie ręką, co utrudniało nie tylko składną mowę, ale też myślenie. Gdy był już blisko, z całej siły zacisnęła pięść. Jęknął, trochę z przyjemności, ale bardziej z bólu.

– Co robisz? Co...

Puściła go nagle i wstała. Ulga zmieszała się z ogromnym żalem, jakby śmiertelnie spragnionemu człowiekowi pęknięty bukłak i piasek zabrały resztki wody. Znowu mógł podziwiać duże piersi, z których niczym krople słodkiego mleka skapywała woda. Tak bardzo chciał je wziąć w usta, nadgryźć lekko zębami, poczuć ich chropowate ciepło...

– Podobno twoim ojcem jest kniaź. – Z początku jej głos był słodszy od miodu, bardziej

jęk niż szept. Szybko jednak nabrał ostrości. – Ale tu, wśród wielkich wojów, jesteś nikiem, młody panie. A ja nie mam zamiaru uszczęśliwiać „nikogo”. Moje ciało jest stworzone dla bojarów i władców. Im dam rozkosz, a oni uczynią mnie silną.

– To po co było to wszystko? – Erik, który ciągle jeszcze czuł słodkie pulsowanie męskości, rozłożył szeroko ręce. Jak widać, wcale nie znał się na kobietach. Może żaden mężczyzna się nie zna.

– Wiesz, co robi kot z myszą, nim ją pożre? – Zaśmiała się perliście. Słyszając ten głos, młodzieniec był jej w stanie wszystko wybaczyć, byle tylko dokończyła dzieła. Podarowałby jej skarby świata i zaświatów, walczyłby z bogami, żeby udowodnić swoją hardość i odwagę. Rozmyślał nawet, czy nie wziąć psotnicy siłą, ale strach przed Kolbjørnem ostudził nieco gorącą krew. Jarl ledwo mu wybaczył, jeśli w ogóle.

– Bawiłaś się mną, Sambojo?

– Widziałam, jak na mnie patrzysz, chciałam dać ci przedsmak czegoś, czego nigdy nie dostaniesz, młody panie. Czy się bawiłam? Tak, ale to mniej, niżbym chciała, bo jeszcze nie nadszedł czas. Gardzę mężczyznami za to, co mi zrobili. Że byle wioskowy głupek jest więcej wart od kobiety. Że jesteśmy dla was naczyniem do napełnienia i niczym więcej. Cebrem, który można wstawić do chlewa, wystawić na deszcz lub przy sienniku, by mężczyzna nie musiał szczać na zimnie. Gdybym mogła, zabiłabym was jednego po drugim, oczyszczając świat z tej męskiej plagi. – Głos Samboi był teraz tak przepelniony nienawiścią, że Erik zadrzał. I to nie z pożądania, ale ze strachu. Wystarczyło kilka chwil, by nabrzmiałe przyrodzenie zwiędło, a nawet lekko schowało się w podbrzuszu, jakby ciało szykowało się do walki.

– Ja nie jestem taki, moi bracia też. Zobacz, Borga żyje jak my, a nie ten ceber.

– Jak wiele jest z wami kobiet?

– No. – Erik liczył na palcach. – Sześć – wydukał w końcu.

Parsknęła pogardliwie.

– A ty, młody panie, jeśli nie czujesz swojej wyższości, to dlatego że nie zbiłeś jeszcze bezkarnie żadnej młódki, że nie przymusiłeś jej do łoża, nie puściłeś mimo uszu niewieściego błagania i płaczu. Jesteś jak ptak, który nim nauczy się latać, myśli, że jest równy wiewiórkom. Ale to się zmieni. Zawsze się zmienia.

Erik patrzył, jak ładna, choć oszpecona twarz kobiety przeistacza się w straszliwą maskę.

– Gardzę bogami za los, który mi zgotowali, i daruję całą siebie Welesowi, by dopomógł mi w zemście. W miejscu miłości dźwigam nienasyconą nienawiść, w miejscu dobroci – kamień.

– Znowu się zaśmiała, tym razem jakoś tak dziko, chropowato.

– Po co mi to wszystko mówisz, niewolnico? – Głos młodzieńca lekko drżał, choć było ciepło.

– Żebyś gdy nadejdzie czas, wiedział, kto przyczynił się do waszej zguby. I czuł mój oddech na plecach.

– A jak powiem o wszystkim jarlowi?

Parsknęła szalonym śmiechem.

– On jest zadowolony i tak będzie, dopóki ja zechcę. I co mu powiesz, młody głupcze, że zdybałeś w basenie jego kobietę? Że ci groziła, chcąc uniknąć zniewolenia? Wszyscy jesteście bestiami, ale on nie jest głupcem. – Nagle splunęła na niego, prychnęła i wyszczerzyła zęby niczym zapędzony w pułapkę ryś. Potem jak gdyby nigdy nic, nucąc, ruszyła w stronę stopni basenu. Zniknęła w wejściu. O ile to możliwe, od tyłu wydawała się Erikowi jeszcze piękniejsza.

– Frejo, nie wiedziałem, że po Midgardzie chodzą takie kobiety – jęknął udręczony. – Niewola uczyniła ją szaloną, ulecz ją albo zabij.

Przyrzekł sobie w duchu, że od teraz będzie się trzymał z dala od znającej czary völvy

z Gardariki. O ile zdoła, bo jego gorące uczucie wcale nie zmalało. I że nigdy żadnej kobiety siłą nie przymusi do łoża, nie otuli się z nią gieźlem bez przyzwolenia. Światy na Yggdrasilu i tak pełne są różnych potworów, nie chciał ich tworzyć własnymi rękami.

Minęła bezpowrotnie chwila beztroski. Młodzieniec ruszył w stronę brzegu. Włożył na mokre ciało szaty i po chwili dołączył do gęstniejącego tłumu towarzyszy.



Thing był krótki. Gdy jarl, pomijając wstydlive dla Erika szczegóły, wyłuszczył zebranych, o co chodzi, wystąpił Tharkild bez Nosa, który zostawił w Szwecji kobiety z dziećmi.

– Dobrze, że nam powiedziałaś, Kolbjørnie, o tym planie porwania kupcom łodzi i pływnięcia w okolice cieśniny Norvasund.

– Trzymałem gębę zamkniętą, bo i sam Kwasir mówił tylko wtedy, gdy miał o czym. Jak widzicie, postąpiłem słusznie. Kalif ubiegł nas, i tyle. Płyniemy na tę Sykilję, Sakilję czy jak tam się zwie ta wyspa, czy zdajemy się na szczęście i ruszamy lądem?

– My już wszystko omówiliśmy na poprzednim thingu – nie ustępował Tharkild. – Wiele razy będziesz nas pytał o to samo? Czy jesteśmy niczym mąż naprzeciw nagich kobiet, który każdej nocy chce inną? Płyniemy.

– A właśnie. – Eilif wyszedł przed szereg. – Co z tymi niewolnicami, cośmy je dostali od kalifa w prezencie? Niektóre są już bardzo ułożone i żal by się było rozstawać.

– Płyną z nami, ale z własnej woli. Udajemy się do kraju wrogów, więc nie przywoźmy tych ze sobą!

– Chwała jarlowi! Chwała! – dobyło się z wielu ust.

Krzywe Zęby wysłał Naję, by zaniósł decyzję thingu władcy Al-Andalus i ku rozpaczycy wielu, a może i wszystkich, osobiście rozbił ostatnie pięć beczek wina. Zapach rozniósł się po koszarach, ściągając niby spod ziemi roje małych dokuczliwych muszek.

# REJS NA SIKILIJĘ





Wczesnym rankiem pod mury koszar podjechał oddział jazdy. Szmaciane łby czekały w milczeniu i gdy wikingowie wysypali się z kamiennego hovu, poprowadzili ich w stronę nabrzeża. Obrali, jak twierdził Naja, okrężną drogę, by nie budzić trwogi u ludności z dzielnicy Secunda. Ci w tych niepewnych dniach spali czujnie niczym zwierzęta i wystarczył byle pretekst, by wzniecić zamieszki.

Już z daleka czuć było zapach morskich ryb i setek różnych przypraw, potu zwierząt, brudu – czyli woń wielkich południowych portów. Uwagę wikingów od razu zwrócił widoczny z oddali las masztów. Na długich cumach leniwie kołysały się statki większe od tych kupca Hamziego (o czym nie omieszkał głośno powiedzieć Aslof), mające po dwa, a niekiedy nawet trzy Staruszki. Ten i ów z wojów robił nawet zakłady, czy coś takiego może szybko płynąć i czy liny naciągające żagle nie splączą się w trakcie manewrów.

Gdy podeszli bliżej, rozważania o skipach zniknęły, a w ich miejsce pojawił się szcęk poprawianego uzbrojenia. Na wprost Askmadów stał liczny oddział wojska, który wyglądał, jakby szykował się do bitwy.

– Skaldborg! Konni na skrzydła! – wydał rozkazy saekonung. Do znudzenia powtarzali te manewry na placu ćwiczeń, więc teraz wszystko przebiegło sprawnie. – Uważać na naszych przewodników, to pewnie zdrajcy!

Tymczasem od „wrogiej” armii oderwało się trzech jeźdźców. Gdy podjechali bliżej, Erik w jednym z nich rozpoznał dowódcę eskorty, tego samego, który ostrzegł ich o buncie Berberów, a potem uciekł z niedobitkami z pola walki.

Cała trójka zeskoczyła z koni i nie zważając na pył, padła na twarze przed Kolbjørnem Krzywe Zęby.

– Marzeniem każdego dowódcy jest taki widok. Szczególnie przed bitwą. Tylko sława wielkiego męża zgina karki jego wrogów. Czy nie tak twierdził kalif? Erik, powiedz im, żeby wstali, bo nie godzi się, żeby wojowie niczym robaki czołgali się w piachu.

– To ten szmaciany łeb, jarlu, który tam, przed zagajnikiem...

– Pamiętam jego twarz – bezceremonialnie przerwał saekonung.

– No, to on ni w ząb w języku ludzi z Leónu. To i to zapewne pomnisz, wodzu, że wtedy brat Piotr służył za tłumacza.

– A tak. Przydałby się teraz ten papar. – Przywódca najemników w zamyśleniu podłubał w nosie.

– Ale kalif zawsze wyprzedzał nas o kilka kroków. Pewnie i to przewidział. Mów i miej wiarę.

– Wiarę? Czy i ty, saekonungu, postanowiłeś przystać do drużyny tego ich Jednoboga?

– Bodaj cię, kucu. Tak mi się tylko powiedziało. Gadaj!

– Ktoś mnie rozumie? – Jego wzrok ślizgał się po trzech twarzach, szukając błysku ożywienia.

– My znamy mowę niewiernych – powiedzieli niemal jednocześnie dwaj towarzysze Serkira. – Jesteśmy gwardyjskimi qaidami, po waszemu setnikami – zakończył starszy z nich.

– Z tymi się dogadam, jarlu. Mówią, że znają język kristmaðrów z Leónu.

– Widzisz, chłopcze? Widzisz? Ale ja ich nie znam i im nie ufam. Naja! Rusz tu dupę, pokurczu!

Niewolnik bez zwłoki zeskoczył z konia i podbiegł w stronę centrum formacji. Następnie zastygł w półkłoniu, podziwiając swoje stopy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby ściągać na siebie gniewu Krzywych Zębów.

– Podnieś mi ich, bo, na bogów, wdepczemy te zadki w piach.

Krótki rozkaz i trzy szmaciane łby wstały.

– Mów. – Muammar Ibn Chaldun zrozumiał ten rozkaz bez tłumacza. W mowie Leónu powtarzał jego słowa setnik, by jeszcze raz trudził się nad nimi Erik. Bogowie świadkami, że próbował Naja, ale ten gwardyjski dowódca bełkotał, jakby był w trakcie tegiej popijawy. Padło więc na syna konunga.

– Wielki kalif, Słońce Kordoby i całego Kraju na Zachodzie, przydzielił mnie pod twoją komendę, wielki wodzu. Przyprowaździłem sześć i pół setki zbrojnych, w tym półtorej setki jazdy.

– Wskazał głową na stojących nieco z boku ludzi, z siodłami u stóp.

– A konie? Mają jeździć na grzbietach towarzyszy?

– Zdobędziemy, panie, na wrogu. Twój też będą musieli zostawić wierzchowce na brzegu.

– No niby racja. A dlaczego ty stoisz przede mną? A nie ktoś taki jak Naja.

– Allah tak chciał, panie.

– Czyli? – nie dał się łatwo zbyć jarl.

– Kalif dał mi wybór: albo wyprawa w jedną stronę na Sikiliję, albo do nieba, o ile zdołałbym się tam dostać. Wybrałem wierność tobie i wyspę, panie. Rajskie ogrody mogą poczekać.

– A ci setnicy – saekonung wskazał na towarzyszy szmacianego łba – to też ludzie wolni?

– Niewolnicy, panie, gwardziści i jak wszyscy tam – odwrócił się i zatoczył łuk ręką – są waszą własnością.

– Naja, znasz tych ludzi?

– Dobry żołnierz, wodzu. Dzielnie staje i ćwiczenie wiele lat i zim. Brać ze szmatą na oczy.

– Ze szma... Zresztą i tak nie mamy wyboru. Gdzie jest dowódca floty, która ma nas przewieźć?

– Admirał Said Ibn al-Mundhir czeka na *Porannej Zorzy*, panie.

– To nie marnujmy czasu, bo i tak poprzez powtarzanie tego samego trzy razy straciliśmy go zbyt wiele. Prowadź. Aha, Naja, my sobie pogwarzymy z tym ich saekonungiem, a ty przyjrzyj się naszym nowym niewolnikom. Dobrze wiedzieć, kto nam w boju będzie chronił plecy. Nie żebym ufał tobie, ale gdyby co, to zabiję cię pierwszego.

– Panie, ja życie ciebie... – Giął się w ukłonach gwardzista.

– Właśnie ja o tym. Ty życie któremuś z moich, a ja... ciebie. – Jarl przejechał palcem po szyi.

– Bracia, bądźcie w gotowości. Kto wie, co w taki gorąc lęgnie się im pod tymi szmatami. Tharkild, Eldgrim, Erik – za mną. Gdyby to była pułapka, ty dowodzisz, przyjacielu. – Finnbogi Hrapson, kapitan *Pogromcy Fal*, w milczeniu skinął głową.

Nie oglądając się już za siebie, Kolbjørn Krzywe Zęby ruszył długim krokiem w stronę nabrzeża. Za wielkim wojem, niczym kurczaki za kurą, szli wyznaczeni drengowie. Któryś z pozostających nawet zagadał, ale nikt z poselstwa nie podjął zaczepki.

Admirał Said Ibn al-Mundhir okazał się mężem sędziwym, ale wciąż krzepkim. Gęstą siwą brodę miał starannie przyciętą, a głowę zdobił mu czarny turban. Erik po raz pierwszy widział to nakrycie w takim kolorze.

– *As-salamu alajkum*[29]. – Kapitan *Porannej Zorzy*, stojąc w asyście swoich dowódców, skłonił się lekko wchodzącym na pokład gościom.

– *Wa alajkum as-salam*[30] – odrzekł Erik. Said Ibn al-Mundhir nie okazał zdziwienia, ale spojrział żywiej na młodzieńca.

Nie uszła uwagi gości obecność wielu gotowych do działania łuczników.

– Chcesz rozmawiać, morski wodzu, czy nas wystrzelać? – parsknął pogardliwie jarl.  
– „Kto żyje na wyspie, nie powinien żyć w niezgodzie z morzem” – usłyszał w odpowiedzi. – Zważaj na własne słowa, przybyszu z Północy. Gdybym lekceważył twoją siłę i spryt, stałby tu gruby eunuch z pustymi rękami. Ale szanuję przeciwnika, więc jest, jak widzisz. Nieco udobruchany tymi wyjaśnieniami Kolbjørn pogładził długą brodę.

– Z rozkazu mojego władcy z rodu Umajjadów mam was dostarczyć na Sikiliję – kontynuował gospodarz. – Zechciej, panie, pójść za mną pod pokład, gdzie omówimy wszystko bez świadków.

Krzywe Zęby rozejrzał się, napotykać ciekawe spojrzenia marynarzy kalifa.

– Powiedz mu, Erik, że chciałbym rozmawiać tu, pod gołym niebem, by nasi bogowie i jego Allah słyszeli każde słowo. I mogli zaświadczyć, gdyby któryś z nas próbował białe uczynić czarnym. Nędzne robaki tak czynią, a po ziemi pełza wiele tego niehonorowego plugastwa.

Na wzmiankę o pogańskich bożkach i tę niemal jawną obrazę przez twarz admirała przebiegła chmura. Ale to był stary lis, który z niejednego kurnika porywał dorodne kury. Wydał gardłowy rozkaz i załoga dau opuściła okolice dziobu. Ktoś przyniósł wzorzysty dywan i po chwili zasiedli z większą lub mniejszą wprawą na deskach pokładu.

– Ile masz skipów, saekonungu? – Krzywe Zęby był w tej grupie, która nie bardzo mogła znaleźć sobie miejsce, siedząc ze skrzyżowanymi nogami. Przysiadł w końcu na piętach i przestał się wiercić.

– Wielki skarbnik i wezyr kalifa Hasdaj Ibn Szaprut wyznaczył do tego zadania trzy razy po dziesięć dau, wodzu najemników. Każdy z pięćdziesięcioma ludźmi na pokładzie. Miało być mniej, ale mój władca, oby Allah czuwał zawsze nad jego zdrowiem, obawia się waszego ataku, gdy już dotrzemy na miejsce. Gdy zapytałem go, dlaczego tak czyni, odrzekł w swojej mądrości, cytując stare przysłowie naszego ludu: „Wielbłąd ma swoje plany, a poganiacz swoje”.

Czas potrzebny na tłumaczenie przydał się na ukrycie zaskoczenia.

– Nie wierzy w nas?

– Ależ wierzy, dowódco. I właśnie dlatego przedsięwziął takie środki ostrożności. – Może to było złudzenie, ale pooraną czerstwymi zmarszczkami twarz admirała przeciął błysk uśmiechu.

– To duże skipy, ale czy wytrzymają podwójny ładunek? I sądzisz, saekonungu, że przewaga liczebna zapewni ci bezpieczeństwo?

– Ja nie sądzę, wodzu, ja to wiem. Od tego pierwszego byli kiedyś różnej maści wróżbiarze, na szczęście Prorok zakazał tych bezbożnych praktyk. Po wejściu na pokłady oddacie broń moim ludziom.

Kolbjørn zerwał się na równe nogi, a w ślad za nim pozostali. Każdy trzymał dłoń na rękojeści miecza. Muzułmanie siedzieli w bezruchu, jakby nic się nie działo.

– A może nas zwiążecie, co? – wysyczał jarl.

– Myśleliśmy i o tym, ale to by uwłaczało honorowi gości kalifa. Wystarczy, gdy na czas podróży zdacie broń.

Wśród Skandynawów wywiązała się dyskusja. Eldgrim Róg powiedział tylko „dupa” i zamilkł. Ale Tharkild bez Nosa, kuzyn Grima Złotego, dostał białej gorączki i musiał go uspokajać sam dowódca wyprawy. Co zresztą temu ostatniemu ostudziło nieco krew i pozwoliło myśleć.

– Powiedz temu synowi córki Gefny i niewolnika, że za całe złoto Midgardu nie zgodzimy się na odebranie broni. I dodaj jeszcze, że jego kłamliwy władca ma język żmii zamiast ludzkiego i rozwidloną kuśkę, dlatego gustuje w kobietach i mężczyznach.

– Nie przyjmujemy twoich warunków panie. Nie takie były ustalenia. – Erik pominął co bardziej obraźliwe szczegóły.

– Abd ar-Rahman, oby Bóg zawsze obdarzał go silnym potomstwem, przewidział i to. Nakazał mi popłynąć z flotą na drugi brzeg, jak tylko odrzucicie tę hojną ofertę. *Insha Allah*[31].

– A co z nami?

– Kalif, którego ramię łamie kręgosłupy niewiernych niczym patyki, prosił, by przekazać, że to wasza droga i nic mu do tego. Ale sugerowałby kierunek północny.

Tym razem Krzywe Zęby musiał mocnym ciosem w bok głowy ogłuszyć ryczącego wściekle Tharkilda. Od pewnego czasu stanowili cel łuczników i nie chciał ryzykować.

– Gdyby planowali nas wyrznąć, mogli to zrobić dawno temu – mruknął nie wiadomo już który raz Kolbjørn. – Powiedz szmacianemu, że się zgadzam na jego warunki, ale zachowamy noże i tarcze.

Said Ibn al-Mundhir skinął głową. Wszyscy wstali. Admirał nie przyjął wyciągniętej prawicy wodza wikingów. Temu na twarz wpłynęła tak groźna maska, że nawet Erik dał krok w bok. Nie uszło to uwagi admirała.

– Przekaż swemu dowódcy, że to nie pogarda mną kieruje, ale zasady Świętej Księgi Islamu. Przysięgam jednak na Allaha i jego proroka Mahometa, że dotrzymam zawartego porozumienia.

– Zeno mówił, że mogą łamać takie przysięgi, o ile robią to dla dobra swojej wiary – szepnął Erik, bo nie było pewne, czy któryś z kapitanów nie znał mowy ludzi z Północy.

– Będzie, co ma być, synu swego ojca. I mi się tu nie spoufalaj, bo oddam kalifowi w prezencie. Nie myśl, że mnie nie kusilo.

Zeszli na brzeg w ponurych nastrojach, niosąc między sobą nieprzytomnego Tharkilda bez Nosa. Jarl miał plan i przed podziałem oraz zaokrętowaniem wyznaczył zadania swoim zaufanym ludziom. Nai też, bo i gwardzistów plan uwzględniał. To był słaby punkt całej operacji, ale bogowie nie dali Skandynawom wyboru. Z drugiej strony długie życie to oddanie starości kluczy do domostwa. Kto pragnie takiego końca?

Wezyr, do którego mieli składać wszelkie prośby, dostarczył też, choć niechętnie, specjalny ładunek.

BEZKRESY



Trzynastego dnia żeglugi, gdy słońce weszło na bezchmurne niebo, oczy żeglarzy z każdej strony napotykały bezkresne morze. Było w tym widoku piękno i ogrom, ale też strach, że są jedynymi ludźmi na świecie. Że te kilkadziesiąt „drzazg” z trzymającymi się pokładów szczurami jest początkiem i końcem.

Podróż rzeką pełna była widoków zasobnych miast i żyznych pól uprawnych. Jak wyjaśniał Zeno, który wraz z Erikiem znalazł się na *Porannej Zorzy* wspólnie z trzydziestoma trzema najtęższymi wikińskimi wojami, Serkirowie do mistrzostwa rozwinęli sztukę nawadniania, co zwielaokrotniło plony. Wielu wikingów zajmowało się w Szwecji uprawą roli, więc z ciekawością słuchali opowieści niewolnika. Tym bardziej że nic innego nie mieli do roboty. Snuli też sagi o rodzimych bohaterach, co było widowym znakiem, że zaczyna się niektórym cnić za domem. Nawet srogie burze na mroźnym Morzu Zewnętrznym wyglądały w tych opowieściach jakoś tak kusząco i swojsko.

Nurt Wadi al-Kabir pożegnali w zatoce nieopodal cieśniny Norwasund, zwanej też Słupami Herkulesa. Następnie posuwali się wzdłuż brzegów Sjörklandii, opływając ten wielki ląd. To był czwarty dzień, od kiedy uzupełniwszy zapas słodkiej wody i żywności w mieście Valencja, odbili na wschód w stronę otwartych wód. Tam na miejscu silny garnizon pilnował, by nikt z najemników nie postawił stopy na stałym lądzie. Ot, zwyczajna przezorność żyjących na wybrzeżu ludzi, którzy niejedną raz mieli do czynienia z różnej maści owczarzami. Kolejny nocleg u wybrzeży wyspy Mallorca i droga na Sikiłiję stanęła otworem.

Dwunastego dnia pogoda była piękna. Aslof Czarna Broda splunął, a raczej spróbował splunąć za pokład, ale nagły poryw wiatru rozsmarował mu plwocinę na skórzanej kamizelce.

– Na jaja Thursa, akurat teraz? Całą noc nic i gdy ja sobie...  
– Ciesz się, że akurat nie sikalesz – rzucił ktoś wesoło.  
– Szkoda, że od dziobu, ale dobrze, że w ogóle wieje. – Erik położył przyjacielowi dłoń na ramieniu. Zaraz potem bryza zmoczyła wszystkich ciepłą wodą.

– Co jeszcze podarują mi dzisiaj bogowie?! Wielką falę?!  
– Wypluj te słowa, Czarny, Ran to kapryśna władczyni.  
– Sam sobie wypluj, ja już jestem wystarczająco mokry.

Tagi fuknął i ściągnął z palca zdobyczny złoty pierścień. Rzucił go do wody, błagając Panią Fal o wybaczenie słów głupcowi, ale i przyjacielowi.

– Oddasz mi taki sam, gdy już będziemy władcami wyspy.  
– Twoje modły, twoje złoto. Odczep się, łuczniku. – Aslof był zły, od kiedy weszli na pokład tego skipu. Borgę przydzielono na statek noszący nazwę *Kwiat Fal*, a właściwie to sama się przydzieliła, robiąc mu na złość za zadawanie się z niewolnicami. Nie wiadomo, kto teraz prawi jej piękne słowa i obsypuje ją prezentami.

Gdy podszedł jarl, zrobiło się cicho.

– Czyście i smarujcie łojem kolczugi i saksy. Niedługo będą potrzebne.  
– A co my robimy, wodzu, przez ostatnie dni? Moja błyszczy niczym psi nos. – Tagi Instadsson z dumą pokazał koszulę kolczą. Faktycznie, każde ogniwo lśniło od świeżego smaru, a pasma rdzy pociemniały.

– Tego na morzu nigdy za dużo. Wiecie, co robić, gdy dam sygnał do walki?  
– Jak nie. Mamy zadbać, by temu szmacianemu saekonungowi nie spadł siwy włos z głowy.

– Właśnie. Odpowiadacie za niego własnym życiem.  
– Dlaczego on taki ważny?  
– To król w hnefataflu, wymienimy go na skipy i pokój.

– Ale wodzu, może teraz? – Aslof chętnie wyprułby komuś bebechy. – Po co czekać do końca? Płynąc w kierunku wschodzącego słońca – wskazał jasną kulę przed dziobem – dotrzemy do lądu i bez ich pomocy.

– A po to, czarnobrody druhu, że tak się umówiliśmy z pozostałymi oddziałami. Ruszamy, jak na widnokręgu pojawi się wyspa.

– Mogę, panie? – Zeno nieco zmęźniał podczas tej wyprawy, ale nadal bardziej przypominał mieszkańca Wybrzeża Szkieletów niż młodego woja.

– Mów.

– Said Ibn al-Mundhir jest mądrym i doświadczonym dowódcą. Rozmawiałem z jednym z jego znających łacinę ludzi i podobno pochodzi z rodu samego Mahometa, stąd ten czarny turban na głowie. Człek, z którym gadałem o rybach i wrzodach – jak to podczas rejsu, zdradził mi, że na pokładzie *Porannej Zorzy* admirał zgromadził najlepszych z najlepszych wojowników.

– Domyśla się swego losu?

– Tego nie wiem, panie, ale ten sam marynarz skarżył się, że niewielu wśród nich doświadczonych żeglarzy i mają przez to więcej roboty.

– Też mi się wydawało dziwne, że prawie wszyscy noszą na grzbietach warte majątek kolczugi. A i broń za pasem często z damasceńskiej stali – mruknął Aslof.

– Czyli sprytny lis wie. – Kolbjørn w zamyśleniu postukał paznokciem w krzywe przednie zębiska, od których wziął się jego przydomek. – To utrudni zadanie i pewnie będą trupy, ale na Odyna, to nic nie znaczy. Zbyt późno na zmianę planów.

– Nasi są tylko na dziesięciu skipach. Co z resztą? – Ottar Krzywa Gęba zaczerpnął ze stojącej na dziobie beczki wody i się napił. Skrzywił się przy tym niemiłosiernie, jakby przełykał truciznę. – Na gwardzistów żmijowego języka nie liczę za bardzo. Ten Naja miał ich urobić, ale to wciąż ludzie kalifa.

– Ale nasi niewolnicy – wstawił się za kompanem Erik. Polubili się z młodym setnikiem.

– Pies nie ugryzie ręki swego pana, choćby ten odsprzedał go sąsiadowi za garść ziarna, synu konunga.

– Darowując ich nam, Abd ar-Rahman zwolnił tych zbrojnych ze wszelkich ślubów. Tak mi powiedział Naja.

– Młody jeszcze jesteś i wierzysz we wszystko, co usłyszysz. Mam rację, jarlu?

Krzywe Zęby wyglądał, jakby chciał kopnąć Erika, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Zobaczmy. Jeśli się dobrze sprawi, zasłuży na wolność. A jakby co, wystarczy i dziesięć skipów. Na reszcie po wysadzeniu oddziałów szmaciane łby mogą sobie wrócić do domu.

Na takich rozmowach płynął im czas. Niektórzy z nudów brali się do wiosł, ku wielkiej uldze na wpół nagich wiosłarzy z kalifatu. Inni wyciągnęli ze skrzynek przybory i zawzięcie grali w hnefatafla i w kości. Ktoś rzeźbił w drewnie. Minęło południe, gdy z jednego z masztów rozległ się okrzyk. Nie trzeba było tłumacza, by zrozumieć, co się dzieje. Obserwator zobaczył żagle albo ląd. W jednym i drugim przypadku broń należało mieć w pogotowiu.

Pokład okrętu flagowego zadudnił od kroków. Przy burtach zaczęli gromadzić się ludzie. Z wnętrza statku wychodziło ich coraz więcej.

– Jeśli to ląd, to musimy działać – syknął jarl. – I to szybko, nim bunt na innych skipach zaalarmuje załogę.

Skandynawowie chwycili oparte o burty tarcze. W rękach wprawnych i silnych wojów były równie niebezpieczne jak zimne ostrze.

– Idź, dowiedz się, co zobaczył człowiek na oku. – Pchnięty silną ręką Zeno dał kilka długich kroków i z trudnością utrzymał równowagę.

– Otoczymy ich wodza murem tarcz. Raczej ogłuszajcie szmacianych, ale gdyby poszło na ostro, rznąć bez litości. Podejdziemy, potrząsając niby to z radości skjoldami, a potem...

Zeno wrócił z wieściami.

– Żagle.

Kolbjørn Krzywe Zęby chwycił Erika za kark i razem ruszyli w stronę tego miejsca przy burcie, w którym powiewała siwa broda serkirskiego saekonunga. Mocno robili łokciami i pomimo gniewnych pomruków szybko dotarli na miejsce.

– *Bi-smi l-Lahi r-rahmani r-rahim*[32], prędzej spodziewałbym się w tym miejscu potwora morskiego niż obcej floty. – Said Ibn al-Mundhir skinął im życzliwie głową.

– A może to statki twojego kalifa, panie? – przetłumaczył słowa jarla Erik. – Ten wielki władca ma pewnie niejedną morską armię.

– Wiedziałbym o tym, cudzoziemcze. To statki Zirydów albo niewiernych z Italii. Nasz gość – skłonił się w stronę stojącego obok wysokiego, szpakowatego męża – uważa, że raczej Longobardowie. Tak czy siak nie odważą się rzucić wyzwania trzydziestu wielkim dau. Prędzej umkną, widząc naszą siłę.

Skandynawowie skupili wzrok na tym, którego kalif podczas pamiętnej rozmowy w łaźni nazwał księciem. Od kiedy znaleźli się na pokładzie okrętu flagowego, nie udało im się z nim zamienić słowa. Zawsze pozostawał w pobliżu admirała Saida, tajemniczy i milczący.

– Zapytaj go, Erik, czy zna mowę ludzi z krzyżami. Albo o cokolwiek go zapytaj, jak zrozumie, to znaczy, że i gadać potrafi. Od niego będzie wiele zależało na tej wyspie.

– Hm. Książę, czy rozumiesz te słowa tak, jak ja je rozumiem? – Trochę się jąkał, ale mężczyzna był niczym wykuty z kamienia i tylko dziwnie błyszczące czarne oczy zdradzały życie. Bogowie, przecież to spojrzenie człowieka szaleńca, pomyślał młodzieniec. To wszystko nie ułatwiało zadania. Jednak zdrajca w końcu zabrał głos.

– Jestem emir Ibn at-Timna, zwany też Betumenem, młody wojownik. Prawowity pan żywnych terenów leżących w odległości dwóch dni drogi od wielkiego Palermo, miasta niemal dorównującego ogromem samej Kordobie. Powiedziałbym jeszcze, że jestem niezwykły i hojnie obdarzony łaskami Allaha, gdyby nie okoliczności, w jakich się spotykamy. To wy jesteście mieczem Boga, a ja wskażę wam cel. Gdy krew mych wrogów wsiąknie w sikilijską ziemię, długo jeszcze będą pamiętać o zemście Al-Madinacha.

Gdy syn Eryka powiedział jarlowi, o co chodzi, ten zmierzył jeszcze raz emira od stóp do głów i mruknął:

– Od kiedy to rozświetlające drogę łuczywo kieruje podróżnym? Zapytaj tego wodza o trzech imionach, jak wielu ma zbrojnych i czy powierzyłyby im własne życie.

– Moi poddani czekają na powrót swego władcy, gnąc karki pod butem tego psa Ibn Hawwasa. Oby piekło wchłonęło go jeszcze za życia – odrzekł z nienawiścią w głosie emir.

– Głupcem byłbym jednak, twierdząc, że wszyscy czynią to z równym utęsknieniem. Mam też potężnych wrogów wśród mych kuzynów. „Nienawiść między krewnymi jest zwyczajem, między obcymi – przypadkiem” – zakończył, jakby czytał z jakiejś księgi, i zamilkł. Kolbjørn skinął głową i powrócił do przerwanej rozmowy z admirałem.

– Mówisz, panie, że na nasz widok te okręty umkną? Bogowie zsyłają próby, kto wie, jaką grę umyślili tym razem. Aegir z Ran mogą bawić się naszym kosztem, Loki kłamca i żartowniś bywa bardziej krwiożerczy od innych Thursów. Poczekajmy więc z sądami albo niech któryś z twoich godi wywróży, co nas czeka.

– „O wy, którzy wierzycie! Wino, majsir, bałwany i strzały wróżbiarskie – to obrzydliwość wynikająca z dzieła szatana. Unikajcie więc tego! Być może będziecie szczęśliwi!”[33] – powiedział lekko podniesionym głosem starzec. Dwaj przybysze z Północy



popatrzeli po sobie, nic nie rozumiejąc. Czasami ludzie mówili coś przez sen właśnie takim tonem, ale ten tu był jak najbardziej rozbudzony.

Teraz nawet z pokładu można było dostrzec daleko na południu białe chmurki żagli. Admirał popatrzył po okręcie i na jego obliczu pojawił się gniew.

– Nie zmienimy kursu i szyku. Jeszcze jeden dzień i jeśli Allah zechce, będziemy w pobliżu lądu. Wracać na stanowiska! Niech Bóg ma w opiece ten dau, pełen ciekawskich gapiów, a nie żeglarzy! – Ludzie zaczęli rozchodzić się do obowiązków, a sygnalista podniósł kilka kolorowych flag. Statki floty odpowiedziały identycznymi znakami. Erik z Kolbjørnem patrzyli na taką zmyślność z uznaniem. Jako ludzie morza nauczyli się już cenić sztukę żeglarski szmacianych łbów, czego nie można było powiedzieć o ich wartości w prawdziwym boju.

Gdy Krzywe Zęby zabierał się do powrotu, cichy głos serkirskiego saekonunga zatrzymał go w pół ruchu.

– Nie chcę waszej krwi, najemniku, nie takie zadanie otrzymałem od mojego pana i władcy. Nie myśl jednak, że masz do czynienia z głupcem. Widziałem oddział szykujący się do walki...

– A jednak śni – powiedział pod nosem Kolbjørn. A głośniejsze dodał: – To musiało ci się przywidzieć, admiralu. Okazywaliście radość ze zbliżającego się końca podróży.

– To nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym na resztę rejsu odgrodził dziób statku od śródokręcia podwójnym szeregiem moich ludzi? W lekkich pancerzach, z bronią i strzałami na cięciwach?

– To twój okręt, człowieku. Zrobisz, co zechcesz. Ale na twoim miejscu byłbym ostrożny, gdyż może nadejść sztorm, a źle się pływa z taką masą żelastwa w garści i na grzbiecie.

Erik przezornie zostawił z tej wypowiedzi tylko pierwsze zdanie.

Gdy wrócili do swoich, jarl uderzył pięścią w burtę z taką siłą, że zostawił na deskach czerwony stempel z krwi.

– Zastanawiam się, czy ten czarny szmaciany łeb wraz ze swoim panem to nie ciemne elfy albo jakieś stwory z Nilfheimu. Ani chybi czytają w moich myślach.

– Są sprytni, wodzu, może i ten Jednobóg szepce im do uszu. Ale my to nie zajęce ani myszy, z pomocą bogów i pomysłu przechytrzymy i takiego przeciwnika. – Wyskrobek Eryka Zwycięskiego powiedział to z wielką pewnością, właściwą ludziom w jego wieku.

Nie spodziewał się tego, co nastąpiło zaraz potem. Kolbjørn chwycił młodzieńca jedną ręką za szyję i choć z trudem, uniósł nieco nad pokład.

– Wiem już, dlaczego tak cię nie lubię, koci synu. Tylko gadasz i gadasz. I tym swoim klepaniem wiele szkody już narobiłeś.

– I... wiele... dobrego – wystękał młodzieniec i ile sił kopnął w jarłowe krocze. Ulga była natychmiastowa, nabrał głęboko powietrza. Czego nie można było powiedzieć o saekonungu Szwedów, który łapał płytkie oddechy niczym wyrzucona na brzeg ryba. Zgięty niemal w pół, trzymał ręce na przyrodzeniu i posapywał.

Erik przezornie cofnął się o kilka kroków, gotów choćby skoczyć do wody. Krzywe Zęby poskakał trochę na piętach, wykazując tym samym doświadczenie z podobnymi urazami. Podniósł w końcu jedną, potem drugą nogę, przysiadł i wyprostował się.

– Podejdz tu, wyskrobku Eryka, niech się przynajmniej wesprę o ciebie. – Prawie się uśmiechał, gdy to mówił.

– Nie trafiłeś na głupiego, jarlu. Poczekam, aż ci złość przejdzie.

– No zobacz, już mi przeszło. – Wyszczrzył zębiska, a młodzieniec był pewien, że ma przed sobą wilka.

– Tylko sierści ci brakuje, drottmadzie, bo watahę to już masz. Postoję nieco z boku.

A wiedz, że nogi mam szybkie. I o tym pamiętaj, że tylko ja jeden rozumiem mowę ludzi krzyża.

– Sam sobie jesteś winien, Kolbjørnie – wstawił się za Erikiem Eldgrim Róg. – Nie chwyta się jastrzębia bez rękawicy.

– I tu masz rację, małomówny przyjacielu. – Krzywe Zęby wreszcie się uśmiechnął. – Rosół z takiego może i niezgorszy, ale my potrzebujemy jego żywej głowy. Nie mam urazy, Eriku, klnę się na Odyna, że zabiję cię kiedy indziej. – I jakby nigdy nic wrócił do przerwanej rozmowy.

– Nasi bogowie są daleko i musimy polegać na sprycie. Bądźcie w gotowości, by wykorzystać najmniejszą okazję, którą splotły norny. Nie spotka nas nic gorszego od śmierci, a to dopiero początek dobrej drogi. – Dwadzieścia trzy głosy odpowiedziały mu potężnym okrzykiem. Zeno tylko coś tam burknął, bo jak wielokrotnie mówił Erikowi, nie znalazł jeszcze swojej prawdy o bogach. A raczej znalazł, ale taką, od której włos na jego łysej głowie stawał dęba. Wszystko zaczęło się od prastarych zwojów z krainy zwanej Egiptem, ale gdzie to jest, młody wiking nie miał pojęcia.

Słońce pokonało spory szmat drogi, a obca flota zamiast zniknąć, stawała się coraz wyraźniejsza. Była już na tyle blisko, że dało się policzyć okręty i wynik tych rachunków wzbudził u admirała Saida Ibn al-Mundhira zaniepokojenie. Flagi i budowa wskazywały na niewiernych Longobardów z Pizy. Wielka liczba jednostek oznaczała, że prawdopodobnie mają do czynienia z wyprawą wysłaną w celu złupienia afrykańskich portów. Jeśli tak, to są tam oddziały piechoty. A skoro tak... Podzielił się swoimi przypuszczeniami z nieodstępującym go emirem. Potomek Proroka zwracał się do gościa z szacunkiem, choć bez bojaźni. Książę pomimo wielu dni w podróży jakimś dziwnym sposobem szatę miał śnieżnobiałą. Z orlim nosem i wysuniętą brodą sprawiał wrażenie człowieka nawykłego do wydawania rozkazów.

– To pewnie ten konung bez ziemi, co go tam lepsi od niego pogonili z wyspy. – Aslof splunął ponownie na oselkę i delikatnie pociągnął po ostrzu nowego miecza. Oręż był miejscowej roboty i słabo leżał w dłoni. Metal mocny, ale niedbały miecznik źle wyważył ciężar i Czarna Broda sarkał, ilekroć miał go w dłoni.

– No, jeden z trzech władców tej Sikilijji – uciął temat Erik. Gdy minęło zagrożenie ze strony Krzywych Zębów, wrócił myślami do swoich kobiet. Znowu był zakochany, i to podwójnie.

– No taki z niego teraz jarl, jak z ryby pachnidło. Na młot Dwalina, co za partacz wykuł tak lekkie ostrze? A zboczcie? Widzisz, jakie nierówne?

– A czego byś chciał, Czarny? Wygrałeś go w kości, to się ciesz, że ma rękojeść.

– A wiesz, że mam w kufierku ten swój stary, pęknięty? Jak gdzieś nadarzy się kowal, to przekuje mi go na nowo.

– Oby jak najszybciej, bo ile można słuchać tego marudzenia. – Erik podrapał się po głowie, zapominając o tłustych od oliwy palcach. – Aslof, a może ty i Borga... No wiesz, może... już nie będziecie ze sobą, co? Ona wygląda na strasznie zawziętą.

– Będziemy, bo jesteśmy dla siebie stworzeni. – Czarna Broda przymknął na chwilę oczy. – Żebyś wiedział, co ona potrafi wyczyniać... – Zamilkł, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Erik nie odważył się przyznać, że wie, o czym mówi przyjaciel, i to wie bardzo dobrze.

– No i może są ładniejsze, ale mogę, mogłem – poprawił się – mówić jej o wszystkim i wiedziałem, że mnie słucha, że zrozumie. Trudno mi to wyjaśnić komuś, kto jeszcze nie jest prawdziwym mężczyzną. Bo ta Da-jakaś-tam się nie liczy. To była przecież jedna noc.

– To dlaczego chędożyłeś niewolnicę od kalifa, skoro ty i Borga jesteście jednym w dwóch ciałach? A jakby – zakrzuszył się, ale szybko odzyskał oddech – ona poszła z innym

mężem? To? No... – Jąkał się, na szczęście zafrasowany przyjaciel nie zwrócił na to uwagi.

– Bez mojej zgody?

– A ty pytałeś, czy możesz sobie pofolgować z tą Dobrohną?

– No nie. Ale gdy żona oddaje się innemu bez pozwolenia męża, to jakby obcy napluł przez drzwi do twojego hovu. Obraza dla gospodarza wielka. Tylko krwią zmyjesz tę plwocinę. Jeśli jednak mąż przygrucha chętną, albo i nawet weźmie siłą, to jakby kto splunął z okna na ścieżkę. Nie on jeden przecież, wszyscy tak robią, deszcz tak robi. Widzisz różnicę?

– Ale ona jeszcze nie jest twoją żoną i nie zanosi się na to. A z musu jej nie weźmiesz, bo ci przyłoży.

– Będzie, zobaczysz. Boczyć się trochę będzie, ale w końcu jej przejdzie. Jesteśmy niczym miecz i osełka, jedno potrzebuje drugiego. Możemy jakiś czas wytrzymać bez siebie, ale wiesz, tępy oręż jest nie lepszy od kija, a ostrzałka bez żelaza to tylko kamień.

– To ty ten swój maekir trzymaj bardziej przy dupie. Po co szukać jedwabiu, gdy pasuje ci twarda skóra. Ale Aslof, ona jest zawzięta, nawet jak na kobietę. Gdyby jednak nic z twoich planów nie wyszło, to...

– A co ty tak nagle o Bordze, co?

– Nic. To moja mistrzyni i tyle. Z tobą to nie można nawet normalnie pogadać. – Wstał, udając oburzonego, i zajął się swoimi ćwiczeniami. Chyba się udało.

Pierwsze dni treningów to było walenie butem w burtę skipu. Zaczął nawet podejrzewać, że wojowniczką sobie z niego zażartowała. Kończył poobijany i zły. Nie ustawał jednak, bojąc się narazić na pogardę Borgi. Człowiek zakochany robi przecież różne dziwne rzeczy, a on był zakochany. Długimi godzinami męczył kompanów, by kijami markowali uderzenia, próbując uchwycić ten zamiar. W końcu coś się zmieniło. Zaczął zauważać drgnienie ręki, szybszy oddech, przeniesienie ciężaru na jedną z nóg, a nawet mgłę w spojrzeniu. Tuż przed ciosem stawało się jakieś inne, mętne.

Pamiętał, gdy mu mówiła, że próbując uniknąć nagłego ataku, i tak jest na straconej pozycji. Przeciwnik zaczął już działać i ma przewagę. Dlatego tak ważne jest – twierdziła, objając mu bok po kolejnej nieudanej próbie postawienia zasłony – patrzeć mu w oczy i uchwycić sam zamiar.

– A potem wsadź mu w gardło nóż, Eriku, albo choćby palce w oczy. Nie pozwól myślom przeszkodzić ci w tym, bo zginiesz.

– A jak się pomylę i poharatam jakiegoś nieboraka? Ja tę twoją mgłę ledwo dostrzegam.

– To przygotuj się na zemstę jego rodu, ale ciągle będziesz wśród żywych. Lepiej żałować, że coś się zrobiło, niż że zaniechało się próby.

Dlatego ćwiczył całymi godzinami, narażając się na śmiechy jednych i skryty podziw innych. Przewaga tych ostatnich stała się wyraźniejsza, gdy pokonał w walce na kije nie byle kogo, tylko samego Solva Kruczą Kość. Woj ten rozbijał ze śmiechem łby kompanom i postanowił dać naukę młodszemu drengowi. Walka trwała długo i zgromadziła na pokładzie skipu całkiem spory tłumek gapiów. Koniec końców, po dobrze wymierzonym ciosie w bok głowy Solva padł bez czucia na deski pokładu.

Te miłe wspomnienia przerwało nadejście gości. Tym razem to starzec w asyście dwóch zastępców podszedł do stojącego na dziobie Kolbjørna Krzywe Zęby. Kordobańskie dau miały tu podwyższenie zwieńczone platformą dla łuczników i to właśnie miejsce upodobał sobie jarl.

– Czeka nas bitwa, wodzu najemników. Zapewne rankiem, gdy floty się przygotowują i znajdą w zasięgu katapult. Byłem zbyt pewny siebie i Allah pokarał mnie za pychę.

– Możesz, potomku Proroka, zawrócić i korzystając ze sprzyjającego wiatru, uciec w stronę tej Mallorki. Powinno się udać.

– Widzę, że dużo wiesz. Ale właśnie dlatego, że jestem z rodu Proroka, nie mogę tego uczynić. Chcą walki, pustynny lew nie ustąpi pola.

– Jeśli pytasz mnie o radę, panie, też bym się bił.

– Na Boga i wszystkich aniołów, nie chcę rad, ale pewności, że ty ze swoimi wojami z Północy, zamiast uderzyć na nasze plecy, staniecie razem z moimi w jednym szeregu.

Jarl pogładził w zamyśleniu rudą upierścienioną brodę i burknął do Erika.

– A taki był pewny, że trzyma nas za jaja. A tu masz, spruło się i śmierdzi. Już za samą jego minę wycalowałbym starucha i wyściskał. – Do przewoźnika zaś rzekł: – To nie nasze wojny, panie. I nie nasi wrogowie, jak sądzę. Ci, z którymi mamy walczyć na Sikilijji, to takie jak ty szmaciane łby. A przecież powiedziałeś, że ci przed nami to niewierni.

– Nie doceniałem cię, dowódcu najemników. Ale gdy już wiem, że jesteś wodzem nie tylko silnym, ale też roztroptym, powiedz: gdy przejdą po nas, was zostawią w spokoju? – Na skroniach starca żyły nabrzmiały niebezpiecznie.

– Pewnie nie, ale my w walce na miecze i topory nie mamy sobie równych. O ile zechcą bogowie, pokonamy osłabionego wcześniejszymi walkami przeciwnika, a pościg uczynimy nieopłacalnym. Wierz mi, saekonungu Serkirów, tak czy inaczej część z nas odpłynie stąd na własnych skipach.

– A gdybym jednak zdecydował się na ucieczkę, to twój podstęp...

– To ruszymy na was teraz, pokonamy i nocą wymkniemy się pościgowi – dokończył za niego Kolbjørn. – Admirale – saekonung wikingów przysunął się do starca i górował nad nim niczym hov nad przydomową łaźnią – masz tu na pokładzie doborowych zbrojnych, nie myśl, że nie wiem, ale nie dadzą oni rady moim wojom. Spowolnią ich, ale nie powstrzymają. Musisz uwierzyć na słowo albo zrobi się jatka.

Siwowłosa mężczyzna dłuższą chwilę stał w milczeniu. Erik dałby głowę, że kalkuluje szanse i zagrożenia, opracowuje i odrzuca różne warianty i rozwiązania. To był dzielny i roztroptny człowiek. Widząc to wahanie, Kolbjørn dorzucił kolejny odważnik na wagę. Tak postępuje każdy dobry kupiec i hövding.

– By cię przekonać, panie, sam jeden stanę naprzeciw trzem twoim najlepszym zbrojnym. Może wtedy zrozumiesz. A jak nie...

– To z wrogiem mamy się bić, a nie między sobą – burknął potomek Proroka.

Admirał Said Ibn al-Mundhir wiedział, że tym razem przegrał. Mógł jedynie zmniejszyć rozmiary porażki albo... przekuć ją w zwycięstwo.

– Czego chcesz? – spytał cicho.

Uśmiech, który rozlał się po twarzy jarla, upodobił ją do oblicza młodzieńca, który otrzymał od upragnionej niewiasty obietnicę spędzenia wspólnej upojonej nocy pod gieźlem. Gdyby był psem, merdałby teraz ogonem, robiąc konkurencję tworzącemu wszystkie wiatry Hresvelgowi[34].

– Okrętów, admirale. Chcemy dających wolność skipów.

– Żądasz niemożliwego, najemniku. Straciłbym honor, oddając w wasze ręce choćby jeden dau. A człowiek bez honoru jest niewiele wart. Nie mógłbym spojrzeć memu władcy w oczy. Allah odebrałby mi łaskę, którą darzy mnie od dnia narodzin. Ale mam inną ofertę. Mądrzy ludzie mawiają: „Jeżeli chcesz bezpiecznie pływać – trzymaj jedną nogę na lądzie”. Niestety, my już dawno odbiliśmy od brzegu. Pomogę ci zdobyć Mesynę, miasto na Sikilijji w emiracie Val di Demone. Rozmawiałem o tym z emirem Ibn at-Timną i twierdzi, że nieopodal tej morskiej twierdzy jest ustronna zatoczka, w której można niepostrzeżenie wysadzić zbrojnych. Po wdarciu się do miasta w porcie znajdziesz kilka dobrych kupieckich okrętów. Poradziłbyś sobie i sam, ale cena krwi byłaby wyższa. Chyba że płynie do ciebie wielka armia

ludzi Północy?

– Wiesz, że nie, starcze.

– To liczy się życie każdego. Bo nadejdzie moment, gdy nie będziesz miał kim dowodzić.

– Może i tak. – Kolbjørn uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Gdy jednak mam do wyboru tracić ludzi w twojej wojnie i walczyć o miasto dla siebie, wybiorę to drugie. Ta propozycja, panie, to zamiana próżnej sakwy na pusty worek. Marna, sam przyznasz.

Zamilkli. Znaleźli się w punkcie wyjścia. To byli godni siebie przeciwnicy, zdolni za dobrą cenę sprzedać polny kamień na targu.

– Czego więc chcesz? – powtórzył saekonung Serkirów. – Proś jednak tylko o to, co mogę ci dać. – Przymknął oczy i zaczął coś mrużyć pod nosem. Erik nie znał serkirskiej mowy, więc nie wiedział, czy admirał wzywa na pomoc swego Allaha, czy złorzeczy Szwedom. A może jedno i drugie. Ciszę przerwał Krzywe Zęby.

– Pomocy przy zdobywaniu miasta i wszystkich skipów, które podczas jutrzejszej bitwy wpadną w nasze ręce.

– Ale ja biorę niewolników – odparł Said niemal natychmiast po usłyszeniu tłumaczenia. Napięcie na jego twarzy zmieniło się w lisi uśmiech.

– Połowę. Tych przy wiosłach zatrzymam dla siebie, panie.

– Dasz mi co drugiego wiosłarza i wszystkich zbrojnych, w zamian weźmiesz całą zdobyczną broń. Przyda ci się.

– Tak będzie, jeśli to, co w ładowniach, trafi na moje skipy. – Jeszcze kilka długich chwil trwało uzgadnianie szczegółów, ale w końcu wszystko stało się jasne.

Kolbjørn Krzywe Zęby wyciągnął rękę, by przypieczętować umowę. Tym razem Said Ibn al-Mundhir, wielki dowódca floty Abd ar-Rahmana III i potomek Proroka, nie zważając na nakazy religii, mocno potrząsnął jego prawicą. Jarl przyciągnął go do potężnej piersi i swoim zwyczajem objął niedźwiedzim uściskiem. Przez chwilę, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, admirał poczuł niemal braterską więź łączącą go z tym na wpół dzikim człowiekiem-niedźwiedziem. Uratował swój honor, a jeszcze miał niezłe widoki na zyski. Zamienił porażkę w sukces. Allah jest wielki. Trzeba tylko pokonać dwukrotnie silniejszego przeciwnika. W jego głowie rodził się plan.

– Dzięki Bogu Wszchemogącemu każdy dostał to, na czym mu zależało. *Allahu akbar*.

BITWA



Statki postawiono w dryf. Rozpoczęły się przygotowania do bitwy. Nim zapadł zmierzch, umyślni w niewielkich łódkach dotarli do każdego dau. Przekazali kapitanom szczegółowe rozkazy admirała, bo od tego zależało powodzenie zaplanowanego przez niego fortelu. Niektórym przydzielono Szwedów, by drengowie Krzywych Zębów poznali ustalenia dowódców i zadania. Zwrócono im też, choć niechętnie, broń. Na bezchmurnym niebie księżyc patrzył z uśmiechem na tę krzątanicę. Gdy ścigany przez wilki przebył połowę drogi, wreszcie zapanowała cisza.

Ranek zastał dwie floty gotowe do walki. Jarl wespół ze swoim młodym tłumaczem stał po prawicy kordobańskiego admirała. Byli jedynymi wikingami wystawionymi na widok – reszta czekała pod pokładem albo przy wiosłach, podwajając ich załogi.

– Mają pięćdziesiąt dwurzędowych galer, odpowiedników naszych dau. – W głosie krewnego Proroka był spokój, jakby niemal dwukrotna przewaga nie stanowiła tu problemu. – Do tego dziesięć ogromnych stu pięćdziesięciowiosłowych panfin.

– Ciężko orzą wodę te olbrzymy, mogą mieć na pokładach całą armię. – Jarl od kiedy tylko otworzył oczy, cały czas uśmiechał się na myśl o nadchodzącej bitwie.

– Albo łupy, dowódco najemników. Trzymają się nieco z boku, więc gdyby stawką było moje życie, postawiłbym na łupy.

– Bo jest – mruknął pod nosem Erik.

Wróg, choć płynął z wiatrem, dawno już zrzucił żagle i położył maszty. Cekał na moment, gdy skipy znajdą się w zasięgu ostrzału z katapult. Czaił się niby drapieznik na wprost rannej, niezdolnej do ucieczki ofiary. Okręty ustawił w linię, by po dotarciu do kordobańczyków zgnać jej skrzydła i zamknąć pułapkę. Kilka galer pozostało na uboczu, nie przyłączając się do ataku. W tym ta, na której powiewała teraz flaga pizańskiego dowódcy.

Dwadzieścia ciasno powiązanych linami i połączonych drewnianymi pomostami dau kołysało się leniwie, tworząc wielką, niemal prostokątną wyspę. Pozwoliło to obrońcom skupić siły na obrzeżach, a atakujących zmusi do zdobywania statku za statkiem. Taki szyk miał jednak jedną wielką wadę – skuteczne podpalenie jednego skipu doprowadzało do pożaru całej konstrukcji. Dlatego każdy skrawek materiału nasączono wodą, a wszędzie na pokładach stały gotowe do użycia pełne cebry. Przeciwnikiem nie byli Bizantyjczycy, więc admirał nie obawiał się ognia greckiego, lecz zwykłych prób podpalenia.

Słońce już dawno wynurzyło się z wody, zmieniając rzeźkość nocy w gorący poranek. Ciała zbrojnych skryte pod skórzanymi i metalowymi osłonami spływały potem. Ale wszyscy wiedzieli, że będzie gorzej. Zrządzeniem bogów dla jednych i Jednoboga dla innych wschodni wiatr niósł trochę wytechnienia.

Tylne dwa rzędy „pływającej wyspy” były jednak nieco inne. Udawały tylko część platformy, mając postawione maszty i zachowując większe odległości, by w każdej chwili można było użyć wiosł. To były te skipy, na których pokładach, a raczej pod nimi, tłoczyli się wikingowie. Według planu w odpowiednim momencie ich załogi miały przeciąć cumy i odpłynąć, tym nagłym manewrem zaskakując wroga. Taki był pomysł ludzi, ale bogowie dodadzą do tej materii własne sploty.

Z uwagi na leżące teraz na pokładach Staruszki, które wyglądały niby wiekowy las po przejściu ogromnego, kładącego pokotem drzewa huraganu, Erik miał całkiem dobry widok na nacierającą flotę. Pizańczycy, bo tak nazwał ten morski lud admirał, obrali prostą taktykę ufni w przewagę, jaką dawały im dwa własne skipy przypadające na jeden serkirski. Zresztą kto nie czułby się pewnie w takiej sytuacji?

Wreszcie katapulty wyrzuciły swój niszczycielski ładunek. Z początku niecelny, po chwili ostrzał zaczął odnosić zamierzony skutek. Po obu stronach pojawili się zabici i ranni.

I choć platforma była łatwiejszym, nieruchomym celem, to znajdowały się na niej prowizoryczne barykady, wzniesione nocą, które sprawiały, że szanse walczących się wyrównywały.

Gdy statki znalazły się w zasięgu strzał, niebo przesłoniły chmury pierzastych pocisków. Przy każdym łuczniku stał z tarczą osłaniający go zbrojny, ale ci, którzy wspięli się na przybudówki i wyżej położone punkty, płacili za odwagę życiem. Zaraz też zastępowali ich nowi śmiałkowie.

Wróg był już na tyle blisko, że zaczął łamać szyk, biorąc Serkirów w kleszcze. Dzięki temu manewrowi dotąd nieużyteczne, bo płynące w zbyt wielkim oddaleniu statki włączyły się do bitwy. Kamienie wielkości ludzkiej głowy orały pokłady, sypiąc wokoło śmiertelnie niebezpiecznym deszczem drzazg. Wtórowały im strzały, które nadlatując z jęklwym wizgiem, wbijały się z klekotem w burty i pokład. Niekiedy brakowało tego ostatniego dźwięku, ale w zamian słychać było jęk trafionego pociskiem człowieka.

Atakujący zaczęli zdobywać przewagę, choć spokojna twarz admirała zdawała się wskazywać, że jest to częścią jego planu. Widząc zaniepokojone spojrzenia Skandynawów, objaśnił:

– Mamy odwody i te czekają w środku platformy, by wspomagać próby odparcia abordażu. Poza tym ich zadaniem będzie odpowiedzieć ognistymi strzałami, gdyby wróg postanowił nas podpalić. To go powinno zniechęcić. Jeśli Allah zechce, pokonamy niewiernych.

Załamujące się ramiona pizańskiej formacji były coraz bliżej tyłów platformy.

– Powinniśmy już ruszać, admirale. Na bogów, niedługo stracimy szansę oderwania się od przeciwnika!

– Jeszcze nie, młody najemniku. Im później zorientują się, co zamierzamy, tym trudniej im będzie wprowadzić zmiany do planu ataku. Wielkie formacje zawsze mają z tym problem. Jeszcze nie.

Erikowi wydawało się, że widzi, jak potężne szczęki Fenrira zamykają się na szyi ofiary. Niemal czuł ten ucisk na własnym gardle, gdy wreszcie padł długo wyczekiwany rozkaz.

Na dziesięciu skipach podniesiono żagle, przecięto liny i z dudnieniem trzonów o otwory wiosłowe w dół poszły wiosła. Te, po początkowym zamieszaniu, złapały rytm i wielkie daudrgnęły. Niełatwym zadaniem jest ruszyć z miejsca statek tej wielkości, szczególnie jeśli jest wypełniony podwójną załogą. Dlatego każdy trzon ciągnęło teraz dwóch ludzi. Wiatr sprzyjał uciekinierom, ale nadpływający Pizańczycy, choć bez żagli, mieli przewagę rozpędu. Krańce atakującej formacji miały właśnie skraj platformy i zamiast znowu złamać szyk, by zamknąć okrążenie, część galer rzuciła się w pościg.

Chwilowe zamieszanie wykorzystali obrońcy pływającej twierdzy, zasypując ich pokłady gradem pocisków. Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami admirała Saida koncentrowali się na wrogach, którzy byli najbliżsi przechwycenia uciekających dau. Kamienie z kilkunastu katapult właśnie zmiotły niemal wszystko z pokładu jednego z nich. Członkowie załogi, którzy przeżyli tę nawałnicę, schronili się za burtami, a sama galera poszła w dryf. Drugą spotkał podobny los, ale przód wrogiej formacji wydostał się już poza zasięg najskuteczniejszego ostrzału.

Jakiś celny kamienny pocisk uszkodził jeden z masztów płynącej na prawym skrzydle pełnomorskiej gązdy – jednego z dziesięciu uciekających statków. Erik patrzył z niepokojem, jak skip nieco zwalnia, by w końcu zostać w tyle.

– Zawróćmy, na Odyna! Pomóżmy im! – Aslof, który przed chwilą dołączył do obserwatorów, wyglądał, jakby chciał rzucić się w pław.

– Wdając się teraz w walkę, niczego nie osiągniemy, a do Helheimu pójdzie cały nasz plan.

– Nie możemy ich tak zostawić! Tam jest Borga!



Erik wyjaśnił admirałowi, o co chodzi, a ten ze smutkiem pokręcił głową.

– *Kwiat Fal* musi poradzić sobie sam. Wszystko w rękach Boga.

Czarna Broda zawył i rzucił się na starca. W ostatniej chwili dopadli go Erik z jarlem i z wielkim trudem powstrzymali od poderżnięcia gardła serkirskiemu saekonungowi. Cała trójka tarzała się chwilę po pokładzie, aż zniecierpliwiony Kolbjørn uderzył głową młodzieńca o twarde deski i zapanował spokój.

– Tam... jego... kobieta – wyjaśnił Erik urywanym głosem, łapiąc płytkie oddechy. Aslof, choć młody, miał siłę niedźwiedzia.

Starzec pokiwał głową i dał ręką znać swoim zbrojnym, by zwolnili cięciwy łuków. Oddalali się z pola bitwy.

– Zostawiam i swoich na pastwę wroga, młody najemniku. Z wieloma z nich pływałem na jednym statku i są dla mnie niczym bracia. Oby Bóg Wszchemogący wybaczył mi ten uczynek, ale wódz musi czasem poświęcić okręt, by wygrać bitwę.

Sternik osamotnionego *Kwiatu Fal* zrobił jedyną rozsądną rzecz. Skierował statek z powrotem w stronę złączonej linami i trapami konstrukcji. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, część załogi miałaby szanse przeżyć, choć znaleźliby się w pierwszej linii obrony.

Przeciwnik też o tym wiedział i najpierw jeden, potem drugi hak abordażowy wbił się w rufę trójmasztowca. Ciągnąc za sobą grube liny, wyglądały niczym zakończone pazurami, odrastające ramiona morskiej bestii. Kilka posmakowało wody, gdy topór któregoś z obrońców ugrzązł na chwilę w burcie, ale na ich miejsce pojawiały się nowe. Wioślarze wiedzieli, że walczą o życie, i zdwoili wysiłki, ciągnąc za sobą dodatkowy balast. Niestety właśnie w tym momencie wokół platformy zamknął się pierścień galer, odcinając jedyną drogę ratunku. Teraz już trzy załogi szturmowały burty marudera. Puścili wiosła. To nie był czas na ucieczkę, tylko na walkę i śmierć.

Gdy Aslof się ocknął, właśnie wykonywali nawrót. Na statku Borgi trwała jeszcze rozpaczliwa obrona, gdyż zbrojnych kalifa wsparli w boju wikingowie. Musiało to być nie lada zaskoczeniem dla Pizańczyków, ale z tej odległości nie sposób było ocenić wyniku tej bitwy. Zataczali szeroki łuk, kierując się w stronę dryfujących w pewnej odległości od pola walki ogromnych stu pięćdziesięciowiosłowych panfin. Jeszcze wczoraj serkirski saekonung tłumaczył, że wiele lat temu dzięki podobnemu fortelowi wygrał z jego ziomkami bitwę lądową dowódca Al-Farandż, zwany przez swoich rodaków Karolem Młotem. Zaatakował obładowane łupami taborzy, co odciągnęło część wojsk emira Abd ar-Rahmana I z pola walki.

– Gorzej – odrzekł na to Kolbjørn Krzywe Zęby – gdy widząc, co się dzieje, cała wroga flota skupi się na naszych dziesięciu skipach. Te z platformy niezdolne są do manewrów, powiązane linami nie uciekną.

– Do tego czasu, wodzu najemników, większość ich galer zajęta będzie abordażem i spięta z naszymi mocnymi linami, a z tymi, którym uda się uwolnić, musimy sobie poradzić. *Insza Allah!* Zwyciężymy!

Tak więc teraz płynęli na wiosłach i nieco pod wiatr w stronę pizańskich „taborów”. Za kilka chwil mieli zrobić kolejny manewr, kładąc statki na lewą burtę, i znaleźć się przed dziobami wrogich jednostek. Śmiech bogów słyhać będzie w całym Midgardzie, gdy się okaże, że zamiast łupów zastaną tam gotową do walki armię. To były prawdziwe giganty, więc i na pokładach znajdowało się wiele miejsca.

Osamotniony *Kwiat Fal* już dawno zniknął im z oczu, przesłonięty prawie setką połączonych ze sobą kadłubów. Italskie galery utworzyły ciasny wianuszek wokół sztucznej wyspy i teraz zgromadzeni na ich pokładach zbrojni raz po raz szturmowali prowizoryczne umocnienia. Z różnym skutkiem. Dzięki pomostom obrońcy szybko przemieszczali posiłki

w stronę zagrożonych rejonów, a duży oddział łuczników z centrum konstrukcji niejedną raz uratował ich przed przełamaniem. Jednak tu i ówdzie Pizańczykom udało się wejść na pokład jakiegoś dau, więc linia obrony była nierówna i ciągle się zmieniała. Właśnie w jednym z takich miejsc silny i wyposażony w dobre osłony oddział pod wodzą jakiegoś czarnobrodego olbrzyma przedarł się i ruszył w stronę łuczników.

– Powinni wsiąść naszym na plecy i poszerzyć wylom. – Krzywe Zęby pokręcił z dezaprobatą głową.

Na ich drodze zaraz stanęły odwody i wyróżniający się niebieskimi tunikami gwardziści kalifa. Ci ostatni tarczami zepchnęli wroga na pokład rodzimej galery. Uszczelnili „rozdarcie” i nie dali się ponieść szaleństwu walki.

– Są naprawdę dobrze wyćwiczeni i mają chłodne głowy. Będziemy mieli z nich pożytek. – Kolbjørn zatarł olbrzymie dłonie.

– To się jeszcze okaże, wodzu. Nie wiadomo, czy nie czeka nas tylko jedna droga, ta do Walhalli. – Dla Erika, jak na razie, każda ze stron mogła wziąć górę w tym starciu.

Przerwali obserwację, ponieważ widząc, co planują kordobańczycy, na pomoc swoim „olbrzymom” ruszyła piątka dryfujących dotąd z boku okrętów. Przewodziła im galera z czerwoną flagą dowódcy pizańskiej floty. Widniejący na niej krzyż mienił się srebrzyście niczym wykonany z metalu. W tym samym czasie na wielkich panfinach podniesiono pojedyncze żagle i opuszczono wiosła. Thursy ociężałe ruszyły z miejsca, oddalając się z pola bitwy.

– Mówiłem, że mają tam skarby? Mówiłem?

– Tak było, jarlu. Ale jak oni tam ciągną sto pięćdziesiąt wiosła, to i od groma ludzi do tej roboty. Nie rozumiem, dlaczego uciekają przed mniejszym przeciwnikiem. – Tym razem Aslof wydawał się spokojny, ale znający go dobrze Erik dostrzegał mord w oczach przyjaciela. Tylko wściekłość jest w stanie zrównoważyć ból po wielkiej stracie, choć na krótko. Potem wraca on ze zdwojoną, niszczycielską siłą.

– Może mają do stracenia więcej, niż nam się wydaje? Tym bardziej powinniśmy przejąć ładunek tych drakkarów.

Admirał Said Ibn al-Mundhir stanął w najbardziej wysuniętej części dziobu, chwycił się solidnej belki i trwał tak kilka chwil zapatrzony w morskie pole bitwy. Jego siwą i starannie przyciętą brodę szarpał wiatr, ale admirał zdawał się tego nie zauważać. Nagle wydał swoim ludziom kilka krótkich rozkazów. Sternik napał na trzon steru, wiosła zaczęły szybciej zanurzać się w wodzie, zmieniono układ żagli, a sygnalista przekazał na pozostałe statki polecenia dowódcy floty.

– Musimy przeciąć drogę odsieczy, inaczej połączona formacja będzie dla nas zbyt wielkim kąskiem – tłumaczył zaskoczonemu Erikowi. Teraz mieli bliżej do tych panfin niż do płynących im na ratunek galer.

– Zanim rozprawimy się z tą piątką, panie, oni znajdują się poza naszym zasięgiem. Umkną z ładowniami pełnymi nieprzebranych skarbów. – Głos młodzieńca był niemal płaczliwy.

– Dla mnie, młody najemniku, od złota ważniejsi są ludzie. Ci, których zostawiłem na dwudziestu powiązanych dau. – Machnął ręką, uznając temat za zakończony. Erik powiedział o wszystkim Kolbjørnowi i Aslofowi. Ten pierwszy przyznał rację admirałowi, a drugi milczał jak zakłęty.

Tym sposobem, zatoczywszy koło, płynęli teraz z wiatrem wprost na flotę dziesięciu wielkich transportowców. Na kolejny rozkaz admirała podniesiono wiosła, by oszczędzać siły do walki. Minęli pływające skarbcze tuż na granicy zasięgu katapult. Wróg bez przekonania i raczej dla odstraszenia wystrzelił w ich stronę kilkanaście pocisków. Większość wpadła do wody, a dwa odbiły się od burt, nikomu nie czyniąc krzywdy. Skandynawskie załogi z żalem zerkały za siebie

jeszcze wtedy, gdy niemal zderzyli się z przeciwnikiem.

BÓG WSPIERA LUDZI  
O  
DZIELNYCH SERCACH



Pizański dowódca nie unikał walki. Liczył, że utrzyma się wystarczająco długo, by nadchodząca odsiecz zdusiła samą masą dziewięć dau z Kordoby. Na Boga, użyłby ognia, by wypalić heretycką zarazę, ale bał się odwetu. Płomienie na otwartym morzu są niczym trucizna w potrawie. A jeśli wszyscy goście stosują tę broń przy wspólnym biesiadnym stole, trudno uniknąć pomyłek. Patrzył jednocześnie z ulgą na wciąż oddalające się panfiny. Właśnie wracali z rajdu wzdłuż wybrzeża Afryki, podczas którego zdobyli i złupili między innymi bogatą Kartaginę. Skarb, który wpadł w ich ręce, był istic królewski, jednak na widok nadpływającej od strony Mauretanii muzułmańskiej floty on – margrabia Giovanni Pisano, postanowił dołożyć kolejny kamień do korony swojej sławy. Pokonanie okrętów heretyckiego władcy Abd ar-Rahmana III przyniesie mu uznanie i zaszczyty z samej Stolicy Piotrowej. A nawet to, o czym jego rodacy od dawna marzyli: zniesienie władztwa książąt Toskanii nad Pizą i uzyskanie praw miejskich. A kto wie, być może z czasem utworzenie niezależnej republiki na wzór dawnego Rzymu? Dla takich chwil warto żyć, dla nich warto też ginąć. W imię Boże.

Rankiem Maurowie zachowywali się zgodnie z przewidywaniami i ogólnie przyjętą taktyką walki na morzu: unieruchomili swoje dau, by bronić ich jak drewnianego fortu. Potem jednak zastosowali fortel, który zagroził statkom przewożącym łupy, a tym samym być może świetlanej przyszłości miasta. Bo Piza potrzebowała tego złota na najemników i łapówki w Watykanie. Margrabia nie mógł dopuścić do zatopienia choćby jednej panfiny, więc nie czekając na posiłki, nakazał odwrót, a sam na czele skromnych odwołów ruszył wrogowi na spotkanie.

– Bóg Wszchemogący stoi po naszej stronie! – grzmiał do swoich zbrojnych. – Jego karząca ręka spadnie na karki heretyków, bo On jest panem wszystkiego, On jest sprawiedliwością! On jest początkiem i końcem! Nie wahajcie się moi bracia w Chrystusie, albowiem wszelkie winy i mordy zostaną wam odpuszczone! To nie z ludźmi przyjdzie stoczyć bój, ale z pomiotem Szatana, ze złem wcielonym, więc walczcie, póki tchu w piersiach, a nawet gdy go zabraknie! Pomyślcie o dzieciach, żonach i siostrach, które trafią do niewoli, jeśli nie powstrzymamy napływu tego heretyckiego robactwa! Bo oni coraz śmielej szturmują mury italskich miast! Tu, dzisiaj, utnijmy łeb hydrze, a padnie i szczytnie u naszych stóp! Bo z nami jest Pan nasz! On tu jest! – Pojedyncze okrzyki zmieniły się we wściekły chór i szcęk, gdy ludzie, uderzając w tarcze, zaczęli krzyczeć ile sił w piersiach. Nieważne co, ważne, żeby jak najgłośniej. Czuli, jak gęsta od gorąca krew zmienia im się w płynną stal.

– Pomyślcie o łupach, które na nich zdobędziemy! – zawołał margrabia, gdy nieco opadł hałas.

– W imię Boże! – Wojowie na okręcie flagowym zakrzyknęli gromko. W ich ślady poszły pozostałe cztery załogi. Część Pizańczyków pomodliła się jeszcze, innych ogarnął taki bojowy szał, że nie byli w stanie jasno myśleć. Wszyscy przeżegnali się, oddając swoje dusze opiece Najwyższego. Zajęli pozycje. Byli gotowi.

Dziewięć dau rozcinało fale dziobami, a gdy znalazły się w odpowiedniej odległości, rozpoczęło ostrzał. Kamienne pociski po obu stronach miażdżyły ludzi. Strzały również zebrały krwawe żniwo, ale bitwy wygrywa się z bliska. Nim kierowane doświadczonymi rękami sterników statki zdołały się minąć, w burty wbiły się stalowe kotwy z przymocowanymi grubymi linami. Na dau do ostatniej chwili nie zrucano żagli, co nie było typowe, ale odniosło pożądany skutek. Szybko znaleźli się przy wrogich burtach. Zbrojni margrabiego niewiele ucierpieli w tej fazie starcia. On sam, trzymając się masztu, stał w otoczeniu najbardziej zaufanych ludzi.

Na okręcie flagowym pierwszy atak heretyków Pizańczycy odparli z uśmiechem, świętą pieśnią i imieniem Matki Boskiej na ustach. Choć wzięci w kleszcze z dwóch stron, trwali

twardo, tworząc żywy mur przy burtach. Setnik Titta Fibonacci zrobił nawet wypad na pokład jednego z dau, pokazując swoim podwładnym, że wróg jest słaby i niezdolny sprostać w walce pierśią w pierś szkolonemu rycerzowi. Rozrąbał kilku Maurów, licząc głośno zabitych. Do uszu towarzyszy docierały przypominające stęknienia okrzyki: jeden, dwa, trzy, pięć. Następnie wrócił triumfalnie na pokład galery. Załoga nagrodziła ten wyczyn rykiem i jej duch walki poszybował pod niebiosa. Giovanni Pisano poczuł, jak pierś rozsadza mu duma. To byli jego ludzie, Pizańczycy, którym sprzyjał sam Wszechmogący. Zaraz jednak zdusił ją, gdyż był bogobojnym mężem i wiedział, że w ślad za dumą, niczym cień, zawsze kroczy pycha. A ta ostatnia odgradza człowieka od Boga wysokim murem i jest źródłem wszelkich grzechów. Pomimo gwaru i szczerku bitwy zaczął się modlić.

A potem stało się coś strasznego. Zza mauryjskich szeregów wychynęły i włączyły się do walki istoty z piekła rodem. Giovanni znał z opowieści te mroczne stwory. To oni, przybywszy na swoich niewielkich statkach z dalekiej Północy, doszczętnie złupili jego ukochane miasto, a działo się to za życia pradziadów. Uprawdzili kobiety i młodych mężczyzn, a domy podpálili. Gołymi rękami wyważali drzwi, odrywali głowy i ze śmiechem pili krew umierających. Legendy o okrucieństwie i sile tego ludu przetrwały do dnia dzisiejszego. Straszono nimi niegrzeczne dzieci i młodzież, która żadna wrażeń urządziła nocne schadzki.

Niemal w jednej chwili prysnął nastrój boskiego uniesienia. Zbrojni walczyli dalej, ale już bez wiary w zwycięstwo i... przegrywali. Margrabia, widząc, co się dzieje, spojrzął na młodego Galilei, którego jedna z zacnych pizańskich rodzin powierzyła mu na przyuczenie.

– Koniec twych nauk nadszedł szybciej, niż którykolwiek z nas mógł przypuszczać, młodzieńcze. – Wyjął rodowe ostrze i zakrzyknąwszy: – W imię Boże! – ruszył ze swoją drużyną na śmierć. Znalazł ją z ręki czarnobrodego olbrzyma, który z dwoma mieczami w dłoniach, z pianą na ustach, wyjąc niby dzikie zwierzę, odciął pełną marzeń o wielkości głowę Giovanniego Pisano, bez trudu zablokowawszy mocny cios margrabiego.

Na pozostałych czterech okrętach nie było lepiej. Tam udało się powstrzymać mordy na jeńcach, gdyż niewolnicy byli cennym towarem. Jednak nie na okręcie flagowym. Tu szalał Aslof Czarna Broda i niesieni jego szalem kompani. Nim przyszło opamiętanie, wszyscy italscy zbrojni leżeli martwi lub umierający. Oczywiście nie licząc dużej grupy, która w przerażeniu wybrała śmierć w odmętach.

– Niewolnicy mieli być moi. – Admirał Said Ibn al-Mundhir patrzył z wyrzutem, przerażeniem i podziwem na uwalanego krwią od stóp do głów Kolbjørna Krzywe Zęby. Ten ochłonął już trochę i odszukał Erika, by mu przetłumaczył, czego znowu chce ten szmaciany łeb. Gdy równie schlapany krwią młodzieniec powiedział, o co chodzi, jarl gruchnął śmiechem godnym bogów.

– Masz ich, serkirski saekonungu, że tak powiem, u stóp – wykrztusił wreszcie. – Bierz, są twoi. – A potem poważniejąc, dodał: – Aslof za Borgę! – To jego zdaniem wystarczyło za całe wyjaśnienie.

– Straszna jest wasza zemsta, dowódco najemników.

– Dlatego warto dotrzymać zawartych z nami umów, panie. Pamiętaj, by mieć w nas przyjaciół, nie wrogów. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, pomóżmy twoim na tej tratwie, którą sobie zbudowali. Zostało jeszcze wiele krwi do przelania. I wiele miłej bogom chwały.

Bitwa trwała jeszcze kilka godzin, ale zobaczywszy los dowódcy, kapitanowie stracili zapał do walki. Minimalizowali straty i kto zdołał, odrywał się od pływającej wyspy i ruszał w ślad za dziesięcioma panfinami. Nim zapadł wieczór, flota kalifa Abd ar-Rahmana wzbogaciła się o szesnaście galer z niewolnikami przy wiosłach. A właściwie to wzbogacili się Skandynawowie, bo to były ich skipy, ich łup.



Borgę odnaleźli przybitą do jednego z masztów *Kwiatu Fal*. Złączone dłonie wojowniczkę unieruchomiono wysoko nad głową nożem wbitym w twarde drewno. Nogi miała przywiązane do Staruszka grubą liną, a odzież zdartą tak, że bez trudu można było dostrzec jej kobiecość i... kości kręgosłupa. W miejscu brzucha ziała krwawa dziura.

Nie trzeba było nikogo pytać, by zrozumieć, co tak rozwścieczyło napastników. Na pokładzie tego trzymasztowego *dau* italskich trupów wystarczyłoby na obsadzenie dwóch takich skipów. Niewiele zabrakło, by w tej nierównej walce obrońcy odnieśli zwycięstwo. Niestety, trzecia galera odebrała im szansę.

Teraz kilkudziesięciu rozbrojonych Pizańczyków czekało na swój los. Głowy mieli spuszczone. Jeśli liczyli na łaskę Maurów, to widok wchodzących na pokład wikingów musiał pozbawić ich złudzeń. Pierwszy wbiegł Aslof. Młodzieniec, potykając się o ciała, dopadł w kilku susach do Borgi. Uwolnił jej ręce i nogi i trzymał ją teraz w ramionach tak, jak trzyma się tulone do snu dziecię. Pozbawiona wnętrzości niewiele ważyła. Erik szedł krok w krok za przyjacielem, by powstrzymać go, gdyby ten chciał zrobić coś nierozważnego. Sobie lub innym.

Czarna Broda stał bez ruchu dłuższą chwilę i nawet wiatr umilkł, by nie przeszkadzać mu w pożegnaniu. Do uszu stojących najbliżej dobiegł jego szept:

– O sokololice Frejo, przyjmij ją w Folkwangu jak równą sobie, bo nie było lepszej wojowniczkę w Midgardzie. A gdy już tam dotrze, szepnij jej... powiedz mojej kobiecie, że ja... ja byłem wielkim głupcem. Że Aslof Czarna Broda kochał tak, jak umiał. Zrób to dla mnie, proszę. Sam nie zdążyłem jej tego powiedzieć. Powinienem, ale pycha i duma ścisnęły mi gardło. A teraz jest już za późno. Bogowie, jak boli. Własną śmierć przyjąłbym z uśmiechem. Pani, przekaż jej, żeby wyczekiwała. Gdy nadejdzie mój czas, dołączę do was w twoim zamku w Asgardzie. Będę szukał tej śmierci i drogi, klnę się na Odyna.

Potem złożył delikatnie zwłoki na pokładzie. Gdy się wyprostował, jego wzrok padł na jeńców.

– Są moi, wodzu. – Głos miał cichy i bezbarwny. – Wyślę ich bezgłowe ciała w objęcia Ran.

– To własność Serkirów. Zarzneliśmy dziś dla zemsty wielu ludzi, popłynęło dużo miłej bogom krwi. Czas powiedzieć: dość. Pomyśl lepiej, co ich czeka, śmierć byłaby tu łaską, a nie karą.

– Ale... – Aslof wskazał brodą pusty brzuch Borgi. – Pewnie jeszcze żyła, gdy...

– To jest najlepszy dowód, drengu, że walczyła lepiej od innych. Że zabiła wielu wrogów, wywołując u pozostałych wściekłość. Czego chcesz więcej od wojownika? – Jarl położył mu dłoń na ramieniu. – Dostyc jak na jeden dzień. Odeszła w towarzystwie załogi, nie będzie sama w Asgardzie. Też miałem tam wielu przyjaciół.

W Czarnej Brodzie coś się wypaliło. Zachwiał się pod tym dotykiem, jakby uleciała podtrzymująca go siła. Z wielu płytkich ran sączyła się krew, ale to nie jej brak był przyczyną słabości. Uleciała wściekłość z nienawiścią, pozostawiając człowieka sam na sam z rozpaczą. To był ten moment, od którego woj wolałby śmierć w boju. Erik, choć sam skuty cierpieniem, pomógł mu wejść na pokład *Porannej Zorzy*. Miał wrażenie, że prowadzi zgrzybiałego starca. Odeszła wojowniczkę, którą podziwiał i chyba kochał. Jeszcze teraz słyszał jej chrapliwy cichy śmiech, gdy tarmosząc mu włosy, wskazywała Aslofa jako swego towarzysza życia.

– Miałaś wielu przyjaciół, Borgo Jorunndottir, którzy chwalić będą twe czyny po ostatni oddech. Nadal masz – wyszeptał. Spojrzał z obawą na druha. Nie znalazł słów, by go pocieszyć. Zresztą co warte dźwięki, gdy traci się połowę siebie? Można żyć bez rąk i nóg, ale czy warto?

Jarl twierdził, że albo uleczy go czas i nowe dziewczki, albo zalany żółcią stanie się niczym wilk samotnik – groźny dla wszystkich.

To był męczący dzień. Od *Kwiatu Fal* odczepiono trzy galery, a sam skip podpalono. Zmierzchało, gdy kłęby dymu wzbily się w powietrze. Wielu dałoby wszystkie pierścienie, że widzieli, jak wśród płomieni lądują na swoich wilczych rumakach walkirie, by zabrać poległych do Asgardu. Bo śmierć dla ludzi dzielnych nie jest końcem, a jedynie bramą do innego, dobrego życia.

Erik stanął samotnie z boku, wpatrzony w ogień na wodzie i płakał. Ciepły wiatr osuszał bolesne łyzy, nim te dotarły do rzadkiej jeszcze brody. Zabił dziś wielu, ale nie cieszyły go ta krew i łupy. To nic, spotkam ją jeszcze, to nic – powtarzał sobie w duchu. Ale jego już męskim ciałem wstrząsnęło łkanie. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie syna Eryka Zwycięskiego.



# OKOLICE MESYNY



Około południa, gdy zobaczyli w oddali pasmo lądu, flota obrała północny kurs, by po kilku godzinach znowu popłynąć na wschód. Admirał twierdził, że dzięki temu manewrowi przybędą niepostrzeżenie w pobliże portowego miasta Mesyna.

– Nie postawiłbym na to nawet jednego buta. Okoliczne wody roją się od ryb i któryś z rybaków na pewno spostrzeże pół setki wielkich pełnomorskich dau. – Stojący jak zwykle obok emir Ibn at-Timna mówił niemal bez otwierania ust. W tych swoich powiewających śnieżnobiałych szatach, z założonymi na piersiach rękami, przypominał jakiegoś pomniejszego boga, któremu zechciało się zstąpić na ziemię. Albo raczej upaść. – Ale jeśli Allah zechce, wylądujemy, nim ten pies Hawwas zdoła stanąć nam na drodze.

Kolbjørn Krzywe Zęby zostawił silny oddział na admiralskim dau. Nie ufał do końca szmacianym łbom i wolał mieć ich wodza w zasięgu topora. Dlatego teraz po raz kolejny omawiał z nim plan ataku. Erik tłumaczył w jedną i drugą stronę, ale myślami był gdzie indziej. Tęsknił za swoją mistrzynią i martwił się o przyjaciela.

Gdy wszystko zostało wyjaśnione, choć przecież wiadomo, że plany ludzi są dla bogów jedynie mgłą na wietrze, wrócili do swojego hirtu. Jarl rozprostował splecione dłonie.

– Na lądzie czekają nas walki, drengowie, co nie jest znowu takie złe. Wiem, że przydałoby się trochę przerwy między potyczkami, nieco swobodnego pijaństwa, swawolenia. Kobiety i piwo nigdy nie smakują tak dobrze, jak po wygranej bitwie. Ale musimy sobie ten spokój wywalczyć.

– Sprzyja ci bitewne szczęście, wodzu, bogowie kochają Kolbjørna Krzywe Zęby – odezwał się któryś z braci. Erik nie zauważył twarzy, zajęty czarnymi myślami o przyszłości. Wojaczka tylko w sagach wygląda pięknie. Tylko w ustach chciwych darmowego piwa sagnamaków.

– Zadbajcie też o broń, woda srodze karze nawet drobne zaniedbania.

Krzętaninę przerwał rozkaz admirała. Potężne dzioby szerokich dau i pizańskich galer skierowały się w stronę lądu.

Ustronna zatoczka, o której mówił miejscowy książę, nie była wcale taka ustronna. Nad jej brzegiem leżała całkiem spora i, zdało się, ludna wieś. Zdało się, albowiem na widok pierwszych przybyszów błyskawicznie opustoszała. Z oddali widzieli niewielkie sylwetki ludzi i zwierząt, ginące pomiędzy rzadkimi drzewami porastającymi niewysokie wzgórza. Widocznie miejscowi mieli wiele doświadczeń z nieproszonymi gośćmi, a ciągle ćwiczenie prowadzi przecież do mistrzostwa.

Z uwagi na pływający wyładunek trzech setek zbrojnych, w tym dwóch gwardzistów kalifa i jednej wojów ze Szwecji, podzielono na etapy. Skipy przybijały, mężowie schodzili na ląd i statki odpływały, by zrobić miejsce następnym.

Zapadł zmierzch, gdy było po wszystkim. Flota admirała Saida Ibn al-Mundhira, wzmocniona o piętnaście pizańskich galer (szesnastej z uwagi na uszkodzenia pozbyto się w trakcie rejsu), rzuciła kotwice na przybrzeżnych płytkich wodach. Skoro świt mieli zaatakować Mesynę, więc załogi pozostały na pokładach.

Według planu oddział wypadowy, maszerując w ciemnościach, powinien w tym czasie dotrzeć pod mury miasta i zaatakować słabo obsadzone umocnienia od przeciwnej strony. Ważne, a nawet kluczowe było tu zaskoczenie. Na ląd, wraz z Kolbjørnem, Erikiem jako tłumaczem, Nają dowodzącym gwardzistami, zszedł też emir. I to on pomimo mroku prowadził kolumnę zbrojnych wąskimi, skalistymi ścieżkami. Wszystko po to, by uniknąć większych siedlisk ludzkich.

– To droga dla kóz, nie ludzi – narzekał Aslof Czarna Broda. Zabrali go ze sobą, by nie

rozpamiętywał w samotności śmierci Borgi. To były pierwsze słowa, które wypowiedział tej nocy, i Erik z Eldgrimem popatrzyli po sobie z ulgą.

– Myślisz, że nie zwiedzą się o nas miejscowi? – Maszerujący obok Ottar Krzywa Gęba wykrzywił się w paskudnym uśmiechu. Księżyc im sprzyjał i było całkiem widno.

– Sam nie wiem. Przecież rybacy z tej wsi w zatoce gdzieś musieli uciec, nie? A gdzie, jeśli nie do najbliższego dużego miasta, czyli tej Mesyny. – Erik po raz nie wiadomo który poprawił pas z mieczem. Długa wędrówka dawała mu się już we znaki.

– To na pewno – przyznał stary wiarus. – Ale na kuśkę Odyna, czy zwiedzą się, że tak szybko nadciągamy?

– Jarl wysłał patrole, które mają wyróżnić wszystkich ciekawskich.

– Ech, młody jesteś i nie wiesz, że na wikingu zawsze czyjeś oczy obserwują i nie da się wszystkich wyłupić. Im ludniej, tym trudniej. – Zaśmiał się z własnego rymu. – Łatwe zwycięstwo i zdobycze zależą od tego, młodzieńcze, czy spadniemy na miejscowych, nim ci zdążą się przygotować. Albo uciec, zabierając wszystko, co najcenniejsze. To drugie jest gorsze.

– Gorsze jest wpadnięcie w zasadzkę – ni to jęknął, ni burknął idący obok Zeno. – Gdy nie wiesz, skąd nadlatują strzały.

– A ty niby skąd możesz to wiedzieć, niewolniku? Wyczytałeś w księgach?

– Mam głowę, panie, i wyobraźnię, nie trzeba niczego więcej. Zresztą słyszałem, jak jarl mówił, że obawia się pułapki.

Niby duch zmarłego przywołany z Nastrandu zjawił się sam Kolbjørn Krzywe Zęby.

– Ottar, doberz sobie dwóch i ruszajcie z czujką na północ. Gamli Siny od jakiegoś czasu nie daje znaku, może ma kłopoty.

– Gamli? Powinien mieć na imię kłopot, przyciąga nieszczęście niczym żelazo pioruny – gderał zbrojny, udając niezadowolonego. – Ale może wezmę dziesięciu? Skoro mamy walczyć...

– Trzech idzie i tyle. Jak stracę kolejną trójkę, nie będzie zgrzytania zębów. Przy dziesięciu może mi zabraknąć wojów do ataku na miasto – powiedział bez ogródek Kolbjørn. I już się szykował, by ruszyć na czoło kolumny, gdy jakby sobie o czymś przypomniał. Zrównał się z Erikiem.

– Ty, chłopcze, nigdzie nie idziesz. Potrzebny mi twój język.

Konungowy syn już chciał zaprotestować, ale zamknął usta. Saekonung powiedział to takim tonem, że nawet nie warto było próbować się spierać. Bogowie obdarzyli jarla mocą rzucania gróźb bez podnoszenia głosu.

Ottar Krzywa Gęba zabrał Eldgrima Roga i Garda Hakissona. Ten ostatni, choć niewysoki, potrafił chodzić pomiędzy drzewami niczym sam duch lasu, a i po pniach wspinał się, idąc w zawody z wiewiórkami.

– To wzięłeś sobie dwóch najbardziej wygadanych w całym hirdzie – rzucił z przekąsem zawiedziony Erik. – Są niczym dwa kamienie.

– I tacy mi się nadadzą – odrzekł wesoło Ottar. – Kamienie, milczenie to wroga złupienie. – Widocznie zebrało mu się na skaldowanie.

– I gównie wiedzenie – odburknął cichutko niepokieszony młodzieniec.

– Ale ty, widzę, masz ogień pod tyłkiem i chcesz iść z nami? – Brat Aslofa zbliżył się do Erika, by nikt nie słyszał ich rozmowy. Widząc stojącego blisko Zena, rzucił tylko: – Won! – Niewolnika jakby zdmuchnęło.

– Pewnie, a kto by nie chciał. Nie mam trzydziestu lat, gdy człowiek myśli już tylko o przodkach.

Eldgrim Róg uśmiechnął się, słysząc to markocenie.

– To twoja decyzja, ale gdybyś mnie pytał, to odczekaj chwilę i... – Ścisnął mu kark tak, jak zwykł to robić Czarnej Brodzie. Znali się przecież od wielu lat i byli niemal jak bracia z jednego domostwa.

– Ale jarl...?

Trzech zbrojnych już zniknęło między drzewami.

Niewiele myśląc, syn Eryka Zwycięskiego poszedł w ich ślady. Przemknęła mu przez głowę wizja wściekłego wodza, ale będzie, co ma być.

Z trudem nadążał za zwiadowcami, a i to tylko dlatego, że znał kierunek ich marszruty. Szli na północ, w stronę tej Mesyny. Główne siły dawno zostały z tyłu, gdy jedno z drzew ruszyło na Erika i przyłożyło mu pięścią w nos. Nim młodzieniec zdołał wstać, poczuł saks na gardle i zamarł.

– Robisz więcej hałasu, dzieciaku, niż stado dzików – usłyszał tuż przy uchu głos Garda. Tropiciel wstał. Do jednego przyłączyły się dwa inne cienie i cała trójka górowała chwilę nad powalonym, by zaraz rozpląnąć się w ciemnościach. Ottar Krzywa Gęba rzucił jeszcze cicho: – Wracaj, chłopcze, do oddziału – i to było wszystko. Erik siedział kilka chwil, wydmuchał nos, oczyszczając go z krwi, i rzucił ze złością za nimi zagarniętą w dłoń ściółkę.

– Stali stałą nie zestrugasz – wysyczał. Podniósł się i ruszył za zwiadowcami.

Zaraz też zgubił trop i wpadł w panikę. Czuł, jak włosy stają mu dęba. Dziwne odgłosy, pohukiwania, zapachy. Był we wrogim lesie sam, lesie pełnym miejscowych potworów i bogowie tylko wiedzą czego jeszcze. Dopóki podążał śladem przyjaciół, istniała szansa, że to na nich w pierwszej kolejności rzucą się bestie. Teraz widział to nieco inaczej. Od ciągłego oglądania się za siebie mało nie połamał nóg, lądując w sporym dole. Korzeń, który podstawił mu nogę, pewnie pękał z uciechy.

Wtem dostrzegł pomiędzy drzewami blask. Zamarł. Bezkrwistymi ustami wyszeptał:

– Odynie, królu bogów, niech to będą ludzie. Błagam cię, ludzie z krwi i kości, choćby i wrogowie. – Ucałował wiszący na piersiach braektat w kształcie konia i był gotowy. Przymykając od pnia do pnia, ruszył w kierunku ognia. Przy każdym kroku, tak jak go uczono, gdy podchodził w szwedzkich lasach zwierzynę, rozsuwał ostrożnie czubkiem buta suche gałązki i stawał, opierając się na krawędziach stóp. Nie było to wygodne, ale gdy ma się do wyboru pełen żołądek lub śmierć z głodu, człowiek nie zwraca uwagi na wygody. Druga sprawa, że strach równoważyła młodzieńcza ciekawość. Chciał choć rzucić okiem na przeciwnika, kimkolwiek lub czymkolwiek był.

W pewnym momencie do jego uszu doszły ściszone męskie głosy. Odetchnął z ulgą i mało nie usiadł na ściółce. Ludzie. Jakby w zwolnionym tempie zdjął z pleców łuk i zgiął łączysko, by wyćwiczonym ruchem nałożyć cięciwę. Robił to tyle razy, że dłonie same, bez udziału myśli i oczu, odnajdowały uchwyty.

Na wielkiej polanie obozował oddział zbrojnych. Jedyne niewielkie ognisko paliło się w pobliżu samotnego drzewa. Tylko dzięki temu młodzieniec dostrzegł oparte plecami o szeroki pień trzy sylwetki o dziwnie swojskim wyglądem. Głowy miały zwieszane, jak podczas snu, ale kto sypia na stojąco? Tylko konie.

Erik prawie nie oddychał. Ze swojego miejsca widział ciemniejsze plamy zawiniętych w futra zbrojnych. Część leżała na ściółce, inni korzystali z nocnego wypoczynku wsparci o towarzyszy. Dwóch, zapewne strażników, rozmawiali ściszymi głosami w mowie szmacianych łbów. I to ich słyszał przed chwilą.

Nagle od strony jeńców, bo nie ulegało wątpliwości, że ci pod drzewem to skandynawscy brańcy, dobiegł zduszony jęk, który przerodził się w krzyk. Któryś odzyskał przytomność. Ten siedzący bliżej ognia warknął coś gniewnie, widocznie próbując uciszyć krzykacza, ale na

niewiele to się zdało. A nawet, o ile to możliwe, jeniec począł wrzeszczeć głośniejsz i wyraźniej:

– Wy synowie argra i owcy, zabiję wszystkich! Rozumiecie?! Wszystkich, jednego po drugim! Pourygam wasze szmaciane łby i wychłepcę jeszcze ciepłą juchę. Wyrwę jaja razem z kręgosłupami! Przyjdę nawet po śmierci, choćby jako draugr! Znajdę też drogę do waszych suchych żon, które przed śmiercią poczują w sobie zimnego woja. I do szczeniaków. Od tej nocy nie zaznacie spokojnego snu! Biorę Odyna na świadka tego ślubu! Wypatrujcie na niebie *Odens jakt!* Wielka horda... – Nagle głos uwiązał mu w gardle.

Jeden ze strażników właśnie w tym momencie cisnął nożem. Erik był niemal pewien, że taki był plan krzykacza. Mężczyzna odchodził w honorowy sposób, raniony ręką wroga. Na takich czekała Walhalla.

Biorąc pod uwagę panujące ciemności, był to wspaniały rzut. Ostrze wbiło się u nasady szyi i stuknęło głucho o pień. Charkot zmienił się w bulgot. Gdy jeniec podniósł głowę z szeroko otwartymi w daremnej próbie nabrania powietrza ustami, Erik poznał, kto zaczął. Miał przed sobą zgubę, a ten, który właśnie dogorywał, to Hjalti Pałkarz z oddziału Gamlego. Siny był pewnie wśród pozostałej dwójki. Wszystkich przywiązano do drzewa, opasując w dwóch miejscach pień mocną liną.

Cichy, narastający szelest obezwładnił młodzieńca. Ktoś nadchodził, i to z tyłu. Może to Ottar z wojami? Ale zaraz zbeształ się w myślach za głupotę. Krzywa Gęba dostrzegłaby ogień i nie czynił takiego hałasu. Młodzieniec przykucnął powoli i przylgnął całym ciałem do chropowatej kory. Jestem drzewem, jestem cieniem – powtarzał w myślach. – Wiatr przepływa przeze mnie, deszcz przenika. Bölthorze, uspij ich czujność. – W pełnym półcieniu i krzewów lesie, skryty za czarną wilczą skórą, stał się dodatkowym pagórkiem, wypiętrzeniem korzeni, fragmentem gęstwiny.

Ktoś przechodził dwa, trzy kroki od kryjówki. Gdyby miał ostrzejsze powonienie, wyczułby pocącego się ze strachu drenga. Na polanę weszło dwóch kolejnych zbrojnych. Pierwszy wydał krótki rozkaz i ci siedzący przy ogniu podnieśli się z miejsc. Erik naliczył ich teraz ledwie ośmiu. Ci, o których sądził, że śpią, pewnie byli martwi. Musiałeś tu stoczyć dobrą walkę, Hjalti – pomyślał.

Szmaciany łeb, który widocznie był tu wodzem, wskazał ręką na północ i coś tam po swojemu zacharował. Erik był pewien, że nakazuje natychmiastowy wymarsz. Podszedł do drzewa i wyciągnął saks z ciała trupa. Warknął niezadowolony, otarł ostrze z krwi i podał właścicielowi. Mówił coś jeszcze gniewnie, gdy znalazł się przy drugim jeńcu. Złapał za zwisające w strąkach włosy i uniósł jego głowę. Twarz tego zbrojnego była jedną wielką miazgą. Biesiadował już w Asgardzie. Trzeci, choć mocno poobijany, żył i tego dwóch miejscowych wzięło pod ramiona. Gamli Siny szarpnął się, ale mocny cios drzewcem włóczni odebrał mu resztkę sił. Oddział był gotowy do wymarszu. Zdusili ogień i polanę skryły księżycowe ciemności. Wszyscy postali chwilę, by przyzwyczaić wzrok. Na ten właśnie moment czekał ich wróg.

Erik musiał działać i to szybko. Zapamiętał, gdzie znajdowali się zbrojni, gdyż po zgaszeniu płomieni i jemu wzrok płał figle. Widział nieostro i bardziej cienie niż sylwetki ludzi. Dwie pierwsze strzały poleciały w miejsca, w których powinni być strażnicy Gamlego. Jeśli źle zapamiętał lub zmienili pozycje, być może właśnie ukatrupił dziesiątnika. Ale na to nic nie można było poradzić. Wypuścił jeszcze trzy szybkie pociski i odrzucił thund. Zamarł na chwilę wsparty plecami o drzewo, z ręką na rękojeści miecza. Oddychał płytko i szybko. Potem, nie zważając na hałas, przemknął w poblizsze sąsiedniego pnia i jeszcze jednego. Raz bliżej, innym razem dalej od lasu. Miał nadzieję, że przekona w ten sposób szmaciane łby, iż w ciemnościach czai się cały oddział. W końcu zamarł. Znowu był cieniem i pustką. Jeżeli wróg przejrzał fortel...

Modląc się do bogów, czekał i... nasłuchiwał.

Z polany dochodziły ciche jęki i posapywania. Widocznie pociski młodzieńca znalazły sobie żywy cel. Temu wszystkiemu towarzyszył szybko cichnący hałas biegnących ludzi. To była najpiękniejsza saga dla jego uszu. Odczekał jeszcze dwa razy po sto oddechów i ostrożnie wszedł na polanę. Ognisko zapłonęło zaraz po tym, gdy dorzucił suchych gałęzi. Miejscowi przygotowali ich sobie całkiem spory zapas.

Gamli Siny leżał z twarzą do ziemi, a z jego pleców sterczała brzechwa strzały.

– Odyne – jęknął Erik.

Jeden z niedawnych strażników wykrwawiał się właśnie z rany brzucha. Przynajmniej tyle, pomyślał kwaśno syn konunga, podzrywając mu gardło. Jestem niczym sam Hodur, winien śmierci drottmada. Trzy ostatnie strzały skosiły liście, ponieważ brakowało ciał.

Cichy jęk Sinego oderwał wzrok młodzieńca od ciemnej bariery drzew. Podskoczył skruszony do dziesiątnika.

– Jestem, bracie. Bardzo krwawisz. – Dotknął zlepionej posoką koszuli. W odpowiedzi Gamli ugryzł go w rękę.

– Zostaw, tak mniej boli.

– Pomogę, zatamujemy krew i ruszę po naszych...

– Za późno, Odyn wzywa do swojej drużyny. Widzę je, nadlatują... – Zamilkł.

– Siny. Siny!

– Jestem, jeszcze – wystękał ranny, próbując znaleźć mniej bolesną pozycję. Z westchnieniem ulgi ułożył się na boku.

– To... to ja strzelałem z thundu. Nie chciałem cię trafić. Ciemno... Ognisko... – jękał się młodzieniec.

– I tak byłem trupem. – Gamli Siny chciał machnąć ręką, ale tylko syknął z bólu. – Wołę szybką śmierć – dokończył i splunął czerwienią. – Zimno...

Erik dorzucił do ognia. Migotliwy blask wydobył jeszcze więcej zimnych pagórków. Ranny nagle zakrzuszył się krwią i zaczął kasłać. Młodzieniec ułożył jego głowę na swoich kolanach.

– Bogowie, jak boli. Mógłbyś... – Siny z trudem dotknął noża u pasa Erika. W jego błyszczącym od gorączki wzroku była prośba.

Syn konunga wiedział, co ma zrobić. Zabijał już przecież, ale obcych, a nie...

– Stoczyliście tu dobrą bitwę – powiedział, żeby przerwać pełną oczekiwania ciszę, by choć przez chwilę nie słyszeć tego rżenia, by odwlec moment.

– Psie syny, zaskoczyli nas – stęknął Gamli. – Tylko dlatego, że chcieli żywych zaciągnąć do grodu, nie wystrzelali z łuków. Ale masz rację, to była dobra walka i będzie dobra śmierć.

Siny zamilkł, ale nie na długo.

– Co z nimi? Co z moimi ludźmi? Pod koniec mnie ogłuszono i niewiele pamiętam. A szmaciane łby? – W jego głosie pojawiło się napięcie.

– To trupy, drengu. – Erik w zakłopotaniu zaszurał butem po ściółce. – Twój ludzie to trupy – uściślił. – A tamci uciekli, gdy tylko zacząłem szyc do nich z łuku.

– Niech i tak, niech i tak. Dobrze, że tu jesteś, chłopcze. Dobrze. Gdy woj na wikingu umiera i ma do kogo gębę otworzyć, to mu się nie cni, czekanie lżej przychodzi. – Znowu się rozkasłał. – Drzewiej w mojej wiosce przy Sarnim Potoku... Placki matki pamiętam, jak jeszcze ciepłe, z braćmi, kto szybciej... Wiesz, pachniało u nas wiosną: trawą, mokrą ziemią, drzewem i słońcem. Niby wszędzie to samo, ale tamtego zapachu z niczym nie pomylisz... Ileż bym dał, żeby jeszcze tam kiedyś zajrzeć. Może być latem, gdy pachną koszone łąki... Albo mrozem, z nartami po sypkim śniegu... – Zacharczał, plując krwią. – Słuchasz, chłopcze? Jesteś tu

jeszcze?

Woj choć oczy miał szeroko otwarte, zaglądał już do innego świata.

– Słucham, drengu. Opowiem braciom o wielkim Gamlim, który przed śmiercią zabił wielu wrogów.

– O tak, sława jest ważniejsza od złota i życia. To sanie, którymi docieramy do naszych wnuków i wnuków ich wnuków. Chciałbym... Wilki widzę... Kobiety na nich jadą... Zimno mi, chłopcze, zimno... – Erik znowu dorzucił gałęzi.

– Lepiej?

Ale Gamlego już nic na tym świecie nie mogło rozgrzać. Jego głowa zrobiła się nagle bardzo ciężka. Syn konunga położył ją delikatnie na trawie. Dzielny mąż odszedł.

– Obyś stoczył wiele dobrych walk w Walhalli, druhu. Wspomnij przy biesiadzie tego Erika, który własną strzałą odebrał ci życie. Wybacz, bo chciałem dobrze. Jeśli nazwiesz mnie Baldrem, nie będzie urazy. I... żegnaj, na mnie czas – wyszeptał.

Nagle spomiędzy drzew wychynęła głowa, a potem cała postać. Był to dowódca szmacianych łbów. Ten sam, który oglądał przywiązanych do pnia drużynników, niczym tusze prosiat na targu. Mówił coś, podnosząc wysoko puste dłonie. Rozcapierzył nawet palce, jakby pokazując, że niczego nie skrywa. Erik nie czekał, wyszarpnął z pochwy Gullinhjalti, gotów drogo oddać życie. Pierwszy cios drewnianą pałką w tył głowy rzucił go na kolana. Hełm potoczył się po ściółce. Drugi odesłał go do krainy bez snów. Ostatnią myślą konungowego wyskrobka było to, że przecież szmaciany łeb nie był sam. Jak często w życiu zrozumienie nadeszło za późno.

Ocknął się niesiony przez dwójkę krzepkich mężów. Zapach lasu mieszał się z wonią metalu, przeпоconej skóry i krwi. Jęknął. Strażnicy, widząc, że wrócił do życia, rzucili go na ziemię. Nogi się pod nim uginały, a ręce miał związane na plecach. Rozorał zębami miękką, wilgotną glebę jak dobre radło. Podniósł się powoli, plując ziemią i trawą.

Ci sami dwaj chwycili go teraz pod ramiona i ruszyli szybkim krokiem. Nawet nie próbował się opierać.

Nie zatrzymywali się po drodze i nim zaszedł księżyc, dotarli pod wysokie mury jakiegoś grodu. Pewnie to ta Mesyna – pomyślał smętnie młody wiking. – Ja pierwszy z całego hirdu postawię tam stopę. To mnie się będzie należał największy udział w łupach. – Zaśmiał się z samego siebie albo raczej zaskrzeczał. Wysuszone gardło nie chciało wydawać innych dźwięków. Zbrojni podeszli pod niewielką furtę. Coś tam pokrzyczeli i ktoś, sapiąc, zdjął blokującą belkę. Szczęknął zamek i weszli do środka. Strażnik z pochodnią w dłoni przyglądał się z wielką ciekawością jeńcowi.

– Czego się gapisz, niedługo zobaczysz takich więcej – wycharczał młody wiking. Cios pałką w plecy odebrał mu ochotę do pogawędek.

Gdy wrzucono go do wyściełanej cienką warstwą zgnilej słomy ciemnicy, pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Pewnie rano zamierzali go wziąć na spytki, ale wschód słońca będzie dla wielu z nich ostatnim w tym życiu. Kolejne będą oglądać w tym swoim rajcu, z dziewicami w hovah. Tylko po co im akurat dziewice, skoro doświadczone dają więcej przyjemności? No i skąd ich tam tyle wezmą? Kobiety umierały, będąc jeszcze dziećmi lub w połogu. No, były jeszcze te stare, ale one chyba się nie liczą. Skąd więc wezmą tyle dziewic dla jednego męża? Takie dziwne rozważania świadczyły, że ciosy w głowę były bardzo mocne. W końcu zmęczenie i sen zmorzyły Erika, syna Eryka Zwycięskiego, władcy wszystkich Szwedów.

Ranek, o ile to był ranek, ponieważ w ciemności pory dnia zlewały się ze sobą, niczego nie zmienił. Nie zjawili się też strażnicy. Mijały godziny, dni. Zapomniany więzień zlizywał wilgoć z kamiennych ścian. Jeszcze gdy miał więcej sił, rozluźnił i zsunął rzemienie z rąk. Teraz

żuł je, oszukując coraz większy głód. Cela miała dziesięć kroków na pięć, żadnych otworów. Chodził więc z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że mija ludzi i drzewa. Czasem na tej trasie natykał się na grube drewniane drzwi. Walił w nie ile sił, ale jedynym odzewem były uderzenia innych więźniów, pewnie z podobnych ciemnych jam. Czyżby i o nich zapomniano?

Z biegiem czasu, nie wiedział, dni, a może tygodni, wszystko ucichło. Zniknął też głód, ale pozostało pragnienie. Ssał więc mokre kamienie tak, jak dziecko matczyną pierś. Zbawiennej wilgoci było tam niewiele i bardziej oszukiwał, niż zaspokajał własne potrzeby. Szukał więc w brudnej słomie tłustych robaków, nie dla mięsa, lecz wody. Gdy zaczął w końcu jeść i tę słomę, choroba i ból brzucha zabrały mu kolejny dzień i trochę bezcennych płynów. Ciągłe jednak wstawał i włókł się wokół swojej jamy. Najpierw dziesięć kroków, potem skręt i pięć, potem znowu dziesięć, skręt, pięć... Wiedział, że gdy w końcu nie uda mu się podnieść, umrze.

Potem pojawiły się zwidy. Erikowi zdawało się, że słyszy głosy. Wcześniej też tak było, ale zwykle rozmawiał z matką. Czasem nawet widział ją, jak pochyla zatroskaną twarz nad najmłodszym synem. Tym razem to były męskie głosy. Ludzie? Prawdziwi? Doczołgał się do drzwi i z wielkim trudem podniósł głowę. Opuścił ją, uderzając w grube deski. Sił starczyło na jeszcze dwie takie próby i świat znowu pochłonął sen bez snów.

Gdy się ocknął, leżał w pełnej słońca hali. Nienawykłe do światła oczy przykryła zasłona z łez. Pilnujący go siwowłosy starzec zwilżył młodzieńcowi usta. Woda. Zimna, czysta woda. Drapieżnym ruchem wyrwał wilgotną szmatkę i wycisnął, chłonąc każda kroplę.

– Jeszcze – zaskrzeczał. Stary człowiek pokręcił głową i odrzekł coś w niezrozumiałym języku. Erik próbował się podnieść, ale znowu ogarnęła go ciemność.

Kiedy się obudził, zobaczył uśmiechniętą twarz Zena.

– Witam wśród żywych, panie. – Wargi rozsunęły się jeszcze bardziej, ukazując białe zęby niewolnika.

– Co się...? – Ale nim dokończył, Zeno, krzyżąc, że zaraz wróci, wybiegł z pomieszczenia. Gdy syn konunga zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że jak i matka, to tylko kolejne zwidy, pięknie rzeźbione drzwi odskoczyły pchnięte kopniakiem i do środka weszła cała gromada przyjaciół. Był wśród nich poważny ostatnio Aslof, Tagi Instadsson, Naja i najstarszy z nich Eldgrim Róg. Ktoś nie dokończył zdania, inny urwał śmiech w połowie. Wszyscy zamilkli, patrząc z troską na Erika.

– No co? Żyję – wychrypiał. Jak za dotknięciem czarodziejskiej laski zaczęli gadać jeden przez drugiego. Nic nie można było zrozumieć. Eldgrim jako najstarszy zaprowadził względny porządek.

Starzec, ten sam, którego zobaczył pierwszego, wszedł do pomieszczenia z miską wodnistej stawy. Dopiero teraz Erik poczuł, jak bardzo jest głodny.

– Opowiadajcie, a ja... – Wskazał na parującą miskę. Nagle w wyschniętym przecież podniebieniu pojawiła się taka ilość śliny, że mało się nie zakrzusił.

– No to było tak – zaczął Tagi. – Zaatakowaliśmy ich zgodnie z planem, czyli od strony łańcucha i z ładu. To znaczy najpierw z morza. Bogowie sprzyjali, choć nie było łatwo. – Zamilkł.

– I ju? – zabelkotał Erik z pełnymi ustami, rozpryskując naokoło krople rosołu.

– Ja opowiem, panie, bo nie brałem osobiście udziału w walkach, w przeciwieństwie do tych znamienitych wojów. – Zeno uśmiechnął się blado. – Admirał Said Ibn al-Mundhir dotrzymał słowa i zaatakował wielką połączoną flotą od strony morza. Na przeszkodzie były solidne portowe łańcuchy, ale pociski z tak wielkiej liczby okrętowych katapult zniszczyły wrogie wyrzutnie i trzymały obrońców na odległość. To dało atakującym sposobność i wysłali oddział, którego zadaniem było odkucie kotwy łańcucha ze skały. Bo pamiętasz, panie, że tu od



strony wody łańcuch...

– Uhu – potwierdził Erik z pełnymi ustami.

– Ja tam byłem – rzucił radośnie Tagi.

– No, to miejscowi, widząc, że nie obronią portu, ściągnęli wszystkich zbrojnych za mury twierdzy. Zamknęli na głucho bramy i czekali na nadejście pomocy. Szpiedzy wierni emirowi Ibn at-Timnie, temu księciu bez ziemi, twierdzili, że jego największy wróg – Ibn Hawwas, gromadzi wielką armię, by przyjść napadniętym z odsieczą.

– Wtedy my natarliśmy od ładu – wtrącił Eldgrim Róg. I kontynuował relację, zachęcany pomrukami przez towarzyszy: – Ciężka, dobra walka. – Widząc, że brat Aslofa już skończył opowieść, znowu Zeno ratował sytuację.

– Oddział zasadzkowy linami zaatakował, zdało się, niemal puste zachodnie mury. Los nam sprzyjał. Najpierw łucznicy zdjęli nielicznych strażników, rzucono haki i rozpoczęła się wspinaczka. Dobra dziesiątka dojrzała nawet do końca drogi, gdy nastąpił kontratak. Dowódca Maurów nie był jednak głupcem i trzymał w pobliżu spore odwody. Obrońcy ciąli liny, a tych, którym udało się wspiąć, osaczyli w narożniku. Dopóki jednak choć jeden napastnik stał na murach, nie mogli czuć się bezpieczni. W miejscu, które osłaniali zbrojni jarla Kolbjørna, zaraz pojawiło się kilkanaście nowych haków i atakujących zaczęło przybywać.

Widząc, co się dzieje, szmaciane łby ostrzelały ze stojących na sąsiednich umocnieniach katapult własne blanki, co zmusiło resztkę naszych do ucieczki po tych linach, po których wcześniej się wspinali.

– To i swoich powybijali. – Erik otarł rękawem cieknący kącik ust wywar. Ale to było dobre. Ale dobre.

– Wielu czcicieli Allaha zginęło, ale utrzymali twierdzę. Dopiero kiedy skleciliśmy solidne drabiny, a ostrzał z naszych katapult skruszył bramę od strony portu...

– To ile trwały walki? – zapytał cicho Erik.

– No, trzy dni, panie.

– Trzy dni siedziałem w tej jamie? Trzy długie dni bez wody, żarcia i słońca? Mnie się zdało, że ponad dwadzieścia.

– No nie, pięć. – Tagi w zakłopotaniu podrapał się po łepetynie.

– Nic nie rozumiem. – Młodzieniec opadł na szerokie łoże. Zjadł trochę i teraz kręciło mu się w głowie.

– No bo... – zaczął tłumaczyć łucznik i przerwał zakłopotany. – Bo najpierw piliśmy za zwycięstwo, potem za łupy, dalej za sławę i dopiero gdy zabrakło wina, ktoś postanowił poszukać go w miejscowych piwnicach i... – Erik zasnął. Tym razem śniła mu się uśmiechnięta Borga, która mówiła do niego: Wszystko będzie dobrze, kochany, wszystko będzie dobrze.

MESYNA



Zdobyli duży portowy gród zwany Mesyną. Jak na razie bogowie sprzyjali Skandynawom. Nie dość, że uczynili ich władcami potężnego miasta, to jeszcze dali im do dyspozycji wielką przystań dla skipów. Po początkowym pijaństwie zabrano się do roboty. W pierwszej kolejności podjęto próby osadzenia w skale żelaznego łańcucha zerwanego podczas szturm. Z naprawą bramy poszło o wiele łatwiej. Admirał Said Ibn al-Mundhir już następnego dnia po zwycięstwie popłynął do Kordoby. Dotrzymał umowy z przybyszami z Północy, bo jak sam powiedział, widział krwawą pożogę i ich mściwość godną samego Allaha. Wikingowie nie pozostali jednak bez skipów. Do piętnastu zdobytych na Pizańczykach galer doszły cztery solidne kupieckie knorry. Przygotowane do rejsu, z pełnymi ładowniami, były istic królewskim łupem.

Nim Kolbjørn Krzywe Zęby powściągnął swoich ludzi, ci, pijani zwycięstwem i winem, przetoczyli się przez osadę, a szczególnie przez łoża miejscowych niewiast i piwniczki kamiennych hovów. Jeśli napotykali opór rodziny, rżnęli gardła bez litości. Jeśli jednak bracia i ojcowie powściągnęli swój honor, to najeźdźcy tylko brali niewiasty siłą. Na rozkaz jarla obchodzono się z miejscowymi wyjątkowo łagodnie i zwykle kończyło się na zabranii wszystkiego, co złote, i tęgim laniu. Zdobywcy musieli upuścić krwi i nacieszyć się życiem. To była odwieczna tradycja każdej zwycięskiej armii.

Sześć dni trwała ta zabawa, ale wszystko ma swój koniec. Silne oddziały z pałkami w dłoniach zaprowadziły porządek na ulicach. Najbardziej opornych do czasu wytrzeźwienia zamknięto w lochach. W tych samych, które niedawno opuścił syn konunga wszystkich Szwedów. Miasto odetchnęło. Dokończono uprzątnięcie rozkładających się na słońcu trupów, dogaszano nieliczne pożary.

Erik szybko dochodził do siebie. Po dwóch wschodach słońca, choć jeszcze osłabiony, wypuścił się z przyjaciółmi na zwiedzanie grodu. To znaczy oni już niejedno widzieli i chcieli pochwalić się przed kompanem tymi odkryciami. Prawda była jednak taka, że po pięciu dniach gwałtów i rabunku wciąż ciągnęło ich do miasta niczym niedźwiedzia do miodu. A że nadarzyła się okazja...

– Zwolnij, Aslof, zdążymy. – Tagi patrzył z niepokojem na bladą twarz Erika. Czarna Broda, kiedyś wesoły i gadatliwy, odburknął, ale zwolnił.

Mieszkali w otoczonej murem dzielnicy pałacowej. To tu, po wdarciu się do miasta, toczono najbardziej zażarte walki. Miejscowy władca bił się do końca i dopiero jego śmierć zakończyła jatkę. Śladów krwi na jasnym piaskowcu było wiele. Na szczęście dla ludzi i ku rozpaczycy much uprzątnięto trupy.

– Co tam piłeś, no, w tym dole? – Mijali właśnie łukowatą bramę i strażnicy pozdrowili wojów. Wśród nich Erik dojrzał Zaida, tego samego, którego uratował pierwszego dnia z rąk Krzywych Zębów. Gwardzista przyłożył pięść do czoła i skłonił się niżej od innych.

– No, mówiłem, że ściany były wilgotne.

– Bo wiesz... – Tagi kopnął kawałek drewna, który potoczył się po wyłożonej kamieniami ulicy. – Wszyscy mówią, że musiałeś, no, własne szczyny.

Erik podrapał się z zakłopotaniem. Po wyjściu z ciemnicy nie mógł pozbyć się wrażenia, że cały czas coś po nim łązi. Wszy, pchły i inne robactwo używały sobie na więźniach.

– Prawdę mówiąc, to nawet miałem chęć, ale się nie przemogłem. Ciepłe były – dodał usprawiedliwiającym tonem.

Do miasta powoli wracało życie. Miejscowi przyspieszali wprawdzie na widok zbrojnych i nie było żadnych kobiet, ale to kwestia czasu, gdy oswoją się i z tym widokiem.

– Duże, ludne miejsce, panie. – Zeno zatoczył łuk ręką. Wzdłuż mijanych wąskich uliczek stały większe i mniejsze domy z białego kamienia. I ta biel wydała się im najpiękniejsza, niczym z baśniowej sagi.

– Nie wiem jak wam, ale mnie cni się do domu. Zdobędę duży skarb, bo to, co mam w kufierku, to za mało, i wracam. Kupię sobie za to złoto uznanie i szacunek, skompletuję dobrą drużynę i zostanę wielkim jarlem. A jak mnie to znudzi, zbiorę wiele skipów z załogami i popłynę jeszcze raz do Sjökrlandii. Albo może do Franklandu, to dużo bliżej. Odwiedziłbym i ziemię matki. Jej brat z rodu Piastów, na którego wołają Burisleif, to podobno dzielny i silny władca, a takiemu zawsze mało drużynników. A choćby rzekami Rusi do Miklagardu? Zobaczymy. – Syn Eryka Zwycięskiego i Świętosławy splunął dla dodania mocy słowom. – Z bogactwem i sławą zyskam wielu przyjaciół.

– Skarbów masz tyle, co pośledni bond, więc ci jeszcze zejdzie. Jesteś z lędźwi wodza, to i słuchać cię może będą, o ile własny brat nie dostrzeże w tak „znamienitym” woju rywala. Ale my? Po co mamy wracać? – Tagi z powątpiewaniem pokręcił głową. – Po biedę? To ja wolę tu w cieple biedować. A ty, Aslof? Chciałbyś fiordy czy wolisz tutejsze wybrzeże?

– Tam gdzie krew i walka, bracie – usłyszeli ciche słowa przyjaciela. – Tylko wtedy nie myślę o mojej kobiecie.

– Jedne i drugie znajdziesz u boku Kolbjørna Krzywe Zęby, a on zostaje. To, Eriku, nasze drogi się rozejdą. – W głosie Instadssona pobrzmiwał smutek. Zżyli się przez te długie, wspólnie spędzone miesiące. Wspólna wyprawa nieraz łączy silniej niż krew.

– Ale jeszcze nie teraz, łuczniku. A ty, Zeno? Czego chcesz?

Zagadnięty sposepniał.

– A czegoż, panie, może chceć niewolnik? Miski stawy, dachu i nieobolałego od razów grzbietu.

– Wrócisz ze mną do Szwecji?

– Jakbym miał jakiś wybór – burknął były mnich.

– A gdyby bogowie ci go dali?

– To nie od sił wyższych zależy, panie, ale od tych całkiem niskich. A one zechcą tłumacza, pisarza, kucharza, golibrodę, tragarza i powiernika trzymać przy tyłku, jak, nie przymierzając, dobre portki.

– Na zmienną gębę Lokiego! Gdybyś jednak miał wybór?

– Ani zimna Północ, ani ciepła Sikilijja, panie. Wyruszyłbym na Ruś, choć tam przecież też mroźno.

– Gardarika? A czego ty tam miałbyś szukać? To dzika kraina – do rozmowy niepytany wtrącił się Czarna Broda. Przyjaciele wymienili między sobą jednoznaczne spojrzenia. Mądrze gadają, że czas ulecca.

– Mam tam kogoś, panie... Chciałbym sprawdzić... Choć z dala zobaczyć... – Zamilkł.

– Jakąś cycatą dziewoję? – drażył temat Tagi. – Słyszałem, że tam w gęstych lasach żyją olbrzymki o piersiach tak wielkich, że jednej dorosły mąż nie obejmie rękami. A rozdziawiwszy gębę, ledwie twardy sutek chwycisz. Żyją samotnie, ale co pewien czas porywają jakiego chwata i nim go pożrą... – Klepięcie w plecy od śmiejącego się Erika zakończyło pięknie rozwijającą się opowieść.

– I ty w to wierzysz, łuczniku?

– Co mam nie wierzyć? Są na świecie thursy? Są. Mają swoje niewiasty? Mają. To i pewnie swawolą one niekiedy ze zwykłymi ludźmi.

– Z bogami to się zgodzę, ale nie ze zwykłymi śmiertelnikami. Chyba że wcześniej zmienią postać. Bo jakby to taki mały mieczyk miał wpasować się w wielką pochwę? Chyba żebyś tam wszedł cały. – Erik próbował drugi raz klepnąć przyjaciela, ale ten zręcznie się uchylił. Wszyscy się śmiali, nawet Aslof.

Wesoło obracając językami, dotarli do portu. Na spokojnych wodach leniwie kołysały się

skipy. Zatoka, nad którą usytuowano miasto, miała kształt zakrzywionego pazura wielkiej bestii. Dzięki temu niestraszne były statkom, które na czas schroniły się w porcie, nawet najpotężniejsze sztormy. Pomiędzy końcówką tego sierpa a stałym lądem rozciągał się łańcuch, broniąc wrogom wstępu. Cały czas trwały prace nad ponownym zamocowaniem go w nabrzeżnych skałach. Z dużej odległości widać było wiele zaprzęgów i sporą grupę ludzi.

– Idziemy tam?

– A niby po co? – Erik poczuł nagle, jak bardzo jest zmęczony. – Jeszcze droga powrotna, wracajmy.

– To chociaż wpadnijmy do stajni. To po drodze. Nigdy, poza zwierzętami Złotego, nie widziałeś tak wielu wspaniałych rumaków w jednym miejscu. – Tagi aż przestępował z nogi na nogę.

– A od kiedy ty taki koniarz? Co?

– Od chwili gdy całą noc musiałem po tej wyspie wędrować na własnych kulasach.

– Ale ty przecież skipem...?

– Czepiasz się. Idziemy czy nie?

Na zwiedzaniu okolicy minęły kolejne dwa dni. Erika z uwagi na osłabienie – tak przynajmniej sądził, zwolniono z prac i służby wartowniczej, więc dni przeplatał ćwiczeniami i spacerami po pustawym teraz pałacu. Jego młody organizm szybko wracał do sił, tak że Erik podjął nawet trening w myśl zaleceń Borgi. Trzeciego dnia jarl zwołał thing.

W wielkim pomieszczeniu, które było zapewne świetlicą miejscowego władcy, spotkali się wszyscy Skandynawowie. Warty na murach pełnili gwardziści. Weszło dwie setki zbrojnych, a ogromna hala wyglądała, jakby mogła pomieścić i trzy razy tyle. Ściany przyozdobione fikuśnymi mozaikami zapierały dech w piersiach, jeśli ktoś umiał patrzeć. Na posadzce leżał ogromny brązowo-niebieski dywan, któremu teraz brudne buty wikingów dodały szarości.

Jarl siedział na złożonym krześle i uśmiechał się z wyższością niczym sam Abd ar-Rahman III. Gdy drużyna była w komplecie, wstał i uciszył zebranych.

– Obiecałem wam godne łupy i je zdobyliście?!

– Obiecałeś! Zdobyliśmy! – zagrzmiało z setki gardeł.

– Obiecałem wam kobiety i je wychędożyliście?!

– Obiecałeś! Wychędożyliśmy! – odpowiedziała sala.

– Obiecałem wam ziemię pod siewy i ją dostaliście?!

Tym razem zapanowało zamieszanie. Jedni z rozpędu krzyczeli:

– Obiecałeś! Dostaliśmy!

Inni pytali zdziwieni, czy ma na myśli ziemię na morskim dnie, czy pod kamieniami ulic.

Kolbjørn Krzywe Zęby znowu musiał uciszyć zebranych.

– Nie czas jeszcze na zamianę toporów na radła. To ostatnie, moi drengowie, musimy sobie wywalczyć. Bo co nam po polach, które spłoną w wojennym tańcu? Wielka wyspa Sikilijja jest niczym spichlerz, pełna czarnych żyznych gruntów i słońca. Czeka na nas, czeka na swoich nowych panów.

– A co ze starymi? – rzucił ktoś z tłumu.

– Kto z was zaprzeczy, że mam wojenne szczęście?! – Jarl rozejrzał się, jakby szukając wroga. – Kto się nie zgodzi ze słowami, że bogowie kochają Kolbjørna, syna Thjordmara i chętnie słuchają jego prośb?!

– Prawda! – padło z wielu ust. Rzeczywiście, od kiedy władzę nad oddziałem objął Krzywe Zęby, wiodło im się coraz lepiej. Po czterykroć zwiększyli liczbę zbrojnych, zdobyli dobre skipy i bogate miasto. Wprawdzie kalif nie wypłacił należnego okupu w złocie, ale od tego kruszcu droższa jest ziemia.

– A co z szykującymi odwet szmacianymi łbami? – Tharkild bez Nosa, kuzyn Grima Złotego, wysunął się do przodu. – Zdraycy donoszą, że na drugim końcu wyspy gromadzą wielką armię i lada dzień ruszą na nas całą swoją potęgą. Już powinni tu być, ale widać na coś czekają. Nie żebym bał się walki, ale trzeba mądrze uradzić, co dalej.

– I właśnie po to zwołałem ten thing, bracia. Musimy pierwsi wykonać ruch, a pokrzyżujemy plany wroga. Ale zanim przejdziemy do rzeczy... Podejź do mnie, Eriku, synu mego władcy, Eryka Zwycięskiego, bracie Olofa Erikssona.

Zaskoczony młodzieniec przestępował chwilę z nogi na nogę, ale pchnięty przez stojącego za nim drenga ruszył niepewnie w stronę podwyższenia.

– Stoję przed tobą, wodzu. – Prawdę mówiąc, młodzieniec wolałby być w tej chwili w środku wielkiej bitwy. Albo na skípie w czas sztormu.

– Doszedłeś już do sił? – Jarl zszedł z podestu i stanął naprzeciw Erika. Był tylko o czubek głowy wyższy od młodego woja, ale o połowę szerszy w ramionach.

– Doszedłem, mogę walczyć z Serkirami, wodzu.

– To dobrze, dzięki bogom zdołaliśmy na czas wyciągnąć cię z ciemnicy. Pamiętasz może, chłopcze, co ci mówiłem kiedyś o nadużywaniu mojej cierpliwości? A o tym, że to ostatni raz i nie będę tolerował więcej twoich wybryków? Armia, która ma więcej wodzów niż dowódców, to banda, a nie leiclang.

Erik milczał, bo i o czym tu gadać. Zlekceważył rozkaz jarla i musi ponieść za to karę. Choćby miała to być dodatkowa służba czy mniejszy udział w łupach. Mus to mus.

– Niech to będzie przykład dla każdego z was – jarl zatoczył ręką półkole – że nie będę tolerował samowoli. Nasz konung ma godnego następcę i nie uroni łzy po nieudanym najmłodszym synu. Jego silne nasienie przetrwa. Jeśli ktoś myśli inaczej, niech rzuci mi wyzwanie i stanie do walki. – Było dziwnie cicho. – No, to... – Pierwszy cios w brzuch nieco uniósł młodzieńca. Gdy opadał zgięty wół, wielka pięść dotarła do jego szczęki. Instynktownie skrzył głowę, ale i tak jakby dostał młotem. Nie czuł bólu, tylko strach. Erik walczył o życie. Widocznie Kolbjørn nigdy mu nie wybaczył śmierci Halla Germundsona. Czekał tylko na stosowny moment, by osobiście go zabić.

Leżąc, na oślep wyrzucił nogi i szczęśliwie podciął jarla. Ten zwałił się niczym wiekowy pień. Młodzieniec przeturlał się, o włos unikając kolejnego ciosu. Za to sam zdołał kopnąć w twarz powstającego olbrzyma. To było mocne trafienie, od którego ścierpła mu stopa. Ale i tak był trupem. Ta walka mogła mieć tylko jedno zakończenie. Jedyłą szansą było nie dać się złapać w uścisk potężnych ramion.

Obydwaj wstali. Erik splunął krwią. Wraz ze śliną wypadł jeden z bocznych zębów. Jarl też przez chwilę macał językiem po miejscu, w którym jeszcze przed chwilą rósł krzywy, ale zdrowy kieł. Ruszył na młodzieńca niczym niedźwiedź.

Przydały się teraz codzienne treningi, Erik był szybki. Wszystko, o czym mówiła mu Borga, było prawdą. W prawdziwym boju sygnały wysyłane przez ciało przeciwnika były jeszcze wyraźniejsze. Wywijał się więc, uskakiwał, kąsał ciosami, gdy przeciwnik, który włożył w niecelne uderzenie całą siłę, mijał go niesiony rozpedem. Ten i ów z obserwatorów dodawał okrzykiem otuchy zwinnemu trupowi. To było naprawdę godne widowisko.

Kolbjørn się wściekł. Wyszarpnął w końcu z pochwy miecz i z żelazem ruszył na umykającego wroga. Chcąc nie chcąc, młodzieniec zrobił to samo. Gullinhjalti dzielnie parował ciosy, ale nic nie trwa wiecznie. Nie mógł równać się siłą i doświadczeniem z jarlem, a niedawna głodówka też nie dodała mu mocy. Po kolejnym, zdolnym ściąć młode drzewo ciosie miecz wysunął się ze zdrętwiałej dłoni syna konunga. Dźwięk upadającej broni stłumił gruby dywan. Kolbjørn warknął i natarł, gotów posiekać na kawałki krnąbrnego członka drużyny. Rzucił mu

wyzwanie, czym zasłużył na śmierć. Kropelki krwistej śliny dotarły aż do twarzy młodzieńca. Nie chciał już uciekać, zresztą oddychał tak ciężko, że było mu wszystko jedno.

Ktoś go popchnął tak mocno, że jak długi padł na posadzkę świetlicy o dobre kilka kroków od miejsca walki. Cios jarla przyjął na swój miecz nie kto inny, jak Aslof Czarna Broda. Młody woj dorównywał rozmiarami Kolbjørnowi. A może nawet go przewyższał szerokością potężnych ramion. Pod skórą grubych, porośniętych ciemnym włosiem rąk grały potężne węzły mięśni.

– A ty czego, Czarny! – Jarl przez mgłę wściekłości ledwo dostrzegł zamianę.

– To przyjaciel, wodzu. Jest dla mnie bratem – rzucił chłodno Aslof.

– Zginiesz za niego, wilku? – Natarł, chcąc zaskoczyć nowego przeciwnika, ale ten był szybki młodzieńcem. Starły się dwie równe sobie klingi. Na twarzach walczących widać było zdziwienie siłami tych razów. W miejscu spotkania na obydwu ostrzach pojawiły się nowe wgłębienia. Kilka dalszych ciosów i zniszczą cenną broń. Przynajmniej ta Kolbjørna była wiele warta. Jarl dał dwa kroki w tył.

– Szukasz śmierci, Czarny?

– Po co pytasz, wodzu. Stoję przed tobą. Jeśli bogowie zechcą, ruszę u twego boku choćby do Nilfheimu. Ale jeśli zabijesz któregoś z moich przyjaciół... Nie można być drzewem bez korzeni; gdy usychają gałęzie, schną też owoce.

Wśród wikingów zapanowało zamieszanie. Jedni chcieli dokończenia walki, inni uznali, że Erik dostał już nauczkę. Część była zdania, że jarl powinien walczyć z Aslofem o przywództwo, skoro ten rzucił mu wyzwanie. Sam Kolbjørn ochłonął już nieco. Schował miecz i cichym głosem rzucił:

– Pojedynek czy gird?

– Jestem tylko tarczą, wodzu, nie mieczem. – Aslof również schował broń. Poobijany, ale z grubsza cały Erik stanął obok przyjaciela.

– Przyznaję, nieco mnie poniosło! – Jarl odwrócił się w stronę drottmadów. – Żaden z tych młodzików – wskazał na stojącą cicho dwójkę – nie chce rzucić mi wyzwania, więc uznajemy sprawę za zakończoną. Mamy wystarczająco wielu wrogów, z którymi przyjdzie stoczyć bój, i nie musimy ich szukać wśród nas. Ktoś jest innego zdania? – Tłum zaszemrał, ale raczej z aprobatą. Jarl splunął, pomacał paluchem dziurę po zębie i jak gdyby nigdy nic zasiadł na zdobnym krześle. Erik miał wrażenie, że znowu stał się dla niego niewidzialny. Ale zapewne do czasu.

– No, to pomówmy o wojnie, którą musimy wygrać, o bitwach z księciem Ibn Hawwasem.

# POSELSTWO





Następnego dnia pół tysiąca zbrojnych opuściło mury Mesyny. Jarl zostawił w mieście silny oddział, chcąc zniechęcić wroga do prób odbicia portu. Osłabił przy tym swoje i tak szczupłe siły, ale przegrana czy wygrana armia musiała mieć gdzie wracać.

Po wymarszu wojów, z których ledwie część jechała konno, w grodzie pozostało niewiele ponad pięć dziesiątek wikingów. Wspierali ich gwardziści dowodzeni przez Muammara Ibn Chalduna, ale całością zawiadywał dobry druh Kolbjørna – Finnbogi Hrapson, kapitan *Pogromcy Fal*. Jarl nie dowierzał komuś, kto raz uciekł z pola bitwy. Inna sprawa, że nie ufał szmacianym łbom. Ku wielkiemu strapieniu, widząc w tym mściwość dowódcy, w mieście pozostał też Erik. Nawet przemyślał, czyby nie uciec i nie dołączyć do sił ekspedycyjnych, ale po ostatnim laniu zabrakło mu odwagi lub przybyło mądrości. Potwierdziła się tym samym stara prawda, że wraz z siniakami napływa i rozum. Oby nie za wiele, gdyż nadmierna mądrość rodzi wahanie i strach. Inna sprawa, że Finnbogiemu potrzebny był tłumacz.

To był dziewiąty dzień, gdy zostali sami. Na spokojnych wodach niemrawo kołysało się czternaście skipów, na których by uciekli, gdyby bogowie pokrzyżowali zamiary przyszłych zdobywców wyspy. Każdego poranka pięć zdobywczych galer wciągało kotwice. Nie odpływały daleko. W razie napotkania przeważających sił chcieli mieć port z jego żelaznym łańcuchem w zasięgu wiosł. Ale nie tylko o strzeżenie miasta i jego nowych władców chodziło. Jeśli plan podboju wyspy miał się ziścić, potrzebowali złota, dużo złota. A jak twierdził admirał Said Ibn al-Mundhir, gdy dawał saekonungowi ostatnie rady, pobliska cieśnina aż roi się od kupieckich statków, dla których jest to najkrótsza droga z północy na południe. Miał rację potomek Proroka i to Skandynawowie teraz strzygli te owce, pobierając myto w towarach i kruszcu. Jarl zabronił rżnąć załogi i odbierać skipy, jeśli przewoźnicy płacili i nie stawiali oporu.

A ci czynili to z wielką ochotą i ulgą, ponieważ nie dość, że nie postradali majątku razem z życiem, to podatki były niższe od tych, które musieli dotychczas płacić saraceńskim władcom Sikilijji. Ot, cała mądrość i rozwaga jednojajecznego Kolbjørna Krzywe Zęby. Do skrzyni płynął stały strumień złotych i srebrnych monet, silne italskie miasta nie słały pałających żądzą zemsty flot, miejscowi stracili nadzieję, że wróg zaraz odpłynie, zabierając ze sobą demonicznych i krwiożerczych wojów. A skoro tak, muszą się jakoś z nimi poukładać. Na ulicach Mesyny życie wracało do normy. Pojawili się krzykacze z potrawami, sprzedawcy pootwierali kramy, rzemieślnicy warsztaty. Tu i ówdzie widać było kobiety w towarzystwie ojców, braci lub mężów. Wiele zapewne dźwigało dodatkowe brzemienie po pierwszym wybuchu radości zdobywców, ale to już przeszłość. Mogło być gorzej.

Brakowało jeszcze nadbrzeżnego gwaru, mdlącego smrodu ruchliwego portu i obcych knorrów na cumach. Miejscowym kupcom z kolei składy pęczniały od zboża, oliwy, wosku i miodu tutejszych pszczół, soli i żółtej siarki, którą zbierano w pobliżu wulkanu. Ale i na to przyjdzie czas. Już niektórzy z nich słali wici do italskich portów, że Mesyna jest bezpieczna, przyjazna i czeka.

Erik tego dnia nie wypłynął na morze, by pośredniczyć w rozmowach między mytnikami a kupcami. Na rozkaz Finnbogiego został w grodzie. Okoliczni chrześcijanie zaczęli się burzyć i w mieście stawiała się rozsierzona czymś delegacja. Miał wziąć udział w spotkaniu w roli tłumacza.

Młody wiking po zdarzeniu w świetlicy zamieszkał poza pałacem, w pobliżu wewnętrznych murów, słusznie obawiając się zemsty mrukliwego Kolbjørna. Nie rozumiał źródeł tej niechęci i sądził, że to jakieś zadawnione urazy pomiędzy królewskim ojcem a jarlem. Po wyjeździe tego ostatniego niczego nie zmieniał. Tu miał wszystko: ochronę nieopodal trzymających wartę strażników, szybką drogę ucieczki i brak krzywych spojrzeń. Domostwo nie było może duże, ale wygodne i sądząc po upakowanych w podręcznym magazynku narzędziach

i glinianych dzbanach z nasionami, musiało należeć do miejscowego ogrodnika. Właściciel pewnie zwiął albo zginął podczas zdobywania pałacu, gdyż pierwszego dnia Erik zastał w tym hovie niedojedzony, porzucony w pośpiechu posiłek.

Ubrał się więc w nieco czystsze szaty, ckliwie wspominając Zena, który dbał, by zawsze miał w kuferku świeże odzienie. Dopiero gdy zabrakło pyskatego niewolnika – Zeno ruszył jako tłumacz z głównymi siłami – Erik odczuł ten brak. Zamykając solidne drewniane drzwi, obiecał sobie solennie, że posprząta dom po powrocie. Resztki jedzenia zaczynały śmierdzieć w tym upale.

Spotkanie miało odbyć się nie w wielkiej pałacowej świetlicy, ale w o połowę mniejszej hali, która mogła pomieścić „ledwie” dwie setki ludzi. Ktoś przyniósł i postawił na środku zwykły, zbity z desek stół i dwie ławy. Erik uśmiechnął się na ten swojski widok. Finnbogi skinął na młodzieńca, gdy ten tylko uchylił zdobne drzwi.

– Wyciągaj nogi, chłopcze, zaraz ich wprowadzą. – Wskazał miejsce przy własnym boku. Zachlapany blat cały zastawiono potrawami. Kapitan *Pogromcy Fal* właśnie jadł śniadanie. Obok przykucnął Muammar Ibn Chaldun, dowódca pozostawionych w mieście gwardzystów, wspólnie z setnikiem. Młodzieniec poznał jednego z tych, którzy znali mowę ludzi z Leónu. Jego towarzysze zwali go po serkirsku Mudżahid, choć miał jasne włosy.

– *As-salamu alajkum*, czciciele Allaha. – Erik skłonił się lekko w stronę muzułmanów.

– *Wa alajkum as-salam*.

– Siadaj. Mają tu dobre sery i ryby – rzucił z pełnymi ustami tymczasowy dowódca miasta, zdając się nie zauważać chwilowego napięcia. – Śniadałeś?

– Późno jadłem. Nie jestem głodny, sterniku.

– Ano, to zjem sam, bo i nasz szmaciany łeb gardzi moim jedzeniem. Może przynajmniej przyłączy się do mnie kristmaðrzy. A właśnie – wyjął ość z ust i rzucił na podłogę, a palce wytarł o deski – gładko z nimi rozmawiaj, jarl nie chce zatargów. Walczymy z jednym wrogiem i na razie wystarczy.

– A wiadomo, z czym przychodzą?

Kapitan głośno przełknął i westchnął z lubością. Czerwone wino pociekło po rudej brodzie, znacząc deski blatu nowymi plamami.

– Bo widzisz, nasze podjazdy, które rozesłałem po żarcie – otarł rękawem usta – spaliły kilka ich domostw, a wojowie wychędożyli wieśniaczki i pogonili mężów. Pewnie chcą złota za szkody.

– Ale nie było krwi?

– No nie, chyba że dziewicza – zarechotał. – Przecież my tu gospodarzyć przybyliśmy, nie rabować. Ale zadra jest i trza ją jakoś ułagodzić. Bez uszczerbku dla skrzyni z mytem, rzecz jasna.

– Po co oni wilczą po wsiach, mało im było rabunku i pijatyk w mieście?

– Po co, po co. Za dużo pytasz, młokosie. A bo upilnujesz jednego z drugim? Zebrałem ich już i obwieściłem przepadek połowy łupów, jeśli gwałt na miejscowych się powtórzy. A niewolnikom śmierć. Powinno pomóc.

W tym momencie drzwi skrzypaneły i do środka wpuszczono przybyszów. Barwny i czysty ubiór świadczył, że nie są to byle kozodoje. Erik odruchowo przeciągnął dłonią po swojej poplamionej skórzanej tunice. Jeden z nich wyróżniał się skromną szarą szatą chrześcijańskiego duchownego, pod którą jednak dało się zobaczyć przedniejsze odzienie.

– Przekaż im, chłopcze, że zapraszam do stołu. Niech spoczną i się posilą.

Przybysze popatrzyli po sobie, a jeden, widocznie odważniejszy albo wyznaczony do gadania, rzekł w łamanym języku Romverjów:

– My, panie, nie po żywność, ale po sprawiedliwość przyszli. – Przeszłoby z nogi na nogę.

– Ale jeśli chcecie rozmawiać, nie należy odrzucać wyciągniętej dłoni gospodarza – rzucił szybko Erik. Miało być gładko, to będzie.

– Niech i tak. Zasiądziemy – powiedział ten sam, lekko puciołowaty mężczyzna, ale polecenia wydawał w tej delegacji papar.

Dobre kilka chwil trwało mlaskanie i przetykanie potężnych kęsów. Przybysze byli bardziej głodni, niż chcieli to okazać. Dobre wino wydobyło na ogorzałe od słońca i wiatrów twarze więcej kolorów. Erik, skubiąc tylko pieczoną rybę, przyglądał się z ciekawością całej czwórce. Nie przypominali szmacianych łbów, choć różni byli też od ludzi Północy.

– No, to gdy żołądki pełne i nie ma uchybienia dla gościnności, mówcie, z czym przychodzicie. – Sternik chciał wytrzeć tłuste palce o odzienie, ale w porę pomiarkował, że ma gości. Skinął na niewolnika trzymającego misę. Oplukał dłonie i dopiero potem wytarł je o spodnie.

– Mnie, panie, zwą Kalinik, ten czarny to Andrea, a łysemu na chrzcie dali Fotyn. Jesteśmy starszymi okolicznych wiosek.

– A papar?

– Pa... a masz panie na myśli naszego plebana Baltazara. Choć on nie ze starszyzny, to najmędrzy z nas i radą będzie służył. Zawiaduje miejscem modlitwy pod wezwaniem świętej Agaty, patronki naszej wyspy.

– Cichy jakiś jak na doradcę – mruknął Finnbogi, gdy Erik przetłumaczył mu ostatnie słowa.

– Więc powiadacie...?

– No bo wasi woje, panie, poczynają sobie bez umiaru. Jak wieść niesie i sami zresztą gadają, nie jesteście zbójcami, jeno nowymi panami tych ziem. Nie godzi się więc tłuc nas po pyskach przy byle sposobności – powiedział szybko, jednym tchem puciołowaty.

– Ani ruchać nasze kobity – dorzucił ośmielony winem ten, którego towarzysz nazwał Andream.

– Ani kraść po zagrodach wszystko, co wpadnie w łapy – dodał łysy Fotyn.

Finnbogi wysłuchał cierpliwie skarg, jak na wielkiego i łaskawego pana przystało. Potem beknął, wstał i rzucił do Erika:

– Załatw to, synu, ja idę sprawdzić posterunki.

– Ale? Sterniku. Co ja mam z nimi zrobić?

– Co chcesz. Może zabij, może loch, którego posmakowałeś. Albo puść ich i obiecuj jabłka Idun czy cokolwiek innego. Pamiętaj tylko, aby gładko i bez złota – powiedział i tyle go było widać.

– Mam „gładko” ściąć im łby? – sarknął cicho syn konunga. – To tak, jakby ktoś chciał, żeby kamień pływał po wodzie.

Miejscowi popatrzyli po sobie spłoszeni.

– Co tera panie? Czy my urazili czymś tego wielkiego wodza?

Erik podniósł władczy gestem rękę i zapadła cisza. Podpatrzył ten sposób u królewskiego rodzica. Musiał pomyśleć. Dopił wino z kielicha Hrapsona, a gdy zaczęła kiełkować myśl, dolał sobie drugie tyle i też wypił.

– Wiecie ludzie, z kim macie do czynienia? – zaczął.

– Jak nie? Ze śmierciogroźnymi wojami z daleka.

– Co ruchają nasze córki – dorzucił swoje Andrea.

– I rabunek sprawiają – dodał Fotyn.

– To już wiem. Ale czy wiecie, z jaką misją przybyliśmy na waszą wyspę?

– Pewnikiem łupić.

– I ru...

Erik gwałtownie wstał i ten zwany Andrea zamilkł.

– Idziemy z samego Leónu z poselstwem od króla Ramira II, obrońcy krzyża. A że nasza droga wiodła przez Kordobę, to i zbrojnych mamy, jakich mamy. Kupiliśmy ich za królewskie złoto od Maurów. – Wiedział, że słowa te są nieco toporne, ale nie był przecież szkolonym w gadce Zenem.

– Jakże to? Niby wy chrześcijanie? A ci – spojrzał na Muammara Ibn Chalduna i setnika – w szeregach to też ludzie prawdziwej wiary? – Kalinik przytknął oczy, myśląc nad czymś intensywnie.

– Nie może być.

– I nie jest, człowieku. Król Leónu wynajął nas, byśmy pomogli miejscowym chrześcijanom w walce ze szmacianymi łbami. Pod naszymi tarczami nauczycie się wojaczki i wspólnie wypędzimy Serkirów z wyspy.

– Serkirów, panie?

– No, Saracenów.

– Że niby my razem?

– Przecież powiedziałem.

– Na takie mrowie?

– Przestań człeku narzekać. Powiedziałem, co powiedziałem. Chyba nie chcesz i mnie obrazić tak, jak uraziłeś naszego wodza?

Wójtowie zaczęli naradzać się ze swoim paparem, a że robili to w mowie ojczystej, Erik ni w ząb nie rozumiał. Wreszcie ten, na którego wołali Kalinik, przemówił w języku Romverjów.

– Nam się zdaje, młody panie, że to jeno bajdy są. Bo czemuż w naszym porcie nie stoją na cumach statki z Leónu. No? A jeno zdobyczne, pizańskie. A i rycerstwa od Chrystusa nie uświadczysz, tylko najemnicy. Nie może być – powtórzył.

– Czyli jesteście mędrsi od swojego Stwórcy i od króla Leónu? Nie mam więcej słów, więc wierzcie albo nie. Może wasz Jednobóg okaże litość temu ludowi i wybaczy mu słabość i tchórzostwo. Gdy On was potrzebuje, co mu dajecie? Niewiarę i zwątpienie? Zapewne podziękuje wam na swój sposób i będzie pamiętał o ludziach, którzy odtrącili jego dłoń i źle odczytali znaki.

Zapadła cisza. Erik zerkał z ciekawością, ale też niepokojem na Muammara. Ten z szepczącym mu do ucha setnikiem z chwili na chwilę robił się coraz bardziej czerwony na gębie. Na szczęście milczał.

– Gnębi mój lud saraceński buciór – zaczął ostrożnie Kalinik – płacimy za wiarę wyższe podatki i sądy dla nas nie są takie, jak dla dzieci Proroaka. Ale zrozumcie, mamy żony i dziatki. O nich też musimy myśleć. I jeszcze, młody panie, to wam powiem, że każdy jeden pirat i obwieś może twierdzić to, co wy. – Wójt zamilkł przestraszony własną śmiałością. W końcu był w pirackim gnieździe.

Erik, który zdążył już usiąść, znowu zerwał się na równe nogi. Niepewni swego losu posłowie zrobili to samo. Młodzieniec, patrząc na nich surowo (to spojrzenie również podpatrzył u ojca), sięgnął za pazuchę. Atmosfera zgęstniała, czas na chwilę się zatrzymał. Syn konunga, udając srodze rozgniewanego, wyciągnął pismo.

– A będzie taki łupieżca miał przy sobie posłanie z pieczęciami władcy? Umie który składać litery? – Mówiąc to, rzucił na stół nieco ucięty list żelazny od brata Piotra.

Miejscowi popatrzyli po sobie zaskoczeni, a potem wszystkie spojrzenia utkwili

w mnichu Baltazarze.

– Ten ci świątobliwy mąż umie. – Kalinik przestępował nerwowo z nogi na nogę.

– Mógłbyś, człowieku Boga? – Erik podsunął ostrzem saksa dokument bliżej papara.

Duchowny ostrożnie wziął do ręki list żelazny, uważnie obejrzał pergamin, pieczęć, chrząknął i zaczął:

*Każdy, kto przeczyta moje słowa, niech wie, a jestem królewskim spowiednikiem i powiernikiem sekretów najjaśniej nam panującego władcy Ramira II. Okazicielom tego listu należy się życzliwość i pomoc tak, jakby to był sam król Leónu i Galicji, protektor Nawarry, obrońca jedynej prawdziwej wiary. Podpisano Sługa Jedynego i umyślny Biskupa Rzymu – Peter de Rosa. A.D...*

– Niedawno dostaliście to pismo, młody woju? – W głosie papara dało się słyszeć zdziwienie.

– No, w Kordobie.

– Jeśli był tam wraz z wami spowiednik władcy Leónu, Bóg okazał wielką łaskę, pozwalając czerpać z krynicy jego czystego ducha. Słyszałem o jego ekscelencji biskupie Piotrze. I to z samego Watykanu.

– Bisku... – Erik czujnie zamknął jadaczkę. – Spotkaliście się?

– Bóg nie obdarzył mnie tą łaską, ale czytałem wielce pouczającą rozprawę biskupa Piotra o roli Kościoła w Iberii. Rad bym go spotkać osobiście. Jest z wami?

– Nie. Gdyby było inaczej, po co miałby kreślić tę wiadomość? Co? – Erik wskazał na leżący na stole list. – Ale przysłał umyślnego, na którego wołają brat Zeno. O nim też słyszałeś, paparze?

– Bóg ma wiele sług i jeszcze więcej owieczek. Nie sposób znać wszystkich.

– To powiernik bra... biskupa i wielce mądry, choć młody jeszcze człowiek. Wyruszył z naszym jarłem naprzeciw Ibn Hawwasowi, by wspierać go swoją niezłomną wiarą. Ale gdy wróci, potwierdzi każde moje słowo.

– Jeśli to prawda, jeśli prawda... – We wzroku duchownego zapłonął ogień. – To palec Boży! Z początku dziwny mi się wydawał ten podniszczony, jakby ucięty dokument, ale pieczęć jest prawdziwa. Niech więc się dokona. Cała chrześcijańska Sycylia powstanie, by zrzucić heretyckie jarzmo. By znowu zabrzmiały dzwony, by rozbrły złotem świątynie, a prawdziwie wierzący odzyskali należne im miejsce. Zwycięzimy za sprawą wstawiennictwa świętej Agaty! – Papar podniósł głos i przeżegnał się. W jego ślady poszła trójka wójtów. – Bracia w Chrystusie, nadszedł sądny dzień dla naszych wrogów, modły zostały wysłuchane!

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Co nam trza teraz robić? – Kalinik szybko przeszedł od słów do czynów.

– Wici rozsyłać do wiosek, miast spod znaku krzyża, z radosną nowiną i po ludzi z bronią w garści. Niech wszyscy ciągną do Mesyny pod sztandary naszych sprzymierzeńców. – Papar wskazał brodą Erika. – Ale nie od razu.

– Co nie od razu. A kiedy? Już potrzebujemy wielkiej armii, by zmierzyć się z idącym na nas wrogiem. – Młody wiking patrzył na papara nic nierozumiejącym wzrokiem. – Jak mamy was ochronić przez Saracenami, jeśli wy będziecie siedzieć po domach?

– Jeśli pokonacie Belcamedę, będzie to dla nas znakiem, że Bóg sprzyja tej sprawie. Jeśli nie, poczekamy na innych wyzwolicieli. Taki Sąd Boży będzie sprawiedliwy.

– Spra... – słowa uwięzły Erikowi w gardle. Po raz kolejny przekonał się, że ci tak zwani ludzie Kościoła nosili kupieckie odważniki na szyjach. Przynajmniej wioskowi zapomnieli o gwałtach i odszkodowaniu.

– Rozpocznemy przygotowania, roześlemy wici i zaczekamy na dobre wieści. – Papar

skłonił się lekko i ruszył w stronę wyjścia. W jego ślady, po krótkim pożegnaniu, poszła pozostała trójka miejscowych.

Ciszę po wyjściu delegacji przerwał syczący głos dowódcy gwardii Muammara Ibn Chalduna. Setnik tłumaczył.

– Na Allaha, nie możesz, barbarzyńco, wzniecać na wyspie powstania przeciwko jedynej prawdziwej wierze! Za coś takiego czeka śmierć! – Teraz już krzyczał.

– Za coś takiego również. – Erik nie miał zamiaru wysłuchiwać wrzasków szmacianego łąba. Niewiele myśląc, wyrwał z udźca saks i wbił go w leżącą na blacie dłoń Muammara. Ten urwał w pół słowa i zbladł. Czerwona plama świeżej krwi powiększała się z chwili na chwilę, przykrywając sobą te wcześniejsze po winie. Dowódca gwardii, posykurując, wyciągnął ostrze i owinął ranę kilkoma zwojami własnego turbanu. Kości zdawały się całe, gdyż zdołał zgiąć palce.

– Masz w nim śmiertelnego wroga, młody woju. – Jasnowłosy setnik mówił to z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Nie pierwszy on i nie ostatni – burknął ciągle zły Erik. Choć przeleciała mu przez głowę myśl, że zraził do siebie kolejnego znaczącego człowieka. W tym tempie zabraknie czasu na zdobycie skarbu i powrót do domu. Szybciej poczuje w plecach czyjś nóż.

Serkirowie już bez słowa opuścili halę. Młodzieniec zaczął jeść zimne potrawy. Nie patrzył za bardzo, co wkłada do ust. Miał o czym myśleć.

# PIERWSI SOJUSZNICY



Saekonung do sił wypadowych wcielił najlepszych: dwie i pół setki spieszonych jeźdźców kalifa pod wodzą jasnowłosego Nai, półtorej setki własnych drengów i stu pieszych gwardzistów. Mieli niewielki tabun zdobycznych koni, resztę planowali zabrać pokonanym wrogom lub ukraść, o ile bogowie nadarzą sposobność.

Dopływając do wyspy, widzieli piętrzące się wysoko, porośnięte mchem i słabą trawą skały, ale im dalej w głąb lądu, tym więcej było łagodnych, pokrytych czarnoziemem pagórków. Sikilijja to kraina, w której znajduje się wiele wrót wiodących do Muspelheimu. Szczególnie z jednych, zwanych przez miejscowych Etną, co chwila wydobywały się wielkie masy użyźniających glebę popiołów. Wielu Skandynawów rozcierało ziemię między palcami i wdychało z lubością jego lekko grzybowy zapach. Gdyby tak przyjazne tereny mieli u siebie w Szwecji, siedzieliby na gospodarce, a nie powierzali los i życie wojennemu szczęściu.

Jeszcze tego samego dnia stanęli pod murami niewielkiego grodu. Bramy zamknięte na głucho, obrońcy pod bronią na murach – ot, normalna gościnność w czasie krwi i topora.

Miasto, choć nieduże, było silnie obwarowane, co chroniło mieszkańców przed ewentualnymi napadami piratów. Jednak nie przed małą, ale karną armią, którą wiódł Kolbjørn Krzywe Zęby. I to jarl zdecydował, że pokaże miejscowym leiclang w pełnej krasie, by porzucili mrzonki o obronie. Jeśli się mylił, właśnie stracili element zaskoczenia.

Stali więc w gorącym popołudniowym słońcu, gdy uchylono niewielką furtę i ku przybyszom podreptało dostatnio odziane poselstwo.

Jarl podniósł rękę.

– Nie rżnąć, póki nie dam rozkazu! Zeno!

– Tak, wodzu?

– Będziesz moimi ustami i uszami.

– Jestem własnością mego pana – Erika, jak i koszula, którą ma na grzbiecie. A on przykazał mi spełniać każde twoje polecenie, wielki panie.

Kolbjørn spojrział groźnie na niewolnika.

– Jeśli chcesz żyć, nie wymawiaj przy mnie imienia tego kozodoja.

– Tak będzie, panie. Na czas tej wyprawy jestem twoim uniżonym sługą.

– No to rusz nogami, a nie językiem. – Nie oglądając się, spiął konia i wyszedł naprzeciw delegacji. Wyglądał, jakby jechał na przerośniętym psie, z tymi swoimi szerokimi barami i długimi nogami olbrzyma. Musiał budzić w miejscowych strach.

Czwórka mieszczan zatrzymała się niepewnie, miętosząc w rękach ozdobne nakrycia głowy. Piąty nie, albowiem od początku świecił łysiną.

– Niech podejda, nie będziemy przecież krzyżeć. – Rumak jarla zatańczył w miejscu. Zeno mówił w języku Romverjów, który rozumieli ludzie z Leónu. Miejscowi na szczęście też znali tę mowę, gdyż zarówno wyspa, jak Sjórklandia wchodziły kiedyś w skład jednego cesarstwa.

– No?

Delegacja ruszyła z miejsca i zatrzymała się, ale już znacznie bliżej. Zaczęli coś tam klekotać, ale nie widząc zrozumienia, przeszli na starą mowę.

– Jesteśmy przedstawicielami mieszkańców Romietty, miasta za plecami – rozpoczął łysy, najniższy z przybyłych. Grubasek o czarnych żywych oczach sprawiał wrażenie przerośniętego dziecka, ale miny i postawa jego kompanów mówiły coś całkiem przeciwnego. To on tu przewodził. Posługiwał się nieco dziwnym, ale zrozumiałym dla Zena łacińskim dialektem. – Mnie zwą Giuseppe Zbożowy i jestem właścicielem głównych magazynów w mieście. Ze mną są przedstawiciele wielkich romiettańskich rodzin. Przysługują nam prawa posłów i jesteśmy



pewni, że uszanujecie odwieczne zwyczaje i włos nam z głów nie spadnie.

– Tobie na pewno – burknął jarl, a już głośniej dodał: – Powiedz mu, niewolniku, żeby przeszedł do rzeczy. – Kolbjørn siedział w siodle, obserwując z wyższością nowo przybyłych.

– Czy nie urażę tak wielkiego woja, jeśli zapytam o wasze zamiary, panie? – kontynuował grubasek.

– To zależy, kto pyta – odrzekł jarl, niemal nie otwierając ust. – Czy sojusznik, który otworzy bramy dla przyjaciół i podzieli się zapasami? Czy może wróg, który zrobi to wszystko i jeszcze więcej, gdy wdrzemy się na mury. Ale wiedz, że wtedy nie okażemy litości.

– Czy mogę być szczery, panie? – Kupiec nie przeląkł się tej groźby. Dał dwa kroki do przodu, wykazując się dużą odwagą. Albo głupotą.

– Mów.

– Moi rodacy obawiają się, że gdy wpuścimy was do miasta, skończymy jako wioślarze na galerach, a nasze córki w haremach i na polach. Tam zawsze potrzeba świeżych niewolników. Emir Ibn Hawwas z radością wykorzysta nadarżającą się okazję i srodze ukarze za zdradę mieszkających tu chrześcijan.

– Pokonamy tego szmacianego łba tak, jak zdobyliśmy Mesynę. Ryzykujecie gardła, nie przeczę, ale w niepewnej przyszłości lub tu i teraz. Wybór jest chyba jeden.

– Dlatego, panie, przekonałem radę miasta, by wyjść ci naprzeciw. Albowiem...

– A to nie strach o własne tyłki wyciągnął was poza mury? – przerwał mu bezceremonialnie jarl. Podczas takich rozmów trzeba być twardym i miękkim jednocześnie.

– To pomogło mi skłonić ich do działania, nie przeczę. – Kupiec zdawał się uśmiechać, ale to mogło być złudzenie. – Przyjaciele donoszą, że ukróciłeś, wodzu, samowolę swoich żołnierzy w mieście i masz zamiar dłużej pozostać na Sikilijji.

– Mam zamiar zdobyć ją całą. Ale przestań mnie zwodzić. Wpuściecie nas za mury czy wybieracie śmierć?

Giuseppe rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć wszystkich stojących przed nim zbrojnych.

– Masz liczną armię, panie, ale Belcamed będzie miał i dziesięć razy tyle zbrojnych. Handlarze z innych miast mówią, że oczekuje w Syrakuzach na posiłki ze starego kraju pod wodzą samego emira Ajuba, a to straszny i dziki człowiek.

W spojrzeniu Kolbjørna pojawiło się ożywienie.

– Z iloma zbrojnymi i co to za wojska?

– Trzy tysiące lekkiej berberyjskiej jazdy, panie. To ludzie pustyni, groźni i twardzi niczym wyschnięte na słońcu błoto.

Jarl zeskoczył z wierzchowca i stanął tuż przed tubylcami. Górował nad nimi o głowę.

– Jesteście tu i mówisz mi to wszystko nie bez powodu. Nie lubię zagadek. – Nawet Zeno czuł się nieswojo, słysząc ten lodowaty ton. – Podaj cenę i rodzaj towaru, który masz mi do zaoferowania.

Kupiec westchnął i z jego twarzy zniknął usługny uśmiešek.

– Damy ci, panie, setkę lekkozbrojnych pieszych, mężów z Romietty, i nakarmimy armię. Osłonimy też murami, gdybyś musiał się wycofać. Osobiście będę twoimi uszami i językiem wśród moich rodaków. Tak wiele osiągniesz, wodzu, nie tracąc, lecz zyskując wojów. W zamian uczynisz mnie swoim pełnomocnikiem w handlu zbożem. To ja będę wydawał koncesje i ustalał w twoim imieniu ceny i kontyngenty. Tylko tyle.

– I pobierał za przychylność opłaty w złocie?

– Klnę się na Allaha, Jezusa, Jahwe czy każdego innego boga, że dostaniesz, panie, wszystko, co ci się należy. Ani jednej sztuki srebra mniej.

Krzywe Zęby pomacał bezwiednie językiem dziurę po wybitym przez Erika zębie. Splunął i wyciągnął prawicę do sprytnego handlarza.

– A oni? – Wskazał brodą na przedstawicieli miejscowych rodów. – Co będą z tego mieli?

– Romietta, panie, to miasto kupców zbożowych. – Nie musiał więcej tłumaczyć.

Na noc rozbili obóz pod murami, a miejscowi dostarczyli kozie i owcze mięso i pod dostatkiem placków zbożowych. No i, rzecz jasna, słodkie wino. Znalazło się i kilka miejscowych niewiast, zbyt ciekawych, by usiedzieć w rodzinnych hovach. Było pewne, że po odejściu armii siedzenie będzie najmnijszym z ich problemów...



Kolejnego dnia z sakwami pełnymi świeżego prowiantu szykowali się do wymarszu w głąb wyspy. Kolbjørn zażądał od łysego Giuseppego setki koni. Nie obyło się bez biadolenia, ale nóż na gardle i wizja przyszłych niebotycznych zysków czynią cuda.

Nie zapomnieli też o przysiędze wierności. Miejscowi, klnąc się na świętą księgę, obiecywali dozgonne posłuszeństwo nowym władcom Sikiliji. Nie żeby jarl przywiązywał wagę do słów, bardziej liczył na ludzką chciwość, ale ostrożność nie zawadzi. Poza tym zarówno bogowie, jak i ludzie w każdym zakątku świata źle patrzą na krzywoprzysięzców.

Dzień zapowiadał się upalny. Przez wiele godzin szli rozciągnięci w długą kolumnę, a słońce i wiatr natychmiast osuszały każdą kroplę potu. Rozsyłane na boki patrole nie widziały śladu wrogich sił. Zgodnie z rozkazem Kolbjørna chłopów i ich obejść nie nęcano.

Kolejny gród nosił nazwę Scabatripoli i tu powtórzyła się historia z Romietty. Z tą jednak różnicą, że w zamian za darowanie życia i powstrzymanie płomieni miejscowi dali pokaźny trybut w złocie i dobre konie. Jak poprzednicy, przysięgli na swoją świętą księgę i jak w Romietcie Krzywe Zęby nie dał tym ślubom zbytnej wiary. Zostawił w mieście dwudziestu gwardzistów, drugie tyle wysyłając do Romietty. Bogowie może i kochają szaleńców, ale pomagają ludziom roztropnym i przewidującym. Gdyby przyszło się wycofywać lub uciekać po przegranej bitwie, otwarte drogi mogą oznaczać życie.

Dwa dni od wyruszenia z Mesyny dwie i pół setki gwardyjskich jeźdźców i półtorej setki Szwedów miało pod tyłkami wierzchowce. Za końskimi zadami maszerowało w pyle stu sześćdziesięciu piechurów. Szpiedzy donieśli, że księżę Ibn Hawwas ciągle gromadzi siły i postanowił rozstrzygnąć wszystko w jednej wielkiej bitwie. Przy takiej przewadze to nie była dobra wiadomość dla zdobywców. Choć z drugiej strony...

W mieście Franazze nie musieli się targować ani straszyć krwawą jatką. Ku wielkiemu ich zdziwieniu bramy stały otworem, a mieszkańcy wiwatowali na cześć przybyszów. Gdy podejrzewający pułapkę jarl wysłał Giuseppego na przespiegi, okazało się, że mieszkają tu sami chrześcijanie i serdecznie witają wrogów kalifa.

Słuchający relacji Kolbjørn Krzywe Zęby nie mógł się nadziwić swojemu wojennemu szczęściu.

– Jak tak dalej pójdzie, zdobędziemy wyspę bez walki.

– Mają, wodzu, dość heretyckiego buta na karkach. Chętnie przystaną do nas, jeśli pozwolisz im swobodnie wyznawać wiarę, budować kościoły i hucznie świętować. Mają też nadzieję, że zniesiesz niesprawiedliwe podatki dla innowierców i nałożysz je na czcicieli Allaha.

– A pewnie. – Jarl długo się śmiał, gdy to usłyszał. – Oddam im nawet zaprzęg jeżdżący po niebie, zawsze trafiającą w cel włócznię Odyna i wszystko to, czego nie mam, byle tylko pomogli mi w walce. Potem się zobaczy. – Zeno nie tłumaczył ostatnich dwóch zdań kupcowi zbożowemu.

Tym sposobem idąca na spotkanie Ibn Hawwasa armia wzmocniła się o kolejne dwie setki, ale dla odmiany dobrze uzbrojonych i rwących się do walki piechurów. Coraz bardziej też przypominała ogromną, objuczoną towarami karawanę niż silny oddział ekspedycyjny.

JASKINIE  
SANCTE FELICJUM



Kolejny wieczór zastał leiclang Kolbjørna na kamienistej równinie. Rzadka, spalona słońcem roślinność nie dawała osłony, na szczęście zapowiadała się bezdeszczowa noc. Niebo było wprawdzie zachmurzone, ale silny wiatr gnał stada scy, nie dając im odpoczynku.

Jarl wściekał się na wszystko i wszystkich – to nie było dogodne miejsce do obrony. Wysłane wcześniej podjazdy wróciły z wieściami, że w zasięgu godziny marszu brak ludzkich osad. Pod dostatkiem za to mieli tu głazów i skał, podziurawionych zwietrzałymi otworami jaskiń. Najwyższa góra nosiła nazwę Sancte Felicjum i, jak twierdził emir bez ziemi Ibn at-Timna, była świętym miejscem dla miejscowych chrześcijan.

– To dom olbrzymów, mówię wam. – Tagi rozglądał się z niepokojem po okolicy. Przy niewielkim ognisku siedział wraz z Aslofem, Eldgrimem, Zenem i kilkoma innymi drengami Krzywych Zębów. Sam saekonung spał smacznie nieopodal, pochrapując rytmicznie.

– Jest brama do Hel, widziałem dymy – dorzucił swoje Tejt Krucze Włosy. – A tam gdzie czuć smród trzewi Helheimu, zawsze są trolle.

– O ludzi się martw, a nie o stwory nie z tego świata. – Aslof bez wysiłku połamał w potężnych rękach całkiem sporą gałąź i dołożył do ognia. Powoli wracał do życia, bo żaden ból nie może trwać wiecznie. Człowiek albo musi umrzeć, albo wydobrzcć.

– Szmaciany łeb – Czarna Broda wskazał na siedzącego przy sąsiednim ognisku emira – twierdzi, że ten Hawwas ruszył w końcu dupę i ciągnie ze swoją armią w naszą stronę. Ma podobno osiem tysięcy piechoty i pięć szmacianej jazdy. To jest nasz problem, a nie trolle czy krasnoludy.

– Bogowie cię usłyszą i ukarzą, Czarny. – Tejt bezwiednie chwycił niewielki talizman w kształcie młota i potarł go palcami. – Widzieliście te jaskinie? Czujecie ten smród siarki?

– Bo Aslof długo się nie mył, to i wonieje – rzucił ktoś ze śmiechem.

– Kozodoju, Helheim to nie żarty.

– Zrzędzisz jak stara baba. – Sam Kolbjørn uniósł się na łokciach i rzucił w Krucze Włosy niewielkim kamykiem. – Koniec gadek, wypoczywajcie, bo kto wie, co przyniesie jutro.

Jeszcze wiele oddechów trwały drobne przekomarzania, ktoś opowiedział krótką sagę, ale w końcu jednak obozowisko zamarło.

Skandynawowie podróżujący po wrogim terenie mieli zwyczaj budować wokół swoich pozycji najeżone ostrymi palami przeszkody. Ot wyrobiona latami wojaczki przezorność. Niestety, w okolicy Sancte Felicjum było zbyt mało drzew, by wznieść cokolwiek, drewna starczyło na nieliczne ogniska. Kamienista ziemia też nie ułatwiała zadania. Podwojono więc strażę.

Spokojny sen zakłócały dźwięki cykad, które urządziły sobie tej nocy wielki koncert. Ten i ów, przewracając się na drugą stronę, klął w żywy kamień, ale co było zrobić. I właśnie ta mordęga uratowała ich przed mieszkańcami jaskiń.

Chmury skrywające niebo uczyniły świat czarnym, a cykady zagłuszyły odgłosy spadających drobnych kamieni. Gdyby jednak strażnicy mieli wzrok kotów, dostrzegliby długie cieniste węże spływające z otworów w skałach wprost na równinę. Były niczym rzeki zasilające w wodę powstającą u stóp góry wielką ciemniejszą plamę. Gdy wyschły, „plama” drgnęła i ruszyła w stronę obozowiska.

Młody Gunnbjorn, nie zważając na ostrzeżenia towarzyszy, ożłopał się podczas ostatniego postoju wody z niewielkiej strugi. Było gorąco, a jemu bardzo chciało się pić. Pech chciał, że kawałek dalej w górę puszczono luzem konie i teraz płacił za swoją beztroskę. Już trzeci raz wstawał za potrzebą i przypuszczałnie nie ostatni. Odchodził daleko, by wydobywające się dołem odgłosy burzy nie sprowadziły na niego docinków kompanów.

Rozglądając się za jakimś liściastym krzewem, stanął oko w oko z duchem. Wrzasnął

prerażony, puszczając troki, i w tym samym momencie stały się dwie rzeczy: narobił w portki i przerdzewiały nóż przeciął mu gardło. Krzyk urwał się w połowie, gdy drugi cios trafił w serce.

Gunnbjorn zginął, ale zdołał zaalarmować obóz.

Wrogowie, chcąc wykorzystać resztki zaskoczenia, z wyciem rzucili się pomiędzy zrywających się wojów. Nielicznym się udało, ale większość padła od toporów i mieczy gotowych do walki strażników. Ci, rozciągnięci w linię, dali pozostałym czas na chwycenia za broń. Mur tarcz wokół taborów z chwili na chwilę gęstniał, płonące szczapy rozświetliły okolicę.

Do walki włączyli się leżący nieco na uboczu gwardziści, co ostatecznie przekonało nocne duchy do ucieczki. Pozostawiając swoich rannych i zabitych, pomknęli w kierunku jaskiń.

– Gonić te psy, rznąć! – wrzeszczeli rozochoceni do bitki zbrojni.

– Stać! – Krzyk jarla był niby trzask pioruna, trudno go było nie usłyszeć. – Chcecie wpaść w zasadzkę?! Połamać nogi?! Oni znają tu każdy kamień, każdą dziurę! W nadchodzącej bitwie z Hawwasem potrzebujemy zbrojnych, nie kalek!

Niechętnie, ale pozostali w obozowisku. Na wszelki wypadek posłali w ciemność kilkadziesiąt strzał.

Resztę nocy spędzili na czuwaniu, a rano odkrył przed nimi smutną prawdę. Z jednego z wozów zniknęła spora skrzynia ze złotem. Jakby tego było mało, emir Ibn at-Timna i towarzyszące mu trzy szmaciane łby nie spali, tylko leżeli martwi. Długie, niegdyś śnieżnobiałe szaty emira pokryły brązowe plamy zasychającej krwi.

Gdyby nie strata części łupów, można by rzec, że wyszli z nocnego spotkania obronną ręką. Z trzydziestu trupów dwadzieścia pięć należało do jakichś obszarpańców, cztery do Serkirów, a tylko jeden do drenga o imieniu Gunnbjorn. Było oczywiście kilkunastu lżej rannych, ale mogli maszerować i walczyć.

Jarl kopnął właśnie jakieś zwłoki, przewracając je na plecy. Słońce ujrzała twarz naznaczona ropiejącymi ranami.

– Kolonia trędowatych! – krzyknął. – Nie ruszać niczego, co mieli przy sobie!

Inni też zobaczyli, z kim przyszło im walczyć nocą, i ta informacja szybko obiegnęła małą armię. Nie zamierzali pozostawać w tej okolicy ani chwili dłużej niż to konieczne. Bogowie karzą odłazącym od kości ciałem niekiedy całkiem zdrowych ludzi.

Wściekły Kolbjørn jeszcze raz kopnął trupa. Skradzione złoto, którego miał chęć poszukać w jaskiniach, należało uznać za bezpowrotnie stracone.

– Tharkild, weź trzydziestu gwardzistów, bo tym miejscowym nie ufam, i ruszaj z taborami do Mesyny. Zawieź tam łupy, póki nas całkiem nie okradną! – Splunął na błady zewłok. – Jak tylko dostarczysz je do miasta, wracaj. Potrzebuję każdego topora, każdej tarczy.

– Tak, wodzu, ale ci niewolnicy... no, nie dowierzam im.

– Są jak i my, wśród wrogów. To wystarczy.

Tharkild bez Nosa, kuzyn Grima Złotego, już bez słowa zabrał się do przygotowań.

W dalszą drogę ruszyli nieco osłabieni, ale i bez opóźniających marsz taborów. Za przewodnika służył im Giuseppe Zbożowy – kupiec z Romietty, który od pewnego czasu nie odstępował na krok saekonunga, czujnie strzegąc swojej inwestycji. Zdziwienie drengów wywoływało jedynie to, że był przy Kolbjørnie zarówno w dzień, jak i nocą, a ten jeszcze nie utłukł natrętnego pokurcza.

Zagadkę przypadkiem rozwikłał Zeno, gdy podczas jednego z postojów poszedł do namiotu jarla, by ten rozstrzygnął spór pomiędzy dowódcami tubylczej piechoty. Ale wódz tak był zajęty chędożeniem pulchnego Giuseppe, że nie zauważył najścia. Niewolnik umknął niby duch i nie rozpowiadał nikomu o swoim odkryciu. Całą jednak noc gęba otwierała mu się ze zdziwienia.

MESYNA



W nagrodę za dobre załatwienie zatargu z wieśniakami Finnbogi poklepał Erika po ramieniu i zwolnił tego dnia z wszelkich obowiązków. Prawdę mówiąc, ten bardzo się właśnie nudził, więc mało nie rzucił się na kapitana *Pogromcy Fal*. Nie byłby też sobą, gdyby utrzymał język za zębami.

– Jarl traktuje mnie jak powietrze, ale to nie oznacza, że i ty możesz. Nie popłynąłem dziś w rejs, bo potrzebowałeś mnie na miejscu, i to rozumiem. Ale teraz daj mi równie ciekawe zajęcie, a najlepiej wyślij z jakąś misją do Kolbjørna.

– A jak nie, to co? – Tymczasowy dowódca Mesyny spojrzał groźnie na młodego woja.

– To pomyślę, że się pomyliłem i Finnbogi Hrapson nie jest jednym z najrozumnijszych kapitanów w naszej flocie.

– Ho, ho, drengu. Widzę, że lepiej, bym się przy tobie nie schylał, bo gotowys wejść mi...

– Tym razem uśmiechną się zza swojej gęstej brody. – Nasi gadają przy ogniskach, że ty i ten kalif, a może bardziej to on z tobą... – Z łatwością uskoczył przed skórzaną sakwą, którą cisnął w niego czerwony na gębie młodzik. – No dobrze, bo mi tu padniesz trupem. Ale nie poślę cię do jarla za żadne skarby. Równie dobrze mogą tu skrócić ci kark.

– Możesz najwyżej spróbować – burknął cicho Erik.

– Co tam mówisz?

– Że Kolbjørnowi już pewnie przeszło.

– Znam go od lat. A zniewaga to nie sraczka, żeby tak sama z siebie przeszła. Ale – podniósł rękę, uciszając chcącego protestować młodzieńca – znajdę dla ciebie zajęcie na to popołudnie. Kobieta saekonunga, ta niewolnica Samboja, chce iść na targ i prosiła mnie o kogoś do towarzystwa. Wiesz, jak jest – samotne niewiasty są tu niczyje. Ale z tobą, młody félagi, będzie bezpieczna. Pamiętaj tylko, że to własność naszego jarla, i trzymaj sokoła w klatce.

Erik bezgłośnie otwierał i zamykał usta. Samboja, trucizna tak cudna, że gotów byłby ją zażyć i umrzeć, byle tylko poczuć pełnię smaku. Skinął głową. Już nawet dołączenie do Aslofa, Tagiego i Zena przestało być takie pilne.

– Czekaj przy bramie – powiedział na odchodnym kapitan *Pogromcy Fal*. – Gdybym był tobą, zrzuciłbym te brudne łachy i wdział co nowego. Wykąpać się już nie zdążysz.

Młodzieniec zamarł w pół ruchu i zaczął oględziny swego stroju. Nie było tak źle: więcej czystego niż plam, tu i ówdzie widać było nawet kolor. Ale miał rację stary pierdziel, Samboja będzie miała używanie, gdy stanie przed nią tak jak teraz. A on już raz najadł się przy niej wstydu, zdradzony przez własne ciało.

W stojącym w cieniu pałacowych murów hovie ogrodnika było przyjemnie chłodno. Erik spojrzał na panujący wszędzie bałagan i wrzucił z rezygnacją ramionami. Niemal słyszał matkę, jak wyzywa go od leni i knurów. Po raz kolejny obiecał sobie, że zrobi tu porządek.

Wysłużona solidna skrzynia, w której trzymał rzeczy, stała na wprost wejścia. Chwilę trwało, nim wygrzebał wygniecioną, ale w miarę czystą tunikę z owczej wełny. Nie nosił jej ostatnio z powodu upałów, ale przynajmniej nie będzie roztaczał teraz zapachu dymu i potu. Pas z pochwą dopełnił całości, ściskając go mocno w tali i uwidaczniając szerokie już bary.

Sam maekir leżał jeszcze na sienniku, gdy drzwi gwałtownie odskoczyły i do środka wpadło kilku ludzi. Erik był bezbronny.

– Stój! Cisza! Śmierć! – Ten, który szedł pierwszy, znał mowę Romverjów. Młodzieniec ze zdziwieniem rozpoznał obydwu setników, zastępców Muammara Ibn Chalduna. I właśnie w tej chwili zza ich pleców wyłonił się dowódca. I to on z pogardliwym uśmiechem wsparł zimne ostrze o wygniecioną, lecz jeszcze czystą tunikę pod szyją młodzieńca. Broń trzymał w lewej ręce – prawa, owinięta czystym materiałem, zwisała bezużyteczna. Marne pocieszenie



w takiej chwili, ale zawsze.

Za pierwszą trójką weszło jeszcze trzech, wszyscy w niebieskich gwardyjskich strojach.

– Myślałeś, że możesz obrażać w mojej obecności Allaha? – Rudowłosy setnik Muzaffr tłumaczył słowa swego dowódcy. – Że masz prawo nawoływać do buntu przeciw zasadom ustanowionym przez Proroka? A ja pozostanę głuchy i ślepy?

– Nie twoja sprawa, szmaciany, o czym myślałem, tak jak gówno obchodzi psa, co jego pan będzie jadł podczas wieczerzy. Odłóż miecz, zabierz swoich, a o wszystkim zapomnimy. Ja cię pociąłem, ty mnie wystraszyłeś i się wyrównało.

– Ty dzikusie. Zginąłbyś już, gdybym nie chciał się wpierw nacieszyć twoim strachem – syknął Maur. Napał przy tym mocniej i Erik poczuł, jak żelazo przechodzi przez wełnę i przecina skórę. I wtenczas pomyślał, że oto czysta tunika dorobiła się pierwszej plamy. Zaraz jednak ogarnął go żal, że tak szybko nadszedł koniec. O dziwo, wcale nie czuł strachu.

– Zdradzisz po raz drugi swego władcę, dowódco. Jak myślisz, co on zrobi, gdy się dowie, że naszczałeś na jego słowo?

– *O Proroku! Walcz dzielnie przeciwko niewiernym i przeciwko obłudnikom i bądź dla nich surowy! Ich mieszkaniem będzie Piekło – okrutne miejsce w istocie* – zacytował Muammar.

– Robię to dla Boga i nie ziemskiej nagrody oczekuję. Ale ty proś, błagaj o litość, a może powstrzymam rękę. Albo zrobię to szybko, oszczędzając ci cierpienia. No! Błagaj! – Kopnął młodego wikinga, co nie było takie złe, ponieważ zniknął nacisk ostrza.

Erik czekał na jakiś ruch i wykorzystał szansę. Złapał i pchnął w górę nogę Maura. Muammar upadł ciężko na plecy. Gdy wstawał, wiking miał już w dłoni swój miecz Gullinhjalti. Nadal był trupem, ale tego dnia nie on jeden opuścił świat żywych.

Nagle stały się dwie rzeczy jednocześnie. Wściekły dowódca kalifa i jego setnik zamarli w pół kroku. Erik patrzył z niedowierzaniem na wystające na wysokości piersi u obydwu wojów ostrza. Wyglądały niczym krwawe żądła wielkich pszczoł. I niosły śmierć. Rudy Muzaffr zdołał jeszcze odwrócić głowę i napotkał twarde spojrzenie drugiego z gwardyjskich setników. Ten, który zwał się Mudżahid, wyciągnął gwałtownym ruchem miecz i splunął na padającego woja. Z jego ust wyrwało się jedno, obce synowi Eryka Zwycięskiego słowo:

– *Predatiel.*

Muammar Ibn Chaldun, podwójny zdrajca i tchórz, woj, który uciekł z pola walki, padł z ręki smagłolicego Zaida, tego samego, który w Kordobie na placu omal nie zginął z rozkazu Kolbjørna Krzywe Zęby.

– Wybacz, młody panie, że czekaliśmy tak długo. – Wychowany wśród Maurów jasnowłosy Mudżahid Biezdar przyklęknął na jedno kolano i złożył przed sobą broń. – Myśleliśmy, że ten pies chce cię tylko postraszyć.

– I przestraszył, prawie na śmierć. – Erik dopiero teraz poczuł, jak bardzo się boi. – Wielu u was takich? – Wskazał butem dwa ciała.

– Jeszcze trzech gwardzistów nie stawi się nigdy więcej na służbie. Reszta naszych, młody panie, odda za was życie.

– Wczoraj uwierzyłem tym słowom, dziś bogowie zesłali ostrzeżenie, ale i dowód. Sam nie wiem.

– Żądaj czegokolwiek, a jeśli będzie w naszym zasięgu, wykonamy twój rozkaz.

W tej chwili młodzieniec przypomniał sobie o spotkaniu z Samboją i reszta przestała mieć znaczenie. Co z tego, że znalazł się w obliczu buntu setek gwardzistów? Póki żył, nie było siły zdolnej odwieść go od spotkania z piękną niewolnicą.

– Idźcie teraz do siebie. Gdy wrócę, zameldujemy o wszystkim Finnbogiemu. Chyba że któryś zna szwedzki? – Odpowiedziała mu cisza. – No, a teraz muszę iść.

Gdy wyszli na zewnątrz, każdy ruszył w swoją stronę. Erik zatrzymał się i krzyknął do pleców gwardzistów.

– Nabrudziliście w moim hovie.

Tylko jasnowłosa Mudżahid Biezdar znał mowę Romverjów i to on odpowiedział:

– Uprzątniemy ich ciała, nim wrócisz, panie.

– Cały hov ma się błyszczeć niczym psi nos. Czy to jasne?

– Oczywiście, panie, tak będzie.

Nie oglądając się za siebie, zadowolony ze swojej przebiegłości, syn Świętosławy ruszył w stronę pobliskiej bramy.

SUK



Samboja już na niego czekała.

– Świeża, choć poplamiona winem tunika, młody panie. To dla mnie tak się odziałeś?  
– Tej pięknej niewieście niewiele umykało.

– Nie, dla siebie. Ale jak chcesz, to możemy się...

– Śmieszne, otroku. Patrz, wszyscy wokół rechoczą.

Erik rozejrzał się po poważnych twarzach strażników i utwierdził się w przekonaniu, że mężczyzna nigdy nie zrozumie kobiety.

– Nic nie...

– Baran.

Kilka chwil szli w milczeniu nasrożeni na siebie. Schodzili z niewielkiego wzgórza, na którym umieszczono pałac władców Mesyny. W dole szeroko rozpościerały się poprzecinane płataniną dróg i uliczek bielone wapnem kamienne domy. Erik ledwo dostrzegał ten widok, skupiony na szukaniu odpowiedzi na pytanie, co ciągle robi źle.

Gdy zanurzyli się w uliczny gwar, w tłum porykujących, prowadzonych przez poganiaczy zwierząt, ludzi śpieszących w swoich sprawach, kupców oferujących przechodniom towary, sprzedawców jedzenia i napojów, odłożył poszukiwanie odpowiedzi na później.

– A tak właściwie to czego szukamy? – Mówiąc to, odepchnął zbyt namolnego handlarza przyprawami. – Dzielisz łożę z jarlem, więc masz pewnie wszystko.

Samboja spojrzała na niego z niechęcią, ale odpowiedziała:

– Szukam gładkiej niewolnicy. Dla mnie do pomocy i dla bojara, gdy nadchodzą kobiece trudne dni. Ale co ty, młody panie, możesz o tym wiedzieć.

– Nie nazywaj mnie tak. Gdy jesteśmy sami, mów do mnie Erik. – Mruknęła coś, ale nie zrozumiał. Podejrzywał, że to najpewniej była jakaś obelga.

Widząc dwójkę obcych, miejscowi handlarze prześcigali się w zachwalaniu towarów. Pokazywali piękne, kolorowe materiały; naszyjniki o nieocenionej wartości, ponieważ młody wiking nie znał się na cenie kamieni; zdobne w zawile wzory gliniane i kamienne naczynia; wzorzyste dywany; zapierające oddech wonne przyprawy. Syn konunga tylko kręcił głową, ale niewolnica przystawała tu i ówdzie i z zachwytem dotykała cudów tego świata. Wyglądała pięknie, gdy przykładała do ciała zwiewne, wielobarwne materiały. Gdy okręcała się z nimi i wirowała, przypominała samą Nannę – boginię kwiatów. Uśmiechała się przy tym szeroko, niewinnie, jak i ona. Więc i jego w końcu zaczęły cieszyć te postoje. Lubił patrzeć, jak się śmieje, i wyobrażał sobie, że taka właśnie musiała być kiedyś, zanim sprzedano ją w niewolę. Gdy jednak złowiła to pełne uwielbienia spojrzenie, uśmiech zniknął zastąpiony zgorzknieniem i niechęcią.

Sytuacja się odmieniła, gdy weszli w rejon warsztatów płatnerzy, mieczników i łuczników. Tym razem Erik mlaskał z aprobatą, a Samboja stała obok znudzona. A było tu naprawdę wszystko, o czym może marzyć mężczyzna. Od ostrzy prostych tanich noży, siekier dla drwali po ostrza kute z damasceńskiej stali z rękojeściami tak zdobnymi, że aż niepraktycznymi. Gullinhjalti, z którego był tak dumny, wyglądał przy nich jak chłop przy księciu. Ale ten thraell sprawdził się w niejednym boju i był niezawodny niczym najdroższy przyjaciel. Muskał więc palcami jego lekko złoconą rękojeść i uspokajał, że nie wymieni maekira na żaden inny. To ważne, by obydwoj wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć.

Doszli w końcu do wielkiego, otoczonego tłumem mężczyzn podestu, na który wyprowadzano właśnie kolejną grupę niewolników. Mężów, kobiety i dzieci ustawiono w rzędzie. Nadzorca cienką witką poganiał zbyt wolnych, a dwaj zbrojni drzewcami włóczni dodawali mocy jego krzykom. Klienci stali w większych i mniejszych grupkach, żywo

komentując pojawiający się towar. Niektórzy na chwilę odrywali wzrok i patrzyli z niechęcią na kobietę idącą w towarzystwie wysokiego, obco wyglądającego młodzieńca. Inni czynili to z ciekawością i sympatią. Nie licząc szpecącej twarz blizny, Samboja była niczym piękny, dorodny kwiat.

Zaraz jednak ich uwagę skupił handlarz rozpoczynający kolejną licytację.

W tej partii było kilka kobiet, ale żadna nie zainteresowała Samboi, więc czekali na kolejną. Potem jeszcze jedną. Upał dawał się we znaki, na szczęście krążący między ludźmi handlarze napojami za niewielką opłatą częstowali czekających kwaśną wodą. Erik musiał przyznać, że choć niezbyt smaczna, doskonale gasiła pragnienie.

Nadzorca wydał rozkaz i kilku zbyt starych lub wyglądających na chorych niewolników zgoniono z podestu wprost do stojących z tyłu ogromnych klatek. Może znajdą nabywców na innym targu, a jeśli nie, zginą zakłuci przez ludzi handlarza. Nikt dla takich nie będzie marnował strawy. Nie zwracano im też wolności, by towarzysze niedoli nie mieli złudzeń. Dla nich jedyną szansą na poprawę bytu było znalezienie nabywcy.

Przygnano następnych. Tym razem oczy Samboi zabłyśły. Jedna z oferowanych młodych kobiet była smagłolica, wysoka, z burzą nieco skołtunionych czarnych włosów. Handlarz przydzielał swój towar w dość czyste szaty, zamaskował cieniutką warstwą gliny otarcia i siniaki. Kilka uderzeń witką po plecach i niewolnicy prostowali swoje znękanne ciała.

– Chcę tę, Eriku. Kup ją dla mnie. – Oblizła czubkiem języka usta.

Na piękną czarnulkę wielu miało chrapkę i cena szybko szła w górę. Koniec końców na placu boju pozostali młody Eriksson i gruby wielmoża, cały w splotających do ziemi drogocennych jedwabkach.

– Może dajmy spokój? Ten tłusciuch najwyraźniej się uparł i nie zamierza odpuścić. I mnie się zdaje, że zależy mu na kopnięciu nas w tyłki.

– Chcę ją mieć, Eriku. Mam złoto jarla. Odwdzięczę się, obiecuję. Nie pożałujesz.

Jako kobieta Samboja nie mogła osobiście brać udziału w licytacji.

Czując miód obietnicy, ruszył w stronę konkurenta. Ten stał w towarzystwie dwóch własnych zbrojnych i zdawał się nie zauważać nadchodzącego młodzika. Właśnie uniósł wyżej białą, pięknie rzeźbioną laskę, podbijając cenę.

– Odpuść, człowieku. Ta niewolnica będzie moja. – Erik powiedział to w znanej wszystkim handlarzom mowie Romverjów i również uniósł rękę.

Grubas w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Jeden ze strażników wysunął się do przodu, odgradzając swego pana od natręta. Był niższy od wikinga, jednak równie szeroki w ramionach i wiedział, z której strony należy trzymać miecz.

– Odpuść. Proszę cię o to po raz ostatni. – Równie dobrze mógłby nakazywać muchom, by nie siadały na krwistym mięsie. Licytacja rozwijała się w najlepsze.

Coraz bardziej zły młodzieniec podbił stawkę, tym razem jednak krzyżąc, że podwaja cenę. Na placu zapanował szum. Od pewnego czasu zgromadzeni z ciekawością śledzili ten pojedynek kupca solnego z przybyszem zza morza. Niektórzy nawet porobili między sobą zakłady. Za sumę, którą oferowali teraz konkurenci, można było nabyć dobrego rzemieślnika lub nawet pisarza, a nie kobietę. Niechby nawet gładka, ale to tylko kobieta.

Grubas dopiero teraz popatrzył uważnie na Erika. Na upierścienionym palcu okręcił pasmo długiej brody. Pachniał. Erik dałby głowę, że natarł się jakimś olejkiem z kwiatów.

– Chłopcze – z jego głosu biła pogarda – choćbym miał dać za niewolnicę dziesięć razy tyle, moje będzie na wierzchu. Zabieraj więc swoją kobietę i schowaj się do jakiejś nory – tam miejsce dla takich jak wy. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, chyba że chcesz ją sprzedać. Dam dobrą cenę.

Erikiem aż zatrzęsło.

– Thusta dupo, to kobieta naszego wodza. Wiesz, co on ci zrobi, gdy się dowie, coś powiedział?

Kupiec rozejrzał się wokoło i odrazający uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Rozejrzyj się, barbarzyńco. Jesteś sam. – I odwrócił się plecami do Erika niezainteresowany dalszą rozmową. Po chwili biała laska poszła w górę i on również podwoił cenę. Kilku mężczyzn wzniosło triumfalne okrzyki.

Erik wrócił do Samboi. Poniewczasie zdał sobie sprawę, jakim głupcem był, grożąc miejscowemu bez solidnego oddziały drengów osłaniających plecy.

– Powinniśmy stąd iść. – Wziął ją pod ramię i pomimo protestów wyprowadził z tłumu.

– Puść mnie, słyszysz?! Puść! Chcę ją kupić i kupię! Zostaw mnie! Brzydzą się dotykaniem mężczyzn!

– Spokój – syknął jej prosto w ucho. Miłość miłością, ale tracił cierpliwość. Kobiety potrafiły być i mądre, i głupie zarazem. – Ruszajmy szybko do pałacu. Nie wiem, czy już nie jest za późno.

– Za pó... Dlaczego?

– Chodź, porozmawiamy po drodze. – Nie zamierzał tracić ani chwili.

Przepychali się między straganami. Niektórzy kupcy oburzeni brakiem zainteresowania wygrażali im pięściami. Na szczęście ludzkie plecy niewrażliwe są na obelgi, a widok miecza trzymał z daleka ich ręce. Zrobiło się spokojnie, gdy wyszli z zacienionego płóciennymi daszkami targu i znowu zanurzyli się w gąszcz wąskich, rozgrzanych uliczek. Nie było wiatru i nawet kamienie, po których stąpali, sprawiały wrażenie niedawno wyjętych z ogniska. Mieszkańcy Mesyny przeczekiwali południe w swoich hovach i niewielu snuło się po zwykłej ludnej okolicy. Nic więc dziwnego, że droga powrotna zdawała się znacznie krótsza.

Znajdowali się już w połowie i widać było w oddali białe wewnętrzne mury, za którymi chronił się pałac władców miasta. Teren zaczął się lekko wznosić. Erik dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od opuszczenia placu z niewolnikami mocno zaciska szczęki. A wszelkie próby o wyjaśnienie nagłego pośpiechu zbywa pomrukami.

– Wybacz, Sambojo. Nie wiem, co się ze mną dzieje. – Próbował się nawet uśmiechnąć przepaszająco, ale mu wyszło jakoś tak krzywo. – Matusz zawsze mi powtarzała, że widzę potwory tam, gdzie ich nie ma.

– Jesteś tchórzem. Pewnie rację ma Kolbjörn, gdy mówi, że u was to rodzinne.

Erik zapowietrzył się na kilkanaście kolejnych kroków.

– Wiesz dlaczego?

– Co? Jesteś tchórzem? Czy że z zajęczej rodziny?

– Wiesz, dlaczego Krzywe Zęby pluje pianą na mój widok?

– Bo nie odda swoich pleców smarkowi, który ucieknie przed silniejszym. Jesteś miękkim kotem, młodzieńcze, to też powiedział mi twój saekonung.

– Nie szukałbym twojego towarzystwa, gdyby to była prawda. – Erik poczuł, że się czerwieni. Nazwanie kogoś kottrinn blauðl było wielką zniewagą. Powinien tu i teraz stłuc Samboję do krwi. A potem jeszcze raz i kolejny, by wraz z krwią z popękanych warg połknęła te obelżywe słowa. Obiecał sobie jednak, tam w basenie, nie bić i nie zniewalać kobiet. Nabrał powietrza i wolno je wypuścił. Specjalnie go prowokowała, chciała, by złamał dane słowo i do końca swych dni czuł do siebie pogardę.

– Nie uda ci się, völvo. To, że jestem młody, nie czyni mnie od razu głupcem.

Samboja wzruszyła ramionami.

– Kamień jest zawsze kamieniem, wiek nie ma tu nic do rzeczy. Ale jak już tak bardzo

chcesz, to powiedz, czym się naraziłeś wodzowi. – Mijali właśnie przyglądającą im się ciekawie grupkę tubylców. Któryś z mężczyzn szerokim gestem i z uśmiechem zachęcał obcych, by się przyłączyli. Podniósł naczynie z jakimś naparem, ale pokręcili głowami. Wystarczy ryzyka jak na jeden spokojny dzień.

– Bo widzisz, między naszymi rodami jest waśń. Kiedyś, nim mój dziad stał się mężczyzną, oni i my byliśmy sobie równi, przynajmniej tak słyszałem. Potem bogowie dali jednym bogactwo i władzę, a innym upokorzenia. Gdy stóg jest pełen nasmołowanych drzazg, wystarczy iskra. I była nią kobieta. Ale moja rodzona matka twierdzi, że tak naprawdę w grę wchodzi zawiść. A ona jest mądra i z książęcego rodu.

– No a ta kobieta? – Ciekawość wzięła górę nad niechęcią.

– O to musisz pytać swojego mężczyznę, a nie mnie. No wiesz, chyba że zechciałabyś... bo ja już nikogo...

– A kim ty jesteś, żeby o mnie marzyć! – przerwała mu gwałtownie. – Nikim, chłopcem, który ledwo przestał ssać maminy cycek. Obiecałam ci w basenie, że zginiesz z mojej przyczyny i tak będzie. Jarl też dostanie to, na co zasłużył. – Nagle przyskoczyła do Erika i uderzyła go w twarz. W jej oczach błysnęło szaleństwo.

Młody wiking się zachwiał. Zaraz jednak przyciągnął ją do siebie gwałtownie, chroniąc twarz przed kolejnymi razami.

– Już dobrze, dobrze – szeptał. Samboja próbowała się wyrwać, gryźć, kopać. – Nie zrobię ci krzywdy, uspokój się, jesteś bezpieczna. – Nie wierzyła zapewnieniom mężczyzny, ale nie mogła nic zrobić zamknięta w klamrze silnych rąk. Co nie znaczy, że nie próbowała.

W końcu coś pękło. Zaczęła szlochać, wspierając głowę o jego obleczoną w kolczugę pierś. Erik nie czuł złości. Matka mówiła, że każdy człowiek może znieść tyle bólu, ile pozwolą mu bogowie. Potem zapada się w sobie albo jest niczym wściekły refr. Samboja dawno przekroczyła swoją granicę. Długo płakała, a młodzieniec bardziej tulił ją teraz, niż więził. Czuł jej zapach i miękkość, ale, o dziwo, nie myślał o łożu.

– Pójdźmy dalej – odezwała się w końcu przygaszona. Odetchnął z ulgą. Dla mężczyzny płacz kochanej kobiety jest torturą. Ruszyli w górę uliczki. Jakiś czas szli w milczeniu, bo o czym tu gadać.

Nagle z cienia rzucanego przez dom wyższy od innych wychynął mężczyzna. Widząc ich, pokazał się cały i zagroził sobą przejście. Szybki rzut oka do tyłu – z tej strony również nadchodziło niebezpieczeństwo. Młody wiking od razu rozpoznał dwóch strażników grubasa. Samego kupca z nimi nie było, ale po to człowiek ma psy, by samemu nie gonić zajęcy. Tłuścioch z białą laską nie chciał zwady z konungiem. Zapewnił mu to dwa świeżutkie trupy. Syn Eryka Zwycięskiego nie był zdziwiony, sam by tak zrobił na jego miejscu.

– Czekaj tu. – Pchnął Samboję w najbliższą wnękę. Nieco zbyt mocno – uderzyła głucho plecami o drewniane drzwi. Wyciągnął z pochwy wysłużony maekir.

– Czego oni chcą?

– Raczej czego sobie nie życzy grubas, który wygrał z nami targ o niewolnicę. A on nie życzy sobie, by wieść o tym dotarła do naszego jarla.

– Czy mogę pomóc? – Jej blada twarz zrobiła się jeszcze bledsza, ale nie było na niej strachu, lecz zaciętość.

– Nie krzycz, bo sprowadzisz więcej wrogów. Gdybyś dała radę... w zamieszaniu... uciekaj. – Trochę się bał, ale wiedział, że gdy skrzyżuje broń, nie będzie czasu na strach. Górę wezmą odruchy, chłodna głowa lub wściekłość, ale nie strach.

Dwóch zbrojnych bez pośpiechu szło w ich kierunku. Wyciągnęli broń, rozluźniali mięśnie, cały czas obserwując bacznie swojego wroga. To był zły znak, gdyż lekceważenie

zawsze można wykorzystać.

– Zostawię cię na chwilę bez osłony. Masz nóż?

– Rób, co musisz, mną się nie martw.

Nie miał innego wyjścia. Musiał pierwszy wykonać ruch.

Erik zrobił trzy szybkie kroki i natarł na idącego ich śladem drobniejszego przeciwnika. Ten, choć zaskoczony, zdołał postawić zasłonę i damasceńska stal ostrza Gullinhjalti ze zgrzytem zatrzymała się w okolicach nasady głowni jego miecza. W drugiej dłoni każdy z nich dzierżył nóż i równocześnie pchnęli nimi, celując w brzuch.

Przeciwnik był słabszy, ale nie brakowało mu szybkości, a musiał wytrzymać tylko chwilę – do nadejścia odsieczy. Czubki ostrzy uwięzły w kolczugach, jednak tę skandynawską sporządzono z myślą o osłonie przed ciosami o sile kopnięć młodego konia. Erik poczuł bolesne uderzenie, ale drut wytrzymał. Jego własny saks, pchnięty całą siłą, wzmocnioną o ciężar ciała, rozdarł ogniwa lekkiej koszuli kolcezej, grzęznąc we wnętrzościach kupieckiego pacholka.

Czas, który na kilka chwil jakby się zatrzymał, znowu nabrał rozpędu. Odskoczyli od siebie, wiking w bok, skręcając ciało, by stanąć frontem do kolejnego wroga. I uczynił to w ostatniej chwili. Starli się z dużym impetem i zbrojny kupca, ten sam, który na targu zastąpił drogę młodemu barbarzyńcy, nacierał gnany siłą rozpędu.

W ciszy sennego, gorącego południa uliczka rozbrzmiała szczękiem mieczy. Nawet olbrzymy potrzebują w czasie walki chwili wytchnienia. Podczas jednej z takich przerw, gdy łapczywie chwyтали oddechy, syn Eryka Zwycięskiego zobaczył pierwszego przeciwnika ciężko wspartego o ścianę. Spod przyciskanej do boku dłoni płynęła ciemna krew. Pewnie już z tego nie wyjdzie, ale ciągle mógł stanowić dla młodzieńca zagrożenie. Albo dla Samboi.

Jakby sprowokowany do działania tymi myślami, ranny ruszył wolno w stronę wnętrza. Erik był przerażony. Wcześniej cieszył się i panował nad walką, dając ponieść się jej dzikiej muzyce. Ale strach uczynił go niezdarnym. Nie patrząc na nic, zaatakował, chcąc większą masą i siłą zepchnąć nieprzyjaciół i ustawić się między nimi a kobietą. I zaraz też został skarcony kilkoma szybkimi cięciami. Gdyby nie kolczuga, byłoby już po walce.

– Nie pomogę jej, dając się ubić. Będzie, co ma być – warknął i skupił całą uwagę na wyższym wrogu. Świat zawężił się do tego, co Erik miał przed sobą. Natarł, zadając obszerne, potężne ciosy z prawej i lewej, jakby rąbał drewno. Czuł przyływ sił, był biegnącym w wysokiej trawie wilkiem, niedźwiedziem zdolnym jednym ruchem łapy rozplatać człowieka na dwoje. Wściekłość, bo Samboja mogła już umierać, dodała mu sił, ale odebrała rozum. Zniknęło gdzieś wcześniejsze szkolenie, chciał zabić, zgnieść, łaknął krwi. Po raz pierwszy w swoim życiu Erik wpadł w bitewny szal.

Wróg, który czuł moc tych szalonych ciosów, cofał się krok za krokiem, a na jego spokojnej dotąd twarzy pojawił się strach. Cokolwiek robił, ten dziki barbarzyńca parł do przodu. I choć przecież nie był największym z ludzi, od blokowania jego uderzeń cierpła ręka. To był demon z piekła rodem. Srebro od kupca solnego niewarte jest życia. Zbrojny, wykorzystując chwilę przerwy, rzucił się do ucieczki. Jeszcze nigdy nie biegł tak szybko, gdyż przerażenie dodawało mu sił.

Rzucony z pełnego rozmachu nóż wbił się w niechroniony przez kolczugę kark. Ciało przestało wykonywać polecenia i czarnowłosy zbrojny padł niby łachman na kamienie. Potem świat skrył się za czerwona mgłą, a Erik tak długo ciął trupa, aż została z niego krwawa miazga. Dopiero wtedy przyszło otrzeźwienie. Samboja!

Kobiety nigdzie nie było. Razem z nią zniknął ranny strażnik. Młodzieniec próbował szukać uciekiniera, ale napotkał jedynie przerażone spojrzenia nielicznych ludzi. Cały obryzganym krwią musiał wyglądać niczym stwór z Helheimu. W ten sposób nigdy jej nie znajdzie.



Po chwili złapał idącego na targ z napojami chłopca. Brzęk rozbijanych glinianych naczyń zlał się w jedno z okrzykiem strachu.

– Zamknij gębę. Rozumiesz, co mówię? – Dzieciak pokiwał głową i ryknął jeszcze głośniej. – Cicho! Odpowiesz mi tylko na pytanie i cię puszcze. – Chłopak rozdarł się tak, że tu i ówdzie zastukały otwierane okiennice.

– Dam srebra. – Dźwięk zamarł niby ucięty saksem. – Kim jest kupiec z pięknie rzeźbioną laską z białego drewna? Gruby, bogaty. Gdzie mieszka?

Dzieciak podrapał się po skołtunionych włosach. Potem wskazał brodą na rozbite naczynia i pustą, leżącą na ulicy tacę.

– Jeść dla mali bracia – wypalił w końcu, pociągając nosem. – Mama chora, tata i noga nie razem – dodał.

Minęło kilka chwil, nim Erik zrozumiał, co on mówi.

– Zapłacę za rozbite dzbany i cały dzisiejszy dzień, jak tylko powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Gadaj! Wiesz, o kogo pytam?

Chłopiec wytarł nos przedramieniem i ponownie skinął głową.

– No?

Mały pogrzebał czubkiem zdartego sandała w mokrej kupce glinianych skorup. Ale milczał. Wokoło zaczął zbierać się coraz większy tłumek ciekawskich. Nie wszyscy byli pokojowo nastawieni.

– Masz. – Srebrna moneta zniknęła, gdy tylko trafiła do ręki dziecka. – Teraz mi powiedz.

– Na ręce, na ucho – chłopiec wyciągnął dłonie do Erika. Mógł mieć z pięć lub sześć lat. Wiking podniósł go wysoko zdziwiony lekkością swego informatora. Sama skóra i kości. I usłyszał o mieszkającym w zatoce, na wprost łańcucha portowego, kupcu solnym, który nigdy nie kupił od malca ani jednej porcji naparu z liści. O wielkim białym magazynie z kamiennym dachem, wokół którego można spotkać ślady dziwnej żółtej ziemi. O dzikich psach i jednookim strażniku, o bezdomnych dzieciach, które znikają, i potworze karmionym ich krwią.

Gdy stawiał chłopca na ziemi, miał lekki mętlik w głowie. Ale tych informacji było aż nadto. Ruszył biegiem do pałacu.

Widział już strażników przy bramie, gdy się zorientował, że zgubił po drodze sakiewkę z kilkoma srebrnymi monetami. Pogroził w myślach chłopcu, który mu ją zwędził, będąc u niego na rękach.



Z każdą chwilą Samboja była bliżej śmierci. Lub kolejnych gwałtów i tortur, jakby mało w życiu wycierpiała. Erik czuł, jak zalewa go fala gniewu, i z największym trudem zachowywał spokój. To od chłodnej głowy zależał ratunek. Gdy tylko minął mury okalające pałac, popędził wprost do części zajmowanej przez gwardzistów. Setnik Mudżahid Biezdar wstał z miejsca na jego widok.

– Nie ma już śladów, domostwo uprzątnięte. Ale widzę, że walka poszła z tobą na targ, młody panie. – Wskazał ciemniejące plamy krwi na odzieniu Skandynawa.

– Porwano kobietę jarla. Wiem kto, potrzebuję dwudziestu najlepszych i... wody.  
– Usiadł ciężko, uświadamiając sobie, jaki jest zmęczony. Nie było jednak czasu na odpoczynek.

Setnik wydał rozkaz i po kilkudziesięciu oddechach pod drzwiami stały dwie dziesiątki ubranych w niebieskie tuniki zbrojnych. Wyruszyli bez zwłoki.

Przy bramie natknęli się na Finnbogiego. Kapitan *Pogromcy Fal* prowadził ze sobą dziesiątkę wikingów.

– Chciałeś się zabawiać beze mnie? – Na twarzy tymczasowego dowódcy Mesyny nie

było uśmiechu. Erik spojrział zaskoczony na setnika.

– Wybacz, panie, jak tylko cię ujrzałem, wysłałem wieści do naszego wodza. – Mudżahid skłonił się z miną winowajcy.

– I dobrze zrobiłeś. Sam powinienem o tym pomyśleć.

– Dość tego gadania – Finnbogi poprawił pas z bronią – opowiadaj.

Podczas drogi na nabrzeże Erik pokrótce nakreślił spięcie z kupcem solnym w trakcie licytacji, późniejszą walkę z jego strażnikami i zniknięcie Samboi. Dodał też wszystko, co usłyszał od małego roznosiciela napojów. Za każde zdanie chłopca zapłacił ciężką srebrną monetą, ale nie żałował kruszcu.

– Jeśli to kupiec solny, panie, to i ślady siarki przy jego magazynach nie są czymś niezwykłym. A te bajania o potworach to dziecięce rojenia.

– Pamiętaj, Mudżahid, chcę go żywego. Ale reszta...

– A ja wam powiem, że bez mojego rozkazu na nikogo nie podniesiecie ręki – przerwał Finnbogi. – Naszych mamy w mieście kilka setek, a miejscowych są tysiące. Czy dotarło to do pustych łbów?!

Erik z setnikiem skruszeni skinęli głowami. Ten drugi wydał rozkazy swoim ludziom.

Chłodniejsza bryza była dowodem, że zbliżają się do morza. W pobliżu nabrzeża setki kupców miało swoje większe i mniejsze magazyny. Niektóre przypominały zwykłe hovy, inne niemalże pałace. Wszędzie kręcili się ludzie: tragarze, poganiacze i zarządcy, albowiem handel na dobre wrócił do portowego miasta.

Bez trudu znaleźli miejsce opisywane przez dzieciaka, gdyż był to największy budynek w okolicy. O jednym tylko chłopiec nie wspomniał, o otaczającym posesję solidnym murze z pojedynczą bramą. Przed oczami mieli małą twierdzę z zamkniętym na głucho wejściem.

Gdy podeszli bliżej, jeden z wikingów kilkakrotnie „zapukał” obuchem topora w drewno. Odgłos mocnych uderzeń niósł się po całej okolicy. Budynek wydawał się pusty. Niezrażony niczym woj odczekał kilka chwil, a potem zaczął rąbać wrota. Przyłączyli się do niego bracia z lidu i po chwili na boki zaczęły latać mniejsze i większe drzazgi.

To, a może czyniony hałas, przemówiło w końcu do domowników i u szczytu murów pojawiła się jakaś głowa. Setnik gwardzistów powiedział coś ostrym tonem w języku Maurów i strażnik zniknął.

– Co mu rzekłeś, Mudżahidzie? – Erik nie wiedział, czy przypadkiem szmaciany łeb nie wystraszył za bardzo tego zbrojnego.

– Że jeśli zaraz nie otworzy bramy, to wyrzniemy w pień wszystkich domowników, panie.

– Ale przecież Finnbogi...

– To tylko słowa, panie, a mogą nam zaoszczędzić wiele mitręgi.

I faktycznie usłyszeli szcęk odsuwanych rygli i rozwarły się wrota.

Na placu przed magazynem kręciło się dziesięciu zbrojnych. Miecze mieli w pochwach i nie wyglądali na skorych do walki. Jeden z nich ruszył w stronę przybyszów. Gdy stanął przed Finnbogim, zaczął mówić – setnik tłumaczył.

– Mój pan Abiasz, zacny i szanowany mieszkaniec Mesyny, pyta cię, panie, dlaczego nachodzisz go w jego domostwie.

– Powiedz mu, Mudżahid, że chcę zaraz widzieć na placu kupca solnego, a także wszystkich pozostałych domowników. Kto pozostanie w hovie, ten zginie.

Strażnik, słysząc tłumaczenie, odpowiedział coś gwałtownie, ale uderzony przez setnika wrócił do swoich. Po chwili dwóch jego towarzyszy ruszyło w stronę magazynu i łączącego się z nim wystawnego domostwa.

Czekali cierpliwie. Dla pewności, że lis nie ucieknie z pułapki, Hrapson wysłał dwie piątki gwardzistów do patrolowania terenu wokół zabudowań.

Mijały minuty, a przed magazynem na placu, na którym zwykle zatrzymywały się juczne karawany, zebrało się około pięćdziesięciu osób. Wśród nich, w otoczeniu swojej straży, stał grubas z targu.

– To on – syknął Erik.

Tłuścioch szedł wolno, zdawał się spokojny i opanowany.

– Dlaczego nachodzicie mnie w moim domu? – zaczął w języku Romverjów. – Wszyscy w Mesynie i na całej wyspie znają i szanują Abiasza. Czy wasz wódz nie obiecywał kupcom spokojnego i zyskowego handlu? Chcecie złamać dane przez niego słowo? A jeśli tak, kto potem uwierzy przybyszom zza morza?

– Niczego nie chcemy łamać. – Erik tłumaczył słowa kapitana *Pogromcy Fal*. Z trudem stał w miejscu. Najchętniej pobiegłby już teraz do tych kamiennych hówów, by szukać porwanej niewolnicy. Ale ciężka dłoń Hrapsona na ramieniu trzymała go w miejscu.

– Szukamy naszej własności. Ty jako kupiec powinieneś najlepiej rozumieć, że mądry ten, kto pilnuje swego.

– Poznając tego młodzieńca. – Abiasz wskazał brodą na tłumacza. – Kupiłem na targu niewolnicę, na którą on miał chęć. To była uczciwa transakcja. Dlaczego więc...

– Chodzi o kobietę, która z nim była – uciał tymczasowy dowódca Mesyny. – Jest w tym mniejszym albo większym hovie? – Kapitan *Pogromcy Fal* wskazał na magazyn i bielejące w promieniach popołudniowego słońca domostwo.

– Wszyscy są na placu, woju. Jest wśród nich ta, której szukasz?

– Nie będziesz więc się boczył, jeśli przeszukamy zabudowania? – rzucił lekko Erik.

– Nie z tobą rozmowa, młokosie – odparł kupiec, a do Finnbogiego rzekł: – Jeśli mylisz się, dowódco, złożę na was skargę i zażądam odszkodowania za to najście.

– Tak będzie. Ten tu – wskazał na tłumacza – zapłaci ci z własnych udziałów w łupach. A teraz nie marnujmy czasu. Dziesięciu za mną. Reszta pilnuje, by na naszym gospodarzu nie usiadła choćby mucha.

Domostwo miało wiele komnat i wszystkie urządzone z przepychem. Znać było wielkie bogactwo właściciela. Zbrojni szukali czegokolwiek, choćby skrawka zakrwawionej sukni, ale bez skutku. Odnaleźli wprawdzie ukryte pomieszczenie z ogromnym łóżem pośrodku, ale ciemne i głuche. Pozostały piwnice.

Zatrzymały ich okute metalem, solidne drzwi.

– Wezwij grubasa, niech nam otworzy – rzucił Finnbogi. – Możemy też rozbić toporami, ale tak mi się zdaje, że za każdą zniszczoną dzisiaj rzecz kupiec policzy ci dziesięć razy jej prawdziwą wartość.

– Żeby tylko – mruknął strapiony bezowocnością poszukiwań młodzieniec.

Gospodarz niechętnie, i tylko pod groźbą obicia, przysłał jednego z niewolników z pękiem wielkich kluczy.

Piwnica była głęboka i chłodna. Nagrzane słońcem ciała zaraz pokryła gęsia skórka. Niewolnik zapalił umieszczone w ścianach łuczywa i zobaczyli, że jest też ogromna. Zastawiona beczkami oraz zamkniętymi i okutymi żelazem skrzyniami, jawiła się niby krasnoludzka komnata ze skarbami. Nigdzie jednak nie natknęli się na Samboję. Kupiec chyba mówił prawdę.

W jednym z zatechłych piwnicznych pomieszczeń odkryli bogatą kolekcję pejczy, łańcuchów i dziwnych urządzeń o nieznanym zastosowaniu. Wyraźnie czuli tu smród strachu, krwi i potu.

– Może ten ranny strażnik... po drodze... pozbył się... – Słowa ugrzęzły Erikowi

w gardle.

– Jeśli tak, jarlowi pozostawimy decyzję, co dalej. W końcu była jego własnością.

– Ciągłe jest! – Erik sam siebie zaskoczył tym krzykiem. Dodał ciszej: – Ona żyje, mówię wam. Samboja żyje!

– Może masz rację, bo nawet oszpecona warta jest na targu sporo srebra. Mnie się wydaje, że to tam powinniśmy jej szukać, synu Eryka Zwycięskiego, na targu.

– Warto byłoby odebrać co nieco grubasowi – rzucił ktoś z nadzieją w głosie, ale kapitan *Pogromcy Fal* pokręcił głową. Sam patrzył na skrzynie z chciwością, ale nie potrzebowali buntu miejscowych.

Gdy opuszczali domostwo, niemal wpadli na kupca. Ten najpierw sprawdził, czy mu czego nie wynoszą, potem rzucił z mściwą satysfakcją:

– Nie ma u mnie tej niewolnicy i nigdy nie było. Jak mi Bóg miły, złożę skargę i zapłacicie mi za najście. A jak nie, dowiedzą się o tym wszyscy kupcy na Sycylii i w Italii. Nikt nie będzie chciał z wami handlować!

– Nie strasz, nie strasz. – Erik odepchnął Abiasza, wywołując nerwową reakcję jego strażników. – Sprawdzimy jeszcze w magazynie.

Hala, a właściwie to trzy połączone bokami hale, wypełniona była towarami. Z jednej strony piętrzyły się wielkie sterty drogocennej soli, z innej nieco mniejsze żółtej siarki. Kopalnie pracowały cały czas, nie zważając na toczącą się wojnę, a odbiorcy dopiero niedawno wznowili działanie. Jak w domostwie, tak i tu nie było jednak żywego ducha.

– Coś mi się wydaje, chłopcze, że stopniało twoje srebro i oby go wystarczyło na spłatę długów. W przeciwnym razie pójdziesz w niewolę. Może ten miły tłusty wieprz zgodzi się, byś u niego odpracował różnicę...

– On ją gdzieś schował, mówię ci, sterniku. I teraz się z nas śmieje, bo zrobił to dobrze. Może i wywiózł do innej osady, ale na pewno ma Samboję.

– No to gdzie jest?! – Nie wytrzymał Finnbogi. – Może pod tymi wysokimi na trzech ludzi stertami?! Jeśli tak myślisz, bierz się do kopania. – Wskazał stojącą przy ścianie drewnianą łopatę.

Nagle do ich uszu doszły stłumione dziecięce krzyki. Nie dało się zrozumieć słów, ale chór cienkich głosów przebijał się przez grube belki podłogi. Chwilę trwało, nim zlokalizowali miejsce i Hrapson pierwszy zaczął rąbać drewno. Kilku drottmadów zrobiło podobnie i już po chwili trafili na podziemne zejście. W nozdrza wojów uderzył zatęchły smród.

Erik szedł przodem. Schodził krętymi, wykutymi w miękkiej skale schodami coraz niżej i niżej. Zaskoczony omal nie stracił równowagi, gdy stanął na równym podłożu.

Tylko dzięki wyrobionemu godzinami ćwiczeń instynktowi i bogom uniknął ciosu nożem. Odbił ostrze pochodnią, a potem przyłożył ogień do twarzy napastnika. Brudne strąki włosów zapłonęły, a po jaskini rozszedł się swąd, jakby opalano gęś. Krzyk zdusił idący za nim Solva Krucza Kość, który wbił saks w pierś strażnika podziemi. Mogło ich tu być więcej, więc wikingowie broń mieli w pogotowiu.

To Hringr Usta Żaby znalazł stojak z pochodniami. Coraz więcej wojów, zakrywając nosy, schodziło do podziemnej jaskini, tak że zaczynało się robić ciasno.

– Z powrotem na górę! – Głos kapitana *Pogromcy Fal* odbił się echem od kamiennych ścian. – Jeszcze tego brakuje, by nas tu zamknęli, pozbywając się kłopotu.

Ich oczom ukazały się rzędy klatek. Niektóre puste, inne miały swoich małych lokatorów. Nagie, umorusane, śmierzące odchodami dzieci wyciągały poprzez pręty brudne rączki. Głodne, spragnione. W jednym z tych dziwnych kojców siedział nie kto inny, jak Samboja. W blasku pochodni trudno było dostrzec, czy jest ranna. Była naga jak wszyscy więźniowie.

– Solva, skocz migiem po grubasa i sprowadź go tutaj z kluczami. Weź dziesięciu ludzi, bo może po dobroci nie mieć ochoty wdychać tego smrodu. – Krucza Kość zadowolony, że będzie mógł zaczerpnąć świeżego powietrza, bez słowa ruszył na górę.

– Poczekaj, drengu. – Erik schylił się i zaczął przeszukiwać trupa. Nagle wyprostował się z pękiem kluczy w dłoni.

– Wypuścimy stąd więźniów, a z kupcem pogadamy w blasku dnia. Wystarczająco tu śmierdzi i bez niego.

– Niech tak będzie. – Finnbogi kopnął ciało strażnika. – No to mamy tego jednookiego potwora pijącego krew dzieci. Ten malec wiedział, o czym gada.

– Ale po co kupcowi mali niewolnicy?

– Byłeś kiedyś, synu, w kopalni? Jakiegokolwiek?

– No nie. A czemu...

– Kiedyś raz widziałem, jak tam jest. – Hrapson wzdrygnął się jakby z zimna. – Ciasno, ciemno, duszno, mokro. Ci tam – wskazał na klatki – to krótko żyjący kopacze.

– Smark mówił, że w tej okolicy ciągle ginęły dzieci...

– Sam widzisz. Taka kopalnia jest jak ten potwór. Połyka swoje ofiary i chce wciąż więcej i więcej. Tak mi się zdaje, chłopcze, że ojcowie tych tu – wskazał na uwalnianych właśnie więźniów – będą mieli do pogadania z naszym gospodarzem.

Gdy wyszli na powierzchnię, Erik zdał z przerażonego grubasa pelerynę z niezwykle cienkiej tkaniny i okrył nią Samboję. Była wystraszona, ale cała.

Potem obili jednego z najbogatszych kupców w mieście, bacząc przy tym, by go nie ukatrupić. Strażnicy stali z boku z mieczami na gardłach.

Opuszczając plac, Erik przygarnął do siebie wysoką niewolnicę, tę samą, którą kupiec nabył na dzisiejszej licytacji.

– Za mitręgę i krew, grubasie. Masz coś przeciwko?

Zagadnięty wiedział, że go nie zabiją, i zaczął odzyskiwać pewność siebie, ale milczał, co dobrze świadczyło o jego woli życia. A może to za sprawą wybitych zębów i puchnących błyskawicznie ust?

– Każdego, kto podniesie rękę na woja z Północy, czeka taki los lub gorszy! – Finnbogi Hrapson dla dodania mocy słowom jeszcze raz kopnął kupca solnego. – Powiedzcie wszystkim, co tu dzisiaj widzieliście! A wy – zwrócił się do strażników – macie dwadzieścia oddechów, żeby stąd zniknąć i nigdy więcej się nie pojawić!

Nie trzeba było powtarzać. Zbrojni rzucili się do ucieczki.

Dzieci nakarmiono, napojono, odziano i również pognano precz. Było pewne, że Abiasz zechce odzyskać swoją własność, gdy tylko opadnie kurz po oddziale nowych panów Mesyny.

Dwóch zbrojnych podtrzymywało ślaniającą się Samboję. Ruszyli w stronę pałacu. Wieść o „wizycie” w domostwie kupca solnego rozchodziła się lotem błyskawicy, więc pomimo chłodniejszej pory dnia uliczki były wyludnione.

– Powinniśmy go zabić, sterniku. – Erik spróbował splunąć, ale po całym dniu trudów zabrakło mu śliny.

– A po co, młody byczku? To i tak trup.

– Z tych ran to on się wylize i jeszcze narobi nam kłopotów. – Syn konunga nie był przekonany, ale Hrapson milczał.

Tej nocy spłonął największy na nabrzeżu magazyn. Ciało kupca solnego nigdy nie odnaleziono. Miejscowa ludność milczała jak zakłeta.

ODDI ASGOTSSON



Niewielka flota od tygodni była w drodze. Płynęli z pełnymi ładowniami ze stolicy Bizancjum do Valencji – portu na wschodnim wybrzeżu kalifatu Kordoby. Zmierzali do domu. Kupiec Hamzi, poddany kalifa Abd ar-Rahmana III, miał pod swoimi rozkazami dziesięć szerokich dau z pojedynczym trójkątnym żaglem. Jako eskortę wynajął w Konstantynopolu dwa niewielkie, ale szybkie dwunastowiosłowe okręty pełne dzikich i walecznych wojów z Północy. Wielki Allah w swojej niezmierzonej mądrości sprawił, że ci barbarzyńcy musieli na gwałt uciekać z Wielkiego Miasta, ścigani za zabójstwo logotety Valeriusa. Gładko więc przystali na propozycję wspólnego rejsu.

Wiekowy już i bywały w świecie starzec kłął się na brodę Proroka, że nigdy nie widział dziwniejszej i barwniejszej kompanii. Licząca trzydzieści głów załoga jednego ze statków składała się z Rusów – rzadki widok na tych wodach. Jakby tego było mało, mieli wśród siebie dwie kobiety, rycerza z Leónu, dziecko i ogromnego psa. Brakowało jedynie kilku innych stworzeń bożych, by utworzyć arkę Noego.

Ale to druga łódź wzbudziła większe zainteresowanie poddanych Abd ar-Rahmana. Płynęło w niej dwudziestu i siedmiu mężów o dziwnych, czerwonych niby pancerz gotowanego raka twarzach. Ich błyszczące, czarne, proste i długie włosy przywodziły na myśl mieszkańców dalekich stepów. Ci tutaj byli roślejsi od koczowników i mieli normalne oczy, a nie przypominające kształtem migdały. Pochodzili, jak twierdzili Rusowie, z krainy na zachodzie zwanej Wielką Wyspą lub Winlandią. Kupiec z uznaniem spoglądał na ich foremne sylwetki i światała mu myśl, by odkryć kiedyś dla ludu Proroka ten ład. Dobrzy, silni niewolnicy zawsze są w cenie.

Ta zbieranina na statkach eskorty była dziwna, ale jedno należało przyznać: Rusowie i miedzianoskórzy nie znali strachu. Doskonale nadawali się na towarzyszy podróży po tych niebezpiecznych, pełnych piratów wodach. Warci byli płaconego im za ochronę złota.

Allah przeklina tych, którzy nie wykorzystują nadarzających się okazji. Przybijali więc do większych portów, by nie obrazić boskiego majestatu i pomnożyć i tak wielki majątek, który mieli w ładowniach.



Oddi Asgotsson, młody dowódca dwóch skipów, wiking i banita, podziwiał kupca Hamziego. Choć to tylko chodzący bez gaci szmaciany łeb, sprytem i zmyślnością dorównywał Skandynawom. Trzeba bowiem ogromnego doświadczenia i wiedzy, by tak dobrze znać morskie szlaki, lokalne towary i ich ceny, najdrobniejsze potrzeby oddalonych od stolicy Grikkmadów czy mieszkańców Longobardlandu. Serkir, choć niepozorny z wyglądu, żelazną ręką dowodził pozostałymi kapitanami i Oddi był pewien, że gdyby zaszła potrzeba, ci oddaliby za niego życie. Sam dowodził i wiedział, jaka to trudna sztuka. Hrafn Szymierz zrobił, co mógł, by go przygotować do tej roli, a i tak zdarzały się potknięcia.

– Obyś odnalazł dobrą śmierć, przyjacielu – szepnął młody wódz, mając przed oczami uśmiechniętą twarz sternika. – I zemstę.

– Co tam szepczesz wiatrowi, Brzuchu Ryby? – Siedząca obok kobieta pogładziła się po wydatnym brzuchu. – Na Wielkiego Ducha, poruszyło się. Czułam to... – Uśmiechnęli się do siebie.

– Daj i ja chcę poczuć. – Przez kilka chwil trzymał wielką łapę na kobiecym łonie, drugą mocno zaciskając na uchwycie wiosła sterowego.

– Nic, Shaa-naan. A może ty jesteś, ten no, po prostu gruba, a nie... – Wypuścił powietrze uderzony w pierś przez czerwonoskórą kobietę.

– Dobrze, już dobrze. Nie dawaj złego przykładu mojemu lidowi. – Wskazał głową na zbieraninę trolli, półolbrzymów, brodatych krasnoludów, czyli siedzących na swoich kuferkach wikingów i kilku Rusów.

– Powiedz mojemu synowi, kobieto z krwi Kamiennego Ostrza, że jeszcze nie czas wychodzić. Żeby poczekał, aż dotrzemy na Wielką Wyspę.

– To będzie łowczyni, Brzuchu Ryby. Wiem to i nie pytaj skąd.

– Zrób coś, żeby urodził mi się syn. Ja ci to nakazuję, ja cię błagam. Potrzebni mi silni synowie, by pomścić śmierć mojej matki i niedolę siostry. – Niedawny ciepły i pełen czułości uśmiech zniknął z twarzy Oddiego.

– Dlatego właśnie będzie córka, mój wojownika. Nie po to złączyłam z tobą dłonie w strumieniu, nie po to oddałam ci swoje ciało, i to wbrew woli ojca, byś płodził synów, a potem wysyłał ich na śmierć. – To był stały temat ich kłótni.

– Mężczyzna bez honoru jest najgorszym psem, niechcianym przez nikogo nidingiem! Jeśli nie zabiję wuja i jego pomiotu, po śmierci nie dostanę się do Walhalli! Czy wiesz, jaki to los dla mężczyzny? To już lepiej tu i teraz rzucę się w objęcia Ran.

– Chcesz mnie przestraszyć? Rób tak dalej, a gdy miną dwie zimy, znajdę sobie innego wojownika. Gdyby nie złączył nas Inyan, już teraz znalazłabym innego. – Potarosiła z czułością zmierzwiłone i ciężkie od soli włosy swojego towarzysza. – Wiesz, że zgodnie z obyczajem mojego plemienia mogę to zrobić. A co do tego miejsca, gdzie po śmierci wszyscy tylko walczą i walczą, to się nie martw. Pójdiesz razem ze mną do Odległej Krainy. Z góry jako cząstka Wielkiego Ducha będziemy spoglądać z radością na nasze dzieci i dzieci ich dzieci. Żywe!

– Muszę, co muszę, Shaa. Zanim jednak chłopcy dorosną, minie wiele lat i wszystko może się zmienić.

Przytuliła się do niego.

– A może gdy ja zginę – przecież bliski krewny wuja – bogowie uznają, że zemsta została dopełniona?

– Nie mówmy już o tym. Zjadłabym coś. Wiesz, mam ochotę na gwieździste jagody i to takie świeże, soczyste. Zbierałam je zawsze z innymi kobietami w pobliżu wioski i gdy któraś spróbowała choć jednej, niewiele przynosiła do mamateeku. Niekiedy siny język był wszystkim, co mogła pokazać swemu mężczyźnie.

– To już ci nasze lekko zapleśniałe placki i słonawa woda nie wystarczają?

– Mnie tak, ale nasza córka...

– Syn.

– Córka.

Machnąłby ręką, ale lewą obejmował kobietę, zresztą jedną z dwóch na pokładzie dwunastowiosłowego tolfareringra o dumnej nazwie *Błysk Młota*, prawą zaś ster skipu. Znowu został pokonany, bo kobiety Beothuków mają nie jeden, ale trzy prędkie języki. Co nie było znowu takie złe podczas igraszek, ale przeszkadzało w rozmowie. Poza tym, gdy człowieka długo przekonuje ukochana istota, zdoła mu ona nawet wmówić, że noc jest dniem.

– Prawie czuję zapachy domu, przyjacielu. – Wysoki mąż w średnim wieku wciągnął głęboko powietrze. Podszedł do mocnicy i zapatrzył się w dal. Po jego przystojnej twarzy błąkał się uśmiech. – Jeszcze kilka dni i zejdziemy na ląd.

– Ramiro, drengu, a może popłyniesz jednak z nami na Wielką Wyspę? Tam sam sobie będziesz panem.

– Serca mego ludu, łowiska i nasze mamateeki będą waszymi – dorzuciła Shaa-naan.

– Nie lubię zimna, przecież wiecie. León jest moim domem. Poza tym mój król właśnie



wygrał wielką bitwę, ale nie wojnę. Potrzebuje mnie.

– Gunhild by się tam podobało. – Oddi wskazał brodą na piękną kobietę z ognistorudą grzywą włosów, która właśnie próbowała okiełznać rozbrykanego szkraba.

– Zgodziła się na León, przyjacielu. Nie było łatwo, ale ją przekonałem.

– Wiesz, że wśród twoich rodaków będzie dzikuska? Ty jesteś tam wielkim panem, ale Hoskulddottir...

– Kocham Gun nad życie. Nie skrzywdzi jej żaden mężczyzna.

– O to się nie boję, Piaskowy Nosie. – Oddi wybuchnął gromkim śmiechem. – Niechby który spróbował, to się zdziwi. Miałeś wiele szczęścia, przyjacielu, że zechciała takiego chudzielca. I ja też otrzymałem dar od bogów – dorzucił szybko na widok miny Shaa-naan-dithit.

To była zgrana grupa przyjaciół, których norny, Wielki Duch i Bóg chrześcijan połączyli w jedną drużynę. Wszystko jednak kiedyś ma swój koniec. Nadeszły ostatnie dni ich wspólnej żeglugi.

Syn Asgota Czerwonej Tarczy przebył długą drogę od wizyty w Stafangr, gdzie posiadał Kadlin – szaloną córkę stormana Håkona Benløsa, i napytał tym sobie biedy. Później po nieudanej próbie odebrania władzy Erykowi Zwycięskiemu uciekł wraz z ojcem spod topora konunga wszystkich Szwedów, pozostawiając w ojczyźnie matkę i siostrę. Opuścili Birkę na pokładzie kilku ocalałych knorrów i ruszyli w nieznane. Kierując się mglistymi instrukcjami kupca Bjarniego Herjolfssona, dotarli w końcu do Winlandii Dobrej. Ale i tu dopadł ich parszywy los i zbrojni Eryka. Jakby tego było mało, Oddi wplątał się w sam środek miejscowej wojny i tylko Wielkiemu Duchowi i nowym przyjaciołom zawdzięczał życie.

Rok spędził na Wielkiej Wyspie, rodzinnej ziemi ludu Beothuków. Olbrzymki norny, gdy przed narodzinami plotły jego los, musiały mieć przy tym świetną zabawę. W miejsce popiołów i śmierci znowu pojawiła się nadzieja. Na czele dwóch skipów, których załogi składały się z niedobitków drottmadów ojca i czerwonoskórych ludzi pod wodzą pół Beothuka, pół Duńczyka, powrócił pod przybranym imieniem do Szwecji. Nie po bogactwo i słuszną sławę odkrywcy, ale by odszukać i uratować matkę i siostrę.

Niestety, za późno. Tę pierwszą z rozkazu konunga Eryka Zwycięskiego zabił drottmad władcy. Pohańbił przy tym, jakby miał do czynienia ze zwykłą chłopką. Siostra żyła, ale została sprzedana w niewolę, czyli czekał ją los gorszy od śmierci. To dlatego wuj Eryk i cały jego pomiot musieli zginąć, płacąc krwią za śmierć i niedolę.

I znowu norny, a szczególnie najmłodsza – bezlitosna Skuld, pokierowały jego losem w tak przedziwny sposób, że poprzez rzeki wielkiej Rusi trafili do Miklagardu, stolicy Bizancjum. Znalazł Jofridę, a raczej to, co z niej zostawił konsul Valerius. Zemścił się krwawo i musiał uciekać z Wielkiego Miasta. Prawda była też taka, że nie przepadał za jego gwarem, smrodem, wiecznie uśmiechniętymi fałszywymi ludźmi i kamiennymi hovami.

Gdy nadarzyła się okazja, najął się do ochrony floty serkirskiego kupca. Ten po udanym handlu wracał właśnie z pełnymi ładowniami w rodzinne strony. Oddi wyczytał na bizantyjskich mapach, że płynąc wzdłuż wybrzeża kalifatu Kordoby, niestrudzony i nieznający strachu żeglarz dotrze do cieśniny Norvasund. Dalej było nieznane. Choć nie do końca, gdyż dzięki łasce bogów dwukrotnie już pokonał drogę ze Szwecji do Winlandii. I jeśli nie zawodziła go nabyta wiedza, żeglując przez Morze Zewnętrzne w kierunku zachodzącego słońca i północy, dotrze po raz trzeci do domu czerwonoskórej gadatliwej żony. Obiecał to jej ojcu – Kamiennemu Ostrzu.

W ojczyźnie nie miał na razie czego szukać. Zemsta, którą musiał wypełnić, o ile nie chciał sprzeniewierzyć się bogom, mogła poczekać. Shaa-naan spodziewała się dziecka, matka z siostrą nie żyły, czas pogospodarzyć i dochować się synów. Gdy osiągną pełnię sił, nadejdzie moment, żeby upomnieć się o należną rodowi daninę krwi.

Płynęli więc w dwanaście skipów do tej Valencji, jak zapewniał kupiec, dużego portu u wschodnich wybrzeży kalifatu Kordoby. Jak na razie Aegir oszczędził im sztormów, a piraci nie wazyli się atakować tak liczne go przeciwnika.

Nie obyło się również bez kłopotów. Gdy zawinęli do dużego portu u wybrzeży skalistej wyspy Krit, większość załogi zeszła na ląd. Tubylcy przestrzegali ich przed plagą węży, z którymi wyspiarze bezskutecznie walczą od dobrych kilku lat. Ale kto by tam słuchał. Ważniejsze było świeżo pieczone kozie mięso, a dla Skandynawów i kilku Rusów, którzy dołączyli do nich w bizantyjskiej stolicy, również dobre miejscowe wino. I właśnie jednego z nich – Olega, gdy poszedł oddać skalistej ziemi trochę płynów, pokąsały śliszkie bestie. Zmarł cały siny, nim zapadł zmierzch. Po tym zdarzeniu wszyscy przenieśli się na skipy, wietrząc podstęp miejscowych bogów. Oddi jednak wiedział swoje. Miał na pieńku z olbrzymim wężem Jörmungandem i to na syna Asgota zastawiono dzisiaj pułapkę. Bez żalu pożegnali skaliste brzegi tej wyspy.

Innym razem przez dwa dni więziono dziesięć dau kupca Hamziego i skipy eskorty w dużym kirikarskim mieście. Jego toczący wojnę z sąsiadem jarl wpadł na pomysł, że obcy wojowie pomogą mu w nadchodzącej bitwie. Hamzi się wściekł. Asgotsson jeszcze nigdy nie widział u tego Serkira takiego szaleństwa, choć po prawdzie nie znał go zbyt długo. Gdy zajęli nadbrzeżne katapulty i skierowali je w stronę grodu, miejscowy władca przemyślał sprawę i zluzował łańcuch blokujący zatokę.

Ale to miało być ostatnie miejsce postoju przed przybyciem do Valencji. Teraz czekała ich droga na zachód wprost do portu w Sjörklandii. Jak twierdził sam Hamzi, na dworze jego władcy gościło kilka szwedzkich załóg i miało im na niczym nie zbywać. Słyszając te nowiny, Oddi udał zainteresowanie. Był banitą, o czym Serkir nie musiał wiedzieć. Jeśli zostanie rozpoznany i trafi na przeważające siły...

Mijali właśnie majaczącą w oddali wielką wyspę Sikelø, gdy bogowie lub Jednobóg Allah pokrzyżowali plany Oddiemu Asgotssonowi, tak że bardziej nie można było.



Erik tego dnia wypłynął jako „gadający z niemymi” na pokładzie jednej z pięciu pizańskich galer. Wyposażone w komplet zdobytych na Longobardach niewolników doskonale sprawdzały się na spokojnych, ciepłych wodach wokół Sikilijji.

Nim słońce osiągnęło najwyższy punkt, pobrali myto od czterech przepływających tą trasą kupców. To był bardzo ruchliwy szlak z północy na południe, kopalnia łatwego złota. Nie dziwota też, że wszyscy mieli doskonale humory. No, prawie wszyscy.

– Podobno znowu nieźle narozrabiałeś, synu naszego konunga. – Halldor, syn Hallvardra, wylał za burtę wino, a potem jeszcze długo charczał, pozbywając się resztek z podniebienia. – Zgniłe, a wyglądało i pachniało dobrze – burknął z żalem, bo nie miał już więcej.

– W tym gorącu i my zgnijemy. Cni mi się do domu. A co do wczorajszej sprzeczki, to nie moja wina, że bogowie wypróbują mnie w każdy możliwy sposób. Ja ściagam dobrą walkę niczym żelazo pioruny.

– A mnie się zdaje, że pchasz łapy w kłopoty, byczku. Ktoś ci je kiedyś utnie i po zabawie.

– Nie lekceważ mnie, Halldorze. Choć jestem młody, stanę przeciw każdemu z naszych. Widziałeś moją walkę z Kolbjørnem Krzywe Zęby? Znasz jeszcze kogoś, kto wybił mu kiel i żyje?

– To fakt. – Starszy mężczyzna ciężko westchnął, patrząc na pełen wina róg chłopaka. – Z jakiegoś powodu Odyn cię lubi. Będziesz to pił?

– Co? Aaa, to. Pewnie że będę. W tym upale człowiek i własnych szczyn by popróbował, tyle że ciepłe.

– Tak myślałem. Co szkodziło zapytać? Wyglądasz na takiego, co jeszcze lubi mleko z maminego cycka.

– Nie igraj ze mną. – Erik wypił połowę, wzdychając po wszystkim z lubością. – Moje dobre, może trochę za słodkie, ale chłodne.

Potem widząc tęskną miną kamrata, powoli, z namaszczeniem wylał resztę za burtę. – To dla Aegira, drengu. Wiesz, musiałem... – Uskoczył przed mocnym kopniakiem Hallvardrsona.

– To nie mogłeś mi... – Rodzącą się kłótnię przerwał człowiek na oku.

– Okręty od sterburty! Cała flota!



Serkirskie dau próbowały umknąć, ale z pełnymi ładowniami i przy mniejszej liczbie wioślarzy były bez szans.

– Ty, Halldor! Te dwa są jakieś takie inne. Gdybyśmy nie byli tak daleko od domu, powiedziałbym, że to nasi. – Erik skakał po pokładzie podniecony.

– Nie gadam z tobą, kozodoju.

– Ale sam zobacz!

Byli już na tyle blisko, że bez trudu dało się rozróżnić nieco mniejsze, solidne i lekkie dwunastowiosłowe tolfareringry. Takie, które popłyną zarówno morzem, jak i większą rzeką.

– Ma rację. – Dowodzący pięcioma skipami Stigandi położył dłoń na ramieniu Erika.

– A ty mi tu nie brykaj, bo wybijesz dziurę w dnie.

Stigandi Zajęcza Warga był dobrym żeglarzem, ale jeszcze lepszym myśliwym. Kochał łowy, stąd jego przydomek. Syn konunga nieraz był świadkiem, jak wraz z Gardem Hakissonem gadali przez całą noc o sposobach podchodzenia tutejszej zwierzyny. Tak i teraz, widząc umykającą zdobycz, zapalił się do polowania.

– Wielu ich – rzucił ktoś.

– Ale ciężko orzą wodę, więc to kupcy. – Tymczasowy saekonung zatarł z radości ręce.

– A skoro tak, to mają na pokładach nasze złoto. Niechby i stawiali opór, zabawa będzie przedniejsza i tyle. Martwią mnie tylko te dwa skandynawskie skipy. Jeśli na nas ruszą, zdusimy ich, ale stracimy wielu ludzi. A do zdobycia cała wyspa.

– Co nasi albo Rusowie robią tak daleko od domu? – Zadumał się Halldor, syn Hallvardra.

– A co my tu robimy, człowieku o suchym pysku? – rzucił Erik.

– Mówiłem, że z tobą nie gadam. – Zbrojny ubódł młodzieńca grubym paluchem, aż ten zatoczył się i wpadł na burtę.

– Coś mi się tu nie podoba. – Sternik jakby nie zauważał tej sprzeczki. – Bo jeśli popłynęli za bogactwem, to dlaczego tylko w dwie łodzie? To jakby sami pchali się Fenrirowi w pysk. Chyba że przed czymś uciekają...

– Albo na pokładach są Maurowie, a nie nasi – dokończył Erik. – A statki kupili.

– Albo. Nie ma co strzępić jęzora po próżnicy, mocniej napierać na wiosła! Raz! Raz! Raz!

Zaświszczał bat nadzorcy i niewolnicy przyśpieszyli.

Widząc, że nie zdoła uciec, flota Serkirów poszła w dryf. Trzymali się razem niczym owce na widok wilka. Nie licząc dwóch mniejszych jednostek. Te czyhały w pewnym oddaleniu, gotowe zaatakować przeciwnika od tyłu.

Stigandi Zajęcza Warga wydał rozkazy i dwie galery oddzieliły się, by mieć na nich

baczenie. Dobrze karmieni przez nowych panów niewolnicy mocno pracowali wiosłami. Reszta powoli zbliżała się do kupieckich dau.

Widać już było wyraźnie ludzi na pokładach. Szmaciane łby wyraźnie szykowały się do walki. Stawiano drewniane barykady, ustawiano pęki strzał i oszczepów. Na większym od innych statku rozkazy wydawał dziwnie znajomy starzec.

– To Hamzi! – Erik nie mógł uwierzyć własnym oczom i szczęściu. – To kupiec Hamzi, ten, który uratował nam tyłki w Kordobie!

Stojący przy sterze Stigandi przywołał go ruchem ręki.

– Znasz tego szmacianego łba?

– Jak i ciebie sterniku. Przechował mnie, Asgota, Naję, Zena i Borgę pod pokładem swego skipu, gdy dybali na nas gwardziści kalifa. Porozmawiam z nim, zna mowę Romverjów. A ty, wodzu, pilnuj ludzi, żeby przypadkiem który nie puścił strzały. To przyjaciele.

– Łatwowierny jeszcze jesteś, ale popróbujmy.

Syn Eryka Zwycięskiego stanął na dziobie skipu i zaczął krzyczeć, i wymachiwać rękami. Kupiec też chyba rozpoznał, z kim ma do czynienia, gdyż wydał swoim jakiś rozkaz i jego statek ruszył na spotkanie galerom z Mesyny. Dołączyły do niego dwa tolfareringry eskorty.

Gdy tylko znaleźli się w zasięgu głosu, korzystając z pomocy tłumacza, Stigandi obwieścił handlarzowi dobrą nowinę.

– Powiedz szmacianemu, że reprezentuję władcę pobliskiej Mesyny. Mógłbym go złupić, ale pobiorę tylko należny podatek i puszcę wolno. I to dodaj, że zapłacą trzy z czterech części tego, co zabrałby im poprzedni pan tych wód.

Erik wykonał polecenie tymczasowego wodza wikińskiej floty. Po pokładzie kupieckiego statku przetoczyły się przyjazne okrzyki.

– I żeby nie zdierali sobie gardeł, zapraszam po trzech z każdego skipu na pokład mojej galery. Reszta ma zostać z dupami na kuferkach – zakończył. Swoim drengom nakazał trzymać broń w garści. Wszystko było możliwe w czasach krwi i żelaza. – Podstępność ludzi, chłopcze, jest równie stara, jak nierząd, żądza władzy i sam Yggdrasil.

Syn Eryka Zwycięskiego zgodził się, choć jeszcze niewiele wiedział o życiu.

Pogoda była niemal bezwietrzna, więc przybysze bez większych trudów weszli na pokład. Trzy mniejsze statki otaczały teraz wielką galerę ciasnym wianuszkciem i wyglądały niczym psy przy odyńcu. Z tyłu zajęły jednak miejsce trzy skipy z Mesyny, tak na wszelki wypadek. Piąta, ostatnia galera pilnowała kupieckich dau.

W skład załogi *Kowadla Odyna*, bo taką nazwę nadał swojej zdobyczej łodzi Stigandi Zajęcza Warga, nie licząc niewolników przykutych do wiosł, wchodziło dziesięciu Szwedów i trzy razy tyle gwardzistów kalifa. Na pozostałych jednostkach z Mesyny te proporcje były jeszcze gorsze. Ale nie było innego wyjścia, Kolbjörn Krzywe Zęby zabrał w głąb wyspy prawie wszystkich wikingów.

Patrzyli teraz na gości, cicho wymieniając między sobą uwagi. A widok przed oczami mieli przedziwny, niczym tęczowy most Bifrost. Najwyraźniej dowodzący wszystkimi krzepki starzec był typowym Maurem, tak samo jak jeden z jego pomocników. Drugiego skóra zdawała się spijać światło. Tylko białka oczu i zęby błyskały bielą. Z tolfareringra przybył wysoki i szeroki w barach woj, w którego czarnej brodzie nie znać było jeszcze srebra. Gdy się uśmiechał, wydawał się niewiele starszy od Erika. W pewnym momencie, poprawiając włosy, ściągnął je na chwilę w ogon i syn konunga zobaczył, że nie ma prawego ucha. Mimowolnie poglądził się po własnych bliznach z lewej strony i od razu polubił wielkoluda.

Ale to delegacja trzeciego skipu wzbudziła najwięcej szemrania. Stanowili ją dziwni czerwoni ludzie.

– Za dużo słońca czy oni tak od urodzenia? – rozpoczął przyjacielską rozmowę Stigandi.  
– Takich stworzyli ich bogowie, jarlu – odpowiedział wysoki brodacz w rodzimym języku Skandynawów.

– Dziwne. Svarte widywałem w mieście kalifa, choć nie tak czarnych jak ten tu. Ale czerwoni ludzie?

– Ten najwyższy z nich to półkrwi Duńczyk – Bjarki, i zna naszą mowę. Kupiec, który wynajął na tę podróż nasze topory, to Hamzi, poddany kalifa Ar-Rahmana. A ja jestem duńskim najemnikiem i Beothukowie zwań mnie Brzuchem Ryby. W domu zaś Sturlą, synem Tubbeo Pieśniarza.

– Beo...

– Ludzie o czerwonych twarzach.

– No tak. A ja jestem Stigandi, zwany też Zajęczą Wargą, syn szwedzkiego bonda Sverriego. I nie jestem jarlem tej drużyny, ale jedynie tymczasowym kapitanem pięciu skipów. Nami wszystkimi dowodzi Kolbjørn Krzywe Zęby. Może słyszałeś o tak znamienitym woju?

– Długo nas nie było w domu – odpowiedział wymijająco „Sturla”.

Erik, o co poprosił go osobiście kupiec Hamzi, cały czas starał się tłumaczyć rozmowę na język Romverjów.

– Skoro tak, bogowie musieli obdarzyć was szczęściem. Tak daleko od Danii i ze szczupłą drużyną ciągle macie własne skipy.

– Thor, Freja i Eir są naszymi towarzyszami, wodzu.

– A nie Loki? Dałbym pierścienie z brody, że gdzieś cię już widziałem, synu Tubbeo Pieśniarza.

– Świat nie jest tak wielki, jak nam się wydaje. Może napotkałeś na swojej drodze mego ojca? Jestem niczym jego odbicie w wodzie.

– Jest tu z tobą?

– Dwie zimy temu zginął w bitwie.

– To dobra śmierć. Nie ma nic gorszego niż Elli dopadająca męża w łożu. Erik, powiedz szmacianemu, że przyjmujemy myto w złocie lub żelazie. Niech sam zdecyduje. Jeśli jednak zwolni z danego słowa Duńczyków, zapłaci dwie z czterech należnych części. Przydadzą się jarlowi dwie dodatkowe załogi. Bo wiesz, Sturlo – znowu zwrócił się do czarnobrodego – wyspa, którą mamy za plecami, niedługo stanie się naszym nowym domem. Jest żyzna i ludna. Może być i twoim, jeśli zechcesz.

Kilka chwil trwała cisza. Przerwał ją Hamzi:

– U nas, wodzu, mamy takie powiedzenie: „Wielbłąd ma swoje plany, a poganiacz swoje”. Allah obdarzył mnie towarzystwem tych dzielnych ludzi i chwala mu za to. Jesteśmy już prawie na miejscu, więc zgoda.

– A co ty sądzisz o tej propozycji, czarnobrody Sturlo? Wy, Duńczycy, nieraz krzyżowaliście z nami swój háskeptr ox[35]. Ale tu, daleko od Skandynawii, wszyscy jesteśmy jednym narodem.

– Propozycja zacna i godna przyjaciół. Ale wiedz, Zajęcza Wargo, że jak prawie niczego na świecie pragnę wrócić na Wielką Wyspę, rodzinną ziemię moich czerwonoskórych braci. Oby bogowie sprzyjali waszym planom, tak jak sprzyjają naszym.

– Jesteś pewien? Tu możesz mieć swoją Wielką Wyspę. Znajdzie się i dobra ziemia dla twoich kompanów...

– Dałem słowo człowiekowi, którego bardzo szanuję, że wrócę. Ale nie mogę mówić za nas wszystkich. Bjarki?

W tym momencie do fałszywego Sturli podszedł roślejszy niż inni czerwony człowiek

i położył mu dłoń na ramieniu.

– Brzuchu Ryby, Wielki Duch chce naszego powrotu, roślina wyrwana z ziemi usycha. Zbyt wielu dzielnych wojowników błąka się już po obcych światach, szukając drogi do Odległej Krainy.

– Słyszałeś, wodzu. Więc jestem pewien.

– Szkoda. Syn Eryka Zwycięskiego uzgodni z kupcem wysokość myta i rozstaniemy się w pokoju.

Duńczyk zamarł, słysząc ostatnie słowa, i skupił wzrok na konungowym wyskrobku.

– Jesteś synem władcy wszystkich Szwedów, młody woju?

– Tak się akurat złożyło. – Erik błysnął zębami w uśmiechu. – Nie żebym żałował, choć czasem dostaję za to mocniej w skórę od drengów.

Rozmawiali na tyle głośno, że słyszano każde słowo na pozostającym na odległość wiosła *Błysku Młota*. Z jego pokładu dało się słyszeć kobiecy okrzyk i psie warczenie.

– To wiele zmienia, a właściwie zmienia wszystko. – Oddi wyprostował się, jakby właśnie podjął jakąś decyzję. Spojrzał w stronę stojącej przy burcie Shaa-naan. Ta trzymała się mocnicy i zaciskała dłonie na drewnianej belce tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie. Łzy ciekły po niewieściej, stężałej nagle twarzy. Od razu wydała się dużo starsza. Czarnobrody posłał w jej stronę bezgłośnie „wybacz”. Potem jakby zatrzasnęły się za nim jakieś drzwi, odwrócił się w stronę Szwedów z kamienną twarzą.

– To sprawa między mną a moim kuzynem – rozmawiał z Bjarkim w mowie Beothuków.

– Ciebie to nie dotyczy, przyjacielu. Wrócisz na *Aifura* i popłyniesz do domu. Opiekuj się moją kobietą i synem. – Pół-Beothuk milczał.

– Jakieś kłopoty? – Zajęcza Warga żył na tym świecie nie od wczoraj. To wszystko przestawało mu się podobać.

– Nie kłopoty, dowódco. Obowiązek wobec przodków i bogów. Zrozum to, wodzu, i nie mścij się na moich ludziach. – Ledwie skończył mówić, wyszarpnął z pochwy na szyi niewielki saks i doskoczył do Erika. Ten zareagował bez zastanowienia. Długie mozolne godziny ćwiczeń zrobiły swoje. W oczach i postawie sympatycznego Duńczyka pojawiła się chęć mordy i nim młodzieniec pomyślał o obronie, jego własna ręka wystrzeliła do przodu. Rozcapierzone palce trafiły w oczy i po chwilowym oporze miękko weszły do środka. Po prawdzie to przeciwnik pchany siłą rozpędu sam się oślepił. Nóż, który miał rozplatać szyję Erika, krzesząc iskry, ześlizgnął się nieszkodliwie po jego koleczudze.

Duńczyk nie poprzestał na tym. Wyjął niczym opętany przez *völvy*, mimo ran próbował dopaść młodego woja. Ciął nawet, ale lekko, stojącego nieopodal Halldora.

Stigandi Zajęcza Warga chwycił przymocowaną do mocnicy tarczę i jej obitą metalem krawędzią z całej siły uderzył w odwróconego plecami szaleńca. Trafił tuż poniżej szyi. Coś chrupnęło i ugięły się nogi pod czarnobrodym. Na pokładzie dwunastowiosłowca rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Towarzyszyło mu wściekłe warczenie.

Zbrojni na obydwu skipach miotali się, chwytając broń i tarcze. Widząc, co się dzieje, i na pozostałych statkach szykowano się do bitwy. W zaskoczonego kupca i jego ludzi mierzyły teraz dwie dziesiątki czarnych strzał.

– Czekać! – Dowódca floty z Mesyny zachował zimną krew. Uniósł ręce, pokazując przeciwnikom, że nie ma w nich broni. Ale bardziej chciał tym gestem powściągnąć swoich ludzi.

– Fredskjold wywiesiliśmy jako znak przyjaznych zamiarów. Dlaczego wybraliście haerskjold? – Patrzył to na bladego niczym własna broda kupca Hamziego, to na tego, którego szaleniec nazwał Bjarkim. I to ten ostatni powoli zatknął za pas dwa dziwne niewielkie toporki

o ostrzach z kamienia. Tak jak wcześniej Zajęcza Warga, też podniósł ręce, ukazując puste dłonie.

– Nie wiem, błądy człowieku, dlaczego tak się stało. Może opętały go złe duchy, może zatrzał się strawą. Jeśli chcesz walki, będziemy walczyć. Ale wciąż na naszych skipach wiszą białe tarcze.

Kupiec Hamzi, któremu Erik przetłumaczył słowa pół-Duńczyka, skinął tylko głową.

Nagle uwagę wszystkich zwrócił cichy jęk. Fałszywy Sturla jeszcze żył.

– Na bogów, nic nie czuję, nic nie widzę!

– Boś ślepy, głupcze – warknął, ssąc rozcięcie na dłoni, Halldor, syn Hallvardra.

– Dlaczego rzuciłeś się na mojego drenga! Czym cię uraził, że dla zemsty poświęciłeś życie swoje i swoich przyjaciół? – Zajęcza Warga kopnął leżącego bezwładnie Duńczyka. Nie zamierzał okazywać litości głupcowi.

– Musiałem. – Ten nie odczuł ciosu. Od szyi w dół jakby nie miał ciała. Spod zaciśniętych powiek sączyła się krew. – Jeśli pozwolisz mi pożegnać się z moją kobietą, wszystko powiem.

– I tak będziesz gadał, psie. A potem zdecyduję, co dalej.

Wydawało się, że ranny przestał oddychać, gdy w pewnym momencie do uszu zebranych dotarł jego cichy głos.

– Nie jestem synem Tubbego Pieśniarza i nie jestem Duńczykiem. Moje prawdziwe imię to Oddi, Oddi, syn Asgota Czerwonej Tarczy.

– Ha, mówiłem, że skądś znam tę gębę. – Stigandi pokręcił w zadziwieniu głową. – Ale mój kuzyn Lambi Byczy Kark, który wraz z Jökulą Szarym ruszył w pościg za twoim ojcem, mówił, że was tam wszystkich wybili.

– Widocznie nie wszystkich. – Z ust rannego wydobyło się bardziej westchnienie niż głos. Potem zebrał się w sobie i kontynuował: – Zostawiliśmy w Szwecji moją matkę Heldę i liczącą trzysta wiosen siostrę – Jofridę. Jesteś w pobliżu Eriku, synu Eryka Zwycięskiego?

– A gdzie mam być – burknął chłopak.

– Twój ojciec kazał zabić moją matkę i siostrę. Zrządzeniem bogów Friddka przeżyła, ale spotkał ją gorszy los od śmierci. – Przez kilka chwil odpoczywał, łapiąc płytkie oddechy. – To dlatego musiałem zemścić się na jego synu. Wbiłbym ci saks w serce, Eriku, i teraz, gdybym mógł. Nie z nienawiści, ale dla honoru.

– Asgot z Czerwoną Tarczą był sam sobie winien. – Syn konunga czuł, jak wrze w nim krew. – To wy przyłączyliście się do jego wrogów, by zasiąść w Uppsali w hovie wodza wszystkich Szwedów. Miał wam za to podziękować? Darować życie? W walce o władzę brat często staje przeciw bratu. Tak bogowie stworzyli ten świat. Ale przegrany zna cenę.

– Wiem, kuzynie, i nie mam już żalu. Każdy z nas robił to, co musiał. Zbliży swoją twarz do mojej, Eriku. Ja sam, ja... – Zamilkł.

Młodzieniec po chwili wahania pochylił się nad Oddim i gdy ten wyczuł jego oddech, otworzył oczy. A raczej to, co z nich zostało. Puste oczodoły znaczyły krew i ciemność, w kącikach zebrały się duże krople jakiegoś zabarwionego czerwienią płynu. Syn konunga zdrzął, bo odniósł wrażenie, jakby zajrzał w zaświaty.

– Chciałbym tylko – cichy szept przypominał odgłos letniego wiatru w liściach drzew – byś tu, przy świadkach, przysiągł mi na Odyna, że rachunki pomiędzy naszymi rodami zostały wyrównane.

– Nie ma już twojego rodu, Oddi, po co więc...

– Przysięgnij, a po śmierci będziesz miał we mnie przyjaciela.

– A niech tam, przysięgam na Jednookiego. Szkoda, że taki los splotły nam norny,

jednouchy. Polubiłem cię.

– Dzięki niech będą bogom. Znowu jesteście kuzynami. – Syn Asgota Czerwonej Tarczy jakby odzyskał nieco sił.

– Czemu zamiast ucha masz srebrny wisior? – spytał zaciekawiony Erik.

– Pamiątka po pobycie na Wielkiej Wyspie. Łączy nas bardzo dużo, w końcu nasi ojcowie byli braćmi. Ale o wszystkim opowiemy sobie przy wieczerzach w zamku Odyna. Nie zostało mi już dużo czasu w Midgardzie, dlatego mam do ciebie jeszcze dwie prośby, krewniaku.

– Mów.

– Nim umrę, chcę porozmawiać z Shaa-naan, moją kobietą. Wstaw się za mną u swego wodza. I... gdy już to zrobię... dobij mnie, bym trafił do Walhalli, a nie błąkał się po Nastrandzie.

– Tak będzie. – Erik, który cały czas delikatnie podtrzymywał głowę Oddiego, położył ją na deskach pokładu i spojrzął na Zajęczą Wargę. Ten wydał rozkazy.

Zaraz też rzucono kilka lin z hakami i położono długie deski. Po tej prowizorycznej kładce na pokład *Kowadla Odyna* weszła czerwonoskóra kobieta. Była brzemienna i dopiero teraz Erik zrozumiał, dlaczego umierający kuzyn nalegał na przysięgę. To był ostatni podstęp krewniaka, ale był rad, że się powiodł.

Za niewiastą wbiegł olbrzymi łaciaty pies, chociaż na dwunastowiosłowcu próbowano go zatrzymać. Bestia była wielka niczym młody cielak. Kłapnęła paszczą kilka razy i wokół ciała Oddiego powstała pusta przestrzeń. Kilku drengów chciało utłuc stwora oszczepami, ale Stigandi nakazał wszystkim się wycofać.

– Niech mają te kilka ostatnich chwil dla siebie. Znasz naszą mowę, czerwoniczka?

– Znam. – Jej głos był matowy od cierpienia, ale mocny.

– To nie przeciągaj tej rozmowy ponad miarę. Masz czas, dopóki nie zbierzemy myta ze skipów, a mnie się zdaje, że kupiec nie będzie się ociągał.

Erik przetłumaczył, a Hamzi spojrzął żywo na Zajęczą Wargę.

– Jak rozumiem, dotrzymasz danego mi wcześniej słowa i opłata wyniesie dwie z czterech części?

– A wyglądam na głupca, starcze?

– Na Allaha, gdzieżby...

– Płacisz pełną stawkę i ciesz cię, że po tym wszystkim jej nie podwoiłem.

– Niech i tak będzie, ale różnicę pokryję z opłaty należnej za ochronę. – Tym razem kupiec popatrzył na Bjarkiego. Ten nawet nie drgnął. Może dlatego, że nie znał mowy Romverjów, a może dlatego, że złoto było dla niego zbędnym, nic niewartym balastem.

Shaa-naan-dithit wykorzystała każdą chwilę, ale nadszedł w końcu czas, gdy obydwie floty miały się rozdzielić. Oddi żył jeszcze, gdy Erik położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

– Jedną jego prośbę spełniłem, czas na drugą.

– Pozwólcie mi go zabrać na *Aifura*. Mam mu jeszcze wiele do powiedzenia.

– Nie taka jest wola twojego mężczyzny. Nie unieszczęśliwiasz go, kobieto, swoją samolubnością.

– Ale...

– Niech sam powie, czego chce.

Oddi oddychał dziwnie płytko. Jakby nie mógł nabrać więcej powietrza.

– On ma rację, moja czarnooka. Idź do Ramira i zabierz ze sobą Zębatego. Rzuci się na nich, gdy zobaczy, że chcą mi pomóc. Opowiedz mojemu synowi, bo to będzie syn?

– Syn. – Głos nieledwie głośniejszy od szeptu wydobył się spomiędzy zbiegających warg Shaa-naan. Coś na kształt uśmiechu przemknęło przez twarz umierającego.



– Idź, pachnąca lasem, będę cię szukał po śmierci, choćby w innych światach. Idź, nie oglądaj mnie takiego. Zapamiętaj... – Zamilkł.

Zapłakana kobieta z trudem przeszła po prowizorycznym pomoście. Chwiała się jakby pod wpływem wielkiego ciężaru. Pies pobiegł za swoją panią.

Gdy Erik wbił nóż w serce krewniaka, ten stęknął, a potem odszedł w ciszy. Zniknęły bruzdy, które wyrzeźbiło na jego młodej twarzy cierpienie. Teraz, nie licząc ciemnej brody, wyglądał jak starszy brat Erika. Był do niego bardziej podobny niż rodzony Olof.

Ciało oddali Ran i jej córkom falom. Na odpływającym wraz z flotą kupca *Aifurze* jeszcze przez długi czas słyhać było zawodzenie kobiety i wilcze wycie.

# CASTRO-JOHANNIS



Jak donieśli Kolbjørnowi chrześcijańscy szpiedzy, wróg w wielkiej sile nadciągał ze wschodu. Poznał tu już każdy wąwóz, każdą przesiekę, więc nękanie i umęczenie jego oddziałów było niemożliwe. Tylko walna bitwa, ale jak tu walczyć, gdy jest ponad dziesięciu na jednego?

Rankiem wezwał do namiotu swoich najdzielniejszych drengów. Giuseppe Zbożowy też był na miejscu.

– Wróg w sile osiem razy po tysiąc piechoty i pięć razy po tysiąc jazdy jest o jeden dzień drogi stąd – zaczął grobowym tonem. – Wy ich znacie. – Spojrzał na tubylców. – Co zamierzają? Jak walczą? Czego powinniśmy się obawiać?

Odezwał się dowódca z Franazze, na którego wołano Dydak.

– Panie, jeźdźcy są niby wiatr, pojawiają się znienacka, zasypują deszczem strzał i odpływają, by zacząć wszystko od początku. Gdy wystarczająco zmęczą przeciwnika, wkracza piechota. Walczyłem kiedyś w ich szeregach i zaświadczę, że są karni i zaciekli. Trudno ich przestraszyć, a jeszcze trudniej rozproszyć.

– Czyli najpierw uderzy konnica. – Krzywe Zęby bezwiednie przeczesywał brodę. Pierścienie uspokajająco pobrzękiwały. – Osłony mają mocne? Oprą się strzałom?

– To lekkobrojni panie, zresztą jak my wszyscy. W wielkim słońcu każde dodatkowe żelazo szybko odbiera siły.

– Drengowie, jakieś pomysły?

– Zaatakujmy ich, gdy się tego nie spodziewają. – Hord Ingstadsson, niemłody już zylasty sternik, uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Najlepiej rankiem, przy pierwszych promieniach słońca.

– Nie podejmiemy niepostrzeżenia, bracie. – Jarl z żalem pokręcił głową. – Spodziewają się takiego ruchu. Giuseppe?

– Wódz wie, co mówi. – Kupiec zbożowy, gdy tylko Zeno skończył tłumaczyć, wzruszył pulchnymi ramionami. – Ibn al-Hawwas rozkazał swoim podjazdom zabijać wszystkich napotkanych chrześcijan, by ustrzec się przed naszymi szpiegami. Na długo przed pojawieniem się głównych sił przepatrują oni teren. Nocą również.

– Nie miel ozorem, człowieku, nie mają oczu kotów. – Hord prychnął pogardliwie.

– Ale jest ich tak wielu, że nie muszą ich mieć, przyjacielu. Poza tym nie zapominaj, że oni są u siebie, a takim szepczą do uszu skały. – Kolbjørn strzyknął śliną przez szczelinę w zębach.

– To zaatakujmy w dzień, wbijemy się niczym włócznia w dzika i dotrzemy do serca – nie dawał za wygraną wiking.

– I ugrzęźniemy w piechocie, a jazda siądzie nam na plecy. – Jarl westchnął ciężko, bo od wielu dni sam bił się z podobnymi myślami.

– Musimy oddzielić jednych od drugich i każdego pokonać osobno. – Wszyscy spojrzeli na Eldgrima Roga zaskoczeni nie tyle rozumną uwagą, ile samą długością zdania wypowiedzianego przez tego milczka.

– Czyli wracamy do mojego pytania. Jakieś pomysły?

Spotkanie ciągnęło się już dobrą godzinę i w końcu za radą Dydaka postanowiono, że na miejsce bitwy wybiorą rozległą równinę nieopodal zamku Enna, zwanego przez chrześcijan Castro-Johannis. Sama leżąca w centrum wyspy twierdza miała być niezdobyta i usytuowana niczym orle gniazdo, jednak okalający ją teren doskonale nadawał się do tego celu. Wznosił się lekko i wieńczyła go kamienna ściana, która miała ochronić plecy ludzi Kolbjørna. No i wybić z głów rejteradę tym, których znuży dalsza walka lub ogarnie ich panika. Jediną szansą na ujęcie z życiem z tej bitwy będzie zwycięstwo.

Ktoś, chyba dowódca z Romietty, nieśmiało wspomniał, że nawet gdyby udało się oddzielić konnych emira od piechoty, to i tak czterystu jeźdźców i niespełna drugie tyle pieszych będzie musiało stawić czoło pięciu tysiącom wojów, w tym trzem tysiącom nieznającej strachu berberyjskiej jazdy Ajuba. Zaraz jednak został zakrzyczany i wyśmiany.

Nim spotkanie dobiegło końca, do namiotu wpadł zdyszany Tagi Instadsson.

– Zbrojni! Od północy, wierzchem jedzie na nas wielki oddział!

– Ilu?

– Zwiadowca twierdzi, że setka, a może i więcej.

Jak to w życiu bywa, ludzie mają swoje plany, a bogowie swoje.



W pośpiechu formowano prostokątny szyk, którego boki osłaniać miał mur tarcz. Podczas tych kilku dni każdą wolną chwilę, a nie było ich wiele, wykorzystywano na ćwiczenia. Mimo to, gdy obca konnica pojawiła się w zasięgu wzroku, bardziej przypominali bezwładny tłum niż karny leiclang. Zbrojni z Romietty i Franazze stoczyli ze sobą mały bój, próbując zepchnąć konkurenta w głąb nowo powstającej formacji. Przeważyli ci drudzy, choć pobratymcy Giuseppego Zbożowego nie dawali za wygraną.

– Na włosy na dupach krasnoludzkich kobiet, stawać równo! Równo! – Krzyczał ile sił w płucach wściekły jarl. Klnąc bez przerwy, płazował właśnie jakiegoś zbyt hardego dziesięтника, którego ludzie naparli od tyłu na skaldborg, rozrywając powstający mur tarcz. Trochę pomogło, ale tak czerwonego na gębie nie widzieli go już dawno.

Lepiej poszło z jazdą i gdy przeciwnik znalazł się w zasięgu strzały z łuku, miał naprzeciwko nierówny, jako tako przygotowany do boju środek z pokaźnymi i zwartymi skrzydłami.

Obcy ustępowali liczebnie zbrojnym Kolbjørna, ale za to sprawnie ustawili się w klin i gotowali do bitwy. Nie były to szmaciane łby ani też longobardzcy rycerze, z którymi wikingowie mieli okazję się potykać na pizańskich skipach. To niemożliwe, ale Krzywe Zęby dałby brodę i pobrzękujące w niej pierścienie, że ma przed sobą Skandynawów. Szyk, uzbrojenie, wzrost, a nawet uniesiona wysoko biała tarcza – wszystko się zgadzało.

– Fredskjold? Tutaj? Aslof, weź na drzewce białe i czerwony skjold! – krzyknął do stojącego nieopodal młodego olbrzyma. – Jeśli znają nasze zwyczaje, to zrozumieją, że powinni trzymać się z daleka.

– Pomóż, niewolniku. – Czarna Broda klepnął Zena w plecy, omal nie strącając go z konia. Z tyłu podano dwie tarcze na długich drągach. Haerskjold wraz z fredskjoldem zalśniły w słońcu mocnymi, świeżymi barwami.

– A właściwie po co my to robimy? – wystękał były mnich, walcząc z niemałym ciężarem i wiatrem. Uniesiona wysoko drewniana tarcza była dla niego niby mały żagiel.

– Co po co? – Aslof prawie go nie słyszał w pełnym rzucanych gróźb przedbitewnym gwarze.

– No, te tarcze?

– Taki łysy, a taki głupi – warknął Czarna Broda, pochylając się w jego stronę. Trzymane jego mocarną ręką drzewce ani drgnęło. – Biała oznacza pokój, czerwona bitwę, a obie naraz – nie podchodź, jeśli ci życie miłe. Jesteśmy przygotowani.

W tym momencie od dziwnych jeźdźców oderwało się poselstwo i ruszyło w stronę pozycji zajmowanych przez zbrojnych Kolbjørna. Przewodził im mąż co najmniej o pół głowy większy od drengów Krzywych Zębów, wliczając w to jarla i dorównującego mu wzrostem Aslofa. Ogromny, czarny niby noc rumak, którego miał pod sobą, dopełniał wrażenia, iż to thursa

mają przed sobą, nie człowieka.

- Niech Odyn, król bogów, i jego małżonka Frigg sprzyjają waszym zamierzeniom!
- dobiegł jego dudniący głos. Wszyscy zrozumieli te słowa, gdyż mówił w języku Norwegów.
- Kto dowodzi tym leiclangiem?

Jarl spiął konia i w towarzystwie Horda Ingstadssona i Thjordmara Kappego wysunął się nieco do przodu. Poselstwo skierowało się w ich stronę.

– I tobie niech darzą bogowie, o ile nie masz niecnych planów wobec nas! – Kolbjørn nie pozostawał dłużny w gładkich słowach. – Kim jesteście i co was tu sprowadza?

– Zwą mnie Harald Hardrada z ojca Sigurdsson. Słyszałeś może już to imię? – Pięciu konnych osadziło wierzchowce w miejscu na tyle daleko, by nie uchybić honorowi i dobremu obyczajowi. Nie okazywali strachu. Zwierzęta zadrobiły nogami, wzbudzając na suchym gruncie niewielkie obłoczki kurzu. Nie mogły ujść uwagi wspaniałe stroje i doskonałe, mocne osłony tych zbrojnych. Przy pasie każdego kołysał się miecz w pięknie zdobionej kamieniami i złotem pochwie, co świadczyło o wielkiej zamożności.

– A powinienem? – Jarl nie ustępował nowo przybyłym w hardości. Ci popatrzyli po sobie i nagle buchnęli gromkim śmiechem.

– Cały świat drży, gdy kroczy Harald Hardrada – pośpieszył z życzliwym wyjaśnieniem olbrzym. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć, człowieku, pewnie niewiele widziałeś i niewiele wiesz.

– Przywiozłeś dupę na tym pięknym koniu, Haraldzie, by mnie obrazić? – Kolbjørn mówił swobodnie, jakby rozprawiał o nadchodzącym świecie jul. – Wystroiłeś się niczym dziewczka na ślub nie po to, by zrobić na mnie dobre wrażenie. A skoro tak, to masz w tym jakiś interes. Więc nie obrażaj mnie przy moich ludziach, bo spotkasz się z bogami szybciej, niż to sobie zaplanowałeś.

– Grozisz mi, przyjacielu?

– Nie jesteśmy drengami, dowódco. I czy groźbą jest powiedzieć prawdę? Rozejrzyj się, czterech naszych zbrojnych przypada na twojego jednego.

– Miecz ze stalowym rdzeniem przetnie i dziesięć z brązu.

– O ile wcześniej strzały nie przyspilią władającej nim ręki do ziemi.

Chwilę trwali w milczeniu, mocując się spojrzeniami. Ciszę przerwał przybysz:

– Znać po tobie wodzu, żeś przedniego i szybkiego rozumu oraz męznego serca, a właśnie to chciałem wiedzieć, nim oddam się pod twoje rozkazy. Jak cię zwać?

– Kolbjørn Krzywe Zęby, syn Thjordmara. Może słyszałeś o mnie?

Tym razem śmiechy rozlegały się po obydwu stronach.

– Powinniśmy porozmawiać, dowódco. – Ten, który nazwał się Haraldem Srogim, uderzył się pięścią w pierś. – Wiem o nadciągającej serkirskiej armii, ale nie jest ona jedyną.

– Jest jeszcze moja, ale to dla mnie żadna nowina. Bardziej ciekawi nas, co tu robisz, hövdingu?

– Na bogów, są jeszcze inni gracze, gotowi włączyć się do tej partii hnefatafla.

Krzywe Zęby spojrział na przybysza, jakby go dopiero teraz dostrzegł.

– Chodźmy do mnie. Musimy wiele wyjaśnić i opowiedzieć, a czas goni. Dzisiaj czeka nas bitwa.

Piątka obcych oraz dowódcy armii Kolbjørna znowu zasiedli w wodzowskim namiocie. Jeszcze czuć było w nim smród potu po poprzedniej naradzie. Tym razem jednak, jak nakazuje gościnność, przed poważnymi rozmowami posilili się nieco i przepłukali gardło miejscowym winem.

– Niewiele było przesady w słowach, jarlu, że znają moje imię na całym świecie. – Harald

Hardrada podniósł róg do góry i wypił zdrowie gospodarza. – Jestem jednym z dowódców gwardii wareskiej, przed którą drżą wrogowie we wszystkich krainach na południu. Cesarz Bazyli oddał mój lid do dyspozycji strategosa autokratora, Georgiosa Maniakesa.

– Jest tutaj?

– Cesarz?

– Nie, ten Greger.

– I tak, i nie, jarlu.

– Mówisz zagadkami, Waregu. Jak to możliwe, gdy nie jest się bogiem?

– Generał z wojskiem stacjonuje w Kalabrii, a ja z częścią jego armii jestem tu z tobą. Naszym zadaniem, to znaczy cesarskich, jest odbicie wyspy zwanej Sycylią z rąk Maurów i przywrócenie jej chrześcijaństwu. Koncentracja grikkmadzkich oddziałów we wchodzących w skład Bizancjum miastach Italii i gromadzenie floty w portach trwa od wielu miesięcy. Byliśmy prawie gotowi, gdy...

– Gdy pojawiliśmy się my?

– Loki by lepiej tego nie wymyślił, ale tak. – Szeroki uśmiech rozlał się po twarzy Hardrady. – Za pięć dni wielka flota miała przewieźć armię i konie na wyspę, ale przybyłem tylko ja, by wspomóc was w walce z Belcamedem.

– A jaki cel ma w tym ten Greger? – Eldgrim Róg splunął, trafiając przy tym we własny but. Podrapał się nieco zakłopotany po łepetynie.

– Eldgrim ma rację, Waregu. Dlaczego nie pozostawić nas samych sobie, byśmy się nawzajem wykrwawili? Potem nic prostszego, jak tylko zebrać tłuszcz z gotującej się zupy. – Kolbjørn uśmiechnął się niewinnie do siedzącego na wprost olbrzyma. W jego oczach nie było jednak wesołości.

– Taki był plan. – Hardrada wzruszył potężnymi ramionami. – Ale bogowie albo sam Syn Boży Jezus, albowiem musisz wiedzieć, że wielu moich w trakcie służby przyjęło wiarę chrześcijańską, zdecydowali inaczej. Wróg w Afryce zwiedził się o naszych przygotowaniach i ogłosił dżihad, czyli wojnę przeciwko niewiernym. Zaatakują italskie miasta, gdy tylko armia Maniakesa postawi stopę na Sycylii, a flota odetnie nam drogę powrotną. Od dawna próbują zdobyć tam przyczółek, by po jego umocnieniu ruszyć na Rzym. Gdyby tak się stało – Hardrada cały czas rysował po podłożu czubkiem rogu kontury lądów – strategos popadłby w niełaskę u cesarza Bazylego. To wielce pobożny, choć bezwzględny władca i odebrałby to jako obelgę. A obrazić basileusa to stracić głowę. Generał czeka więc, gotów najechać rodzinne ziemie Maurów, gdy to oni pierwsi przyplyną na wyspę. – Stał butem rodzącą się mapę.

– Trzymacie się wzajemnie za jaja? Nie będzie wsparcia dla szmacianego Hawwasa?

– Będzie, a właściwie to już jest. Serkirowie wysłali trzy razy po tysiąc lekkiej jazdy, pod wodzą Ajuba. Tego Berbera zwą też Siewcą Śmierci i w pełni zasłużył na takie miano. Ale dzięki bogom nie przyplynie nikt więcej. Przynajmniej na razie.

– A my jako przeciwwagę mamy ciebie i setkę Waregów?

– Dwa razy tyle, jarlu. Dwie setki moich ciężko opancerzonych gwardzistów, na mocnych, ćwiczonych do szarży koniach. To nie jest mało, biorąc pod uwagę, że nie spodziewałeś się znikąd pomocy. Mam rację, wodzu?

Tym razem to Krzywe Zęby wzruszył w odpowiedzi ramionami.

– Żadna z wielkich armii – kontynuował Hardrada – nie ruszy tyłka, obawiając się noża wbitego w plecy, więc los Sycylii rozstrzygnie się pomiędzy tobą a Belcamedem. Rozkazuj, a przysięgam w imieniu gwardii krew, pot i posłuszeństwo podczas nadchodzącej bitwy. Klnę się na Odyna i Chrystusa.

– Miałbym zaufać Norwegowi?

– Zaufaj swojemu szczęściu. Zresztą dałem ci słowo. – W głosie Warega pojawiły się nuty gniewu.

– A więc plan mamy taki... – zgasił je zaraz Kolbjørn. Jako mądry wódz wiedział, że nie walczy się naraz z dwoma silnymi wrogami.

Zeno drżał. Podczas całej tej rozmowy siedział skulony w kącie namiotu, próbując stać się niewidzialny. Uciekłby, ale Krzywe Zęby chciał go mieć pod ręką, na wypadek gdyby trzeba było rozmówić się z którymś z miejscowych dowódców. Na szczęście do tej pory jarl nie potrzebował pomocy tłumacza, więc niewolnik był jednym z wielu, a w zasadzie nikim. Na samą wzmiankę o Bułgarobójcy i gwardii wareskiej potworny strach ścisnął gardło wychowanka mnichów z górującego nad doliną Altindere monastynu.

– A jak chcesz, jarlu, podzielić siły Belcamedy? – Jasnowłosy, srogo wyglądający woj, jeden z tych, którzy przyszli tu z Hardradą, uniósł dłoń. Stał przed Zenem, więc ten mógł zauważyć na jej grzbiecie wytatuowaną głowę węża, z którego pyska wystawał serdeczny palec człowieka. Reszta wijącego się ciała ginęła w rękawie Warega.

– Z kim rozmawiam?

– Wybacz. Zwą mnie Sveinung, syn Sverriego. Jestem Szwedem jak i ty, ale wierność i miecz przysięgłem cesarzowi.

Krzywe Zęby skinął mu głową.

– Chcemy ruszyć na nich z częścią gwardzystów kalifa. To ci w niebieskich tunikach – wyjaśnił, widząc zdziwienie gości – są naszymi niewolnikami. Gdy już rozjuszą wroga, oderwą się od niego i popędzą w stronę naszych pozycji.

– Właśnie miałem cię o nich zapytać, wodzu Kolbjørnie. Ufasz im? Powierzysz takim ludziom plecy? – Harald Hardrada patrzył nieprzeniknionym wzrokiem na Naję.

– Nie mam wyboru, przybyszu. Więc im ufam.

– Hawwas zwierzy pułapkę. – Ten, który kazał mówić na siebie Sveinung, wykonał jakiś dziwny, odzęgnujący gest.

– Wierzyłbym temu, co mówi mój człowiek. Był ich więźniem przez dwie zimy – poparł swojego dowódcę Waregów. – Gdy go odbijaliśmy, był żrącym odpadki cieniem, ale nie dał się złamać.

Krzywe Zęby pogładził brodę w zamyśleniu.

– To słaby punkt naszego planu, zresztą niejedyny. Co proponujesz, Sverrissonie, bo nie gadasz tylko po to, by strzępić język.

– Wiedzą, jarlu, że masz pod swoimi rozkazami i wikingów. Zaatakuj ich mieszanym oddziałem, a pomyślą, że ruszyłeś całymi siłami. Wsadź na konie też miejscowych, bo szkoda tych szkolonych w walce niewolników, a niewielu wróci z tego rajdu. Gdy zaczniecie uciekać, nie przepuszczają okazji, żeby zakończyć bitwę, nim tak naprawdę się rozpocznie. O nas nie wiedzą, od wybrzeża szliśmy spaloną i krwawą ziemią. Nikt nie mógł donieść. Zostaw z nami część sił, a wtedy...

– I wtedy przetniemy ich na pół. – Hardrada uderzył kantem dłoni w dłoń, jakby markując cios nożem.

– Plan dobry, ale zrobimy to po mojemu. – Jarl kawałkiem patyka narysował linie wroga.

– Uderzycie na ukos, prąc od lewego skrzydła ich sił. Hord Ingstadsson – wskazał na żyłastego setnika, niegdyś sternika na *Czarnej Śmierci* – z setką drengów zrobi podobnie, ale z przeciwnej strony. Widziałem, jak nieliczni ciężkozbrojni krystusowi rozbili w ten sposób wielką armię kalifa pod Simanacas. Gdy spotkacie się za ich plecami, szmaciana armia będzie podzielona na trzy, a nie dwie części. Jeśli po czymś takim nie ogarnie ich popłoch, to mam dwa zdrowe jajka. Tu i tu – dorysował punkty z boku – są niewielkie zagajniki i tam ukryjemy pieszych z thundami.

Przydadzą się ich strzały, by zwiększyć panikę.

– Myśliwy nie ruszy za zajęcem, gdy was tam nie będzie. – Sveinung pokręcił z powątpiewaniem głową. Nie lekceważ ich, jarlu.

– Będziemy. Pięć dziesiątek pod moją wodzą, a na luzakach i pociągowych stu lekkobrojnym z Romietty. Dla niepoznaki damy im nasze odzienie. Zaatakujemy szmacianych w cztery setki jazdy. To zbyt łakomy kąsek, by pozwolili nam odejść. Ruszą w pościg.

– Jest, jak mówisz, hövdingu. Ale nie dzieliłbym piechoty na mniejsze oddziały. Ile masz: dwie, trzy setki? – Hardrada wskazał na dwa miejsca na tymczasowym planie bitwy, w których Krzywe Zęby chciał rozmieścić łuczników. – Tysiące jazdy Hawwasa przetoczą się po nich niczym pies po gównie, zmarnujesz tylko ludzi, a nie masz ich zbyt wielu.

– Ale mam coś innego, niespodziankę, którą zabraliśmy jeszcze z Kordoby. Bogowie obdarzyli cię wielkim rozumem, Haraldzie Waregu. Dobrze mieć takiego druha przy boku. Setka moich gwardzistów i dwie z Franazze będą walczyć razem. Mało mamy zbrojnych i żadnych odwodów, więc za każdą pomyłkę zapłacimy porażką. Z drugiej strony nie ma nic złego w takiej śmierci. Będzie, co ma być.

Gdy wyszli na zewnątrz, poranne, ale piekące już słońce skryło się na kilka chwil za chmurami. Powiał wiatr, dając wytchnienie ludziom i koniom. To był znak, że znudzeni bogowie zwrócili swój wzrok na tę część Midgardu.

Zeno odetchnął z ulgą, gdy obydwaj wodzowie zakończyli naradę i rozpoczęto przygotowania do wymarszu. Może wśród dwóch setek Waregów nie ma nasłanych przez wuja zabójców, tych samych, którzy szukali go w klasztorze Sumela i w Bretlandii? A nawet gdyby, nie powinni go poznać. Strach jednak pozostał. Zmienił się w panikę, gdy przybiegł umyślny z wezwaniem od Kolbjørna. Chcąc nie chcąc, powłókł się noga za nogą w stronę jarla omawiającego coś z Hardradą. W pobliżu, jak to miał ostatnio w zwyczaju, kręcił się oczywiście Giuseppe.

– Jestem, panie. – Stał przed wodzem, wpatrzony we własne, podniszczone już sandały.

Kolbjørn skinął ręką i podeszło dwóch miejscowych dowódców. Szczupły i ogorzały Dydak, dowodzący dwoma setkami chrześcijan z Franazze, i drugi, niższy z Romietty, na którego ludzie wołali Bakchus. Z pobrużdżonej twarzy tego ostatniego, choć przecież nie wyglądał na siłacza, było opanowanie i pewność siebie.

– Słyszałeś niewolniku, co ustaliliśmy w namiocie?

– Tak, panie.

– Gadaj więc, bo czas ucieka.

Zeno krótko opowiedział w języku Romverjów o przebierańcach i wyłożył, jaki jest plan ataku. Ta pierwsza informacja nie wzbudziła zachwytu ani jednego, ani drugiego miejscowego dowódcy.

– Ci z Romietty włożą nasze łachy i wybiorą sobie konie. Nim słońce zawędruje w najwyższy punkt, chcę być w drodze.

– Panie – Bakchus skłonił się nisko – to my pierwsi zetrzemy się z wrogiem, posyłasz moich ludzi na śmierć.

– Każde życie tym się kończy, człowieku. W oczach bogów różnimy się tylko tym, że jedni robią to z dumą, a inni skuleni ze strachu. Wasza śmierć, a może i moja, bo będę tam z wami, nie pójdzie na marne. Twój Jednobóg to doceni.

– Nie boję się zginąć. Obawiam się o swoich ludzi. Nigdy nie walczyli w takiej bitwie, uciekną przy pierwszej okazji i chciałbym, żebyś o tym wiedział, panie.

– Byle nie za wcześnie, bo o ten ich strach nam chodzi. Doceniam jednak twoją odwagę, setniku. Jeśli dane nam będzie dożyć do wieczora, proś mnie, o co chcesz.



Miejscowi oddalili się już bez słowa.

– Ty, niewolniku, razem z Giuseppem dołączycie do pieszych oddziałów. Nie poślę na śmierć mojego ucha – spojrzał na kupca – i języka, który zna mowę Romverjów, Krikiarów i naszą. Jeszcze się przydasz.

Zeno pomyślał, że nie tylko o informatorów Zbożowego chodzi, ale też o jego samego, ale milczał. Zaraz jednak przestało to mieć znaczenie, jako że z nieodgadniętym wyrazem twarzy podszedł do nich Wareg z sinym węzem wyklutym na dłoni.

– Mało jest takich niewolników, jarlu, którzy znają nasz rodzimy język i grikkmadzki. Byłeś bizantyjskim poddanym, nim sprzedano cię w niewolę? – Tym razem zwrócił się wprost do niedoszłego mnicha. Zeno milczał jak zakłęty. Nie mógł wykrztusić słowa.

– To pies jednego z moich ludzi, Sveinungu – wybawił go z opresji Kolbjørn. – Bardzo użyteczny. Porwaliśmy papara z jednego z klasztorów w Bretlandii, dokąd faktycznie przybył z południa. A dlaczego pytasz?

– Bez powodu, jarlu. Przydziel go do naszej hirdy[36], zna pewnie wiele ciekawych opowieści. A jako były poddany basileusa jest dla mnie niczym brat.

– To szukaj gdzie indziej swoich krewniaków, człowieku. – I tracąc zainteresowanie rozmową, Krzywe Zęby rzucił się w wir przygotowań. Nim nadeszło południe, czterystu jeźdźców ruszyło w stronę nadciągającego wroga. Zeno, choć z duszą na ramieniu, bezpiecznie dotarł do piechurów. Do Enny, jak zapewniał kupiec zbożowy, nie mieli dalej niż godzinę drogi.

BITWA



Jadący przodem wikingowie wbili się ze szczękiem stali w zaskoczonych niespodziewanym atakiem jeźdźców emira Ibn al-Hawwasa. Za sobą mieli setkę przebierańców, których od ucieczki powstrzymywali siedzący im na karkach gwardziści w niebieskich tunikach. I to oni, strzelając z morderczą precyzją z krótkich łuków, potęgowali zamieszanie w szeregach wroga.

Ci, którzy spadali z siodeł, tratowani byli w panującym ścisku przez własne konie.

Przeciwnik, o dziwo, dał się zaskoczyć. Atakujący najpierw gwałtowną szarżą roznieśli w puch przednią straż i teraz niby wielka pięść uderzyli w główne siły wroga. Linie maszerującej jazdy zafalowały, ugięły się pod wpływem tego impetu i pękły. To jednak było nieprzebrane mrowie, więc zabitych i rannych zastępowali wciąż nowi i żądni krwi towarzysze. Tempo natarcia spadało, aż całkiem zamarło.

Kolbjørn, by uniknąć okrażenia, rozstawił swoich na całą szerokość niewielkiej doliny, którą posuwała się armia Belcamedy. Atakujący zaciekłością nadrabiali mniejszą liczebność i póki sił w rękach i krwi w żyłach jadących na przodzie Skandynawów, póty ten stan trwał. Rzenie stłoczonych koni i okrzyki próbujących je uspokoić ludzi odbijały się od kamiennych ścian zwielokrotnionym echem.

Jednak tylko pierwszy szereg napastników był ciężkozbrojny, więc ostrze tej broni zaczęło się szczyrbić. Ale nawet osłabione siało śmierć wspólnie z nadlatującymi z tyłu strzałami gwardzistów.

Przez te pierwsze kilkanaście minut bitwy poległo wielu Serkirów, w równym stopniu od ścisłu i kopyt własnych koni, jak od miecza i topora wrogów. Ale pięćdziesięcioosobowy oddział Szwedów zapłacił za to najwyższą cenę. Przeszedł istnieć.

Szalejący po prawicy jarla Thjordmar Kappe – jedyny z dowódców, którego ten zabrał ze sobą na tę samobójczą misję, rozrąbał właśnie toporem czerep kolejnego Maura. Chwilę wcześniej szmaciany, korzystając z okazji, nieomal przebił oszczepem zajętego rozprawianiem się z jego towarzyszem Kolbjørna. Saekonung skinął głową drengowi, a ten w odpowiedzi błysnął zębami. Był szczęśliwy, bo dobra walka upaja jak mocne piwo. I taki zginął, gdy zaraz potem ktoś wbił miecz w tors jego konia, a przerażony wierzchowiec stanął dęba i zrzucił Kappego na kamienie. Potem rumak sam padł martwy na dogorywającego wikinga.

Powstające luki próbowali zapelniać zbrojni z Romietty, których zagrzewał do walki ich dowódca, ale każda odwaga ma swój kres. Słabe osłony i brak wyszkolenia skazywały ich na śmierć. Widząc taką nieudolność pogańskiego robactwa, wyznawcy Proroka zdwoili wysiłki. Czuli, że przełamanie jest już blisko. Gdy najpierw głowa, a potem reszta ciała dzielnego Bakchusa spadły z konia, romiettańczycy, a przynajmniej ci z nich, którzy przeżyli wystarczająco długo, rzucili się do ucieczki. To byli mieszkańcy w miarę spokojnego miasteczka: rzemieślnicy, kupcy, robotnicy, a nie żołnierze z krwi i kości.

Krzywe Zęby jakby na pożegnanie odciął ramię jakiegoś szmacianego i zawrócił konia. Zawył dziko i z wysoko uniesionym mieczem ruszył za swoimi ludźmi. Od tarczy na plecach odbiło się nieszkodliwie kilka ostrzy. Gwardziści rozstąpili się, żeby przepuścić wodza, i jednocześnie dwie i pół setki zbrojnych wypuściło strzały.

Było to uderzenie młotem. Zajmująca połowę doliny rozpędzająca się konna armia jakby wpadła na kamienny mur. Ciało zabitych i rannych stanowiły przez kilka chwil korek w bukłaku. Niebieskie tuniki na rozkaz Nai karnie zawróciły i pognały w ślad za uciekającymi towarzyszami. Nie okazywali strachu i gdyby padł rozkaz do ataku, rzuciliby się na wroga, żeby zginąć w chwale.

Nic jednak nie trwa wiecznie, w oddziałach emira Ibn al-Hawwasa dowódcy przywrócili

porządek i wściekły, upokorzony i żądny zemsty wróg rzucił się w pościg. Po wyjściu z doliny trzy tysiące berberyjskiej jazdy Ajuba, posłuszne dźwiękom bębnow, oddzieliło się od głównych sił i pomknęło w pewnym oddaleniu w tym samym kierunku co konnica emira. Przypominali psa pasterskiego czujnie obserwującego rozpędzające się stado.



Pościg był morderczy i krwawy. Tym razem jednak ginęli głównie gwardziści kalifa. Odgryzali się wprawdzie, strzelając do tyłu w pełnym pędzie, ale gdy zabrakło w kołczanach strzał, mogli tylko modlić się do swoich bogów. Wróg celował w konie i „połykał” tych, którzy zostawali z tyłu. Nim dotarli na równinę nieopodal zamku Enna, oddział w niebieskich tunikach skurczył się o trzecią część.

Na płaski, lekko wznoszący się teren wpadły niedobitki sił uderzeniowych z czującym smak zwycięstwa przeciwnikiem na plecach. Pyski wyczerpanych koni pokrywała piana. Nienawykłe do szybkiego biegu zwierzęta pociągowe padały, gdy pękały im z wysiłku serca. Z czterech setek jeźdźców, których prowadził Krzywe Zęby, ledwie połowa dotarła do końca drogi. Zawracali teraz, co wywołało potworne wycie u ścigających. Zwycięstwo było tuż, Allah ich dzisiaj pobłogosławił. Wykrzesali ze zwierząt resztkę sił i jeszcze przyspieszyli.

W tym momencie ruszyły na nich skryte w cieniu skał dwa świeże oddziały ciężkozbrojnych. Od lewej, nabierając po skosie rozpędu, zaszarżowali Waregowie Hardrady, od prawej to samo zrobiła setka wikingów dowodzona przez Horda Ingstadssona. Do tych ostatnich dołączyli na ledwo żywych koniach ocalali i żądni zemsty gwardziści kalifa i Kolbjørn Krzywe Zęby. Zakrwawiony od stóp po czubek brody, ale cały.

Zbrojni z pierwszych rzędów sług Proroka zauważyli niebezpieczeństwo, ale nie sposób jest na polu bitwy dokonać szybkiego przegrupowania tak wielkiej masy ludzi. Pędzili więc dalej przerażeni, ale do końca dzielni, i ginęli. Ciężkozbrojni jeźdźcy, tym razem w formacji klina, wbili się w nich i parli po trupach.

Na polu walki najgorsza jest niewiedza i idąca w ślad za nią panika. Niekiedy wystarczy, że zacznie uciekać niewielka grupka zbrojnych, by za nią ruszyła cała armia. Tylko wielcy wodzowie potrafią przeciwstawić się takiemu popłochowi i takim wodzem był emir Ibn al-Hawwas. Jego liczący stu najlepszych jeźdźców oddział przyboczny stał się z klinem Waregów. To było desperackie działanie, ale mogło spowolnić, a nawet zatrzymać przeciwnika, co dałoby czas reszcie wojska, by otrząsnąć się z zaskoczenia. Flagi sługi Proroka powiewały wysoko, budząc nadzieję zdezorientowanych oddziałów.

Allah i Mahomet odwrócili jednak tego dnia wzrok od swojego sługi Ibn al-Hawwasa. Straszni wojowie na swoich wielkich rumakach nie umierali. Grube stalowe kolczugi, które innych przygięłyby do ziemi, im zdawały się nie zawadzać w boju. Walcząc dwoma toporami lub mieczami, kierując końmi samymi nogami, zdało się, bez wysiłku odrzucili od siebie lekkozbrojnych jeźdźców emira. Jego samego rozplątał jednym potwornym ciosem olbrzym na czarnym niby noc ogierze.

Bitwa nie była jednak jeszcze przegrana. Jeźdźców Ibn al-Hawwasa było tak wielu, że część z nich nie zauważyła śmierci swojego wodza i walczyła dalej. Gdy usłyszeli bębny wojenne Berberów, w ich serca wlała się nadzieja, a w ramiona siła. Oto bowiem od zachodu nadciągnęły trzy tysiące pustynnych lwów.

Ajub, widząc, co się dzieje, nie dołączył do ogólnej walki, ale uderzył z marszu na stojącą na wprost i szyjącą z luków piechotę. To był morderczy atak. Dwa pierwsze szeregi w jednej chwili przestały istnieć. Resztę przed unicestwieniem uratował pobliski gęsty młodnik.

Ajub nie marnował czasu, osiągnął swój cel. Na prawo miał doskonały widok na pole

bitwy. I choć było źle, to przecież nie beznadziejnie. Wróg z dwóch kierunków parł przez skłębiony tłum ludzi i koni, wydawał się nie do powstrzymania. Ale przecież był w mniejszości. Pomimo wielkich strat armia władcy Sikilijji ciągle miała przewagę. I to nie licząc Berberów, których prowadził ze sobą.

Stanął więc w strzemiączkach i z ogniem w oczach zakrzyknął:

– *Allahu akbar!* – Tysięczny tłum powtórzył to zawołanie i przetoczyło się ono po równinie niczym grzmot burzy. Ruszyli, z każdym krokiem nabierając rozpędu.

Trzy tysiące jeźdźców przebyło połowę drogi, gdy nagle w ich szeregach zapanowała panika. Konie stawały dęba, ludzie spadali na ziemię. Zakotłowało się w pełnym kwiku rannych zwierząt i okrzyków tłumie.

Piechota, która zdążyła się już z powrotem ustawić na pozycjach, nie miała problemów z wyborem celów. Strzały zbierały straszne żniwo, potęgując zamieszanie. Znowu zabrzmiały bębny i niespełna połowa oddziału zawróciła. Ale nie zamierzali uciekać. Wściekli Berberowie gnali teraz po własnych śladach w stronę wroga, o którym myśleli, że jest już pokonany, wdeptany w ziemię.

Tym razem ciężkozbrojni piechurzy z Franazze i kilkudziesięciu na niebiesko ubranych gwardzistów byli przygotowani. Do przodu poszły długie piki, których nachylone pod kątem końce wbito głęboko w grunt. Kilka ciasnych rzędów zwarło się jeszcze bardziej, tworząc półkolisty, zdolny powstrzymać szarżę mur. Niewolnicy będący darem Abd ar-Rahmana wielokrotnie ćwiczyli ten manewr w Kordobie i to oni teraz nadawali ton obronie. Wiedzieli, że gdy tylko wróg się z nimi rozprawi, powróci na pole bitwy. Niewiele trzeba, by zwycięstwo zmienić w klęskę i odwrotnie. Metalowe kolce rozrzucone w wysokiej trawie, by utrudnić szarżę głównych oddziałów w tym kierunku, spełniły swoje zdanie w sposób, którego nikt nie mógł przewidzieć. Ale ta sztuka udała się tylko raz. Wiedząc, z czym mają do czynienia, Berberowie, choć osłabieni, okrążą zdradliwy teren i zaatakują mniej licznego przeciwnika. A gdy już to zrobią, nie będzie litości dla przegranych. Rozumieli to też chrześcijanie, bo to oni zostawili za murami Franazze rodziny. Modlili się więc bezgłośnie do Jednoboga, spowiadali z popełnionych grzechów, ale miny mieli zacięte.

Gdy jazda znalazła się w zasięgu, wyleciał jej na spotkanie rój oszczepów. Nie były to lekkie strzały, przed którymi chroniły dobre kolczugi i hełmy. Zakończony metalem drzewca, jeśli trafiły jeźdźca, niejednokrotnie wysadzały go z siodła. Honor dumnych wojowników został tego dnia wystawiony na ciężką próbę. Musieli dopaść i zmiażdżyć, zgnieść i wypatroszyć tę niewierną hołotę.

Oddziały zwarły się, czemu towarzyszył kwik koni i przenikliwe wycie ludu pustyni. Piki pękały pod ciężarem zwierząt, wbijały się w ich szerokie piersi. Wydawało się, że na skutek impetu obrona zostanie przełamana, gdyż ugięła się, jednak pierwsze rzędy wsparli stojący z tyłu, a tarczownicy poczuli, jakby oparli się o skałę. Wytrwali. Wzdłuż zajmowanych przez nich pozycji toczyła się walka na wyniszczenie. I to przeciwnik miał przewagę liczebną.

Zeno dwoił się i troił, próbując z dalszych szeregów wspomóc walczących i umierających towarzyszy. Uzbrojony w długi oszczep przecisnął się pomiędzy ich nogami i teraz wbijał ostrze w miękkie końskie podbrzusza. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest tak odważny, ale to strach i potrzeba tworzą bohaterów. Wycofywał się i uderzał w innym miejscu. Był niczym kobra – zabójczo skuteczny.

W pewnym momencie ujrzał przed sobą piaskowego rumaka z czarnymi skarpetami. Ruszył ku niemu i nim spostrzegł, głowa i ramiona wystawały mu poza mur tarcz. Ostrze wykonało długie cięcie i przerażone zwierzę stanęło dęba, a z rozplatanego brzucha wypłynęły wnętrzności. Spadły wprost na Zena, całego go mocząc. Koń przeraźliwie zarżał i zwałił się na

ziemię, przygniatając niewolnika. To był koniec i niedoszły mnich zapadł w ciemność.

Obudził go jeden z setników, odciągając na bok koński zewłok. Słońce przesłoniła uśmiechnięta, choć zmęczona twarz Nai.

– Śmierdzieć. Gówno kwiat przy tobie. Ale ty dzielny, moi twierdzą, że jesteś ich brat.

Zeno ukląkł i zaczął obmacywać się w poszukiwaniu złamań. Chyba był cały.

– Ale żywy. Ale żywy! – powtórzył głośniejszym głosem, ciesząc się, że oddycha.

– Ostatnia chwila. Niewiele, a same tropy i krew.

– Trupy, setniku, trupy. – Zeno chciał uściskać dowódcę gwardzistów, ale ten odsunął się od niego przezornie.

– Gówno kwiat przy tobie. Mówiłem. – Potem wydał swoim jakiś rozkaz i dobra setka strudzonych gwardzistów, niby jeden mąż, wsiadła na równie zmęczone konie. Zaraz też zawrócili i omijając szerokim łukiem pole z kołcami, ruszyli truchtem w stronę pola walki.

W tym czasie resztki Berberów była już daleko. Gdy zaatakowali ich od tyłu jeźdźcy w niebieskich tunikach, doszło do rzezi. Ci, którym udało się przetrwać, rzucili się do ucieczki. Ajub, którego biały rumak padł z ostrzem w boku, ściągnął z konia jednego ze swoich ludzi. Ten próbował protestować, ale wódz ciął go z góry i odjechał. Nie pomknęła za nim żadna strzała, gdyż niestety kołczany były już puste.

Wygrali. Przerazone niedobitki ze ścigającymi ich i masakrującymi zbrojnymi Kolbjørna na plecach wpadły na własnych piechurów usiłujących w pośpiechu ustawić szyki obronne. Tego było za wiele, wielka masa ludzi rzuciła się do ucieczki.

Jeśli kogoś tego dnia nie zabito, to nie dlatego, że dzielnie stawał, po prostu zwycięzcy jeźdźcy nie mieli już siły unieść rąk. Ich wycieńczone konie zatrzymywały się i nie chciały iść dalej. Zbliżał się wieczór i jarl zarządził odwrót. Na rozświetloną dziesiątkami ognisk równinę nieopodal zamku Enna wielu dotarło późną nocą. Dopiero poranek pokazał skalę zwycięstwa i setki trupów zaścielających pole bitwy. Jeszcze więcej odnaleziono w miejscu, w którym rejterująca jazda zderzyła się z własną piechotą. Tysiące wyznawców Allaha straciło życie. Armia wielkiego Ibn al-Hawwasa przestała istnieć.

Straty ponieśli też wikingowie i ich sojusznicy, ale śmierć w takiej bitwie była bramą do Walhalli. Nie trzeba płakać, tylko weselić się, życząc martwym przyjaciołom wielu dobrych bitew w Asgardzie.

To nie był koniec walk o Sikiliję, czy też Sycylię, jak zwali wyspę Waregowie. Ale teraz zdobywać będą miasto po mieście, zamek po zamku, aż staną się panami tych żyznych terenów. Na razie jednak ci zmęczeni i ci lżej ranni snuli się wśród trupów, odzierając je z kosztowności, co lepszych osłon i broni. Serkirowie mieli zwyczaj zabierać dużą część swojego bogactwa na pole bitwy. Nieroztropnie byłoby pozostawić takie skarby krukom i miejscowym.

ZENO



Wielka armia ciągnęła z wozami pełnymi dobra w stronę Mesyny. Na razie mieli dość wojaczki, teraz nadszedł czas odpoczynku i radowania się życiem. Ruszą w pole, gdy będzie trzeba, i to pewnie wkrótce, ale teraz chcieli pić, chędożyć i śmiać się przy ogniskach. I nie był to już taki wielki leiclang. Z tysiąca zbrojnych, którzy poprzedniego dnia stanęli do walki, padła prawie połowa. Największe straty poniosła miejscowa, słabo wyszkolona piechota, ale i osiem dziesiątek wikingów witało się już z bogami. Prawie tyle samo Waregów nie wróci ze swoim wodzem do Konstantynopola. Pochowano ich z należnymi honorami i zgodnie z odwiecznymi północnymi zwyczajami – skoro godni byli, by ramię w ramię walczyć w Midgardzie, będą dobrymi towarzyszami w krainie Asów. Chrześcijanie zabrali swoich do pogrążonych w żałobie miast, a niewolnicy, modląc się do Peruna i Welesa, oddali współbraci ogniowi.

Zeno stał się bohaterem gwardzistów kalifa i nawet próbowano o nim układać pieśni. Z obowiązku ich słuchania wybawił go umyślny Kolbjørna. Jarl chciał go natychmiast widzieć. Nie poszedł sam. Niczym straż przyboczna towarzyszył mu Naja, Domażyr zwany przez serkirskich panów Mubarakiem i Nadar, na którego szmaciane łby wołały Chajran. Cała trójka powróciła już do starych słowiańskich imion.

– Posłów prowadzisz ze sobą, niewolniku? – przywitał go z kwaśną miną Kolbjørn Krzywe Zęby.

– To moi przyjaciele, panie. Sami przyszli.

– Niech zostaną. Zasłużyli sobie swoim męstwem i dzielnością, by zasiadać wśród nas jak równi wśród równych, jak ludzie wolni. Od dziś ty i twoi ludzie, setniku, dostaniecie swój udział w łupach jak każdy z moich drengów. Możecie też odejść, jeśli taka wola.

– Umiemy walczyć, trupy, śmierć, wodzu. Chcemy zostać. – Naja, choć zaskoczony, myślał szybko.

– Ulżyło mi. – Na zwykle paskudnie wykrzywionej twarzy jarla pojawił się prawdziwy uśmiech. – Wiele jeszcze zostało do zrobienia, nim ta wyspa stanie się naszym domem. Ale ja nie do was mam sprawę, a do byłego papara. – Wskazał brodą na Zena. – Ten tu – jarl położył dłoń na ramieniu stojącego obok Sveinunga, syna Sverriego, przybocznego Hardrady – chce cię odkupić, niewolniku. Sam nie wiem, co im się w tobie tak podoba, najpierw Ar-Rahman, teraz Sverrisson. Jest coś, czego nie wiem, sługo nidinga Erika?

Zeno stał niczym rażony piorunem.

– No?

Młody niewolnik milczał dalej.

– Sam widzisz, Waregu, że to teraz i niemowa. Nie należy też do mnie, więc nie mogę ci go sprzedać ani tym bardziej darować.

– Musi pójść ze mną, wodzu. To nie kaprys, ale wola samego cesarza Bizancjum, Bazylego.

– Nic nie mam do twojego konunga, ale chce czegoś, co nie jest moje. Poproś o niego Erika Erikssona. Nie dał go kalifowi Kordoby, ale może...

– Nie po drodze nam Mesyna, jarlu. Na wybrzeżu czekają statki, które zabiorą mój oddział do Italii. A on musi płynąć z nami.

– Powiem to tylko jeszcze raz, Waregu. On nie jest moją własnością.

W tym momencie podszedł do nich Harald Hardrada. Świeże cięcia i sińce na odkrytych teraz ramionach zdawały się nie robić na nim wrażenia.

– Sveinung, twoi ludzie gotowi? Ruszamy, nim wypali się pochodnia.

– Gotowi, łupy też. Nie odplyniemy jednak bez tego człowieka. – Wskazał ręką na Zena.

– Mów jaśniej, drengu.



– Tę tajemnicę zna bardzo niewielu i tak musi pozostać. Basileus szuka tej zguby po całym świecie. Wiem to, bo z jego rozkazu pojechałem za tym tu do dalekiej Bretlandii.

Niebieskie oczy Hardrady spoczęły teraz na Zenie. Ten, choć zrezygnowany, stał prosto i odwzajemnił spojrzenie.

– Wróg cesarza? Niewolnik? Oddasz go nam, jarlu?

– Nie mogę, Norwegu. To własność jednego z moich ludzi i... dobry, godny szacunku druh. – Ostatnie słowa zaskoczyły niedoszłego mnicha bardziej niż cios miecza, którego się spodziewał.

– Sam widzisz, Sveinungu, nie rzucę się na drenga, z którym niedawno przelałem krew we wspólnej sprawie. – Hardrada wzruszył ramionami. – Kto z naszych potwierdzi twoje słowa?

– Tylko ja znam tę tajemnicę, dowódco.

– Więc powiedz nam, jak jest, a my się zastanowimy. Zgodzisz się na to félagi Kolbjørnie?

Jarl z nieprzeniknioną miną w milczeniu skinął głową.

– Niech tak będzie, dowódco. Ale wszystkie pozostałe uszy muszą zniknąć.

Na rozkaz Krzywych Zębów gwardziści, choć niechętnie, ruszyli w stronę swoich kompanów. Czekali na sygnał od Zena, ale ten nie zamierzał narażać na pewną śmierć swoich nowych przyjaciół.

– Mów.

Sveinung, syn Sverriego, rozpoczął ściszym głosem opowieść.

– To nie jest zwykły niewolnik, wodzowie, a ukrywający się siostrzeniec naszego cesarza. Cztery zimy temu, ciebie, dowódco, jeszcze wtedy nie było w Miklagardzie, ja i dziewięciu druhów dostaliśmy wezwanie do pałacu. Setnik nie wiedział, o co chodzi, gadał tylko, że sprawa jest gardłowa. Gwardia wareska – mówił do Kolbjørna – służy basileusowi w czas wojny i pokoju. Na jego rozkaz zabijamy wrogów lub tych, którym zamarzy się bizantyjski tron. Niektórych wtrącamy do lochu, pozbawiamy oczu i języka, by potem wypuścić na wolność. Tu jednak sprawa była gardłowa.

Wielkiej doznaliśmy łaski, albowiem przyjął nas sam cesarz Bazyli. Honor to dla zwykłego żołnierza, ale też strach. Bo czegoż może chcieć władca połowy świata? Zapytał, czy przysięgniemy na Chrystusa i na Odyna, że nie zdradzimy nikomu tajemnicy, którą chce nam powierzyć. Co mieliśmy zrobić? Przystaliśmy na to. Władca odprawił nas bez słowa i strażnicy zamiast do wyjścia zaprowadzili mój oddział do specjalnych komnat dla gości. Niezwykłych gości, bo w oknach były żelazne sztaby. Jeszcze tego dnia każdemu z nas wytatuowano pełzającego wzdłuż całej ręki węża. To miało być przypomnienie o złożonym ślubie i znak dla innych, że jesteśmy pod specjalną ochroną samego cesarza. – Teraz mówiący, tak jak i Hardrada, był bez kolczugi i wszyscy mogli zobaczyć wijącego się gada z rozwartym pyskiem, z którego wystawał palec wskazujący. – Mówię to wszystko, wodzowie, byście uwierzyli, że powiadam prawdę. Kolejnego dnia znowu trafiliśmy przed oblicze władcy, który zdradził nam wielką tajemnicę swego rodu. – Sveinung rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje, spojrzał na węża i wzruszył ramionami. – Siostra basileusa, Anna, ta, która wyszła za kniazia ruskiego Włodzimierza, nie była dziewczcą, gdy brat oddawał jej rękę władcy Rusów. Mało tego, wcześniej z zakazanego związku powiła syna. Prawdę tę ukrywano dzięki pomocy rządzącego krajem w imieniu cesarza Wielkiego Eunucha. Gdy jednak dowiedział się o tym młody Bazyli, wpadł we wściekłość i zabił tego oddanego sługę rodziny. Nie śmiał torturować siostry, więc z wiernymi sobie oddziałami ruszył na ojca dziecka. Tego wówczas nam nie powiedziano, ale wszystko wskazuje, że był nim nie kto inny, jak generał bizantyjskiej armii Bardas Fokas.

– Fokas Uzurpator? – W głosie Hardrady zabrzmiało niedowierzenie.

– Ten sam, dowódco. I właśnie próba zgładzenia tego człowieka była przyczyną wojny domowej. Niewiele brakowało, by to dzisiaj generał zasiadał na basileusowym tronie, ale Bazyli otrzymał pomoc od ruskiego księcia, w zamian za co oddał mu swoją pohańbioną siostrę.

– I książę Włodzimierz wiedział? – Kolbjørn podrapał się po przyrodzeniu.

– Nie wie do dziś, dowódco. A ślad po dziecku zaginął. Sądzone nawet, że zmarło po porodzie, ale jeden z przekupnych doradców Wielkiego Eunucha zdradził po latach, że umieszczono chłopca w klasztorze Przenajświętszej na górze Mela. I właśnie po to byliśmy potrzebni cesarzowi, by dopaść dorosłego już syna Anny i Bardasa i przywieść go w pętach do Konstantynopola. Wuj planował wykorzystać go przeciwko swojej siostrze, a potem zgładzić. Nienawidził generała Fokasa bardziej niż kogokolwiek innego. Dlatego zostaliśmy wysłani w okolice doliny Altindere.

Po przybyciu na miejsce okazało się, że ten tu – wskazał na Zena – zdołał umknąć, zwiedziawszy się widocznie o naszej misji. Nie wiem, jak to możliwe, albowiem jego stary opiekun, którego sam wzięłem na spytki, nie chciał gadać. Tyle że dowiedzieliśmy się od ludzi, że ruszył z karawaną na północ.

Ruszyliśmy jego śladem, aż dotarliśmy do Bretlandii. Niestety tam też przybyliśmy zbyt późno. Po jednym z waszych rajdów został podobno pojmany lub zabity. – Sveinung patrzył na Krzywe Zęby, a ten miał kamienną minę. – Nie było to łatwe, ale i my w końcu dostaliśmy się do Szwecji. Tylko po to, by się dowiedzieć, że poszukiwany przez nas człowiek popłynął właśnie z wyprawą do kraju Serkirów. Bogowie, śmiejąc się z nas, pewnie spadali z ław.

Wróciliśmy do Konstantynopola, by zameldować o śmierci siostrzeńca. Na jego bezowocnych poszukiwaniach strawiliśmy lata i mieliśmy dość. To znaczy wrócili moi towarzysze, gdyż ja w Bułgarze otrzymałem ranę w potyczce z bandą rabusiów i towarzysze zostawili mnie w chłopskiej chacie, żebym dokonał żywota.

Dzięki bogini Eir wyzdrowiałem i ruszyłem w ich ślady. Na miejscu okazało się, że widziano tam kilka miesięcy wcześniej moich druhów, ale po audiencji u cesarza słuch o nich zaginął. Wszystko było jasne. Uciekłem bez zwłoki do Italii, pod rozkazy generała Maniakesa. Jak do wczoraj sądziłem, brama do stolicy pozostaje dla mnie na zawsze zamknięta. Potem zobaczyłem tego Zena, usłyszałem, co usłyszałem, i znalazłem klucz do bogactwa. Wszyscy będziemy bogaci, cesarz wynagrodzi nas nieprzebranymi skarbami.

– Tak jak twoich drużowników – syknął pogardliwie Zeno.

– Milcz, psie. Zginęli przez ciebie. To wszystko, wodzowie, tak wygląda prawda. Rozumiecie teraz, dlaczego muszę zaprowadzić tego chudzielca przed oblicze basileusa.

– Wiele zrozumiałem, dziesiętniku. – Jarl popatrzył smutno na niewolnika. – Że też nie pękłeś od tych tajemnic, które skrywasz... panie. To co z nim robimy, Norwegu?

– Z księciem to nie moja sprawa. Ja muszę odciąć rękę z toporem, która wisi nad moją głową. – I w tym momencie objął szyję Sveinunga, syna Sverriego mocarnym ramieniem. Szarpnął. Ten nie zdążył się osłonić i wszyscy usłyszeli głośne chrupnięcie. Ciało Warega osunęło się na kamienie.

Zeno stał z pobielałymi ustami i patrzył to na jarla, to na Hardradę i trupa.

– Jeszcze trochę i zwrócisz ostatni posiłek – mruknął nieco rozbawiony Krzywe Zęby.

– Z pustego nie utoczysz – szepnął niewolnik.

– Powiem to tylko raz, książę, i zakarbuju sobie dobrze moje słowa. – Hardrada przygasał nieco po zabójstwie swojego człowieka. – Sveinung zginął, bo nie dotrzymał danego bogom ślubu milczenia. Wszystko, o czym mówił, zostanie tu, na Sycylii, i między nami. Wolałbym cię zabić, ale coś mi się zdaje, że fęlagi Kolbjørn Krzywe Zęby miałby coś przeciwko. Nie mam wystarczająco dużo ludzi, by się z nim o to bić. – I jak gdyby nigdy nic Harald Hardrada uściśnął

prawicę jarla, skłonił się Zenowi i ruszył w stronę gotowego do wymarszu oddziału.

– Mądry człowiek – rzucił cicho do jego pleców saekonung wyprawy. – Daleko zajdzie z taką siłą i pomyslnikiem. A ty co tak się gapisz, książę?

– No, bo... zabił swojego i... eee, jaki ja tam książę.

– Zabił trupa i ocalał skórę. Jak myślisz, co by się stało z nimi wszystkimi po szczęśliwym powrocie do Miklagardu?

– No mówił, góry złota...

– Takie same jak te, które otrzymali z cesarskich rąk jego towarzysze. I nie miej do mnie żalu za to, co zrobię. – Nagle Kolbjørn zdzielił Zena tak mocno, że ten zobaczył gwiazdy. Z rozbitego nosa poszła krew, jakby to mała jej przelano w niedawnej bitwie.

– Powiedz gwardzistom, że się stawiałeś i zabiłem najpierw tego tu – kopnął zwłoki – a potem dałem i tobie po gębie. Aha, i jeszcze jedno. – Zeno zamarł, bo przyszły władca Sikiliji ściszył głos niemal do szeptu. – Uciekaj z wyspy, człowieku, im szybciej, tym lepiej. Ten Marakesz czy Maniakes, gdy się o tobie dowie, zrobi wszystko, by cię dopaść. Kto wie, przy pomyslnych wiatrach możesz kiedyś zostać konungiem Krikiarów.

– O ile trup może być jakimkolwiek władcą – mruknął pod nosem Zeno. Niedoszły mnich, niewolnik, a teraz już książę niewolnik, ruszył w stronę gwardzistów. Stracił wiarę po tym, co usłyszał od swego starego nauczyciela w monasterze Sumela. Ale jak tu po czymś takim nie wierzyć w opatrność boską?

MESYNA



W mieście pito na umór. A to za zabitych i drogę do Walhalli, a to za zwycięstwo w wielkiej bitwie, czy w końcu z szacunku dla bogów. Okazji nie brakowało. Jak to bywa przy tęgim picu, zaczęły się gwałty. Rozsierdzony jarl znowu musiał otworzyć miejscowe lochy.

Grupa młodych przyjaciół była razem. I pomimo wyzwania ostatnich dni – w komplecie. Drobnych ran i siniaków mieli dużo, ale wyglądało na to, że się z nich wyliżą. Poza Eldgrimem Rogiem. Starszemu bratu Aslofa jakiś szmaciany łeb z młotem zmiażdżył łokieć. Ręka puchła i to pomimo okładów z ziół. Miejscowi uzdrowiacze zaordynowali jeszcze pijawki, by ściągnąć złą krew, ale pot na twarzy Eldgrima i bladość nie zwiastowały nic dobrego. Niektórzy zaczęli przebąkiwać o odcięciu uszkodzonej kończyny, ale, co nie dziwota, Róg nie chciał o tym słyszeć.

Siedzieli pierwszego wieczora przy ogniu, rozpalonym w pięknych niegdyś ogrodach miejscowego władcy. Po zdobyciu miasta kwiaty zdeptano, część drzew ścięto na opał, a wysypane białymi kamieniami ścieżki straciły swój kolor.

– Szkoda, że nie widziałeś, panie, jaki ze mnie dzielny woj. – Zeno szybko powrócił do dawnej roli. Jednak zmienił się, jakby spoważniał, urósł.

– Eee. Z zająca wilka nie będzie, choćby temu pierwszemu wyrosły ostre kły. Teraz opowiadajcie, bo i ja mam ciekawe wieści.

Przy miejscowym winie historie nabierały całkiem innego kształtu. Ktoś, kto nie uczestniczył w wydarzeniach ostatnich dni, mógłby odnieść wrażenie, że Kolbjørn Krzywe Zęby zmagał się zwycięsko z wieloma armiami i setkami tysięcy zbrojnych, Erik zaś w pojedynkę pokonał bandę świetnie wyszkolonych zabójców, a potem wymierzył oślizłemu kupcowi solnemu sprawiedliwość. Ale snute przy ogniskach opowieści są niby mocarne fale, które natrafiają na wznoszące się dno. Pną się pod niebiosa.

– Szkoda tego Oddiego. Mówisz, że wbiłeś mu palce w oczy? – Tagi Instadsson odchylił do tyłu głowę i zawył niczym wilk. Wszyscy mieli już trochę w czubie, więc śmiali się nie wiedzieć z czego. Nawet po twarzy Eldgrima przemknął uśmiech.

– Tak, naprawdę szkoda. Polubiłem nidinga. I wam by się spodobał, pasowałby do naszej wesołej kompanii.

– Chciał cię wypatroszyć – warknął Aslof.

– Musiał. Zemsta rodowa. – Pokiwali głowami. Każdy z nich, o ile wystarczyłoby odwagi i nadarzyła się sposobność, zrobiłby tak samo na miejscu syna Asgota z Czerwoną Tarczą.

Długo rozmawiali, księżyc wspiął się już wysoko, gdy do rozochoczonej napitkiem gromady podeszła Samboja. Skinęła na Erika i zniknęła w mroku. Młodzieniec zerwał się, o mało nie wpadając do ognia, co towarzysze skwitowali okrzykami, pohukiwaniami bądź beknięciami.

Znalazł ją przy fontannie.

– Coś się stało? – W ciemności nie dostrzegł śladów pobicia, ale z Kolbjørnem to nic nie wiadomo.

– Masz tu gdzieś swoją chatę, dzieciaku.

– No mam, ale...

– Prowadź.

Erika nie trzeba było długo namawiać, w ogóle nie trzeba było go namawiać. Trochę bał się miecza jarla, ale od tak dawna marzył o tej pięknej niewolnicy... Czyżby bogowie wysłuchali jego modłów?

W milczeniu znaleźli hov ogrodnika i weszli do środka. Młodzieniec po omacku odnalazł małą lampkę oliwną i zajął się krzesaniem ognia. Namęczył się nieco, bo ręce strasznie mu drżały. W migotliwym blasku odwrócił się w stronę pomieszczenia i zobaczył Samboję leżącą nago na posłaniu. Płakała.

– Już dobrze, dobrze. Co ci zrobił ten jednojajeczny kundel? Zabiję go, jeśli cię skrzywdził! – Prawdę mówiąc, gotów był wykonać swoją groźbę, przynajmniej w tej chwili.

– Nienawidzę mężów, jak ja was nienawidzę. – Uniosła głowę i dojrzała załzawioną twarz.  
– Nie było twojego bojara wiele dni i gdy wrócił zwycięski, gdy jurność męska jest największa...  
– Znowu zanosła się szlochem.

Przytulił ją, czując ciepło nagiego ciała. I wcale nie chciał więcej, wystarczyło, że była obok. Płacz w końcu zamarł i zaczęła mówić.

– Przeprowadził ze sobą tego miejscowego. I wiesz co, dzieciaku? Wywalił mnie z sypialni, rozumiesz? Kazał mi się wynosić!

– Może zmęczony... ja wiem, ranny...

– Niech bogowie cię pokarzą za naiwność. On to robi z tym tłusciutkim kurduplem, tak jak mąż z żoną.

– Kottrinn blauði! – szepnął Erik, gdy dotarli do niego słowa Samboi.

– Co tam jęczysz?

– Mówię, piękna, że takich jak ten tubylec nazywamy u nas miękkimi kotami. Nie ma ich zbyt wielu, ale jak ktoś lubi to robić z mężczyzną... Jego wola. Tak samo kobiety, jeśli mają ochotę i mąż się zgadza, mogą ze sobą swawolić, ile zapragną.

– Nie gardzicie takimi półmężami?

– To zależy, moja piękna. – Erik czuł, że czas czułości minął i budzi się w nim mężczyzna. – Gardzimy tymi, którzy w takim układzie udają niewiasty. A jak sądzę, to nie ten kurdupel obrabia... – Zamilkł, żeby jej nie urazić. Tylko tego brakowało, by wybiegła z domku ogrodnika z płaczem. Był już tak blisko, tak bardzo blisko. – Bo widzisz, nawet Loki zmienił się kiedyś w klacz i urodził ośmionogiego Sleipnira. Nie zrobił tego dla przyjemności, tylko żeby Asowie wygrali zakład. Nie pogardzano nim za ten czyn, a jego syn wiernie służy Odynowi. Nie sądziłem jednak, że Krzywe Zęby gustuje w kobietach i mężczyznach. A to niding zapchlony. Wiesz co, Samboja, zemścij się na nim i współżyj z innym mężczyzną. Tak, to będzie dla niego najgorsza kara. – Prawie podskoczył z dumy, że wpadł na tak wspaniały pomysł.

– A myślisz, dzieciaku, że po co tu przyszłam? I dlaczego naga leżę przed tobą? – Nie płakała już. – Ze wszystkich mężczyzn w tym okropnym miejscu ciebie nie lubię najmniej. A wiem też, że bojar tobą gardzi. Jeśli zdradzę go z kimś takim, będzie to dla niego największą ujmą na honorze, jakbym spółkowała z baranem czy kozłem.

– Niby tak. – Syn Eryka Zwycięskiego nie bardzo zgadzał się z taką argumentacją i porównaniem do rogaczyny, ale nie zamierzał narzekać. W tej chwili zgodziłby się nawet, gdyby nazwała go nadgniłym trupem żaby albo byczym przyrodzeniem.

– Bierz się do dzieła, otroku, póki nie zmieniłam zdania.

Prawie do rana zabawiła w jego hovie i gdy było po wszystkim, uśmiechała się do siebie rozmarzona.

– Nie sądziłam, że będzie tak... – Młasnęła, jakby smakowała dobrego, tłustego śledzia.  
– Zemściłam się już, mały, i to jak się zemściłam. – Wspięła się na palce, a duże piersi drgnęły kusząco. Erik pomyślał, że tak właśnie musiała wyglądać Nanna, nim po śmierci Baldra z żalu rzuciła się w ogień. – Jutro powiem o wszystkim Kolbjørnowi i chcę widzieć jego gębę. – To zdanie popsuło mu dobry nastrój.

– Dobrze nam było, moja słodka? – Erik doszedł już do siebie po ciężkich zmaganiach. Chciało mu się spać, ale na wzmiankę o jarlu znowu stał się czujny. – To dwie sprawy. Ubierz się przed wyjściem i... nie mów mu, przynajmniej na razie.

– Boisz się, dzieciaku? – prychnęła, wkładając przez głowę lnianą suknię. Otwór był dosyć ciasny i na kilka chwil jej głowa i ręce uwięzły w materiale. Od pępka poprzez płaski

brzuch, grzywę i długie nogi była naga i tak bezbronna... Erik, nie myśląc wiele, doskoczył do Samboi i padli na zmięte i przepocone posłanie. Nie opierała się. Z jej gardła wydobyło się ciche, pełne zadowolenia mruczenie.

Gdy skończyli, młodzieniec wrócił do przerwanej rozmowy.

– Wszyscy tu się go boją, dlatego rządzi. Ale nie tylko o to chodzi. Szukam sposobu, by wrócić do domu. Powiesz mu, gdy wypłynę.

Samboja podeszła, spojrzała mu w oczy i go pocałowała. Tak zwyczajnie, czule. Wcześniej to były zmagania, ale teraz... Zaskoczona swoim czynem wyszła bez słowa. To szalona i żadna zemsty kobieta, więc nic nie było pewne. Ale gdyby ktoś pytał Erika Erikssona, czy było warto, bez wahania powiedziałaby, że tak.

Kolejnego dnia Krzywe Zęby nie wpadł do domu ogrodnika z mieczem w dłoni. To był dobry znak. Ale z Eldgrimem było coraz gorzej. Skóra na opuchniętej ręce stała się różowa, błyszcząca i napięta. Na wysokości łokcia sączyła się zgniła krew.

– Trzeba ciąć i to dzisiaj. – Aslof pomógł bratu usiąść na kamiennej ławce nieopodal stawu. Kiedyś musiał tu siedzieć władca Mesyny. Otoczony starymi drzewami zbiornik wody znajdował się w samym środku pałacowego ogrodu i dawał wytchnienie od gwaru i upału.

– Nie będę bezrękim kaleką, Czarny. Nie chcę takiego życia.

– Wolisz umrzeć w chorobie? Nawet z jedną ręką będziesz mógł walczyć i zginąć w jakiejś bitwie. W łozu czeka cię Helheim.

– To mnie zabijesz, bracie. Nim stracę resztkę sił, wbijesz mi saks w serce. Ale zanim to się stanie... – Eldgrim rozejrzał się po okolicy błyszczącymi od gorączki oczami. – Pusto tu – szepnął.

– Zimno ci? – Czarna Broda nachylił się w jego stronę.

– Mówię, że tak spokojnie. Posłuchaj, bracie, bo to bardzo ważne. Ja tu zostanę, a ty poszukasz Erika.

– Niby po co? On ma teraz swoje sprawy, a my swoje. Spotkamy się wieczorem i wtedy...

– Zrób to – uciął starszy z braci. – Zrób! Niech przyjdzie sam, to tajemnica.

Aslof ciężko podniósł się z ławy. Nie chciało mu się łązić w tym upale, ale w głosie Eldgrima było coś takiego...

Erika spotkał w porcie. Młodzieniec przychodził tu codziennie. Naprzykrzał się nowo przybyłym kupcom, wypytyjąc o kolejne porty, do których planują zawinąć.

– Bracie! – Tubalny głos Aslofa wystraszył kilka ptaków. Ale nie tylko. Rozmawiający z Erikiem mężczyzna w znoszonej szacie na widok nadchodzącego olbrzyma dosłownie uciekł.

– Musisz straszyć ludzi? Ten przypłynął dzisiaj i...

– Chodź ze mną, przyjacielu, Eldgrim chce z tobą porozmawiać. To podobno coś ważnego.

– A czego on... Jak ręka, lepiej?

– Uzdrawiacz powiedział, że jeśli dzisiaj jej nie utniemy i to przy samym ramieniu, jutro będzie już za późno.

– I ja mam ci pomóc w...

– Przecież powiedziałem, że chodzi o gadanie. Chodź.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę pałacowych ogrodów.

Eldgrim leżał na trawie, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w baldachim z liści. Gdy ich zobaczył, usiadł powoli, a potem ostrożnie wstał. Spuchła mu nawet dłoń, tak że była dwa razy większa od normalnej.

– Nie wygląda to dobrze, przyjacielu. Ale nie pogoniłeś brata do portu, by to ode mnie

usłyszeć. O co chodzi?

– Jak długo się znamy, Eriku?

Młodzieniec spojrział na Aslofa z troską. Gorączka odbierała Rogowi rozum, więc może już za późno na ratunek.

– Twój ród, Eldgrimie, i mój żyły w sąsiedztwie, od kiedy pamiętam. A Aslof jest moim największym, i nie chodzi tu o posturę, przyjacielem. – Próbował rozładować napiętą atmosferę.

– Jest, jak mówisz. Czarny, złap go tak, żeby nie mógł się ruszyć.

– Co?

– Zrób to, już! – W głosie starszego z braci była taka moc, że Czarna Broda, nie zastanawiając się, objął swoimi mocarnymi rękami Erika, przyciskając mu ramiona do tułowia. Stał za nim niby wielki cień.

– Wybacz mi, Eriku, że zrobię to, co zrobić muszę. Obiecałem twojemu bratu.

– A co ma Olof wspólnego...

– Ma – uciął Eldgrim i dodał: – chodzi o Svanlaug, naszą siostrę.

– Znam Svan, ale, na pysk Fenrira, czy od gorąca pomieszało wam się we łbach! – Syn konunga próbował wyzwolić się z niedźwiedziego uścisku, ale nadaremno.

– Twój brat, Eriku, ją zbrzuchacił.

– Olof!? – powiedzieli niemal jednocześnie Erik i Aslof.

– Ten sam. Obiecał mi, że uzna to dziecko, jeśli ty, przyjacielu mego brata, nie wrócisz żywy z wyprawy. – Mówiąc te słowa, Eldgrim wyciągnął zdrową ręką nóż zza pasa. – A doszły mnie słuchy, że szukasz skipu... No i ze mną nie jest najlepiej... Nie mogę już dłużej zwlekać, i tak czekałem za długo.

– Bracie, to mój najlepszy druh, jest dla mnie niczym brat.

– Ważniejszy ode mnie? Ważniejszy od Svanlaug i jej królewskiego dziedzica? Pomyśl, jaka przyszłość czeka nasz ród, gdy to dziecko dorośnie i zostanie władcą Szwecji. Bogowie dali nam tę szansę, musimy tylko... – Wskazał brodą na więźnia.

Erik próbował wykorzystać chwilę wahania Czarnej Brody, ale ten wzmocnił uścisk.

– Eldgrim – dobiegł z góry grobowy głos Czarnej Brody – nie każ mi wybierać między krwią a przyjaźnią.

– To żaden wybór, bracie. Honor rodziny zawsze wygrywa.

– A gdybyśmy tak o wszystkim zapomnieli? Co? Nie było tej rozmowy, nie było groźby?

– Ona zginie, braciszku. Jeśli teraz nie zabiję Erika, nasza siostra zginie.

– Tak ci powiedział Olof?

– Wystarczy tego gadania, bo jeszcze ktoś nadejdzie. – Uderzenie było szybkie i mocne. Dobrze naostrzony saks wszedł w ciało, aż po sam zdobny w węże jelec. Wcisnął się pomiędzy żebrami i dotarł w okolice serca.

Aslof Czarna Broda puścił Erika tak nagle, że ten upadł na wysypaną drobnymi, białymi kamieniami alejkę.

– Nie będzie zemsty, przyjacielu? – szepnął zbielełymi wargami olbrzym. Z jego pleców wystawała rękojeść zdobytego na szmacianych sztyletu. Eldgrim patrzył z przerażeniem to na brata, to na swoją pustą dłoń. Czarny zrobił to tak szybko, że... Zasłonił go...

Erik zerwał się, by podtrzymać towarzysza dziecięcych eskapad, wspólnych marzeń o skarbach i potworach. Prawdę mówiąc, wolałby przyjąć ten saks i odejść, niż patrzeć, jak umiera ktoś, kto dwukrotnie ratował mu życie.

Aslof zachwiał się i wspólnie z Eldgrimem ułożyli go na nagrzanym kamieniach. Po twarzy Roga ciekły łzy. Erik po raz pierwszy widział, jak ten milczek płacze.

– Erik, rachunki wyrównane? – nie dawał za wygraną umierający.



– Co ty, co ty... – Głos się młodzieńcowi załamał. – Mój dług wobec ciebie, Aslof, mój dług wzrósł. Nic mi nie byłeś winien, przyjacielu, nic.

– To... – Ranny oddychał bardzo płytko i z wyraźnym wysiłkiem. – To zadbaj o Svan, jak... jak wrócisz. Dalej będziemy... – Przerwał i zamknął oczy. Erik płakał. Nie wstydził się łez, nie teraz, nie tu. Gdy pochylał się nad Czarną Brodą, usłyszał jeszcze szept: – Przyjaciółmi?

Ze ściśniętym nagle gardłem tylko skinął głową.

– Zostaw nas samych, Eriku. – W wypranym z emocji głosie Eldgrima Roga brakowało niedawnej mocy. – Niech bogowie nigdy mi nie wybaczą tego, co zrobiłem. Uratuj Svanlaug. Zostaw nas samych.

Erik nie wiedział, jak dotarł do swojego małego hovu. I nie czuł upływu czasu. Gdy przybiegł Tagi z wieściami, że znaleziono nieżywych braci, syn konunga nie okazał zdziwienia. Jego twarz pozostała martwa. Na niebie nad Sikiliją wzeszedł księżyc.

# TAJEMNICA ZENA



Jarl uznał, że bracia byli zamroczeni winem i kłótnia przerodziła się w bójkę. Zakazał od tej pory wszelkiego picia, co doprowadziło do buntu. Chcąc nie chcąc, uchylił ten głupi zakaz, ale każdy awanturujący się i wymachujący bronią dreng miał dostać dziesięć batów i noc w lochu. Erik znał prawdę, ale zostawił ją dla siebie. Macki i złoto Olofa sięgały daleko, a ludzi chcących przypodobać się przyszłemu władcy Szwecji na pewno znajdzie się więcej. Nawet tu, na drugim końcu Midgardu.

Dziesiątego dnia wikingów obiegała wieść, że Kolbjørn szuka chętnych do załogi, gdyż zamierza wysłać do kraju skip z wieściami. Tak naprawdę sprytny wódz liczył, że skuszeni opowieściami o dobrej ziemi i skarbach, zjawią się na Sikiliji jego ziomkowie. Mając pod bokiem trzymających się za gardła potężnych wrogów, musiał uczynić wyspę niewartą zachodu, niewartą przelanej krwi. Pomimo niedawnego zwycięstwa przyszłość Skandynawów ciągle znajdowała się w obcych rękach.

Szansa na bezpieczny powrót do Szwecji nie była duża. Będą musieli opłynąć kalifat Kordoby – to może się udać; minąć León – tu gorzej, król Ramiro na pewno chętnie obedrze ich ze skóry; ziemię Franków – samotny statek to dla nich gratka i dobry łup. Chętnych nie było wielu. Poza tym na wyspie mieli wszystko, czego potrzeba mężczyznom do szczęścia. Wino, kobiety, ziemię, złoto i walkę, więc po co szukać szczęścia?

Tharkildowi bez Nosa, kuzynowi Grima Złotego, udało się w końcu skompletować załogę i w czterdziestu chłopów odbijali właśnie z przystani w Mesynie. Łańcuch opuszczono i galera żegnana okrzykami pozostających na brzegu towarzyszy, z niewolnikami przy wiosłach, opuściła bezpieczny port na Sikiliji. W ładowniach mieli wiele skarbów, gdyż każdemu przypadł okazały udział w łupach. Zabrali też to, co należało się rodzinom zabitych członków ludu Hardeknuda, który po jego śmierci przejął Kolbjørn Krzywe Zęby. Wszystko po to, by olśnić rodaków w kraju przodków.

Wszyscy, z wyjątkiem Erika, syna Eryka Zwycięskiego, płynęli do swoich połowic i dziełek. Cieszyli się, że jeśli bogowie pozwolą, wkrótce zobaczą się z rodzinami. Tylko młodzieniec siedział na dziobie z przyciągniętymi pod brodę nogami i myślał.

A miał o czym, ponieważ zostawiał przyjaciół – przynajmniej tych, którzy jeszcze żyli, i wracał do domu, gdzie czekał wróg. Nie był naiwny, pomiędzy królewskimi dziećmi rzadko panuje miłość. Częściej nienawiść. Synowie władcy są niczym psy, którym rzucono jedną kość. I to jest normalne, tak ten świat stworzyli bogowie.

W pierwszej chwili, gdy usłyszał o podstępie Olofa, chciał uciec byle dalej, może nawet do krainy ludzi o czerwonej skórze. Ale czy już tak będzie zawsze? Czy do końca dni, gdy usłyszy szmer, ma oglądać się z niepokojem za siebie? Sypiać w kolczudze w obawie o cios zadany w plecy? Może i był młody, ale w żyłach płynęła mu krew wojowników. Stanie z bratem oko w oko i będzie, co zaplanowały norny. No i obiecał Czarnemu, że zaopiekuje się brzemienną Svanlaug. Miał oparcie w bogach i przodkach, o ileż łatwiej znosić wtedy swój los. Co innego Zeno...

Wracał więc do domu, choć nie tak radosny jak towarzysze podróży. Nawet niewolnik, który stał się dlań bratem, opuścił go i poszedł własną krętą drogą. Zresztą – Erik bezwiednie pokręcił głową – drogą bardziej niebezpieczną od tej, którą on kroczył. I pełną zwątpienia i pustki, ogromnej pustki. Pół ostatniej nocy rozmawiali tylko o tym i dopiero teraz syn Eryka Zwycięskiego zrozumiał, jak wielki ciężar na barkach dźwiga jego przyjaciel.

Wiatr wiał jednostajnie i w dobrym kierunku, a gdyby nawet był niesprzyjający, mieli na galerze setkę silnych niewolników do ciągnięcia wiosł. Na razie nie było nic do roboty poza rozmyślaniami. Erik przymknął oczy i zaczął odtwarzać w myślach ostatnią rozmowę

z siostrzeńcem bizantyjskiego władcy. Wolałby wspominać tę noc z Samboją, ale i na to przyjdzie czas.

Rozpalili niewielkie ognisko przy stawie, tym samym, który był świadkiem śmierci dwóch dzielnych wojów. To miała być ostatnia noc Erika w Mesynie i chciał ją spędzić właśnie tu. Leżeli z dłońmi zaplecionymi pod głową na zdeptanej trawie, czując pod plecami chłód ziemi. Przed oczami mieli gwiazdy.

– Patrz, te wyglądają niczym Kądział Fryggi[37]. – Młodzieniec wskazał palcem na układające się w pas iskry na niebie. – A tam Asar Bardagi[38], ale to nie one, tylko inne, podobne.

– Nie bardzo się znam na gwiazdach, Eriku – mruknął rozmarzonym głosem Zeno.

– Pewnie że się nie znasz. Mój lud pływa po morzach od wielu pokoleń. Czasem od takiej wiedzy zależy życie.

– No, mój też pływa, w co pewnie trudno ci uwierzyć. I to po tych wodach, ale nigdy nie interesowały mnie gwiazdy. Co innego Niebo, miejsce, gdzie skołatane dusze doznają ukojenia. Mam nadzieję, że Aslof i Eldgrim są już w tym waszym Asgardzie. Należy im się.

– Pewnie piją miód przy stole Odyna w Walhalli, przynajmniej Czarna Broda. Róg sam sobie odebrał życie, więc jego los może być okrutny.

– Sam sobie? A skąd wiesz? Byłeś tu? – Pytania padały jedno za drugim, ale nie spotkały się z odpowiedziami. Erik milczał, wyzywając się w duchu od gaduł i glinianych mieczy.

– Zresztą nie moja sprawa. – Niedoszły mnich, który przed chwilą gwałtownie usiadł, znowu położył się na trawie. – Nie musisz mówić, jeśli taka twoja wola. – Chwilę leżeli w milczeniu. – Nie popłynę z tobą na Północ, przyjacielu – dodał cicho.

– Dlaczego? Przecież mówiłeś...

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o marzeniach? O tym, co każdy z nas chciałby jeszcze zrobić w życiu? Podjąłem decyzję i chciałbym się spotkać z matką.

– Ty masz matkę?

– Nie, wyrosłem na drzewie, jak wszyscy inni Grecy. Pewnie że mam, każdy ma.

– No, to wiem. Ale mówiłeś, że mnisi, no...

Z ciężkim westchnieniem Zeno opowiedział swoją historię: o chodzącej w purpurze Annie, Bardasie Fokasie, Wielkim Eunuchu i oddziale Waregów wysłanym przez wuja, by go pojmać lub zgładzić.

– To w tobie jak i we mnie płynie krew władców, były niewolniku.

– Jeszcze płynie, ale gdy Bazyli mnie odnajdzie, przestanie.

– To rusz w rejs ze mną, tam cię nie dostanie. U nas są takie rejony, że zimą tylko wilki i niedźwiedzie – odparł podekscytowany młodzieniec.

– Mylisz się. Ręka basileusa sięga do najdalszych zakątków świata. Zawsze będę zbiegiem. Jedyne nadzieje w matce. Albo mnie uzna, albo każe zabić. Tak czy inaczej moje kłopoty z wujem się skończą. I to ci jeszcze powiem, śnieżny człowieku: nie lubię zimna.

– Wiesz... – I Erik opowiedział wszystko. O planie Eldgrima, którego nie winił za próbę ratowania honoru rodziny, zachowaniu Aslofa, ich siostrze i własnym wilczym bracie Olofie. Gdy skończył, przez dłuższą chwilę nic nie mówili, zasłuchani w tętent myśli.

– Ty wiking i nie obraż się, przyjacielu, ale barbarzyńca z końca świata, ja syn władców największego mocarstwa, a nasze ścieżki są tak podobne. – Zeno mówił jakby do siebie. – I jak tu nie wierzyć w palec Boży.

– Sam sobie wierz w palce, a nawet w całą rękę. Ja wierzę w prawdziwych, silnych bogów – fuknął Erik trochę zły na przyjaciela za tego barbarzyńcę.

– Wiesz – niedoszły mnich jakby nie słyszał tego tonu – zdradzę ci coś, o czym nie

mówiłem nikomu od ucieczki z monasteru Sumela. Dla ciebie to bez znaczenia, ale ciężko samemu dźwigać taki ciężar.

– I taki nikt z końca świata będzie godzien wysłuchać tej tajemnicy?

– Nie znam nikogo lepszego. Poza tym – Zeno podniósł głowę i rozejrzał się – nikogo innego nie widzę.

– No to mów, tylko wolno i wyraźnie, żebym zrozumiał, bo ja dziki człowiek z lasu jestem. – W głosie Erika nie było już złości. Wiedział, że tak naprawdę będzie mu brakowało tych rozmów i przekomarzań.

– W monasterze, w którym mnie wychowano, ojca zastępował mi wiekowy mnich o imieniu Gregorius. Gdy odkryto, że mam talent do kaligrafii, przydzielono mnie właśnie do niego. Uczył i wychowywał, a rękę miał twardą i nieraz przetrzepał skórę. Teraz, gdy o tym myślę, to wiem, że go kochałem, ale wtedy...

– I to jest ta twoja tajemnica?

– Wysłuchaj do końca, a zrozumiesz. Mój mistrz był wielkim znawcą starych, jeszcze przedchrześcijańskich pism. Nie wiem, jak znalazły się one w monasterze, ale mieliśmy cały regał pożółkłych ze starości i niekiedy nadpalonych kart, zapisanych w języku aramejskim. Ty teraz, posługując się łaciną, rozmawiałeś z ludźmi z Leónu, Kordoby czy nawet z Sikilijczykami. Takim językiem był dawno temu aramejski.

– Używali go ludzie twojego Jednoboga?

– Nie było wtedy jeszcze takiego Kościoła, jaki znamy dzisiaj.

– Ale Jednobóg był?

Zeno milczał chwilę, nim wrócił do swojej opowieści.

– Ostatniego dnia przed moją ucieczką z monasteru przyszedł do mojej celi brat Gregorius i długo rozmawialiśmy. Z niewiadomych przyczyn lubił mnie i chcę myśleć, że byłem dla niego niczym syn.

– To do niego teraz płyn, a nie do kobiety, którą nazwałeś matką. Nawet jej nie znasz.

– On już nie żyje. Z rozkazu wuja... – Nie musiał kończyć. – No. To brat Gregorius odkrył aramejskie tłumaczenia jeszcze starszych tekstów, spisanych przez lud zwany Egipcjanami. Ich kultura rozwinęła się dawno temu nad wielką rzeką, ale to nie jest ważne. W rejonie, gdzie żyli, powstała w czasach późniejszych religia chrześcijańska.

– To wierzyli w Jednoboga? Jak ty? No, ci Egipcjanie.

– Wierzyli w wielu bogów jak twoi bracia, Eriku.

– Moi tam dotarli?

– No nie...

– Miałeś mówić tak, żebym zrozumiał.

– To słuchaj, a nie gadaj. – Zeno zaczął tracić cierpliwość. Dopiero po chwili i po uśmiechu młodego druha zrozumiał, że ten sobie z niego żartuje. Jak dobrze mieć przyjaciela, pomyślał i kontynuował opowieść.

– Brat Gregorius, płacząc, opowiedział mi o swoim odkryciu i kazał przysiąc, że zachowam tajemnicę dla siebie.

– W takim razie nie wiem, po co ci o tym mówił i dlaczego ty powtarzasz to mnie.

– To poważne sprawy, synu dzikiego władcy, nie temat do żartów. Wiesz, że gdyby ta wiedza stała się dla wszystkich dostępna, Kościół, jaki znamy, mógłby upaść? Zniknąć? Czy rozumiesz, że ja się wtedy poczułem, jakbym stracił ręce i nogi, jakby ktoś mi wyrwał serce?

– Erik patrzył zdziwiony na płaczącego przyjaciela.

– Mów, drengu. Jeśli przyniesie ci to ulgę, mów. – Poprzednia wesołość zniknęła bez śladu.

– Jak głoszą święte księgi chrześcijaństwa, Syn Boży Jezus Chrystus urodził się z dziewicy Maryi dnia dwunastego miesiąca grudnia. Tego samego dnia, tylko trzy tysiące lat wcześniej, dziewica Izyda powiła egipskiego boga Słońce nazywanego Horusem. Jego narodziny zwiastowała gwiazda – tak stało w tych pismach – przyjęło go trzech władców, a w wieku trzydziestu lat Horus został kapłanem. Nauczał i miał dwunastu uczniów, z którymi wędrował po całym Egipcie, uzdrawiał i stapał po wodzie. Jemu współcześni zwali go Barankiem Bożym, Bożym Synem. W wyniku zdrady jednego z uczniów o imieniu Tyffon został ukrzyżowany i pogrzebany. Po trzech dniach zmartwychwstał. I to wszystko działo się na trzy tysiące lat przed narodzinami Chrystusa! A to On miał robić te wszystkie rzeczy! – Zeno powiedział te wszystkie zdania niemal jednym tchem. Wielkie łzy płynęły mu po twarzy.

– To może ten wasz Syn urodził się dwa razy? Bogowie wiele potrafią.

– Biblia nic o tym nie mówi, Eriku. A gdyby nawet, to ten Horus był jednym z wielu bogów, a nie jedynym. Ale to nie wszystko, przyjacielu. Gregorius odnalazł też teksty, w których pisano, że Egipcjanin o imieniu Mises przyniósł ludziom spisane na kamiennych tablicach prawa! U chrześcijan, tysiące lat później, to samo zrobił Mojżesz! Przyniósł nam prawa boskie, boskie przykazania. Wśród nich takie jak: nie zabijaj, nie kradnij, nie dawaj fałszywego świadectwa.

– Każdy bóg chce na swój sposób okiełznać i podporządkować sobie ludzi – starał się pocieszyć przyjaciela Erik. – Nasi też doradzają nam, jak żyć. Choćby taki Odyn. Pieśń z jego pouczeniami liczy dziesiątki zwrotek. Co tam dziesięć zdań.

– Niby nic, Eriku, ale brat Gregorius odnalazł aramejskie tłumaczenie egipskich zwojów, noszące tytuł Księga Umarłych. W jej sto dwudziestym piątym zwoju, jako wiadomość i spowiedź umierających kierowana do bogów, napisano: Nie kradłem. Nie zabijałem...

– Nie kłamałem?

– A żebyś wiedział. Brat Gregorius pomstował, że lepiej by było, gdyby Bóg uczynił go ślepcem. Przerażony odkryciem zakopał stare manuskrypty i o wszystkim powiedział mnie, żeby sobie ulżyć w dźwiganiu tej strasznej tajemnicy.

– Skrzywdził cię. – Erik westchnął ciężko. – Czasem lepiej nie wiedzieć...

– Ale wiem i nic nie wiem zarazem. Źle jest żyć bez wiary. Z drugiej strony, jeśli zbudowana jest na fałszu...

Przez chwilę leżeli w milczeniu, zapatrzeni w gwiazdziste niebo. Wiking nagle rzucił się na przyjaciela i przez kilka długich minut słychać było jedynie sapanie dwóch siłujących się młodych ludzi. Oczywiście Zeno przegrał, ale jego siła nie leżała w stalowych mięśniach.

– Zostaw te myśli. A może jednak ze mną popłyniesz? Co? Chciałbym mieć takiego starszego brata zamiast Olofa. Jeśli powiesz „tak”, to cię puszcę.

– Ale... Ale musiałbyś... mi... usługiwać, barbarzyńco... przez... przez... całą... drogę... do Szwecji – wystękał zasapany siostrzeniec basileusa. Długo się potem śmiali, sami nie wiedząc z czego. Takich rozbawionych zastała ich Samboja. Wiedziała o porannym rejsie i przysłała się pożegnać.

Rozmyślenia i wspomnienia przerwał but Tharkilda bez Nosa.

– Nie śpij, chłopcze. Isleif wypatrzył trzy żagle, nie wiemy, czy to przyjaciele, czy wrogowie.

Erik zerwał się bardziej ucieszony niż zmartwiony wieściami. Myślenie wolał zostawić takim ludziom jak Zeno. Dla wojów z żelaza bogowie przeznaczyli czyny.

KONIEC

# Posłowie

## Bitwa pod Simanacas

W ramach kampanii przeciwko niewiernym kalifa Kordoby Abd ar-Rahmana III, wspomaganego przez gubernatora Saragossy Abu Jahję, w 939 roku nieopodal zamku Simanacas, czy też jak zwali go jego arabscy budowniczości z Al-Andalus – Alhandengi (w rękach chrześcijan dopiero od 895 roku), rozegrała się dwudniowa bitwa, w trakcie której doszło do zaćmienia Słońca. Brak jednak wzmianki w materiałach historycznych o uczestnictwie w tych zmaganiach Skandynawów. Średniowieczne źródła podają również, że pojawił się tam z ognistym mieczem, siejąc postrach wśród wyznawców Proroka, sam święty Jakub zwany Metamoros – pogromca Maurów, ale przy tym fakcie bym się nie upierał.

Wprawdzie w zmaganiach pod Simanacas nie brali udziału wikingowie, jednak składali oni „wizyty” mieszkańcom terenów obecnej Hiszpanii, Portugalii czy Włoch.

Jak podaje Pierre Barthélemy w książce *Les Vikings*, wikingowie w latach 975–1098 aż dziesięć razy najeżdżali w zorganizowanych grupach Półwysep Iberyjski, a przecież wcześniej najazdy też się odbywały. Poniżej kilka przykładów takich wypadów łupieżczych.

### Przykłady wypraw wikingów na Półwysep Iberyjski

**827 r.** – Normanowie, którzy założyli na wyspie Noirmoutier na Loarze wielosezonowy obóz, wyruszyli w poszukiwaniu łupów na tereny dzisiejszej północnej Hiszpanii. Nie była to wielka wyprawa, jednak na tyle dotkliwa, że odnotowały ją kroniki.

**844 r.** – Wikingowie w sile 54 statków napadli na południową część dzisiejszej Hiszpanii – ówczesny emirat Kordoby. Podjęli próbę zdobycia Lizbony i Sewilli. Spalili Kadyks i płynąc rzeką Wadi al-Kabir (arab. Wielka Rzeka) – dzisiejsza Gwadalkiwir – dotarli do Kordoby. Spalili słynny meczet założony przez Abd ar-Rahmana I i zniszczyli ogrody pomarańczowe, co zostaje odnotowane w kronikach z tamtego okresu. Miasta nie zdobyli. Skuteczny kontratak emira Abd ar-Rahmana II skończył się ucieczką niedobitków i pojmaniem setek jeńców. Wszystkich ku przestrodze powieszono na gałęziach drzew. Czy podziałało? Informacja poniżej.

**858 r.** – Rajd, podczas którego wikingowie złupili Sewillę i najechali Pampelunę, biorąc do niewoli jej chrześcijańskiego króla – Garcję.

**859–862** – Najsłynniejsza, a może po prostu najlepiej udokumentowana z wypraw wikingów na tereny dzisiejszej Hiszpanii, Włoch, Francji i Afryki. Wzmianki o niej można znaleźć zarówno w Rocznikach Bertyńskich (obejmujące lata od 830 do 882, znalezione w klasztorze Saint-Bertin), jak i w skandynawskich sagach i źródłach arabskich. Kronikarz Abn Adari opisuje pojmanie w owym czasie przez jednego z bejów dwóch wypełnionych niewolnikami i złotem wikińskich statków.

Wikingowie pod wodzą Björna Jernsidego (Żelaznego lub Żelaznobokiego) i Hastingsi wpłynęli na wody Morza Śródziemnego w sile sześćdziesięciu dwóch lub sześćdziesięciu czterech okrętów. Dzięki manewrowi władcy Al-Andalus wierne mu oddziały zablokowały ujście rzeki Wadi al-Kabir, co uniemożliwiło rajd na Sewillę i Kordobę. Skandynawowie zajęli natomiast miasto Algeziras (wsp. Algeciras), gdzie spalili wielki meczet. Następnie, jak podają źródła, ruszyli na południe, docierając do północnych wybrzeży Afryki. Siali postrach na

Balearach, w tym na największej z wysp – Majorce. Żądni dalszych łupów wrócili na teren dzisiejszej Hiszpanii i zaatakowali miasto Orihuela. Napotkawszy silny opór, porzucili Al-Andalus i popłynęli Rodanem, niszcząc miasta Nimes i Arles (tereny dzisiejszej Francji). Dotarli aż do Italii, gdzie „wydzierzawili” od miejscowych mieszczańską się w delcie Rodanu la Camarque. Ta wielka bagnista wyspa, odgradzona od lądu wodami rzeki i Morza Śródziemnego, stała się ich punktem wypadowym do ataków na italskie miasta.

Wiosną kolejnego roku siali spustoszenie w Pizie – ten fakt również wykorzystałem w powieści, w Fiesole, zdobyli miasto Lunę, które omyłkowo wzięli za Rzym. Informacja o tej ostatniej zdobyczy pochodzi z niesprawdzonych źródeł. Po trzech latach łupienia w powrotnej drodze do domu okrążyli Półwysep Iberyjski. Na wysokości Cieśniny Gibraltarskiej, zwanej przez nich Norvasund, trafili w środek wielkiego sztormu i do kraju wróciło ledwie siedemnaście okrętów. Za to drogocenny ładunek tych skipów przyczynił się do wielkiego rozgłosu wyprawy. Niewykluczone, że część kapitanów zdecydowała się pozostać na żyznej italskiej ziemi, więc nie wiemy dokładnie, ile skipów pochłonęła wówczas chciwa Ran.

### **Kalifat Kordoby**

Często nie zdajemy sobie sprawy, jak ogromny wpływ na naszą historię, naukę i sztukę mieli Arabowie. Jeśli myślimy stereotypowo, to jawią nam się oni jako kultura uwsteczniająca pochod ludzkości ku oświeceni, radykalna w swoich działaniach i sztywno związana Koranem. To jest bardzo nieskomplikowany tok myślenia i krzywdzący dla pokoleń świątłych arabskich uczonych i myślicieli. To tak jakby kulturę chrześcijańską postrzegać jedynie przez pryzmat Świętego Oficjum, co jest oczywistą bzdurą.

Al-Andalus, czyli emirat, potem kalifat Kordoby, był wyjątkowym tworem religijno-polityczno-społecznym. W okresie swojej świetności zajmował trzy czwarte powierzchni Półwyspu Iberyjskiego z wyjątkiem jego zachodniej części, którą pozostawiono wizygockim niedobitkom wcześniejszych panów tych ziem. Z czasem powstały tam chrześcijańskie hrabstwa, księstwa i królestwa: Galicja, León, Castilla, Nawarra, Aragón. Na pierwszy rzut oka wygląda to całkiem nieźle: Iberia znajdowała się pod panowaniem chrześcijan i muzułmanów i te dwie grupy ścierały się ze sobą, walcząc o prymat swojej religii, ale tylko na pierwszy rzut oka. Tak naprawdę nie było to równe starcie. Niech przemówią fakty. Stolicą największego chrześcijańskiego państwa było miasto o nazwie León. W X wieku, w czasach, które opisuję, liczyło ono około siedmiu tysięcy stałej ludności (co przy tysięcznej szwedzkiej Birce jest niezłym wynikiem). Życie mieszkańcom ułatwiało niespełna dwadzieścia warsztatów rzemieślniczych i sklepów. W tym samym czasie w sąsiednim kalifacie Kordoby, w tejsze Kordobie właśnie, mieszkało osiemset tysięcy do miliona mieszkańców.

Kilka słów więcej o samej Kordobie, gdyż duża część opisywanych w powieści przygód rozgrywa się właśnie w tym największym w owym czasie europejskim mieście.

### **Kordoba**

W granicach tego miasta, które z powodzeniem mogło konkurować z Konstantynopolem (o nim więcej pisałem w posłowniu do części III sagi o wikingach), usytuowano kilkadziesiąt tysięcy sklepów i warsztatów, trzysta lub nawet ponad tysiąc meczetów, trzysta lub, jak podają inne źródła, dziewięćset łaźni, pięćdziesiąt szpitali, dwadzieścia publicznych bibliotek. Biblioteka syna i następcy Abd ar-Rahmana III – Al-Hakama, liczyła czterysta tysięcy woluminów, w tym dzieła Arystotelesa, Euklidesa, Hipokratesa, Platona. Robi wrażenie?



W potężnych murach obronnych znajdowało się siedem głównych bram (źródło: D. Fairchild Ruggles, *Gardens, Landscape, and Vision in the Palaces of Islamic Spain*). W ich obrębie pałac Alcazar, Wielki Meczet – Mosque, zbudowany po przebudowie wizygockiego kościoła Świętego Wincentego, trzynaście cmentarzy, dwa place modlitewne – musalle, bazy, w tym kajsarija, zadaszony główny bazar. Na dokładkę mieli tam hipodrom noszący nazwę Musara.

Południową stronę zajmowały wielkie pałacowe ogrody i rzeczny port. Nieopodal dzielnicy pałacowej znajdowała się dzielnica żydowska, co świadczy o dosyć wysokim statusie, jakim cieszyły się w kalifacie ludy Księgi.

Tyle w obrębie samych murów obronnych, a poza nimi dwadzieścia jeden przedmieść podzielonych na trzy części: górną, dolną i prawobrzeżną. Ta ostatnia nosiła nazwę Secunda i to tu umieściłem moich bohaterów. Przedstawiłem tak szczegółowo dostępną wiedzę na temat Kordoby, by łatwiej było po zderzeniu jej z dwudziestoma warsztatami i sklepami w Leónie wyobrazić sobie ówczesną różnicę w rozwoju cywilizacyjnym Maurów z kalifatu i chrześcijan z królestwa Leónu.

### **Życie i prawo w kalifacie Kordoby**

W Al-Andalus, czyli „Kraju Wandali” – od władającego dawniej tą ziemią plemienia Wandalów, poza sztuką, matematyką, inżynierią (to oni wprowadzili indyjskie cyfry zwane dzisiaj arabskimi) na wysokim poziomie stało zarządzanie, przemysł wydobywczy, tkacki i rolnictwo, czyli to wszystko, czego ówczesny świat chrześcijański mógł im tylko pozazdrościć i zazdrościć. Nie ujmuję niczego naszej kulturze, która jak wszystkie inne miała swoje wzloty i upadki, chciałbym jednak wyraźnie podkreślić, że prawdziwy rozwój jest możliwy tylko wtedy, gdy narody współdziałają, jak to miało miejsce w państwie Umajjadów, a nie zwalczają wszystko, co obce i inne.

Nieopodal swojej stolicy Abd ar-Rahman III w 936 roku zlecił budowę olbrzymiego kompleksu pałacowego – Madinat az-Zahra, wyłożonego afrykańskimi marmurami, z dachem przedstawiającym obraz niebios. Na środku głównej sali stały odbijające światło misy z rtęcią, w ogrodach „śpiewały” mechaniczne ptaki, a tron władcy ponoć unosił się bez udziału niewolników. To wszystko w X wieku!

Potęga emiratu, potem kalifatu Kordoby wynikała z wielu rzeczy, ale w wielkim uproszczeniu powiem, że spotkały się na tych terenach trzy religie, których wyznawcy potrafili pokojowo koegzystować, wykorzystując swoje silne strony i uzyskując efekt synergii. Stosunek muzułmanów do innowierców był określany jako zimma, pakt zawarty w Koranie. Jego elementami było: płacenie przez innowierców specjalnych podatków (przykładem był podatek zwany jizya czy ġizya, dzięki któremu mężczyźni niebędący muzułmanami mogli praktykować swoją religię, mieli ochronę państwa i zwolnienie ze służby wojskowej, oraz harāġ – podatek gruntowy), zakaz nawracania muzułmanów, zakaz budowania nowych świątyń, zakaz obnoszenia się z praktykami religijnymi. Co ważne jednak, chrześcijanie i Żydzi mogli we własnym gronie odprawiać obrzędy, które uznawali za niezbędne, zachowali autonomię w sprawach swoich wspólnot i spory rozstrzygali między sobą. Jedynie w przypadku kary śmierci musieli zasięgnąć opinii kadiego (sędziego mianowanego przez władze). Dochodziło do takich skrajności, że zwaśnieni Żydzi woleli czasami dochodzić sprawiedliwości przed obliczem muzułmańskiego sędziego niż przed rodzimym sądem, co zdaje się świadczyć o bezstronności tego pierwszego.

Korzyści gospodarcze powodowały, że wielu chrześcijan i Żydów mieszkających na terenach podległych Kordobie w sposób zupełnie pokojowy przechodziło na islam i zostawało

muladimi (z arabskiego: muzułmanami mieszanego pochodzenia lub tymi, którzy przeszli na islam). Zimmi, czyli ci, którzy zdecydowali się pozostać przy swojej wierze, nie narażali się przez to na zbyt ostre restrykcje. Jako wyróżnik musieli nosić żółte elementy ubioru.

Oczywiście nie było idylli i choć takie muzułmańskie miasta jak Sewilla, Pachina, Elwira miały nawet swoich biskupów, to w czasie tłumienia licznych wewnętrznych buntów, po zdobyciu miast sprzyjających rebeliantom Abd ar-Rahman III an-Nasir Ibn Muhammad z dynastii Umajjadów wybijał lokalnych chrześcijan, uznając ich za element niebezpieczny i niemożliwy do spacyfikowania. Mimo wszystko w owym czasie presja na innowierców była w Al-Andalus mniejsza niż choćby presja na żydów w chrześcijańskiej części Europy.

Srogo jednak karano próby nawracania muzułmanów na chrześcijaństwo; gdy dziecko przyjęło islam, jego chrześcijańscy rodzice tracili nad nim władzę. Ponadto przed sądami słowo wyznawcy Proroka znaczyło więcej.

Sami muzułmanie czerpali pełnymi garściami z dorobku minionych pokoleń, tłumaczono greckich filozofów, rzymskich myślicieli. Rozwijała się medycyna na całkiem wysokim jak na owe czasy poziomie, nastąpiła zamiana niewolniczej pracy na roli na rzecz półwolnych dzierżawców. W tym momencie wypada zaznaczyć, że niewolnictwo kwitło w najlepsze. Ludzi sprowadzali do Norbony czy Barcelony kupcy zamieszkujący okolice Dunaju, Rodanu i Renu i z tych miast transportowano ich do Kordoby i dalej. Nierzadko byli to Słowianie zwani przez arabsów Saqualiba. Termin pochodzi prawdopodobnie od łacińskich słów: sqlavus, sclavus, slaves. O skali tego zjawiska niech świadczy fakt, iż termin „saqualiba” oznaczał równocześnie niewolnika. Gwoli sprawiedliwości zwrócę jednak uwagę, że w Al-Andalus występowały trzy typy niewolników. Pierwszym typem byli najcenniejsi służący pałacowi, zwykle eunuchowie (pracujący w kuchni, stajni, jako zarządcy), którzy cieszyli się dosyć wysoką pozycją społeczną, niewiele odbiegającą od statusu wolnych muzułmanów. Często też posiadali wykształcenie, gdyż w krajach arabskich istniał zwyczaj nauczania dzieci władców razem z dziećmi niewolników. Druga grupa to niewolnice do haremów i raczej nie wymaga ona szczegółowych objaśnień dotyczących zakresu obowiązków. Trzecia natomiast to żołnierze, wykorzystywani jako gwardia osobista kalifa.

Wracając jednak do emiratu Kordoby, dodam jeszcze, że dzięki arabskim rolnikom zaczęto uprawiać na ziemiach Iberii sprowadzone z innych kontynentów cytrusy, ryż, trzcinę cukrową, bawełnę.

Ciekawostką dla nas, Polaków, jest fakt, że w latach 960—965 na dworze cesarza Ottona I Wielkiego przebywało poselstwo z Kordoby, w którego skład wchodził Ibrahim Ibn Jakub. Z jego pisemnej relacji wiemy o zasobnym państwie Polan, rządzonego przez mądrego i silnego władcę Mieszka I.

### **Abd ar-Rahman III**

Kilka zdań o władcy kalifatu Kordoby, który stał się jednym z bohaterów IV części sagi o wikingach. Abd ar-Rahman III an-Nasir, Abd ar-Rahman Ibn Muhammad, wielki emir, a potem kalif Al-Andalus, był wspaniałym, najwybitniejszym władcą z rodu Umajjadów. Syn Abd Allaha Muhammada (został zabity za knucie przeciw tronowi) i Muzny lub Muzyny – chrześcijańskiej niewolnicy z Pampeluny. Zresztą jego babką również była niewierna, mianowicie Onneca Fortúnez, córka króla Nawarry. Stąd zapewne jego nietypowa dla Arabów rudawa barwa włosów, jasna skóra i niebieskie oczy.

Tron odziedziczył w wieku 23 lat po dziadku, Abd Allahu, wyprzedzając w tym wyścigu czterech synów umierającego władcy. A wraz z nim rozbite i skłócone wewnętrznie państwo.

Pokonał jednak wszystkich wrogów lub przeciągnął ich na swoją stronę, budując jedno z najpotężniejszych państw w basenie Morza Śródziemnego. Jego władza rozciągała się od Półwyspu Iberyjskiego przez Baleary aż po północne wybrzeże Afryki (dzisiejsze Maroko).

Władca ten miał wiele dzieci. Wśród jego synów wymieniani są: Abu al-As al-Hakam – jego następca i kolejny wspaniały władca kalifatu Kordoby, Abu al-Malik, Ubajd Allah, Sulajman, Abd al-Dżabbar, Al-Mughira. Któryś z nich, jak wynika z zapisów, został skazany na śmierć przez ojca za próbę przejęcia władzy. Ten element wykorzystałem w powieści.

Abd ar-Rahman III miał wielki harem z niewolnicami i równie duży męski. Do historii przeszła postać Pelagiusza z Kordoby, trzynastoletniego męczennika, który jakoby na propozycję spędzenia upojnych nocy z władcą uderzył go w twarz. Miał być za to torturowany i poćwiartowany, przynajmniej tak twierdzą katolickie kroniki. To tylko jeszcze dorzucę, że jego następca – Abu al-As al-Hakam, wielki władca i mecenas nauki i sztuki, jakiego ówczesny świat nie widział, miał już tylko jeden harem – męski.

Na zakończenie opowieści o Abd ar-Rahmanie III – imię to należy tłumaczyć jako Sługa Litościwego – kilka zdań o cudzie ówczesnej architektury – Lśniącym Mieście, Madinat az-Zahra. Jedna z legend mówi, że leżące nieopodal Kordoby miasto władca Al-Andalus zbudował w hołdzie dla swojego faworyta Az-Zahra. Czy tak było w istocie, trzeba by zapytać samego pomysłodawcę. U podnóża gór Sierra Morena, 6,4 km na zachód od stolicy, przez dwadzieścia kilka lat powstało wspaniałe miasto, przyćmiewające przepychem wiele innych. Ale nie w tym dziwnego, skoro jego budowa rokrocznie pochłaniała ponoć trzecią część budżetu państwa! Miało ono być i było dowodem potęgi rodu Umajjadów, rywalizującego w Afryce z Fatymidami. Nowe miasto zajmowało powierzchnię 112 hektarów i zbudowano je w formie tarasów. Nie przetrwało. Jego ruiny odkryto w 1911 roku.

Co do buntu Umara Ibn Hafsuna, przedstawię sprawę jednym zdaniem. Wszystko, o czym opowiadał przy winie i ogniu Al-Gabali (Góral), było prawdą. Zresztą ojciec Abd ar-Rahmana III – Abd Allah Muhammad został zabity właśnie za rzekome spiskowanie z Ibn Hafsunem w celu przejęcia władzy w państwie.

### **Obecność Normanów na Sycylii**

Bohaterowie mojej powieści lądują na wyspie i podbijają Sycylię na kilkadziesiąt lat przed wydarzeniami, które faktycznie się rozegrały. Czynią to jako wierzący w bogów poganie, a nie gorliwi chrześcijanie, jakimi byli bracia Robert i Roger de Hauteville. Sycylię, czy jak zwali ją muzułmanie – Sikiliję, zdobyli w XI wieku (1060–1091) normańscy potomkowie wikingów.

Tę największą wyspę na Morzu Śródziemnym ponad sto pięćdziesiąt lat wcześniej (902 rok) odbili z rąk Bizantyjczyków wyznawcy Allaha i uczynili najbogatszą krainą w regionie. Na skutek konfliktów w Afryce pomiędzy dynastiami Fatymidów i Abbasydów dynastia Zirydów, rządząca dzisiejszą Tunezją (ówczesna Ifrikija), znalazła się między młotem a kowadłem. A to właśnie oni patronowali sycylijskim emirom i wspierali ich. Tę słabość wykorzystali Normanowie.

Początki podboju dużej części dzisiejszych Włoch przez potomków wikingów były prozaiczne. Większe i mniejsze grupy pielgrzymów z Normandii, dodajmy, ludu żarliwie religijnego, co należy przypisać jego niedawnej konwersji, udawały się do Ziemi Świętej, by złożyć hołd u grobu Jezusa Chrystusa. Jak podaje Marcin Böhm w swojej książce *Normański podbój Sycylii w XI wieku*, jedna z takich grup, wracając do domu około roku 999, natknęła się na Saracenów wymuszających okup od mieszkańców Salerno w południowej Italii. Oburzeni takim traktowaniem innych chrześcijan stanęli na czele miejscowych wojsk i pokonali wyznawców

Allaha. Zdobyli tym sposobem wielkie uznanie u miejscowego władcy Waimara III. To wydarzenie można uznać za symboliczny początek aktywności Normanów w tym rejonie świata.

Od tego czasu przybywali do Italii i najmowali się do służby w armiach władców poszczególnych miast. Poprzez koligacje z możnymi rodami i umiejętne wykorzystywanie niesnasek wśród Longobardów zaczęli zyskiwać na znaczeniu. Władca Neapolu wraz z ręką swojej siostry przekazał im w zarząd zamek i miasto w Aversie. Nowy pan feudalny wysłał do ojczyzny posłów z prośbą o więcej mieczy. Dzięki zręcznej polityce, koligacjom i sile zbrojnej Normanowie z prostych najemników zmienili się w europejskich władców z prawdziwego zdarzenia. Taka historia „od pucybuta do milionera” na długo przed powstaniem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Na Sycylii po raz pierwszy Normanowie pojawili się w 1038 roku wraz z armią bizantyjskiego wodza – Georgiosa Maniakesa. Strategicznego geniusza o nieco psychopatycznej osobowości. Wyspę znajdującą się pod panowaniem islamu postanowił przywrócić chrześcijaństwu cesarz Michał IV. W skład wojsk Bizancjum wchodził trzystuosobowy oddział Normanów z niedalekiej Italii oraz gwardia wareska z samego Konstantynopola, pod wodzą Haralda Hardrada (Srogiego). Waregowie, żeby zdobyć sycylijskie miasta, mieli wykazać się niezwykłą pomysłowością. To właśnie podczas tej kampanii wykorzystano podstęp z trumną, który można było zobaczyć w serialu *Wikingowie*. Według innych źródeł historycznych dopuścił się tego kilkadziesiąt lat później Robert Guiscard (Chytry) de Hauteville podczas zdobywania jednego z silnie obwałowanych monastyrów w Italii, ale to przecież też potomek wikingów. Wykonywano podkopy pod murami, a nawet użyto broni chemicznej. Ta ostatnia taktyka, choć okrutna, okazała się niezwykle skuteczna. Normanowie złapali w sieci wiele wróbli, które miały swoje siedliska w słomianych dachach miejskich zabudowań. Nasmołowali je i wypuścili, a te nieboraki wróciły do gniazd. Nietrudno się domyślić, jaki był skutek ataku ognistymi strzałami.

Hardrada był tak barwną postacią, że wart jest odrębnej powieści. Jemu współcześni zwali go Karmicielem Kruków, Nawałnicą Włóczy czy Patronem Bitew. Dość powiedzieć, że w 1031 roku wraz z armią kniazia Jarosława Mądrego brał udział w najeździe na polskie ziemie. Walczył w Afryce, Italii, a nawet uczestniczył w obalaniu cesarza Michała V i rozkochał w sobie żonę jego następcy. Został w końcu królem Norwegii i to on założył dzisiejsze Oslo. Poległ podczas sławnej bitwy z Anglikami pod Stamford Bridge. To był ostatni wielki król wikingów.

Przyznam, iż jako autora powieści kusiło mnie niezmiernie „osadzenie” mojej przygody właśnie w tym okresie, ale zastosowałem wybieg możliwy tylko w książkach beletrystycznych i połączyłem te dwa najazdy (dzieliło je kilkadziesiąt lat) w jeden, z pewnymi modyfikacjami.

W roku 1060 Roger Guiscard, normański potomek wikingów, przeprowił się wraz z sześćdziesięcioma rycerzami przez Cieśninę Mesyńską i wylądował w pobliżu Mesyny. Starł się z przeważającymi muzułmańskimi siłami i wygrał, zdobywając w mieście bogate łupy. Tym rajdem udowodnił, że przeciwnik na Sycylii nie będzie w stanie powstrzymać normańskiego najazdu.

Należy zwrócić uwagę, że muzułmańska władza na wyspie nie stanowiła monolitu. Po śmierci ostatniego władcy z dynastii Kalbidów Sycylię ogarnęła wojna domowa. W jej efekcie wykształciły się trzy rywalizujące ze sobą emiryaty[39]:

Val Demone (Diabelska Dolina) położone na północno-wschodnim krańcu wyspy, z takimi miastami jak: Troina, Taormina, Scabatripoli (dzisiejsze Tripi), Romietta, Mesyna, Cefalu i Katania. Nazwa wywodzi się od czynnego wulkanu Etna. Przeważali grekokatolicy.

Val di Noto obejmujące południowo-wschodnie wybrzeże i między innymi miasta: Syrakuzy, Noto i Castro-Johannis (arab. Qasr Janni). Nazwa od istniejącego do dziś miasta Noto, które po zniszczeniu na skutek trzęsienia ziemi w 1690 roku odbudowano w nieco zmienionej

lokalizacji (12 km na południe). Przeważała ludność o greckim rodowodzie.

Val di Mazara, w którego skład wchodziły zachodnie tereny, między innymi miasta: Palermo, Agrigento (arab. Kerkent lub Gergent), Trapani, Marsala i Mazara. To był najbogatszy region wyspy i przeważała ludność muzułmańska.

Według szacunków całą wyspę zamieszkiwało wówczas około dwustu pięćdziesięciu – trzystu tysięcy mieszkańców, z czego trzecią część stanowili chrześcijanie – głównie Grecy. Źródła historyczne nie są jednak co do tego zgodne i istnieją przekazy, prawdopodobnie wyolbrzymione, że tylu mieszkańców liczyło sobie samo Palermo. Znajdowała się tu również liczna diaspora żydowska.

W 1061 roku jeden z trzech emirów władających Sycylią – Ibn Timna z emiratu Val Demone (zwany też Betumenem) poprosił hrabiego Rogera Guiscarda o interwencję zbrojną na Sycylii. Czytelnicy znajdą tę postać na kartach mojej powieści. To był doskonały pretekst i wiosną na wyspie wylądowało 166 konnych rycerzy oraz nieznaną liczbę piechoty. Dwukrotnie starli się z wojskami wysłanymi przeciw nim z Mesyny i dwukrotnie zwyciężyli. W obawie przed kontratakami muzułmanów z innych rejonów Sycylii powrócili obładowani łupami do Reggio w Italii, by zebrać większe siły.

Dzięki fortelowi wyprowadzili w pole muzułmańską flotę i zajęli portowe miasto Mesyna, z którego uczynili swoje centrum dowodzenia. Bracia Robert i Roger Guiscardowie mieli do dyspozycji 1000 pieszych wojów i 1000 konnych rycerzy, choć niektórzy podają, że tych ostatnich było ledwie 700.

Widząc klęskę Mesyny, wiele mniejszych miast poddało się najeźdźcom, przysięgając na Koran wierność Normanom. Nie było to wiele warte, albowiem muzułmanie mogą krzywoprzysięgać niewiernym, jeśli służy to prawdziwej wierze, ale potomkowie wikingów pewnie o tym nie wiedzieli. Pomocy i wsparcia udzielali im miejscowi chrześcijanie, na których sycylijscy władcy nakładali uciążliwe podatki. Do decydującej na tym etapie bitwy doszło w okolicy miasta Enna (wówczas Castro-Johannis, arab. Qasr Janni). Ten element z kampanii braci Giscardów oraz wiele innych również wykorzystałem w powieści. Starła się tu piętnastotysięczna armia emira Belcameda (Ibn Hawwasa) – władcy regionu Val di Noto, wsparta berberyjską jazdą z Afryki pod wodzą Ajuba, z 700 konnymi normańskimi rycerzami... i przegrała.

To był początek, który zapewnił potomkom wikingów ponadstuletnie dostatnie rządy na Sycylii i w części Italii. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że były to czasy terroru i zamordyzmu. Charakteryzowały się wielką tolerancją religijną (na wyspie żyli obok siebie chrześcijanie, żydzi i muzułmanie). Ci ostatni, jeśli wracali do Afryki, to głównie z przyczyn doktrynalnych, a nie życiowych. Z tych, którzy zdecydowali się jednak pozostać, tworzono wojsko, oddawano im stery finansów, zlecano prace inżynieryjne. O wpływach wyznawców Allaha niech świadczy choćby ten nieco trywialny fakt, że chrześcijańskie kobiety na Sycylii okrywały włosy chustami na wzór muzułmanek i malowały paznokcie. I to wszystko w chrześcijańskim państwie. Nie mogło to się podobać Watykanowi i nie podobało się, ale biskupi Rzymu musieli ścierpieć pewne odstępstwa w zamian za poparcie potęgi wojskowej potomków Normanów. Przecież już raz, po Civitate w roku pańskim 1053, Normanowie pokonali wojska papieskie, a samego Leona IX wzięli na dziewięć miesięcy do niewoli. Ciekawostką jest, że jedyny raz w historii, gdy oddziały wyznawców Proroaka stanęły zbrojnie w Stolicy Piotrowej, miał miejsce w 1061 roku. A to na skutek normańskiej interwencji zbrojnej, kiedy to osadzono na Tronie Piotrowym Aleksandra II. Część oddziałów Roberta Guiscarda stanowili wówczas najemni Maurowie.

## Źródła

- Marian Adamus, *Tajemnice sag i run*, Ossolineum, 1970
- Forte Angelo, Oram Richard, Pedersen Frederik, *Viking Empires*, Cambridge University Press, 2005
- Pierre Barthélemy, *Les Vikings*, Paris, 1988
- Marcin Böhm, *Normański podbój Sycylii w XI wieku*, Wydawnictwo Napoleon V, 2014
- Aron J. Gurewicz, *Wyprawy wikingów*, Wiedza Powszechna, 1969
- Kennedy Hugh, *Muslim Spain and Portugal: a political history of al-Andalus*, Longman, 1996
- Filip Andrzej Jakubowski, *Życie codzienne w Kordobie w drugiej połowie X w. i XI w. w świetle arabskich źródeł narracyjnych*, Repozytorium Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu Wydziału Historycznego,  
link:  
<https://repozytorium.amu.edu.pl/bitstream/10593/12643/1/Filip%20Jakubowski%20dysertacja.pdf>
- Philip Line, *Wikingowie. Wojownicy Północy*. Wydawnictwo RM, 2016
- Farley Mowat, *Wyprawy wikingów*, PIW, 1972
- Philip Parker, *Furia ludzi Północy*, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2016
- Henryk Pietruszczak, *Dzieje Rogera I, hrabiego Kalabrii i Sycylii, i Roberta Guiscarda, jego brata*, Tłumaczenie kroniki Gaufrida Malterra, Transatlantyk, 2012
- Else Roesdahl, *Historia wikingów*, Marabut, 1996
- Collins Roger, *Caliphs and Kings: Spain, 796–1031*, Willey, 2012
- Dariusz Wiśniewski, *W średniowieczu. Konfrontacja i współżycie*, Wydawnictwo Poligraf, 2016
- Podczas pisania powieści wykorzystałem cytaty z Koranu i powiedzenia oraz przysłowia arabskie. Źródło tych ostatnich:  
[https://pl.wikiquote.org/wiki/Przys%C5%82owia\\_arabskie](https://pl.wikiquote.org/wiki/Przys%C5%82owia_arabskie)

## Suplement

Pojęcia w języku nordyckim, często bez znaków diakrytycznych, czyli w takiej formie, jaką można odnaleźć w dziełach polskojęzycznych:

*abbas* – opat

*adder* – zmija

*aett* – klan, rodzina, ród

*aifur* (duń.) – okrutny

*álpt* – łabędź

*á morgun* – jutro

*argr* – zniewieściany mężczyzna

*Ásgårdsreia* – Dzikie Gon (norw.). Horda ludzi, psów i koni prowadzona przez widmowego wojownika. Ujrzenie Dzikiego Gonu zwiastuje zarazę, wojnę bądź inną katastrofę. Szwedzi zwali Dzikie Gon *Odens jakt*.

*Askomanowie* – ludzie jesionu, wikingowie. Ask – jesion (mężczyzna). Embla – wiąz (kobieta).

*aul* – napój

*austmad* – człowiek ze Wschodu

*austrvégr* – wschodnia droga

*Austrvegrfiord* – Fiord Wschodniej Drogi

*ava* – honor

*berserk* – wojownik, który wpadając w furję, stawał się znacznie silniejszy i mniej wrażliwy na obrażenia. Wierzano, że w tym czasie zamienia się w wilka (Kveldulf – Nocny Wilk) lub niedźwiedzia (Ber, bar znaczy nosić, serkr – pancerz, zbroja). Wyrażenie pokrewne: ulfhednar – w wilczej koszuli, berserksgangr – szaleństwo berserków.

*biarki* – niedźwiadek

*biarkøyiarrettr* – prawo handlowe

*bjargrygr* – pomocna kobieta, np. położna

*Blaserk* – przyd. Niebieska Koszuła

*bonde, bond, bøndur* – człowiek wolny, gospodarz i głowa rodu. Zasobność nie miała tu znaczenia. Znacznego bonda zwano stormanem.

*braektat* – talizman

*brauð* – chleb

*Bretlandia* – Brytania

*brudir berserkja* – kobieta berserk

*bydh* – okolice nadające się do zamieszkania, *obydh* – nieużytki

*bygg* (ziarno) – siew

*cénel* – ród możnowładców

*córki Gefny* – kobiety oddające swe ciała w zamian za pieniądze

*dagur/dagor/dagr* – dzień

*dagvedhr* – posiłek spożywany rano, po wykonaniu pierwszych prac w gospodarstwie (inna nazwa: rismal). Drugim i ostatnim posiłkiem był *nattverdhr* – posiłek spożywany po zakończeniu prac, wczesnym wieczorem

*dal* (nord.) – dolina. Gnomedal – Dolina Gnomów.  
*dämesagi* – opowieści mitologiczne  
*daneaxe* – dun, długi topór  
*delling* – zmrok  
*digre* – przyd. oznaczający osobę krępą, czyli grubą i niezbyt wysoką  
*doegr* – morska jednostka miary, oznaczająca odległość, jaką okręt przeplynie w ciągu doby (średnia prędkość statków wikingów to pięć węzłów na godzinę). Dobry okręt pod żaglami i z pomyślnym wiatrem mógł pokonać w ciągu dnia do 30 mil morskich.  
*dögun* – świt, brzask  
*draug/draugr* – żywy trup  
*drekka brullaup* – opijanie wesela  
*drengowie* – wojownicy, towarzysze, l. poj. drengr. W innym znaczeniu – młodzieńcy.  
*drottmadowie* – członkowie drott, przybocznej drużyny właściciela posiadłości lub znaczniejszego bonda  
*duces* – dowódcy armii  
*dum* – mgła  
*dýr* – karibu  
*einfoetingr* – jednoróg, rodzaj potwornego stworzenia  
*ekki á morgun heldur hinn* – pojutrze  
*eldr* (ogień) – nazwa ognia w świecie ludzi  
*Englismadowie* – Anglicy  
*erga* – seks między mężczyznami  
*eyrir* – jednostka wagi, odpowiednik uncji  
*fálki* – sokół  
*Fareyjar* – Wyspy Owcze  
*félag* – wspólnota poza obrębem rodu. Félagi – członek tej wspólnoty.  
*fífa* – strzała  
*fiskevoer* – stacje rybackie  
*fjörðingar* – „ćwiartka”. Oznaczenie oddziału liczącego 25 wojów.  
*foelle* – towarzysze, bracia w znaczeniu społecznym  
*fostbrádrálag* – mieszanie krwi, zawieranie przymierza  
*fóstri* – instytucja przybranego ojca. Syna oddawał na wychowanie zwierzchnik podwładnemu, a uchybienie takim obowiązkom było wielką ujmą na honorze.  
*Frankland* – kraj Franków  
*fylk* – lud, *fylka* – rejon zajmowany przez dane plemię, *fylking* – mur tarcz  
*gamle hamn* – stary port  
*gästing* (szwedz.) – cykliczny (zwykle sezonowy) objazd ziem przez władcę  
*gestir* – umyślny, sprytny poseł układający się w imieniu swego pana  
*gidð* (*gird*) – dwa znaczenia: opieka, bezpieczeństwo lub osoba wolna i bez własnego domu, przebywająca u kogoś w gościnie  
*gimle* – niebo  
*gjald* – głowoszczyna, okup za zabitych członków rodziny, tzw. monety krwi  
*Gjallandi* – przyd. Hałaśliwy  
*glam* (Gla) – nazwa własna oznaczająca „upiornie wyglądającego człowieka”  
*Glamr* (nord.) – księżyc  
*gothi* – kapłan  
*Grágás* – przyd. Szara Gęś



*grið (grid)* – prawo łaski  
*griðniðing (gridniding)* – łamacz ugód  
*haerskjold* – tarcza wojny. Symbol niesiony przed oddziałami podczas bitwy.  
Przeciwnieństwem jest biała tarcza – fredskjold, symbol pokoju niesiony na drzewcu.

*hag* – biegły, zręczny  
*hal/hall* – długi dom  
*hálfter* – „połowa”, pięćdziesięciu zbrojnych  
*hamingja* – powodzenie, szczęśliwy los  
*hamramirowie/ham-ramr* – ludzie zmiennokształtni, mogący przyjmować postać wilka lub niedźwiedzia

*Hárfagre/Hárfagri* – przyd. Pięknowłosa  
*hejmski* – leń (pędzący życie na zapiecku)  
*here* – zbrojny mąż/pan  
*hermthra* – tęsknota za domem  
*hevsir* – dowódca wojenny  
*Hilditon* – Ząb Bojowy – nazwa miecza lub okrętu  
*himinn* (pokrywa) – nazwa nieba w świecie ludzi. W innych światach miało ono odmienne nazwy.

*himþigi* – mężczyźni należący do domostwa  
*hird* – drużyna władcy, świta  
*hirdy* – zwarte formacje bojowe podobne do greckich falang  
*Hjart* – przyd. Jeleń  
*hlyidskialf* – miejsce obserwacyjne  
*høje* – przyd. Wysoki (den høje)  
*holm* – wyspa lub półwysep  
*Holmskalle* – przyd. Łysa Czaszka  
*høst* (duń.) – żniwa, jesień. Żniwa rozpoczynały się w sierpniu (początek jesieni).

*hövding/hevding* – wódz  
*höv/hov* – dom  
*hreysar* (duń.) – kamienne usypisko  
*hring* – koło  
*Huggende/Høggvande* – przyd. Rębajło  
*hundare* – setka wojów  
*Hundland* – Saksonia  
*husanotra* – przyrząd nawigacyjny, koło wyznaczone na kawałku drewna, podzielone na osiem części – airtów. Przyrząd ten był orientowany na Gwiazdę Przewodnią (Gwiazdę Polarną).

*huskarlar/huskarl* – członek elitarniej drużyny wikingów. Nazwa pochodzi od drużyny Kanuta Wielkiego i z czasem rozciągnęła się na wszystkich drużynników.

*husthing* (duń.) – tzw. thing domowy. Zgromadzenie zwoływane przez lokalnego jarla.  
*Hvide* – przyd. Biały  
*i dag* – dzisiaj

*Irland Mikkla* – Irlandia Wielka, zamieszкана część Grenlandii  
*Islat* – Islandia  
*jarl; haulder; landmand; thegen* – tytuły odpowiadające polskim tytułom szlacheckim  
*Jausalir/Jorsaland* – Jerozolima  
*jörth* (rola) – nazwa ziemi w świecie ludzi. Inne światy miały odmienne nazwy.  
*Jórvik* – York

*Jul* – święto przesilenia zimowego  
*Kappe* – przyd. Olbrzym  
*karlmadowie* – ludzie wolni, ale pracujący na nie swojej ziemi  
*kaupang* – targowisko  
*kill* – wąska, morska zatoka, fiord  
*Kiltr/gildr* – pełnej wartości, wymiarów lub wagi (dot. najczęściej monet)  
*kjöt* – mięso  
*klammhog* – cięcie wstydu, obcięcie tchórzowi kawałka pośladka  
*Kleggi* – przyd. Giez  
*klerker* – znający łacinę lub mieszkaniec Skandynawii, który został chrześcijańskim księdzem  
*klukustund* – godzina  
*kólbitr* (węgłożerca) – leń wylegający się przy ognisku  
*kolmganka/holmgang* (spacer po wyspie) – pojedynek dwójki obnażonych do pasa ludzi na ograniczonym terenie. Przegrywa ten, który pierwszy przekroczy wyznaczoną linię, lub ten, u którego poleje się krew.  
*konung, truhtin* – król w czasach wikingów, l. mn. konungarna  
*Krikiar/Grikkland* – Grecja  
*kristmaðr* – chrześcijanin  
*kyndemil* – odległość, w trakcie której pokonywania wypala się jedna pochodnia  
*kyrtill* – tunika z krótkimi rękawami, sięgająca połowy ud  
*lada* – zapraszać lub targować się  
*landevernet* – powszechny pobór wojskowy  
*landmand* – stanowisko wojskowo-administracyjne, podobnie jak: haulder, thegen  
*landmenn* – członkowie drużyny, drużynnicy  
*lantmil* – jednostka długości, oznaczała orientacyjną odległość pomiędzy dwiema gospodami  
*leding* (duń.), *leidang* (norw.) – pospolite ruszenie  
*leiclang* – armia  
*leiðangr* – wojskowa ekspedycja  
*leiðsagnarmaðr* – przewodnik lub pilot wodny  
*lid/lið* – przyboczna drużyna wojowników  
*Lille* – przyd. Mały (den lille)  
*logi* (staroisl.) – dziki ogień  
*logn* (pogoda) – nazwa obowiązująca w świecie ludzi  
*Logsogumadr* – głoszący prawa  
*lok-rekkja* – nazwa sypialni odgradzonej od dużej hali materiałowymi przepierzeniami  
*Longobardland* – określenie Włoch w języku nord.  
*luka* (staroisl.) – zamykać  
*maekir* – miecz z północy o zaokrąglonym sztychu i trójkątnej głowni  
*maekir saurgan* – brudny miecz (wyzwisko)  
*Mani* (księżyc) – nazwa księżyca w świecie ludzi  
*mánuður* – miesiąc  
*Marklandia* – Kraina Lasów  
*meginhufr/meginhúfr* – dodatkowe poszycie łodzi, montowane poniżej linii wody lub sztywne deski po obu stronach kadłuba, zwiększające stabilność statku  
*meykongr* (meykong) – wojownicza

*mikill dreng* – wielki wojownik; *drengr* – towarzysz broni  
*mikill vinr* – najdroższy przyjaciel  
*Miklagard, Miklagarðr* – Wielkie Miasto – Konstantynopol (dzisiaj Sztambuł)  
*miskunn* – miłosierdzie  
*mjólk* – mleko  
*modi* – odwaga  
*morgunn* – rano  
*morkinskinna* – skóra rozpadająca się, zbutwiała  
*muinir* – klasztor  
*myrkvidr* – „czarny las” otaczał jedną z granic świata. Zwany też myrkheimem.  
*naust* – port  
*nesgjald* – podatek od nosa, rodzaj pogłownego  
*nidingowie/ l.poj. niðing* – „niełudzie”, bezpańscy wojowie, wyrzutki, osoby bez honoru  
*noes* (duń.) – przylądek  
*Norvasund* – Gibraltar, Słupy Herkulesa  
*nöt* – noc  
*odal* – dziedzictwo. Bonda takiej ziemi zwano odalmanem. Słowo *odal* w staronordyckim oznaczało również kraj ojczysty.  
*odhr* (staroisł.) – szal, poezja  
*ofeg/ofegh* – człowiek, któremu nie jest pisana zguba  
*Ordigskeegi* – Szczecin  
*Orkneyjar* – Orkady  
*Ormrinn Langi* – Długi Wąż (nazwa okrętu)  
*ortug, öre* – nazwa jednostki wagi oraz monety  
*oskilgetirn* – bękart  
*osti* – ser  
*overnord* (duń.) – miejsce na Północy  
*oxe* (duń.) – wół  
*papar* – mnich  
*þarnik þéreigiúrr* – „Oby nie zabrakło męskiej mocy”  
*peningi* – srebrne staroangielskie monety (dziesięć peningów = jedna uncja srebra)  
*primasignan* – oznaczony krzyżem mieszkaniec Północy, co nie oznaczało jednak jego szczerego nawrócenia. Np. wojownicy przyjmowali wiarę w Chrystusa, by służyć w armiach chrześcijańskich władców.  
*pyttr* – studnie  
*reesso* (duń.) – olbrzym  
*refr* – lis  
*riff/reff* (st. nord.) – długa mielizna  
*Rig* – człowiek, który posługuje się runami  
*riki maðr (riki madr)* – bogacz  
*Rin* – rzeka Ren  
*Rinandi* – rzeka Rodan  
*Riselandia* – kraina olbrzymów  
*ri tūaithe* – lokalny król  
*róa* – wiosłować  
*roðsmenn* – sternicy  
*Romverjowie* – Rzymianie

*run* – sekret  
*saekonung/sjåkonungar* – dowódca morskiej wyprawy  
 (król morza)  
*sagersall* – zwycięzca  
*sagnamadowie* – śpiewający sagi, twórcy sag  
*saks* – długi nóż; *skramasaks* – długi nóż (krótki miecz – ostrze długości 30–70 cm)  
*sambátar* (st. nord.) – przystań dla łodzi  
*sandbakka-ás* (st. nord.) – piaszczyste wzgórze  
*sär* (zwierciadło) – nazwa morza, obowiązująca w świecie ludzi  
*Saxland* – duńskie określenie terytorium Niemiec  
*scy* (zasłona) – nazwa chmur w świecie ludzi  
*seidkona* – osoba parająca się czarną magią (kobieta)  
*seidr (seiðr)* – czarna magia  
*seimadowie* – czarownicy, mężczyźni używający czarnej magii  
*Serkirowie* – Arabowie, Saraceni  
*setery* – górskie pastwiska  
*Silfra* – przyd. Posiadacz Srebra  
*Sjörklandia (Serkland)* – kraj muzułmanów. Nazwa pochodzi od przekonania, że ludy z Bliskiego Wschodu nie noszą bielizny, zwanej przez Nordów *asjörk*  
*Skæggemand* (Brodacz) – nazwa łodzi, w której na mocnicy zamontowano żelazne kolce  
*skafhogg* – przycinanie  
*skaldborg* – mur tarcz, formacja bojowa  
*Skarpheddin* – przyd. Ostrozęby  
*Skeggi* – przyd. Żelaznobrody  
*skjaldmeyjar* – kobieta chodząca z tarczą, wojownicza  
*skjold/skjöldr* – drewniana okrągła tarcza obciążona skórą  
*skōgarmaðr (skogarmadr)* – leśny człowiek  
*skogkatt* (kot leśny) – norweski kot, mający wyjątkową umiejętność wspinania się na pionowe ściany skalne w poszukiwaniu jaj ptaków (krótsze tylne łapy). Duży, o wadze ponad 5 kg, ma wokół szyi futrzaną kryzę i „pędzelki” na uszach (jak u rysia). Tę rasę odkryto również w Ameryce Północnej (maine coon), stąd przypuszczenie, iż koty trafiły tam wraz z wikingami w X wieku.  
*skogsmil, rast* – odległość pomiędzy dwoma miejscami postoju, zazwyczaj dającymi cień terenami zadrzewionymi  
*skömm* – hańba  
*skraeling (skræling, kraëlingjar)* – mały zabijający – obcy, słabeusz, nędzny, żalosny. Taką nazwę Skandynawowie nadali Inuitom.  
*skramasaksy* – krótkie miecze długości 30–70 cm  
*skyr* – napój, w którego skład wchodziło sfermentowane krowie mleko i mąka  
*slatur* – danie składające się z owczego żołądka wypełnionego ostrą kaszanką  
*sólarupprás* – wschód słońca  
*sólsetur sólarlag* – zachód słońca  
*spjarrar* – skórzane rzemienie, którymi owijano nogi od kolan do kostki  
*stång* – około szesnastu stóp  
*stenkast* – odległość równa rzutowi kamieniem  
*storhögar* – duże kurhany; *kungshögar* – kurhany królewskie  
*strandhogg* – łupieżczy rajd wzdłuż wybrzeży, bywało, że i skandynawskich, realizowany

w celu zaopatrzenie załogi w prowiant.

*stýrsimaður* – kapitan skipu, którym zwyczajowo był sternik

*Sumar* – lato

*Sunnmannowie* – mężczyźni z południa, Niemcy

*Svalbarði* (Chłody Dziób) – nazwa okrętu

*Svarte* – przyd. Czarny

*Svavaland* – Szwabia

*Svear* – Szwedzi

*Svitjod* – kraj Szwedów

*svynfylka/svinefylking* – „świńska głowa”, „świński szyk” – trójkątna formacja bojowa

*synningthwait* – miejsce oczyszczone przez ogień

*thegen* – lokalny wódz

*thing* – wiec

*thraell* – domowy niewolnik

*thund* – łuk

*tign* – honor wojownika

*til arsk ok fridar* – toast: za pomyślne zbiory i pokój

*tími* – czas

*tirr* – sława

*trémandr lub skurgopð* – sanktuarium pod gołym niebem, gdzie oddawano cześć bogom pod postacią wyrzeźbionych w drewnie twarzy, które umieszczano na słupach

*Trollaskegg* (Broda Trolla) – imię

*Ulfhednar* – szaleniec w wilczej skórze. Inna nazwa berserka.

*ulfr* – wilk

*Ulthima Thule* (Ziemia Lodu) – Islandia

*Unz riufaz regin* – Aż do końca władców. Chrześcijański odpowiednik „Na wieki wieków”.

*utbots leidand* – rodzaj wojskowego poboru związanego z konkretną ekspedycją

*vaegir* – ognisty miecz

*vafrlögi* – magiczny ogień

*Valland* – Bawaria

*vardestur* – wyprawa na Północ, po kły morsów i skóry białych niedźwiedzi

*vardlökkur* – nazwa pieśni stosowanych w rytuale zwabiania duchów opiekuńczych

*varg* – wygnaniec

*vergeld* – kara za zabójstwo (wartość człowieka), płacono ją rodzinie zmarłego

*vester* (duń.) – zachodni; *øster* (duń.) – wschodni

*vet* (*vetur*) – zima

*viik/vik/vig* (duń.) – mała zatoka

*vika* – tydzień

*vikingr*, l. mn. *víkingar* – żeglarz, łupieżca

*Vina* – rzeka Dźwina

*vindr* – wiatr

*visundr* – żubr

*völva* – (kobieta dzierżąca różdżkę) czarownica, wieszczka, l. mn. *völur*. Inne równoważne określenie: vitka, spakona. Atrybutem ich były różdżki zwane starf. Przywoływały magię pieśniami zwanymi vardlökkur. Do czarów używały również ziół: bylicy pospolitej, babki, werbeny, arcydzięgla, szaławii.

*vor/vár* – wiosna

*waðmál (wadmal)* – wełna na żagle, całuny.

*Waregowie/Variagi* – normańska drużyna wymuszająca trybuty od plemion. Z czasem tak nazywano na Rusi wszystkich Normanów.

*withr* – nazwa lasu w świecie ludzi

*wyrd* – los

*Ydalir* – Dolina Cisów

### **Terminy arabskie**

**Ahl al-kitab** – Ludy Księgi – gorszej kategorii mieszkańcy terenów zajętych przez wyznawców islamu: żydzi, chrześcijanie, sabejczycy i zoroastrianie.

**Ahl az-zimma** – wspólnoty niewiernych znajdujące się w strefie wpływów wyznawców Allaha. Innowiercy – zimmi.

**Al-Andalus** – Iberia

**Al-Farandż** – Frankowie

**Al-Ruman** – Rzymianie

**Chalifa** – następcą Proroka. Tytuł kalif powstał właśnie od tego słowa.

**Charadż** – podatek gruntowy dla innowierców w państwie muzułmańskim. Pochodzące od niego słowo haracz używane jest do dnia dzisiejszego. Wysokość była różna, w zależności, czy ziemie przyłączono bez walk (sulhan), czy też wręcz przeciwnie (anwatan).

**Dahr** – los

**Dar al-harb** – obszar, o który należy jeszcze walczyć – ziemia wojny

**Dar al-islam** – obszar pod władzą islamu

**Diwan** – księga rachunkowa, rejestr. Potem urząd.

**Dżabal** – góra

**Dżabal Tarik** – góra Tarika. Od nazwy tej skały pochodzi nazwa Cieśniny Gibraltarskiej. Tarik Ibn Zijad w 711 r. rozpoczął z siedmioma tysiącami zbrojnych podbój Półwyspu Iberyjskiego.

**Dżanna** – raj

**Dżihad** – wysiłek, zmaganie, w tym życie w zgodzie z Koranem i walka z niewiernymi

**Dżizja** – roczny podatek dla innowierców. Płacący go mogli zachować dobra i praktykować swoją religię (bez obnoszenia się z tym wśród muzułmanów). Nie musieli też odbywać służby wojskowej. Pobierany od każdego mężczyzny.

**Fajlasuf** – filozof

**Fath** – pokój w znaczeniu „bez wojny”

**Funduq** – dawniej faktorie handlowe chrześcijan w krajach islamskich, obecnie hotel

**Hadis** – zbiór wypowiedzi i przypowieści o życiu Mahometa

**Hadżdż** – pielgrzymka do Mekki. Muzułmanin musi ją odbyć przynajmniej raz w życiu.

**Hadżar** – Czarny Kamień – święty kamień (meteoryt), któremu oddawano cześć w Mekce przed wprowadzeniem islamu przez Mahometa

**Hajat** – życie

**Jundami** – plemienne milicje w Al-Andalus

**Kadi** – sędzia. Opierali się w orzecznictwie na Koranie.

**Kibla** – kierunek, w którym muzułmanie powinni zwracać się podczas modlitwy

**Koran** – nazwa wywodzi się od słowa lektura lub recytacja.

**Kuras** (kuwar) – prowincja w Al-Andalus. Na czele każdej stał wali – gubernator. Prowincje były podzielone na dystrykty – akalim. Na terenach przygranicznych tworzono większe dystrykty zwane sugur – odpowiednik frankijskich marchii. W Al-Andalus były trzy sugur ze stolicami w Saragossie, Toledo i Meridzie.

**Mamluk** – w posiadaniu. Od tego słowa pochodzi nazwa mameluk, czyli niewolnik państwa.

**Marsa** – port

**Mauali** – konwertyta na islam

**Miradż** – Objawienie

**Mufti** – nauczyciel

**Muslim** – poddany. Źródłosłów nazwy muzułmanin.

**Nasara** – Nazarejczycy. Chrześcijanie żyjący na terenach pod władzą muzułmanów.

**Qalat** – skała

**Qal'at** – zamek

**Razzjas** – najazdy na terytoria niewiernych wynikające z nauki Koranu

**Samad** – solidny, masywny, wiekuisty, trwały

**Saqaliba** – Słowianie lub niewolnicy

**Sifr** – zero, od tego pochodzi słowo „cyfra”

**Sunna** – tradycja

**Szahada** – wyznanie wiary

**Szariat** – prawo normujące życie wyznawców islamu

**Szia** – frakcja – źródłosłów słowa szyici, czyli odłam islamu, którego wyznawcy uznawali, że prawo do przewodzenia wiernym mają tylko potomkowie Proroka. Licniejszy odłam zwany sunnitami był przeciwnego zdania.

**Taifa** – państwo etniczne. W 1031 r. kalifat Kordoby uległ rozpadowi na taify, co przyczyniło się do sukcesu rekonkwisty.

**Tudmir** – rejon Al-Andalus leżący w pobliżu Murcji. Obejmował ziemie oddane przez Abd al-Aziza gockiemu możnemu, Teodemirowi.

**Umma** – naród, społeczność. W aspekcie wyznaniowym – wspólnota muzułmańska.

**Us-ul al-fiqh** – podstawa prawna

**Zakat** – jałmużna

**Zaman** – czas

## Podziękowania

Siadając do podziękowań, jak zwykle staram się nikogo nie pominąć. Jednocześnie wiem, że to mi się nie uda.

Dziękuję autorom dzieł historycznych, z których ciężkiej pracy skorzystałem, pisząc tę książkę. Redaktorowi Arkadiuszowi Nakoniecznikowi za niezachwianą wiarę w jej międzynarodowy sukces i Jackowi Ringowi, który z ramienia wydawnictwa Akurat przeprowadził grupie dokonującej redakcji i korekty tekstu. Wiele pokory nauczyła mnie jego wiedza i godna podziwu skrupulatność.

Podziękowania należą się również pani Grażynie Muszyńskiej – jak widać, jestem niezmiennie stały – za przekazywanie redakcyjnych pomysłów w działanie. Cieszę się, że Pani do nas wróciła, Pani Grażynko.

Szczególne ukłony – który to już raz – ślę w stronę mistrza Tomka Marońskiego za niezrównane okładki moich książek. Oby w umysłach Czytelników opowieść okazała się ich godna.

Drużynom Najemnym „Dziki Bez” i „Jomsborg Vikings Hird” ślę ukłony i proszę o więcej.

Pracownikom Książnicy Płockiej dziękuję za życzliwość i współpracę.

No i na koniec najważniejsze. Dziękuję ci, Krysiu, za godną bogów cierpliwość i wyrozumiałość. Niech chociaż w ten sposób będzie mi wolno wykrzyczeć, że jesteś kadłubem, sterem i balastem okrętu, którym płynę. Żagle dorobiłem sobie sam.



[1] Allahu akbar (arab.) – „Bóg jest wielki”, w dosłownym tłumaczeniu: największy (wszystkie przypisy pochodzą od autora).

[2] Za Ibn Hayyan, *Crónica del califa Abdarrahan III An-Nasir entre los años 912–942*, edycja Chalmeta Pedro, Corriente Frederico.

[3] W powieści wykorzystano przysłowia arabskie.

[4] Sura VIII, Łupy 56, wszystkie cytaty z Koranu w przekładzie J. Bielawskiego.

[5] Wiara nie powinna wynikać z konieczności.

[6] Dar as-Salam (arab.) – Dom Pokoju.

[7] Niekiedy prawda jest tak przejrzysta, że żadna rzecz nie może jej osłabić.

[8] Jundami (arab.) – plemienne milicje w Al-Andalus.

[9] Sura VIII, Łupy 55.

[10] Mulhid kāfir (arab.) – niewierzący.

[11] Sura XLVII, Muhammad 4.

[12] Sura XLIII, Ozdoby 71.

[13] Sura XVI, Pszczoły 125.

[14] 13 Sura IX, Skrucha 5.

[15] Sura II, Krowa 193.

[16] Sura XXXI, Grupy 53.

[17] Zwrotka *HÁVAMÁL* w tłumaczeniu Apolonii Załuskiej-Stromberg.

[18] Atrybuty władzy kalifa: berło – džajzuran i tron – sarir.

[19] Scy (nord.) – zasłona, nazwa chmur w świecie ludzi.

[20] Brudir berserkja (nord.) – kobieta berserk.

[21] Nattverdhr (nord.) – wieczorny posiłek.

[22] Maekir saurgan – nieczysty miecz (wyzwisko).

[23] Sura V, Stół zastawiony 32.

- [24] Sura V, Stół zastawiony 36.
- [25] Sura IX, Skrucha 73.
- [26] Sura III, Rodzina Imrana 54.
- [27] Sura II, Krowa 216.
- [28] Op. cit. Pieśni Najwyższego.
- [29] As-salamu alajkum (arab.) – „Pokój z wami” (formuła powitalna).
- [30] Wa alajkum as-salam (arab.) – „I z wami niech będzie pokój”.
- [31] *Insza Allah* tłumaczy się najczęściej: „jeśli Bóg zechce”.
- [32] Bi-smi l-Lahi r-rahmani r-rahim (arab.) – „W imię Boga miłosiernego i litościwego”.
- [33] Sura V, Stół zastawiony 90.
- [34] W mitologii nordyckiej Hresvelgr – gigantyczny orzeł tworzący wiatry.
- [35] Duński topór – dosłownie „topór z długim styliskiem”.
- [36] Hirda (st. skand.) – zwarta formacja.
- [37] Pas Oriona. Norwegowie zwali go „Fiskikarlar”, czyli Rybacy, a Szwedzi „Kądział Fryggi”.
- [38] „Asar Bardagi”, pole bitwy Asów – dzisiaj znany jako gwiazdozbiór Woźnicy.
- [39] Za: Marcin Böhm *Normański podbój Sycylii w XI wieku*.

